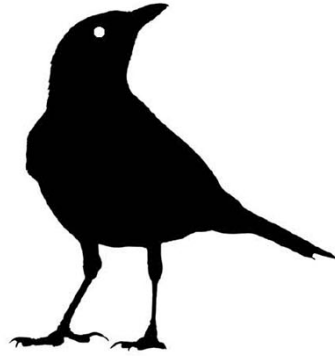




**ANASTAZJA DRABOT**

**K O S**

CZAS NIGDY NIE PŁYNAŁ TAK WOLNO, CZAS NIGDY NIE PŁYNAŁ TAK SZYBKO.  
WIEDZIAŁAM, CO MUSZĘ ZROBIĆ, ALE BAŁAM SIĘ.  
BAŁAM SIĘ ŚMIERTELNIE!



**ANASTAZJA DRABOT**

**K O S**



**MUZA**

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Ilustracje, projekt okładki: *Tomasz Majewski*  
Redakcja: *Maria Śleszyńska*  
Redaktorka prowadząca: *Grażyna Muszyńska*  
Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*  
Korekta: *Kamila Reclaw, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Ilustracje wewnętrzne: © Anastazja Drabot  
Instagram: @nastka.drabot  
[www.nastkadrabot.pl](http://www.nastkadrabot.pl)

© by Anastazja Drabot  
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2024  
ISBN 978-83-287-3025-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Wydanie I  
Warszawa 2024

Kamilowi  
– mojemu chłopakowi od motyli,  
moim spełnionym marzeniom,  
mojej stałej.

# Spis treści

## PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54

## PROLOG

Słońce wstało za wcześnie, ale o tej porze roku nie miało innej możliwości. Nie mogłam mieć o to pretensji. Gdyby czerwona poświata pod powiekami pojawiła się godzinę lub dwie później, budząc mnie ze snu, nic by to nie zmieniło. Nie spieszyłam się, bo już nie miałam dokąd. Leżałam, patrząc w sufit, z którego wielkimi płatami odpadał poszarzały tynk, sufit, który stworzył dla mnie schronienie jeszcze ten jeden raz. Ostatni raz. Powoli przekręciłam obolałą od drewnianej posadzki głowę w kierunku starego okna. Wśród śpiewu ptaków usłyszałam znajomy dźwięczny śmiech i zobaczyłam, jak bliską mi kobiecą postać obejmuje inna – również dobrze mi znana. Nikt nie śmiał się tak radośnie jak ona i nie było drugiego mężczyzny o tak delikatnym uścisku. Zacisnęłam oczy i nie otwierałam ich przez kilka długich sekund. Otworzyłam je ponownie. Obraz i towarzyszące mu najmilsze dla uszu dźwięki nie stały się przez to bardziej realne. W rzeczywistości nie były nawet wspomnieniem. Rozczarowana przewróciłam się na bok i skrzywiłam się, kiedy niewielki, podłużny przedmiot wbił mi się boleśnie w ramię. Z cichym jękiem wyciągnęłam go spod swojego wątego ciała. Słowa przelane na kartkę za pomocą tego długopisu były jego ostatnimi. Moimi także.

Czas nigdy nie płynął tak wolno, czas nigdy nie płynął tak szybko. Wiedziałam, co muszę zrobić, ale bałam się. Cóż za ironia! Bałam się śmiertelnie! Usiadłam powoli, robiąc głęboki wdech, otrzepując się z fragmentów obłazłej farby i kurzu. Delikatny wietrzyk, wpadający przez rozbite przed latami szyby, przyniósł mi zapach łąki pełnej maków i wyrabianego przez moją mamę chleba. Jeden z nich znów był wytworem mojej wyobraźni. Wstałam, starając się nie zwracać uwagi na ból pleców, które nie przywykły do tak surowych warunków. Podeszłam do stłuczonego lustra. Jestem przesadna, ale

siedem lat nieszczęść już mnie nie dotyczy. Poza tym gdyby coś się nie powiodło, to nie ja je stłukłam. Nie wiem, kto to zrobił, i już się nie dowiem, ale życzę mu dobrze. Oby zła wróżba nigdy go nie dotknęła.

Przygotowywałam się starannie, przeciągając każdą minutę do dwóch. Zaczesałam włosy w ciasny kucyk tylko po to, by po krótkim namyśle je rozpuścić. On taką lubił mnie najbardziej. Chociaż tyle jestem mu winna, ale mam nadzieję, że nigdy więcej mnie nie zobaczy. Nie taką, jaką się stanę. On już wie, jestem tego pewna. Co wieczór przychodził sprawdzać, czy to się nie stało. Gdy pierwszy raz zauważyłam światło jego latarki w moim oknie, przestraszyłam się, ale kiedy odbicie w lustrze pokazało mi jego twarz i zobaczyłam jego oczy, zrozumiałam, że boi się tak samo jak ja. Nie widział mnie, a ja nigdy nie powiedziałam mu o tym, że jestem świadoma jego nocnych wizyt. A wiedziałam o każdej. Nie usnęłam, dopóki w oknie nie zobaczyłam światła latarki. Tak naprawdę to jego obecność pozwalała mi odpłynąć. Czułam się bezpiecznie, chociaż przez te kilka minut, zanim zamknęłam oczy.

Teraz wie, że mnie nie uratował. Tak bardzo chciałam, by zrozumiał, że nic nie jest już w stanie zmienić, że wszystko już się stało, że przegrałam już wcześniej.

Z dala dobiega mnie śpiew kosa. Być może z polany, znajdującej się za wąską przecinką w lesie. Zaraz się przekonam. Wyglądam białą, luźną sukienkę. Wiem doskonale, ile w tym teatralności. Ale wydała mi się odpowiednio romantyczna. Jeśli istnieje jakikolwiek sposób, by nadchodzącej nieuchronnie chwili dodać odrobinę uroku – zrobię to. Zdejmuję jeszcze skarpetki, które założyłam na noc, by nie zmarznąć. Odcisnięty ślad wokół kostek nieco zniszczy obraz, jaki zaraz stworzę, ale za późno na poprawki.

Patrzę ostatni raz w lustro. Moje blade dłonie wędrują do szyi, palce przesuwają się wzdłuż niewielkiej bladej blizny. Wygląda jak wszyta najprostszym ścięciem biała nić – zupełnie inaczej niż moje stare blizny. Do tamtych przywykłam, ale tę chciałabym wypruć. Zaciskam dłoń na krtani i szybko puszczam. Robię głęboki, głośny wdech. Nigdy nie umiałam wstrzymać oddechu przez długi czas.

Wychodzę przez pustą framugę w miękką, ciepłą poświatę. We mgle widzę mieniące się złotem babie lato. Od razu na myśl



przychodzi mi okrutna baśń o Titeliturych braci Grimm. Gdyby napisali baśń o mnie, nie byłaby straszniejsza od rzeczywistości.

Żwir nieużywanej od dawna drogi wbija mi się w podeszwy stóp. Au! Coś boleśnie mnie ukłuło. Nastąpiłam na szklany odłamek. Idę dalej, to tylko skaleczenie, zaraz przestanie boleć. Wiatr szarpie moją sukienką i rozwiewa mi włosy, które już niedługo przestaną być moją własnością. Z każdym kolejnym krokiem oddycham świadomiej, dostrzegam więcej, a zapach gnijącej trawy ustępuje woni maków. Zaraz będę na miejscu. Minę kilka drzew i znajdę się na polanie. Zatrzymuję się na chwilę, by uspokoić serce, które jakby chciało powstrzymać mnie przed tym szaleństwem. Ale nie ma odwrotu. Po kilku sekundach stawiam krok, za nim kolejny, przyspieszam. Dotarłam na miejsce. Morze maków i pojedynczy wiekowy dąb. Polana, do której tak chciałam wrócić, zamigotała po raz ostatni przed moimi oczami pełnymi łez.



# 1

Co jest...?! – Dzwonek telefonu gwałtownie wyrwał Bruna Kosowskiego ze snu, przyprawiając go o przyspieszone bicie serca. Jego przekleństwom zawtórowało ujadanie psa, który zerwał się z łóżka podobnie przerażony jak jego pan. Zanim mężczyzna znalazł po omacku telefon, ten ktoś po drugiej stronie zdążył się rozłączyć. Nadzieja na ponowne odpłynięcie w sen okazała się złudna, bowiem już po chwili w jego uszach ponownie zadźwięczały głosy braci Gibb, śpiewających radośnie *Stayin' Alive*. W chwilach takich jak ta pluł sobie w brodę, że ustawił tę piosenkę jako dzwonek. Bruno zawsze bał się, że nie zdoła uratować potrzebującego, a *Stayin' Alive* było jego podpowiedzią, w jakim tempie uciskać klatkę piersiową podczas udzielania pierwszej pomocy. Jak dotąd nie nadarzyła się okazja, by dzwonek spełnił swą szlachetną rolę, ale w tej chwili Bruno czuł, że zaraz sam będzie wymagał reanimacji.

Kosowski powoli przetarł twarz swoją dużą dłonią, odgarnął potargane, sięgające ramion blond włosy i pozwolił oczom przyzwyczaić się do mroku. Dopiero wtedy ponownie sięgnął po telefon.

– Halo? – wychrypiał.

– Przykro mi, że cię budzę, stary, ale jest robota – zabrzmiał w słuchawce głos jego partnera, Piotra. – Mamy trupa. Niestety kawałek za Warszawą, w Podkowie Leśnej. Za ile możesz być na miejscu?

Na pytanie odpowiedziała cisza.

– Bruno? Jesteś tam?

– Co? Tak, tak... Która w ogóle jest godzina? – spytał wciąż rozkojarzony.

– Dopiero minęła pierwsza. To co? Za ile będziesz?

– Sam dojazd trochę mi zajmie, myślę, że dobre pół godziny... Ale zaraz... Podkowa Leśna? Dlaczego my się tym zajmujemy?

– Opowiem ci wszystko na miejscu – uciął Piotr i już miał się rozłączyć, gdy Bruno go powstrzymał.

– Czekaj! Zapomniałem! Nie mogę prowadzić.

– Piłeś? – domyślił się mężczyzna, a Bruno mimo woli usłyszał w tym pytaniu swoją matkę.

– Może – odparł.

– Ale nadajesz się do pracy?

– Tak.

– Będę za dziesięć minut – powiedział Piotr, po czym w słuchawce rozległo się pikanie świadczące o zakończeniu połączenia. Dziesięć minut. Czyli był już w drodze. W Warszawie o tej porze nie dostałby się do centrum w dziesięć minut.

Bruno wiedział, że jego partner nie patrzy przychylnie na jego samotne picie, ale przecież panował nad tym. Powtarzał to Piotrowi wielokrotnie. Dwa kieliszki czerwonego wina przed snem jeszcze nie robią z człowieka alkoholika.

Mężczyzna wstał pośpiesznie z łóżka, aż zakręciło mu się w głowie. Wtedy dotarło do niego, że znowu miał ten dziwny sen. To tylko pieprzony koszmar, powtórzył sobie w myślach kolejny raz.

Poszedł szybko do kuchni, gdzie wstawił wodę na kawę, a w momencie, gdy otwierał lodówkę, usłyszał stukot kroków na posadzce. Odgłos był tak nonszalancki, jakby to nie pazury teriera był jego źródłem, a jakaś niezwykle pewna siebie kobieta w szpilkach. Olaf nigdy nie przepuścił okazji do żebrania, ale robił to z gracją niepozwalającą na odmowę. Bruno odwrócił się i zobaczył, jak pies przeciąga się na przedwojennych płytkach, ziewając przy tym głośno, niby od niechcienia. W ten sposób zwracał na siebie uwagę – zawsze identyczne, głośne ziewnięcie. Jego pan uśmiechnął się, znalazł w lodówce ostatni plasterzek szynki i rzucił psu. Sam postanowił nic nie jeść, zrobił tylko kawę i przelał ją do dwóch małych termosów z IKEA. Jeden został tu po niej. Może kiedyś go odbierze.

Bruno spojrzął na biało-niebieski holenderski zegar z wahadłem, prezent od mamy, który niechętnie przyjął, i zaklął pod nosem. Ruszył biegiem do łazienki. Pospiesznie zarzucał na siebie

wczorajsze ubrania, jednocześnie myjąc zęby. Jeszcze tylko odznaka i okulary w grubych szylkretowych oprawkach. Trup co prawda poczeka, ale może wystygnąć. Tego Bruno by nie chciał. Rzucił ostatecznie zazdrosne spojrzenie na psa, który zdążył już wrócić do łóżka, po czym sam z rezygnacją opuścił mieszkanie. Piotrek podjechał w momencie, gdy za Brunem głośno trzasnęły drzwi klatki. Mężczyzna szybko wskoczył do samochodu, wzdrygając się od chłodu lutowego powietrza.

– Cześć – rzucił Bruno. – Co z tym trupem? Czemu my? To nie nasz rejon.

– Najpierw mi powiedz, ile wypitesz – chciał wiedzieć Piotr i widząc wyraz twarzy kolegi, dodał: – To przez nią wciąż popijasz? Sądziłem, że to zamknięty rozdział.

Bruno zawahał się, nim odpowiedział.

– Nie, to nie to. Nieważne.

– Serio? Nie okłamuj mnie, musimy sobie ufać. Dobrze to wiesz.

– W porządku! – Bruno podniósł głos. – Niewykluczone, że i przez nią. Nie możemy wiecznie wałkować tego tematu. Jej już nie ma. Co ze sprawą?

Zaniepokojony Piotr spojrzał na partnera, ale ten odwrócił głowę i wbił wzrok w widok za oknem. Mężczyzna przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyli. Był piątek i Warszawa o tej porze wciąż nie opustoszała, wręcz odwrotnie – mimo niesprzyjającej pogody właśnie teraz żyła. W przeciwieństwie do niektórych.

– Jakaś gruba ryba – powiedział Piotr. – Dlatego potrzebowali na miejscu kogoś... ujmijmy to, z większym doświadczeniem.

Bruno kiwnął głową. Na razie nie chciał wiedzieć więcej, nie sądził zresztą, że Piotrek poda mu jeszcze jakieś szczegóły. Lubił swojego partnera i ufał mu bezgranicznie – to było niezbędne. Poznał go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że Piotr lubi mieć nad nim pewną przewagę, wręcz jej potrzebuje. Na komendzie to Bruno uchodził za Sherlocka Holmesa tego duetu, Piotrkowi pozostawała zwykle rola Watsona.

Jechali w milczeniu. Bruno starał się nie zasnąć, ale co jakiś czas przyłapywał się na tym, że zamiast kolorowych świateł sygnalizacji i neonów ma przed oczami jej twarz. Wracła do niego każdej nocy, w każdym śnie... Czasem te sny przeradzały się w koszmary. To

właśnie owe samotne wieczory, gdy zastanawiał się, co tym razem wylosuje w sennej loterii, były najgorsze. Potrafił usiąść na kanapie przed telewizorem, odwracał głowę w kierunku łazienki i widział ją: zarumienioną, w samym ręczniku, z tuszem rozmazanym pod oczami. Szczęśliwą. Potem wracał do meczu i czuł zapach pieczonego kurczaka z rozmarynem. Nie umiała gotować, ale kurczaka piekła po mistrzowsku. Czemu przestał jej o tym mówić?

Zwabiony kłamstwem podpowiedzianym przez tęsknotę kierował się do kuchni. Tam zawsze czekało wytrawne czerwone wino, jej ulubione. W tafli płynu widział jej twarz. Była tam, uśmiechała się do niego z początku miło, szczerze. W końcu jednak uśmiech zmieniał się w szyderczy śmiech. Wtedy Bruno pił. Szybko. Żeby zniknęła. Nie miał problemu z piciem, wciąż jeszcze wiedział, kiedy przestać, ale czuł, że czas zwolnić, bo zmierza to w złym kierunku. Zbyt wiele było już tych epizodów, kiedy balansował na granicy nałogu.

Wyjechali z Warszawy i kolorowe światła z czasem ustąpiły zwykłym, jednobarwnym lampom ulicznym. Zbliżali się do Podkowy. Przez myśli o utraconej miłości zaczęły się przebijać słowa piosenki, a zaspany umysł połączył obraz z dźwiękiem w całość. Teraz przed oczami zarysowała mu się jej sylwetka, siedząca na blacie kuchennym. Z kieliszkiem w dłoni poruszała nogą w rytm piosenki i śpiewała: „Przez twe oczy, twe oczy zielone... oszalałem...”. Obraz wydał się Brunowi tak surrealistyczny, że natychmiast się ocknął.

– Czego ty słuchasz? Wstyd mi za ciebie – powiedział, próbując dostosować poziom żartu do nieprzekraczalnej granicy szyderstwa.

– Aaa... – Piotr się uśmiechnął. – Byliśmy w zeszłą sobotę na weselu u rodziny Asi. Powiem ci szczerze, stary, podoba mi się to. I tak jak cię kocham, tak w chwili, gdy zaczniesz się ze mnie nabijać, albo co gorsza komuś wygadasz, będę ci musiał przyłożyć.

Bruno uniósł teatralnie ręce w geście kapitulacji, ale śmiechu nie powstrzymał. Spojrzał na swojego przyjaciela. Pracował z nim już kilka lat, a facet poza kilkoma zmarszczkami w ogóle się nie zmienił. Zawsze perfekcyjnie układał włosy, golił się na gładko, ubierał jak przykładowy tata i nosił okulary, które mógłby założyć jego dziadek w czasach swojej młodości. Styl nie był jedynym dziedzictwem Piotra, był nim jeszcze jego wzrost. Mężczyzna był niski, tak jak jego dziadek i dziadek jego dziadka. Syn Piotra też był niski i Bruno nie

wątpił, że jego wnuki również takie będą. Ot, polska rodzina hobbitów.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Piotrek. Minęli już tablicę z nazwą miejscowości i jechali teraz wolno wąskimi uliczkami pod baldachimem łysych drzew. Zatrzymali się dopiero na obrzeżach miejscowości, przy wjeździe na interesującą ich posesję. Bruno poczuł, jak na rękach stają mu włosy – reakcja na dobrą muzykę, zimno albo intrygujące śledztwo. Detektyw się uśmiechnął – praca, chociaż często niewdzięczna, była dla niego niezwykle satysfakcjonująca, a im bardziej tajemnicza i mroczna trafiła się im sprawa, tym bardziej się w nią angażował. Bruno otworzył drzwi i natychmiast uderzył w niego silny podmuch wiatru. Poczucił krople deszczu na twarzy. Mżyło. Podeszedł do mundurowego, stojącego na straży tuż obok okazałej bramy, i pokazał mu odznakę. Posępny mężczyzna kiwnął głową i wydał polecenie przez krótkofalówkę. Za plecami policjanta coś głośno skrzypnęło. Bruno spojrzał ponad jego ramieniem i we mgle zobaczył, jak wielka czarna płyta przesuwa się powoli, by po chwili zniknąć w otworze prawie trzymetrowego betonowego muru.

Wtem za bramą mignęło coś białego i serce detektywa podskoczyło pod samo gardło. Czy to możliwe...? Był pewien, że kogoś widział. Ten biały kształt wyglądał znajomo. Mężczyzna wahał się tylko chwilę, po czym ruszył w kierunku postaci. Wyjrzał za bramę, ale nic nie zobaczył. Podbiegł kawałek. Był pewien. Był całkowicie pewien. Chyba.

– Co jest? – usłyszał za plecami krzyk Piotra. Bruno odwrócił się i zobaczył go stojącego przy drzwiach samochodu. Patrzył na partnera z z troskaniem, z pewnością oceniając stan jego trzeźwości.

– Nic. Wydawało mi się, że coś widziałem – odpowiedział i jeszcze raz się rozejrzał. Długie światła samochodu nie sięgały do ścian budynków, ginęły we mgle. Znow ciarki. Zimno, pomyślał Bruno i wrócił do samochodu.

Podjazd był długi. Jeden z tych, które na filmach zapowiadają wspaniałość odwiedzanego przez bohaterów domostwa. Pozbawiono go jednak niezbędnej na ekranach romantyczności. Rozjechana kołami ziemia ustępowała miejsca gładkim betonowym

plytom. Jedynie podświetlone ciepłym światłem drzewa osłabiały wrażenie nowoczesnego chłodu, ale detektywi i tak czuli się tu nieswojo. Bruno spojrzął na partnera, który ściągnął brwi i z większym skupieniem niż dotychczas patrzył na drogę. Kosowski sam rozglądał się z zaciekawieniem, wypatrując domu ukrytego za przeredzającą się roślinnością. Gdyby nie pora roku i łyse drzewa, nie zobaczyłby willi jeszcze przez chwilę. Ale była tam, wyrosła z ciemności i robiła wrażenie. Dom od architekta, ewidentnie, pomyślał detektyw. Bryła, składająca się z prostopadłościanów w połączeniu z materiałami takimi jak beton, szkło i gdzieś tam drewno, stanowiła poniekąd symbol nowoczesnego budownictwa jednorodzinnego. Tu dodatkowo miała rozmach. Bruno był ciekaw, jak dom prezentuje się za dnia. W niebieskich światłach kogutów policyjnych niewiele było widać.

Piotr zatrzymał samochód przed wejściem do budynku, obok kilku starych radiowozów i karetki. Gdy z hukiem zatrzasnął drzwi, podbiegł do niego wyraźnie przejęty, zasapany młody policjant i wskazał palcem w kierunku zjazdu do garażu.

– No przecież tam nie wjadę... – wymamrotał Piotr, na co młody się zaczerwienił.

– Nie, nie... Proszę tędy – powiedział.

Piotr zawołał Bruna, który posłusznie wysiadł i udał się za kolegą, przyglądając się z uznaniem tej okazałej posiadłości. Kontemplację przerwało mu nagle szarpnięcie w żołądku, które następuje zawsze, gdy człowiek niespodziewanie nie natrafi nogą na stopień. Kosowski spojrzął przed siebie i zrozumiał, że schodzą na niższy poziom. Spadek terenu sprawił, że kondygnacja, która od frontu wyglądała jak parter, tak naprawdę wisiała nad ziemią w formie ciężkiej bryły, tworząc olbrzymi dwukondygnacyjny podcień nad wjazdem do garażu. W tym podcieniu kryło się teraz kilku policjantów, z których jeden podtrzymywał młodą, szlochającą rozpaczliwie blondynkę. Bruno zaklął cicho. Dlaczego nikt nie zabrał jej do środka? Szukał wzrokiem kogoś, kto tutaj dowodzi, ale w tym bałaganie chyba nie było nikogo takiego. W końcu podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku. Jego pucołowatą, rumianą twarz częściowo przysłaniały imponujące, uczesane wąsy.



– Janusz Șcki, kłaniam siȘ – powiedział, podajȘc rȘkȘ do silnego uścisku.

– Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska... – nieśmiało wtrȘcił Piotr. Jego drobna postać kurczyła siȘ jeszcze bardziej przy przytłaczajȘcych osobowościami, a mȘczyzna wydawał siȘ takȘ posiadać.

– Dosłyszał pan – powiedział Șcki i po zmierzeniu detektywa wzrokiem zwrȘcił siȘ do Bruna, uznawszy go najwidoczniej za godniejszego rozmȘwcȘ. – Centrala z jakiegoś powodu uznała, że nasz lokalny oddział nie jest w stanie uporać siȘ z tym samobȘjstwem.

– SamobȘjstwem? – zdziwił siȘ Bruno. – Niemożliwe, nikt nie wzywałby nas do samobȘjcy, to nie jest robota dla... To znaczy...

– Sam se pan zobacz – powiedział Șcki, ignorujȘc słowa detektywa. – Ewidentny samobȘjca, nie ma czego dochodzić.

– Kim jest denat?

– No właśnie. To pewnie jedyny powȘd, dla ktȘrego was wezwali... Jakiś waźniak. Facet to architekt. Ten architekt. Kojarzysz pan?

– Nie kojarzę, proszę rozwinȘć myśł. – Arogancja Șckiego zaczynała trochȘ niecierpliwić Bruna.

– Ech... – westchnȘł Șcki i z dezaprobatȘ pokrȘcił głȘwȘ. – Nie interesujecie siȘ, co? He, he. Trzeba czytać wiadomościami dotyczȘce miasta, w ktȘrym mieszkacie. Ja jestem stȘd, a wiem lepiej, co siȘ wyprawia w tej waszej Warszawce.

Janusz Șcki wyraźnie chciał sprowokować stołecznych śledczych, ale nie miał takiej ikry, jaka cechuje niektórych upierdliwych blockersȘw, wiȘc detektywi uparcie ignorowali jego zaczepki. Nie zostało mu nic innego, jak po głośnym, wymownym i pełnym lekcewaźenia westchnięciu przejść do rzeczy.

– Trup to niejaki Tadeusz Wilski, głȘwny architekt Warszawy. Prowadził teź wlasnȘ pracownię, w spȘłce z innym architektem, Wilski/Trocki Architekci. WiȘc zapewne ten drugi to Trocki, nie? He, he. Widzicie, panowie, teź umiem rozwiȘzywać te wasze łamigłȘwki. Wcale nie jesteśmy tacy gorsii...

– Nie wȘtpimy. Coś jeszcze?

– No wiȘc gość odpowiadał za kilka istotnych projektȘw. Ma żonȘ i dwȘjkȘ dzieci, dziewczynȘ i chłopaka. W sensie, że dzieci tej płci.

Chociaż cholera go wie. W tej Warszawce to już każdy z każdym. No, także tego, mieszka z nimi jego matka. No i tak, pogruchotał się cały, kiedy wypadł z okna na podjazd przed garażem.

– A ta lamentująca kobieta to...? – spytał chłodno Bruno, wskazując skinieniem głowy blondynkę.

– Żona, chociaż po ciemku to można ją i za córkę wziąć. Ale jak pan latarkę przystawisz, to już się nie pomylisz. – Ęcki uśmiechnął się szyderczo, co wywołało niesmak u jego rozmówców.

– Żona – powtórzył cierpko Bruno. – Dlaczego więc, do jasnej cholery, stoi na zewnątrz i pozwala pan jej patrzeć na zwłoki mężczyzny, którego zapewne kochała?

Ęcki zrobił dzióbek, spojrzał na swoje buty i westchnął krótko:

– No tak... – Skinął detektywom i mamrocząc coś pod nosem, skierował się w stronę podwładnych, którzy po chwili zaprowadzili kobietę do środka. Bruno mógłby przysiąc, że facet wyklina na Warszawkę.

– To będzie długa noc... – powiedział Piotrek. – Chodź, obejrzymy go.

Ciało Tadeusza Wilekiego leżało na betonowym podłożu. Jedna ręka denata spoczywała nad jego głową, druga wzdłuż ciała. Mężczyzna spadł na plecy i gdyby nie plama krwi na wysokości głowy, można byłoby pomyśleć, że po prostu dobrze zabalował. Architekt musiał brać udział w jakimś przyjęciu, na co wskazywał doskonale skrojony garnitur i biała, rozpięta pod szyją koszula. A może bankiet odbywał się tu i właśnie dobiegł końca, a gospodarz rozbierał się do snu? Żona denata również wyglądała sztywnie. Bruno podszedł do ciała i przykucnął.

– Kiedy nastąpił zgon? – spytał Ęckiego, gdy ten do nich wrócił.

– Prawdopodobnie między dwudziestą trzecią trzydzieści a północą. Tak twierdzi lekarz medycyny sądowej. Zgłoszenie dostaliśmy dopiero o wpół do pierwszej. Po pomoc zadzwonił lokaj, na prośbę swojej pracodawczyni. – Ęcki był już bardziej profesjonalny i wyraźnie obrażony.

– Ktoś dotykał ciała? – spytał Bruno. Założył rękawiczki i sam zaczął dokonywać oględzin. Zmarły raczej nie prowadził zdrowego trybu życia: miał nadwagę i ciemne sińce pod oczami. Bruno wciągnął głęboko powietrze. Kojarzył ten zapach – odrobinę

kwiatowy, trochę pikantny, z wyczuwalnym jaśminem... Tak, ostatnio z ciekawości sprawdzał go w drogerii. Perfumy były niezwykle drogie, ponad dziesięć tysięcy za flakonik. Wilski, mimo aparycji, dbał o siebie. Lubił się też opalać. Delikatne oparzenia na skórze widoczne pod rozpiętą koszulą wskazywały raczej na mocne słońce, nie na solarium. Denat zdążył przed śmiercią pojechać na wakacje. Dobrze i to. Detektyw przejrzał jeszcze kieszenie i klapy marynarki, ale nic nie znalazł. Szukał dalej: oglądał dłonie i szyję, próbując wypatrzyć ślady walki.

– Kobieta zarzeka się, że nikt się nie zbliżał – powiedział Ećki, podejrzliwie obserwując, jak Bruno przygląda się obrączce na palcu denata. – Nie odstępowała go na krok, od kiedy go znalazła. Zeznała tylko, że jej szloch usłyszała jedna z obecnych na bankiecie hostess.

Aha, impreza, wiedziałem! – pomyślał Bruno.

– To ta dziewczyna przekazała lokajowi, że ma niezwłocznie poinformować służby. Karetka też przyjechała, ale lekarze nie mogli już nic zrobić.

– Ta hostessa... Zakładam, że wciąż jest na miejscu? – spytał Bruno, wstając i otrzepując spodnie.

– Prawdopodobnie.

– Pan żartuje? Dziewczyna jest świadkiem. Ani ona, ani nikt inny nie powinien był opuszczać tego domu.

– Założyliśmy samobójstwo. – Ećki się wyprostował, wypinając swój pokaźny brzuch i wysuwając szczękę do przodu.

– Wiedząc, iż mają was za takich znawców, że trzeba wzywać specjalistów z zewnątrz? Nie mieliście prawa nic zakładać!

Bruno wziął głęboki wdech i spojrzał na Piotra.

– Upewnij się, że nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nasi wszystkich nie przesłuchają – powiedział.

Piotr pobiegł wykonać zadanie, a gdy wrócił, poinformował, że policja już zajmuje się przesłuchaniem osób, które mogły coś zauważyć. Nikt nie wyszedł; wszyscy byli niezwykle zaaferowani i nie chcieli przepuścić takiej rozrywki.

– Po co ci akurat ta hostessa? – spytał Brunu Piotr. – Co prawda jeszcze jest, ale już odpowiadała na pytania...

– Chodź, pokażę ci – odparł Kosowski, po czym zawołał fotografa.

Przykucnęli obaj, a Bruno podniósł prawą dłoń denata i najdelikatniej, jak umiał, zdjął mu obrączkę. Spojrzał na fotografa i skinieniem poleciał mu zrobić zdjęcie.

– Na co mam patrzeć? – spytał Piotrek, obracając w dłoni obrączkę, którą przekazał mu Kosowski.

– Na palce, spójrz. Facet prawdopodobnie do wiernych nie należał.

– Opalenizna...

– Tak. Pod obrączką powinno jej nie być. Założę się, że w podróży nie towarzyszyła mu żona. Jeśli wiedziała o jego zdradach, to jest to już jakiś motyw – wyjaśnił Bruno.

– A hostessa...?

– Ona jedyna widziała żonę architekta przy jego ciele. Jest jedynym świadkiem, który może potwierdzić, że facet nie był zbyt żywotny, kiedy nachylała się nad nim jego urocza małżonka.

– Czaję. A co z domniemaniem samobójstwa?

Bruno wstał i się rozejrzał. Spojrzał w górę w kierunku okna na piętrze, z którego rzekomo miał skoczyć architekt, i zwrócił się do krzątającego się w okolicy Ęckiego.

– Ktoś zamknął teraz okno?

– Nie. Musiało być zamknięte, jak przyjechaliśmy. Nikt nie wchodził do tego pokoju, moi ludzie tego pilnują, bo czekaliśmy z tym na waszą ekipę. Założyliśmy, że ktoś poczuł przeciąg i...

– I zamknął okno, ignorując przy tym fakt, że leży pod nim wykrwawiający się człowiek? Kurwa... – Bruno spojrział z wielkim rozczarowaniem na policjanta i przeniósł wzrok na kolegę. – Jak widzisz, kwestia samobójstwa jest raczej wykluczona. Chyba że pan architekt zatrzaskał okno od środka, magicznie, w locie.

– To raczej mało prawdopodobne. – Bruno usłyszał za plecami kobiecy głos.

Znał go. Najmilszy i najokrutniejszy głos na całym świecie. Nie było drugiego takiego, który brzmiał w jego uszach jak delikatna melodia wygrywana na fortepianie i motyw z filmu *Szczęki* jednocześnie. Z dźwiękiem zawsze przychodził ten sam słodki zapach perfum sygnowanych nazwiskiem nie lubianej przez nią piosenkarki. Kupił jej te perfumy w pierwszą rocznicę, wciąż ich używała. Przeczynał, że ona tu będzie. Zawsze była.

– Rozalia Ojdana, TVN24, czy mogę prosić o komentarz? – powiedziała dziennikarka, podsuwając mu mikrofon pod nos.

Jeśli można wyróżnić jeden moment w życiu każdego człowieka, który potrafi ukształtować go na nowo, dla Bruna była to chwila, gdy na klatce schodowej kamienicy niósł się echem trzask zamykanych za Rozalią drzwi jego mieszkania.

## 2

**P**roszę się odsunąć i wyłączyć kamerę – powiedział chłodno Kosowski. – Natychmiast.

To trwało ułamek sekundy. Spojrzał jej w oczy, które z pewnością jeszcze przed chwilą obejmował uśmiech, lecz teraz nie było po nim śladu. Dostrzegł uniesione lekko brwi. Znał tę minę. Zawsze ją robiła, gdy chciała powiedzieć: „Zabronisz mi?”. Kiedyś, podczas pierwszych kłótni, uważał to nawet za urocze, ale z czasem jej poczucie bezkarności zaczęło rodzić w nim agresję. Rozalia nie bała się go ani trochę, a jego zdanie miała za nic. Teraz patrzył z uporem na jej twarz, licząc, że odpuści, ale walka była z góry skazana na przegraną.

– Chłopaki... – Bruno odwrócił się w kierunku mundurowych i skinął na nich dłonią. Gdy ruszyli w ich stronę, Rozalia z irytacją opuściła mikrofon i odesłała towarzyszącego jej kamerzystę. Wsparcie nie było już potrzebne. Zanim detektyw się odwrócił, na ramieniu poczuł ukłucie czyichś wbijających się mu w skórę paznokci. Jej długie palce już go oplótły, nie było ucieczki.

– Nie teraz – uciął, zanim się odezwała, po czym spojrzał jej stanowczo w oczy ostatni raz i nie czekając na odpowiedź, odszedł.

– Co ona tu robi? Skąd wiedziała? – spytał poirytowany Piotr, o którego obecności Bruno na chwilę zapomniał.

– Pewnie ktoś z gości zaalarmował telewizję – odparł. – Nie martw się tym. Zaraz pojedzie. Dałem jej do zrozumienia, że nic tu nie wskóra.

– Ty dałeś jej do zrozumienia? Rozalia nigdy tak po prostu nie odpuszcza, a już na pewno nie gdy ty jej każesz.

– Dobra, pokręci się i pojedzie – powiedział Bruno. – Powiedz naszym, żeby mieli ją na oku, i zbierz rodzinę Wilskiego w jednym miejscu. Ale zanim przystąpimy do rozmów, musimy jeszcze

obejrzeć tamto pomieszczenie z oknem. Czy wszyscy goście wciąż są obecni?

– Mówiłem ci już. Nasi ludzie przesłuchują świadków, ale odsyłają tych, którzy nie mają żadnych informacji. Myślę, że niedługo rozmowy się skończą.

Piotr wciąż tłumaczył, ale Bruno już nie słuchał. Obejrzał się przez ramię i odgarnął do tyłu długie włosy. Rozalia, wyraźnie zdenerwowana, siedziała na niskim kamiennym murku i paliła papierosa – Vogue’a, jak zwykle. Nie zmieniała przyzwyczajień. Nie tak jak mężczyźni, w każdym razie. Wyglądała pięknie. Złociste, ułożone w delikatne fale włosy opadały jej na kołnierz klasycznego beżowego trencza od Burberry, który luźno przewiązała paskiem. Miała gęsią skórę, ale z tej odległości Bruno tego nie widział. Wędrował wzrokiem po jej smukłej sylwetce, po zgrabnej łydce w beżowej szpilce, którą eksponowała, zarzuciwszy nogę na nogę. Miała zieloną, trochę kusą, ale przynajmniej grubą spódnicę. Pamiętał tę część ubioru i to, jak z wdziękiem opadała na podłogę, gdy kobieta jego marzeń szykowała się do snu. Myślał o szeleście jedwabnej podszewki i o tym, jak ślizgały się po niej jego palce, gdy podnosił ją z uwielbieniem do góry. Myślał o kokosowym zapachu balsamu, wyczuwalnym przez cienkie pończochy. Patrzył dalej. Rozpinając guziki białej koszuli, posunęła się o jeden za daleko, co zauważył z niezadowoleniem. Odślaniający dekolt szal, który delikatnie powiewał na wietrze, najwyraźniej też był markowy, również Burberry. Tłumaczyła mu coś o tej kracie. Ten szal nie był podobny do tego, który kiedyś jej podarował. Tamten był w kwiaty, ludowy, i widział go na niej tylko raz. Rozalia nie tylko gustowała w stylu klasycznym, ale sama była uosobieniem klasyki. I klasy. Zawsze nieskazitelna, zawsze gotowa do nagrań, zawsze perfekcyjna. Dlatego najchętniej myślał o wieczorach w ich mieszkaniu, kiedy zrzucała z siebie wszystko i była naturalna, nieidealna, rzeczywista.

Detektyw odwrócił się niechętnie w stronę domu i wszedł do środka. Czekałym w salonie ludziom skinął tylko w przelocie, zapewniając, że zaraz do nich dołączy, i ruszył marmurowymi schodami na górę.

Szklana ściana oddzielała korytarz od pomieszczenia, które okazało się gabinetem Wilskiego. W pokoju, po wewnętrznej stronie okien, zamontowano czarne żaluzje. Pod ścianą stała ekipa techników z Piotrem, co wydawało się dość niezrozumiałe, zważywszy na konieczność jak najszybszego przeprowadzenia prac.

– Co się dzieje? Czemu jeszcze nie w środku? – spytał Bruno gniewnie.

– Czekaliśmy na ciebie – odparł Piotrek. – Pokój jest zamknięty.

– Zamknięty? To dziwne.

– To nie jest dziwne, Bruno. To niemożliwe. Pokój jest zamknięty od środka. Klucz, który przyniósł nam lokaj, w żaden sposób nie pomógł. Podobno po wewnętrznej stronie zamontowana jest jakaś zasuwka. Próbowaliśmy wszystkiego.

– Nie wszystkiego – powiedział Bruno i wziął zamach. Szkło roztrzaskało się w drobny mak, a na dole ktoś krzyknął. Detektyw przełożył ostrożnie dłoń przez otwór i wymacał zasuwę. Po chwili drzwi były otwarte. Wparował do środka i rozejrzał się, a reszta weszła za nim i natychmiast zabrała się do zbierania materiału dowodowego.

Pomieszczenie było przestronne, eleganckie i surowe. I zimne tak, jak urzędujący w nim architekt, pomyślał Bruno. Wielkie regały z książkami o tematyce architektonicznej zajmowały całe ściany. Takiego zbioru nie powstydziliby się żadna biblioteka wydziałowa w kraju. Architekt ustawił swoje solidne biurko na środku pokoju w ten sposób, że piękny widok na ogród miał za plecami.

– Wolał beton zamiast zieleni. To takie wymowne... – powiedział pod nosem Bruno i zwrócił się do Kowalczyka, jednego z techników, który stał przy oknie: – Jakieś odciski?

– Zdejme, ale nie ma ich dużo – odparł tamten. – Moje okna nie wyglądają tak czysto nawet po świętach.

– To dobrze, interesują nas tylko najświeższe ślady – odparł Bruno i wciągnął mocno powietrze nosem. W powietrzu unosiła się ledwie wyczuwalna nuta jaśminu. Perfumy architekta. To niemożliwe, żeby zapach wciąż się utrzymywał. Woń dochodziła od strony policjanta, z którym przed chwilą rozmawiał detektyw.

– Kowal, jakich ty perfum używasz? – spytał Bruno.

– Eee... Dziś to żadnych, szefie.



– A nie czujesz nic?

– Niewiele, przeziębiony jestem.

Bruno podszedł w stronę Kowalczyka.

– Krok do tyłu, Kowal. Możliwe, że depczesz dowód.

Mężczyzna wykonał polecenie, odklejając z trzaskiem podeszwę buta od podłogi.

– Co to takiego? – spytał Piotr zza pleców Bruna.

– Perfumy Wilskiego. Gdzieś tu powinien być flakonik... – powiedział detektyw i rozejrzał się po pokoju. – O! Tu jest. – Schylił się do nogi biurka i podniósł niewielką szklaną buteleczkę. – Tak myślałem, że to te.

– „To te”?

– A, oglądałem je z ciekawości w sklepie. Były cholernie drogie.

– Nie wydaje mi się, żeby to mogło dostarczyć jakichkolwiek informacji. To zwykła plama perfum.

– Zwykła, niezwykła. Nie wiemy, dowiedzmy się. Coś znalazłeś? Wydajesz się mocno sceptyczny.

Piotr wzruszył ramionami i powiedział:

– Wzięliśmy szklanekę do ekspertyzy. Wygląda, jakby była w niej tylko woda, ale skoro brakuje śladów, bierzemy, co możemy. Więc masz rację, jestem sceptyczny. Wątpię, czy ten pokój przyniesie jakieś odpowiedzi. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy, Bruno. Jakim cudem gabinet był zamknięty?

Bruno nie odpowiedział. Też się nad tym zastanawiał i wciąż nie znał odpowiedzi. Podrapał framugę okna i mruknął bardziej do siebie niż do towarzysza:

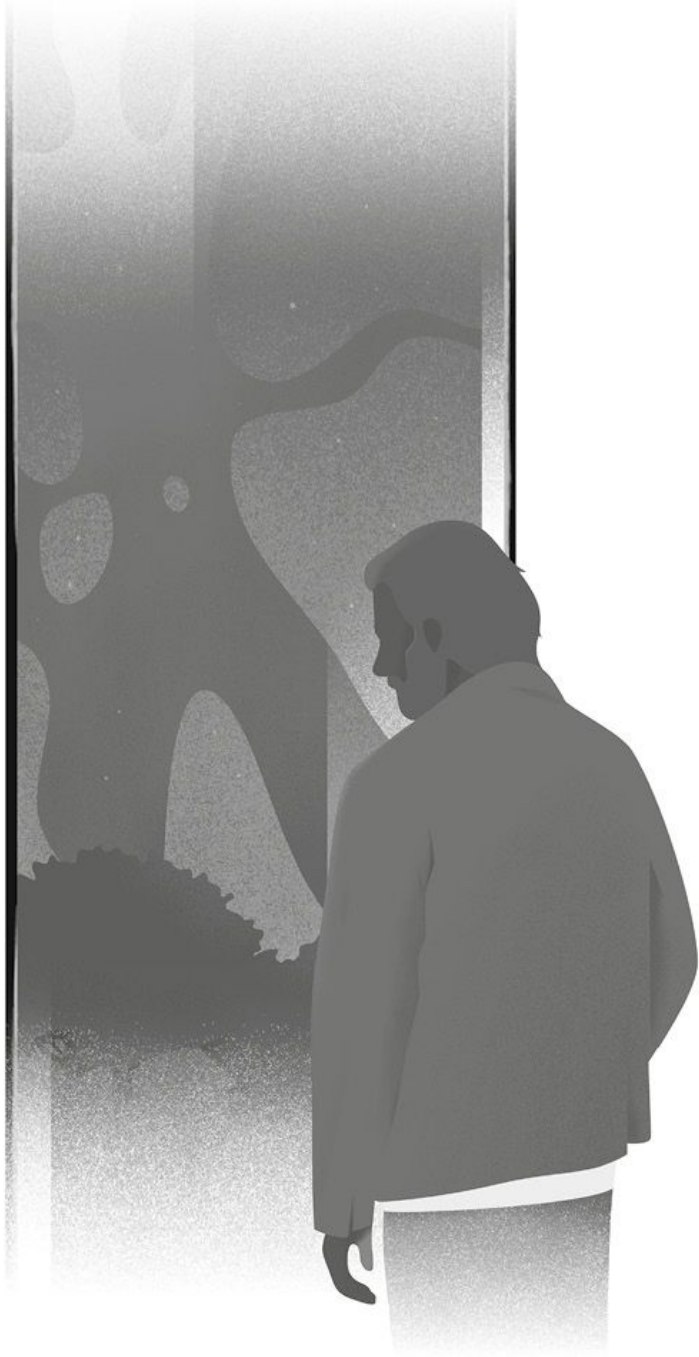
– Jak to możliwe, żeby w takim oknie nie zrobić barierki...?

Mężczyzna pociągnął za klamkę i okno otworzyło się bezgłośnie.

– Nie ma śladów montażu... Nie było jej od początku. Skrajnie nieodpowiedzialne.

Kosowski zasępił się, pokręcił głową i skierował do Piotra, dokonującego oględzin drugiego okna.

– Nic nadzwyczajnego, Bruno – powiedział jego partner. – Okno jest sprawne, poprawnie zamknięte, umyte na błysk. Chętnie zatrudniłbym u siebie ich pomoc domową. Lepiej chodźmy na dół. Czekają już zbyt długo.



### 3

**B**runo wziął głęboki oddech i zszedł do salonu. Nie lubił tych pierwszych przesłuchań rodziny, kiedy wszyscy są w rozsypce i czują się, jakby to ich życie dobiegło końca. Detektyw przybrał pozę przepełnionego smutkiem i współczuciem policjanta i dał się poprowadzić do zebranych przez wyraźnie spiętego lokaja.

Duży, dwukondygnacyjny salon otoczony był galerią. Jedna z jego ścian była całkowicie przeszklona i odsłaniała pięknie oświetlony ogród zimowy. We wnętrzu panowała surowa elegancja. Szare i białe płaszczyzny przeplatały się z antycznymi, bogato zdobionymi meblami, które musiały pochodzić z najlepiej zaopatrzonych antykwariatów. W centralnym punkcie pokoju zawieszono olbrzymi kryształowy żyrandol.

Bruno spojrzął po zebranych. Najwyraźniej mniej znaczący świadkowie zostali już przesłuchani, bo w pokoju przebywało tylko kilka osób. Przy fortepianie pod oknem siedział młody chłopak, który podpierał głowę jedną ręką, a drugą wystukiwał przypadkowe nuty na instrumencie. Dziewczyna w zbliżonym wieku siedziała skulona w fotelu i szeroko otwartymi oczami wyglądała na oranżerię. Nie zareagowała na przyjscie detektywa, nawet nie drgnęła. Sprawiała wrażenie, jakby była w szoku. To mogła być córka denata, chociaż w niczym go nie przypominała.

Za fotelem, opierając rękę o jego oparcie, stał wysoki, chudy mężczyzna w średnim wieku. Musiał ciężko się zamyślić, bo jego oczy zdawały się patrzeć w nicość. Na wiktoriańskiej połączanej kanapie siedziały jeszcze dwie kobiety. Bruno rozpoznał w jednej z nich żonę architekta. Druga, dużo starsza, trzymała ją za rękę. Była niezwykle podobna do zmarłego. Ta kobieta, zapewne matka, jako jedyna zwróciła uwagę na wchodzącego detektywa. Miała łzy w oczach, ale zachowywała spokój.

Każda z tych osób cierpiała na swój sposób. Każdą z nich łączyła inna relacja ze znalezionym na podjeździe mężczyzną. Młódzież straciła ojca, żona – męża, a matka – syna. Bruno cicho odchrząknął, zwracając na siebie uwagę obecnych. Chłopak przestał brzdąkać i zamknął bezgłośnie wieko fortepianu, mężczyzna za fotelem spojrzął z zainteresowaniem, nie odrywając ręki od oparcia, blondynka w średnim wieku zerknęła nerwowo na detektywa i wytarła pospiesznie nos, zaś starsza kobieta spoglądała na niego tak samo uważnie, jak wcześniej. Tylko dziewczyna w fotelu pozostała obojętna.

– Bardzo mi przykro z powodu państwa straty – zaczął Bruno. –

Niestety mam bardzo niewdzięczną pracę i chociaż najchętniej pozwoliłbym państwu przeżywać żałobę w samotności, to najzwyczajniej w świecie nie mogę... – Urwał, licząc, że ktoś zabierze głos, ale obecni tylko wpatrywali się w intruza w oczekiwaniu na jego dalsze słowa.

– Bruno Kosowski, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw – przedstawił się krótko, nim mu przerwano.

– Zabójstw? – odezwał się mężczyzna stojący za fotelem. – Powiedziano nam, że Tadek popełnił samobójstwo.

– Tak... Wyjaśniamy to. Na razie chciałbym porozmawiać osobiście z każdym z państwa. Jest to rutynowe działanie. Mógłby się pan przedstawić? Powiedziano mi, że w salonie zastanę samą rodzinę.

– Przepraszam, oczywiście. – Rozmówca się zestresował i wytarł z czoła pot zbierający się od jakiegoś czasu, po czym podał detektywowi rękę. Bruno uścisnął ją niezbyt chętnie. – Nazywam się Leszek Trocki, wspólnik Tadeusza Wilskiego.

– Ach... tak. Trocki/Wilski Architekci.

– Właściwie to Wilski/Trocki. – Mężczyzna trochę się zmieszał i spuścił wzrok. Niezręczna chwila na szczęście się nie przeciągnęła, ponieważ wtrąciła się żona architekta.

– Leszek jest dla nas jak rodzina, panie detektywie – powiedziała, pociągając nosem i wywołując tymi słowami nieznamy grymas na twarzy jej zastygłej w bezruchu córki.

– Rozumiem. Cóż, chciałbym jednak rozmowę zacząć od pani. Proszę się nie martwić, ja i mój partner, Piotr Borowiec – wskazał na

stojącego w kącie kolegę – zadamy tylko niezbędne pytania.

– Dobrze, jeśli tego pan sobie życzy. Przejdziemy do mojego gabinetu. Ten męża jest przestronniejszy i bardziej reprezentacyjny, ale... – tu głos jej się załamał – chyba nie możemy tam wchodzić.

– Obawiam się, że nie. Wciąż pracują tam nasi technicy.

Elżbieta Wilska skinęła głową.

– Proszę za mną.

Kobieta wstała chwiejnie i na ułamek sekundy straciła równowagę. Leszek Trocki szybko podał jej dłoń, ale żona architekta go zignorowała, co wprowadziło mężczyznę w zakłopotanie. Wilska uspokoiła się, wyprostowała, unosząc dumnie głowę, i wygładziła spódnicę. Odgarnęła z oczu niesforny lok i gestem zaprosiła detektywów, by podążyli za nią.

Dom był opustoszały, ale porozstawiane w kątach szklaneczki, miseczki i talerzyki – wszystko na malutkie przekąski – świadczyły o dużej liczbie przebywających tu do niedawna gości. Bruno miał tylko nadzieję, że nie odesłano jeszcze hostessy, której zeznania mogły znacząco wpłynąć na sytuację kroczącej przed nim kobiety. Wilska szła jak prawdziwa dama, stukając obcasami na szarych płytach posadzki. Jej gabinet znajdował się w odległej części domu, jakby ktoś zepchnął go tam, wstydząc się tego, co w sobie krył. Bruno szybko zrozumiał, że w istocie mogło tak być. Najwidoczniej Tadeusz Wilski pozwolił urządzić to jedno pomieszczenie żonie. I bynajmniej nie było ono kiczowate, wręcz przeciwnie – wewnątrz okazało się ciepłe, pełne drewna i kolorowych dodatków. Wszystko sprawiało zaskakująco spójne i przyjemne w odbiorze wrażenie.

Bruno i Piotr usiedli na butelkowiezielonej welurowej kanapie, a kobieta zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko, wcześniej włączając żółte diodowe lampki rozwieszane między zdjęciami dzieci na ścianie.

– Proszę się przedstawić. – Piotr uśmiechnął się zachęcająco.

– Elżbieta Wilska. Jestem... To znaczy byłam... Tadeusz Wilski to mój mąż. Mam pięćdziesiąt lat i... jestem kurą domową.

– Czy młodzi ludzie w salonie to pani dzieci?

– Tak. Filip i Karolina.

Gdy Piotr pochylił się nad notatkami, Bruno przeszedł do rzeczy.

– To będzie trudne pytanie, ale czy coś wskazywało na zły stan psychiczny pani męża? Wydarzyło się może jakieś nieszczęście, które mogłoby go skłonić do tak desperackiego kroku? – spytał.

Elżbieta odpowiedziała bez chwili wahania:

– Nie! Życie mojego męża było pasmem sukcesów, od kiedy pamiętam. Zresztą myślę, że znajomość ze mną te sukcesy zapoczątkowała. – Przerwała, by wydmuchać nos. Bruno uśmiechnął się, udając pełne zrozumienie, zaś Piotr pokiwał głową z wyczuciem. – Och. Źle mnie panowie zrozumieliście – powiedziała Elżbieta, machnąwszy ręką. – Chciałabym wierzyć, że był szczęśliwy dzięki mnie i że to ja inspirowałam mojego męża. Naprawdę. Ale rzeczywistość jest taka, że sama pochodzę z rodziny architektów. Mój ojciec, Leon Wierzbicki, odpowiadał za projekty kilku znaczących budynków w Warszawie. To w jego pracowni wybił się Tadeusz. Nie było łatwo przekonać ojca, żeby przyjął Tadeusza do pracy. Trzeba było małżeństwa, bo zięciowi już by przecież nie odmówił. – Elżbieta uśmiechnęła się lekko przez łzy, wspominając młode lata. Szybko się jednak otrząsnęła.

– Ale Tadeusz mnie kochał. Na pewno. Na swój sposób. Byłam dla niego najważniejsza.

Bruno zawahał się przez chwilę, ale postanowił nie zrzucić jeszcze bomby z informacją o niewykluczonej niewierności jej męża. Nawet gdyby rzeczywiście miała coś wspólnego z jego śmiercią, moment nie wydawał się odpowiedni.

– Czy pani mąż miał wrogów? Ktoś mu źle życzył? – spytał.

Elżbieta podniosła przełęczony wzrok na detektywa.

– Więc jednak? To nie było samobójstwo?

– Za wcześnie, by wykluczyć jakiekolwiek opcje. Bierzemy pod uwagę wszystko. Czy odpowie pani na moje pytanie?

– Chciałabym panom pomóc, jeśli faktycznie ktoś skrzywdził mojego Tadeusza. Ale obawiam się, że nie potrafię. Nie wiem o nikim konkretnym, z kim Tadeusz mógłby mieć zatarg. Podejrzewam jednak, że jego pozycja zawodowa mogłaby być przyczyną konfliktów.

– Ma pani jakieś konkretne konflikty na myśli?

– Nie – odparła pospiesznie. – Tak tylko myślę.

– Zauważyłem, że ma pani problemy z ręką. To świeża sprawa? – spytał Bruno i wskazał na dłoń kobiety, która podrygiwała od czasu

do czasu w nerwowym tiku. Wilska machnęła nią.

– To przez błędy popełnione dawno temu. Faktycznie, nie jest w pełni sprawna. Byłam jeszcze dzieckiem, kochałam grę na fortepianie... – powiedziała. – Rodzice chcieli, żebym została pianistką, dostrzegli we mnie talent. – Uśmiechnęła się. – Ale jeden kundel zakończył szybko sprawę. Ugryzł mnie, trafił na nerw...

– Przykro mi.

– Dawne dzieje. Pogodziłam się z tym.

– Pani syn chyba też ma do tego smykałkę? – spytał Piotr.

– Filip czasem gra, ale bez większego zapału. Gdyby chciał, mógłby być w tym bardzo dobry. Mam bardzo zdolnego syna.

– Nie zachęcała go pani do grania?

– Nie. Nie chciałam go zmuszać. No i Tadeusz... Nie mówił o tym nigdy, ale sądzę, że chciał kiedyś wciągnąć syna w biznes i prowadzić pracownię razem z nim. Żeby wszystko zostało w rodzinie.

– Wspólnik pani męża podzielał te przypuszczenia?

– Leszek? – Wilska uniosła brwi. – Leszek jest nam niezwykle bliski i znam go na tyle dobrze, by wierzyć, że takie rozważania nie przeszłyby mu przez myśl. Jest naiwny. Nawet rozstanie z żoną tego nie zmieniło. Widzi pan, architekci dużo czasu spędzają w biurze... Czasem zapominają o swoich żonach, a te szukają pocieszenia. Tak było i w tym przypadku.

Bruno spojrzał przenikliwie, nie mówiąc słowa, a Elżbieta szybko zrozumiała, co powiedziała.

– Oczywiście nie zawsze tak jest. Ja nie potrzebowałam innego mężczyzny niż Tadeusz – dodała.

– Proszę opowiedzieć o dzisiejszym wieczorze. Wszystko, co pani pamięta – zmienił temat Piotr.

– Te przyjęcia wyprawiamy kilka razy w roku – odparła. – Zawsze staraliśmy się z Tadeuszem, by wypadały one wyjątkowo elegancko. Tak było i tym razem. Przyszło wiele osób z branży, klienci również. Nie znałam wszystkich, rozpoznałabym może kilka twarzy. Tadeusz nie brał nigdy udziału w organizacji tych bankietów, ale nie przygotowuję wszystkiego sama. Ręka mi nie pozwala. I chęci także – nie będę ukrywać. Zamawiamy catering zawsze z tej samej sprawdzonej firmy. Obsługę, barmana, oświetlenie, muzykę

zapewnia firma eventowa – również ta sama od lat. Od rana nieznamomi kręcą się po domu. Niektórych już kojarzę, ale to wciąż obcy ludzie. Ja odpowiadam za koordynację. Jak zwykle, tak i dzisiaj, Tadeusz był do wieczora w pracy. Przyjechał niedługo przed rozpoczęciem bankietu i pobiegł na górę się przebrać. Zawsze sam wybierał sobie ubranie, nigdy nie pozwalał mi w to ingerować ani nawet dotykać jego garderoby. Proszę sobie wyobrazić, że raz zrobił mi awanturę, gdy odniosłam jego garnitur do pralni! Przecież sprawdziłam kieszenie, to nie tak, że oddałam go z jakimiś ważnymi kwitami w środku. Wracając do bankietu... Przebiegał tak jak zawsze. Proszę mi wierzyć. Wszyscy bawili się świetnie, jedzenie było smaczne, muzyka nastrojowa. Czasami musiałam tylko przypilnować dzieci, żeby były obecne. Tadeusz tego wymagał. Chciał sprawiać dobre wrażenie na inwestorach, by postrzegali go jako człowieka rodzinnego. Sam jednak często opuszczał gości przed końcem imprezy. Nie żegnał się nigdy, wymykał się po cichu. Ja natomiast pilnowałam wszystkiego do wyjścia ostatniego gościa. Dziś jednak czułam się trochę słabo i przed zakończeniem bankietu wzięłam dawkę leków nasennych. Zawsze działają na mnie z opóźnieniem.

– W jaki sposób znalazła pani męża? – spytał Bruno.

– Chciałam się tylko przewietrzyć, miałam za sobą pracowity dzień – odparła. – Zapowiadano, że noc będzie zimna, dlatego nie otwieraliśmy wyjścia na taras w oranżerii, jak robimy to podczas letnich bankietów. Wyszłam głównymi drzwiami i okrężną drogą udałam się do ogrodu. Przy podjeździe przed garażem zobaczyłam jakiś ciemny kształt na ziemi... – Elżbiecie załamał się głos. – Nie od razu dotarło do mnie, że to człowiek. Najpierw myślałam, że to jakiś sprzęt firmy eventowej, potem, że to zwierzę, może pies. Przestraszyłam się. Wzrok już mam nie ten, co dawniej. Ale gdy podeszłam... – przerwała, by wydmuchać nos – okazało się, że to jednak człowiek, co więcej, mój własny mąż...

Piotr pospiesznie podał chusteczki szlochającej teraz kobiecie, kiedy zobaczył, jak ta dotychczas przez nią używana rozpada jej się w dłoni. Rozmazany tusz zniknął już spod jej oczu pod naporem łez.

– Nie ruszał się – mówiła Elżbieta, nerwowo gestykując i próbując ukryć pojawiający się coraz częściej tik. – Podniosłam



jego głowę, prosiłam, żeby otworzył oczy, żeby powiedział cokolwiek. Gdy spojrzałam na swoje dłonie, zobaczyłam, że są całe we krwi... Krzyczałam, to pamiętam. Pamiętam też, że przybiegła jedna z hostess. Chyba miała przerwę na papierosa, chociaż wyraźnie zaznaczyliśmy, że nie życzymy sobie, by obsługa paliła. Kazałam jej zawiadomić lokaja, policję, pogotowie, kogokolwiek. Pobiegła. A ja zostałam. Zostałam...

– Czy do przyjazdu policji ktoś zbliżał się do ciebie... To znaczy do pani męża?

– Nie.

– Dobrze, na dzisiaj to już będzie wszystko. Dziękujemy pani za tę rozmowę, była pani bardzo dzielna – powiedział Piotr. – Pozostaniemy w kontakcie. Zapewne pojawi się jeszcze wiele pytań. Czy mogłaby pani poprosić tu syna?

Kobieta skinęła głową i pospiesznie wyszła. Gdy zamknęły się za nią drzwi i mężczyźni usłyszeli oddalające się stukanie obcasów, Bruno westchnął głośno.

– Zauważyłeś zmianę w tonie jej wypowiedzi? Jeszcze na początku? Tadeusz szybko przetransformował się w „jej Tadka”, jak tylko wspomnieliśmy o podejrzeniu morderstwa – powiedział Piotr.

– Tak... Babka nie jest głupia. Mimo rozpaczliwej zreflektowała się i postępowała w sposób asekuracyjny. Ponadto szybko zasugerowała, że mogą być inni podejrzani. Nie sądzę, żeby była tak oddana mężowi, jak utrzymuje. Wiesz, kiedyś brałem udział w podobnym przesłuchaniu...

– Tak? Kiedy?

– To były początki mojej pracy w wydziale. Przesłuchiwana była zdruzgotana, jakby wraz ze śmiercią męża również jej życie dobiegło końca. Ale wciąż była bystra, cholernie bystra.

– Jaki był finał sprawy? – spytał Piotr.

– Umarła rok temu. W celi. Ciekawe jest jednak to, że nie kłamała jakoś dużo. Naprawdę kochała swojego męża i naprawdę jej życie nie miało dla niej sensu po jego śmierci. Był dla niej całym światem, rolę żony traktowała niemalże jak swój zawód. Ale skurczybyk ją zdradzał, chciał nawet odejść do innej. Sam widzisz, kusił los. Kobieta, która poświęciła całe swoje życie, by odgrywać rolę żony idealnej, zrezygnowała ze swojej tożsamości, nagle zostaje

niewdzięcznie porzucona dla innej. Czasem nawet współczuję oprawcom, których spotykam.

– Czyli jaki z tego morał? Uważasz, że powinniśmy się bliżej przyjrzeć tej Wilskiej? – spytał Piotr.

Bruno się zamyślił i spojrzał na rozwieszzone na ścianie zdjęcia dzieci.

– Istnieją trzy sytuacje, gdy potrzebni są świadkowie – powiedział.  
– Przepięstwa, wypadki i małżeństwa. Poczekajmy i obserwujmy jej zachowanie. Może sama się zdradzi.



## 4

**W** tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Syn Wilskiego wszedł, dopiero gdy zaproszono go do środka. Niewysoki chłopak był na pierwszy rzut oka typowym przedstawicielem zadufanej i pewnej siebie grupy bogatych dzieciaków z bogatych domów. Wyróżniał się przede wszystkim gęstą, niezbyt długą brodą, której pozazdrościć mogłoby mu wielu starszych mężczyzn. Tak jak obaj detektywi w tej chwili. Bruno szybko zmierzył go wzrokiem i chociaż tego nie chciał – momentalnie się uprzedził. Kojarzył ten typ: król imprez stylizowanych na lata dziewięćdziesiąte, wszystkie wychudzone laski z pozornie nieuczesanymi włosami – jego.

– Mama strasznie płacze – powiedział na wstępie chłopak. – Wykrzykuje coś o morderstwie. Jest w kompletnej rozsypce.

– Nie wątpimy – odparł Bruno i spojrzał porozumiewawczo na partnera.

– Oczywiście. Teraz usiądź i się przedstaw – powiedział Piotr.

Chłopak z impetem opadł na fotel, rozrzucając nogi na boki.

– Nazywam się Filip Wilski. Studiuję architekturę na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

– Jesteś synem zmarłego?

– Tak. Tadeusz Wilski był moim ojcem.

– Ta rozmowa jest na pewno dla ciebie bardzo trudna...

Chłopak odpowiedział dopiero po chwili, próbując ukryć łamiący się głos.

– Straciłem tatę. Co mam panom powiedzieć?

– Chcemy tylko zrozumieć, co tu zaszło – odparł Piotr. – Czy może podczas przyjęcia widziałeś coś podejrzanego? Coś zwróciło twoją uwagę?

– Nie – odparł szybko młody Wilski jak jego matka wcześniej. – Każde przyjęcie wygląda w tym domu tak samo, czyli nudno.

Identycznie było i tym razem. Absolutnie nic się nie działo.

– Widziałem, że grasz na fortepianie – zagadnął Bruno.

– Tak. Niestety rodzice zawsze każą nam schodzić na te ich geriatryczne spędy, a granie to zawsze jakiś sposób na odseparowanie się od ludzi, których nie znam.

– Albo na zwrócenie na siebie uwagi.

– Ci ludzie nie zwracają uwagi na nic.

– Założę się, że na własnych imprezach nie zabawiasz gości muzyką klasyczną? – spytał Bruno.

– Mama mówiła o moich imprezach?

– Zgadywałem – odparł Bruno, opierając się pokusie zmierzenia chłopaka wzrokiem od góry do dołu.

– No tak. – Filip uśmiechnął się kwaśno. – Lubię poimprezować. Mama nie ma nic przeciwko wyprawianiu „prywatki”, jak to mówi babcia, zresztą przez to wszyscy znajomi tak nazywają imprezy u mnie. Ale gości zapraszałem tylko wtedy, gdy ojciec wyjeżdżał. Znacie ten typ? Zapomniał wół, jak cielęciem był. To też słowa babci. Wściekał się, gdy dowiadywał się o jakiejś imprezie w tym domu.

– Zdarzyło mu się przyłapać cię na gorącym uczynku?

– Parę razy – powiedział Filip, patrząc wyzywająco detektywowi w oczy. – Ostatnio tydzień temu. Wrócił dzień wcześniej z wyjazdu na Maderę. Podobno służbowego.

– Podobno? Nie wierzysz, że był tam służbowo?

Chłopak nadal nie spuszczał wzroku z oczu Bruna, ale nim odpowiedział, minęła chwila.

– Wierzę. To był wyjazd służbowy – odparł.

Bruno zamyślił się na chwilę. Piotr postanowił zmienić temat.

– Wspomniałeś kilka razy o babci. Jaki masz z nią kontakt?

Filip wyraźnie się rozluźnił, uśmiechnął półgębkiem i powiedział:

– Babcia tu rządzi, prosta sprawa. Każdy liczy się z jej zdaniem. Nawet ojciec wiedział, że babcia ma zawsze rację. Dlatego rzadko z nią rozmawiał.

– Jak ojciec zareagował, gdy wrócił do domu w trakcie twojej imprezy? – wtrącił znowu Bruno, otrząsając się z zamyślenia.

– Nad wyraz dobrze, jak na niego. Może wypoczął na Maderze? – powiedział chłopak, unosząc lekko brew i nadal patrząc wyzywająco w kierunku Bruna.

– Co mogłoby popchnąć twojego tatę do samobójstwa? – spytał Piotr.

– Nic, mój ojciec był człowiekiem sukcesu. Zawsze dostawał to, co chciał – odparł Filip z dziwnym grymasem. – Uprzedzając też kolejne pytanie: na bank znalazłby się ktoś, kto mu źle życzył. Nie wiem, czy śmierci, ale katastrofy budowlanej pewnie już tak.

– Masz jakieś typy?

– Nie. Nie interesowały mnie sprawy ojca.

Bruno westchnął ciężko, widząc, że dużo z chłopaka nie wyciągną.

– Jak wyglądały relacje twoich rodziców? – spytał.

– O to najlepiej pytajcie mamy. Nikt nie wie tego lepiej od niej – odparł z przekąsem chłopak.

– Miałeś trudny dzień – delikatnie wtrącił Piotr, widząc, że Filip zamyka się coraz bardziej. – To zrozumiałe, że nie chcesz z nami rozmawiać. Twoje zeznania mogłyby nam jednak bardzo pomóc. Gdybyś zdecydował się na dłuższą pogawędkę, zadzwoń bezpośrednio do jednego z nas. – Piotr wyciągnął dwie wizytówki i wręczył chłopakowi. Filip schował kartoniki do kieszeni, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

– Dziękujemy ci. Poproś tu siostrę – powiedział Piotr i tym samym zakończył rozmowę. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Bruno powiedział:

– Nie rozumiem. Jeśli ojciec chciał go wciągnąć do interesu, dlaczego chłopak mówi o nim z taką niechęcią? Wydaje się, że powinni mieć dobre układy...

Karolina Wilska nie zapukała do drzwi. Nie weszła z impetem, ale też nieszczególnie cicho. Usiadła naprzeciwko detektywów, nie czekając na zaproszenie.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Dobry wieczór – odpowiedzieli jednocześnie.

– Nazywam się Karolina Wilska, za miesiąc skończę dwadzieścia siedem lat, studiuję psychologię na UKSW. Miałam małe opóźnienie. Nie bardzo wiem, jak mogłabym panom pomóc – powiedziała dziewczyna. Miała platynowe włosy i ładną, pozbawioną wyrazu twarz. Z błękitnymi oczami, bladą cerą i pomalowanymi na blady róż ustami wyglądała jak królewna.

– Jakie życie prowadził twój tata? Był lubiany? – spytał Piotr.

– Nie mam pojęcia, czy był lubiany. Sama chciałabym to wiedzieć, ale nie widywałam go w pracy. A gdy już pojawiał się w domu, to rzadko o niej opowiadał. Większość czasu spędzał w biurze albo na wyjazdach służbowych. Mogę tylko podejrzewać, że były osoby, które za nim nie przepadały. Mało kto lubi ludzi sukcesu. A do tego tata był... specyficzny.

– Specyficzny?

– Był dość surowy i dokładny. Bardzo oddany swojej pracy.

– Rozumiem – powiedział Piotr, patrząc w notatki. – Może powiedz, jak z twojego punktu widzenia wyglądał dzisiejszy wieczór.

– Rodzice wydają te przyjęcia co jakiś czas. Zapraszają dużo osób, których sami nie znają. Mama robi to dla rozrywki, tata z kolei po to, by nawiązywać nowe kontakty biznesowe. Sądzę, że wielu gości podchodzi do tych zlotów na tej samej zasadzie, co on. Łatwo się chyba domyślić, że te imprezy nie są dla mnie zbyt atrakcyjne.

– Dla twojego brata również? – spytał Bruno, a wzrok dziewczyny nieco się wyostriżył. Czyżby dostrzegł w nim delikatne poirytowanie?

– Filip nie przepada za imprezami, na których nie jest w centrum uwagi – odparła. – Ale mógłby na nich zyskać, gdyby tylko chciał.

– Co masz na myśli?

– Mój brat ma być architektem. Niewątpliwie ojciec chciał go wciągnąć do firmy, ale zdobycie znajomości pomogłoby Filipowi tego uniknąć.

– Uważasz, że nie powinien był pracować w firmie ojca?

– Nie. Uważam tylko, że łatwiej byłoby mu gdzie indziej.

Bruno zanotował kilka słów w notesie, po czym zmienił temat:

– Czy dziś wydarzyło się coś szczególnego?

– Nie. Przykro mi, ale chyba nie jestem w stanie panom pomóc w tej kwestii – powiedziała Karolina. Wzrokiem ponownie pozbawionym emocji wpatrywała się teraz w Bruna. – Większość czasu faktycznie spędziłam wśród gości, ale były momenty, gdy wymykałam się, żeby odpocząć w swoim pokoju. Nie lubię hałasu i tłumu.

– Dużą część wieczoru spędziłaś sama? Ktoś z tobą był? – dopytywał Bruno.

– Pyta pan o to, czy mam jakichś świadków? – spytała, unosząc lekko brwi. – Mama raz przyszła, żeby mnie ściągnąć na dół.

Widziała, że rysowałam. To nowa praca, nie widziała jej wcześniej, poświęciłam jej trochę czasu. Nie wiem jednak, czy to wystarczający dowód.

– Nieszczęśliwy – powiedział Piotrek. – Ale chcielibyśmy zobaczyć ten rysunek.

– Teraz?

– Tak, mogłabyś go przynieść? I przy okazji poprosić tu swoją babcię?

– Babcia poczuła się słabo i jest pod opieką jednego z waszych techników. Chyba tego, który oglądał wcześniej tatę. Na pewno dziś już z panami nie porozmawia. Nawet bym jej na to nie pozwoliła – powiedziała, a detektywi unieśli brwi. Widząc ich miny, Karolina kontynuowała: – Babcia to silna kobieta, ale utrata jedyne syna jest bolesna nawet dla najsilniejszych. Jeszcze biorąc pod uwagę jej wiek... Sami panowie rozumieją. Przecież ona nie mogłaby zrobić nic tacie, a jeśli coś widziała, proszę mi wierzyć, jutro będzie o tym pamiętała. Babcia ma dobrą pamięć i na pewno zechce pomóc. Poproszę Leszka, jeśli jest niezbędny, i przyniosę rysunek. Czy mogę już pójść? – spytała beznamiętnie. Bruno skinął głową, a dziewczyna wyszła.



## 5

Leszek Trocki był wysokim, niewysportowanym, wręcz chudym mężczyzną. Bruno założył, że może mieć pięćdziesiątkę, ale w rozmowie wyszło, że postarzył go o cztery lata. Zmyliły go siwe włosy i twarz poprzecinana zmarszczkami. Mężczyzna miał sympatyczny, nieco speszony uśmiech, który sprawiał, że każdy, kto dopiero go poznał, obchodził się z nim jak z jajkiem.

– Więc jest pan współnikiem w firmie Trocki/Wilski Architekci? – spytał Bruno.

– Wilski/Trocki – poprawił go uprzejmie mężczyzna po raz kolejny tego wieczoru.

– Ta kolejność z czegoś wynika?

– Tadek był takim niepisanym numerem jeden.

– Chyba właśnie pisanym. – Bruno się uśmiechnął. – Samozwańczym także?

– Nie wiem, jak mam panu odpowiedzieć na to prowokacyjne pytanie, panie Kosowski. Weszliśmy z Tadekiem w spółkę dawno temu. Kolejność nigdy nie miała dla nas znaczenia. Tak się utarło.

– Wydaje mi się, że gdy kolejność nie jest istotna, to decyduje o niej alfabet – powiedział zaczepnie Bruno. – Czy mógłby pan nam coś powiedzieć o Tadeuszu Wilskim? Jakim był człowiekiem? Czy ktoś z obecnych na przyjęciu szczególnie go nie lubił?

– Tadeusz był miejskim architektem stolicy i przez długi czas pełnił funkcję prezesa SARP-u. Naturalne, że wiele osób nie pałało do niego miłością.

– SARP-u? – spytał Bruno.

– Stowarzyszenia Architektów Polskich – odparł z wyrzutem Trocki. – Odnośnie do pytania, czy ktoś z obecnych źle mu życzył, ciężko mi powiedzieć. Uczestniczę w niemal każdym bankiecie u Wilskich. Traktuję to jako obowiązek służbowy. Wielu gości to

klienci, więc staram się utrzymywać z nimi dobre stosunki, ale duża część to osoby, których nie znam nawet z widzenia: urzędnicy, sprzedawcy i biznesmeni.

– Czy Wilski zwierzał się panu z jakichś problemów?

– Nie, Tadek nie mówił mi o żadnych większych kłopotach.

– Nie mówił z zasady czy ostatnio?

– Myślę, że znałem Tadka bardzo dobrze. Gdyby coś się działo, tobym o tym wiedział. Mój wspólnik informował mnie o wszystkim.

– Skąd ta pewność? – spytał odrobinę kpiąco Bruno.

Architekt spieszył się jeszcze bardziej i już się nie odezwał.

– Panie Trocki – powiedział pojednawczo Piotr – jesteśmy wdzięczni, że zechciał pan z nami dziś porozmawiać. Czy z punktu widzenia osoby postronnej, jak rozumiem, często przebywającej w tym domu, zauważył pan jakieś konflikty między członkami rodziny Wilskich?

Trocki odchrząknął.

– Konflikty? Nie wiem... Chyba nie. Dzieci się lubią, owszem, czasem się kłóca, ale nie znam szczegółów. To chyba normalne wśród rodzeństw. Rodzina nie jest ze sobą bardzo zżyta. Wiem natomiast, że wszyscy szanują w tym domu mamę Tadka. Ośmielę się nawet zaryzykować stwierdzenie, że dzieci to nawet ją kochają. Wydaje mi się, że może Elżbieta nie pała miłością do starszej pani, ale mowa w końcu o jej teściowej. Wiem jednak, że darzy ją również głębokim szacunkiem. Co jeszcze... No i Ela na pewno była też oddaną żoną.

– Cud-kobieta, prawda, panie Leszku? – Bruno się uśmiechnął, a jego rozmówca delikatnie się zarumienił. – A czy jej mąż odwzajemniał to oddanie?

Leszek trochę się zasępił i spojrzał na swoje dłonie, po czym zaczął się nimi nerwowo bawić. Podniósł głowę, parę razy zamrugał.

– W porządku – powiedział. – Prawda jest taka, że Tadek lubił kobiety. Zawsze jednak wracał do Eli.

– Czy ona o tym wie?

– Nie mam pojęcia – odparł na wydechu. – Elżbieta nigdy nie widziała poza mężem świata. Nie zwracała uwagi na nikogo innego. W jego obecności promieniała. Ale nie mam pojęcia, czy dzięki temu

lepiej dostrzegała jego występki, bo analizowała każdy jego ruch, czy raczej go idealizowała. Stawiałbym mimo wszystko na to drugie.

– Jest pan jej przyjacielem, nie powiedział jej pan? – spytał Bruno.

– To nie leży w mojej naturze.

– Ale wydawałoby się, że być może w interesie już tak.

– Co pan insynuuje? – oburzył się Leszek.

– Czy ma pan rodzinę? Żonę?

Mężczyzna ponownie poczerwieniał.

– Wie pan! Doprawdy! Sądziłem, że mam panom pomóc w śledztwie!

– Ależ właśnie pan to robi. – Bruno uśmiechnął się słodko. – To jak to jest z tą pańską rodziną, panie Trocki?

Mężczyzna odezwał się po chwili, świdrując detektywa wzrokiem. Gdyby nie cherlawa postura przesłuchiwanego, Bruno już by się odsunął.

– Rozwiodłem się rok temu – przyznał architekt. – Chociaż moje małżeństwo w rzeczywistości rozpadło się dwa lata wcześniej. Wierzyłem, że da się to jeszcze uratować. Mam córkę w wieku Filipa.

W tym momencie do pokoju bez pukania weszła Karolina.

– Przyniosłam rysunek, o który panowie prosili. To tylko wiejski domek – powiedziała. – Chciałam go oprawić i powiesić w pokoju, jak już skończę.

Bruno wziął pracę do ręki. Rysunek wykonano cienkopisami i kawą. Przedstawiał tylko to, co opisała autorka – wiejski domek otoczony drzewami. Widać było, że dziewczyna ma talent plastyczny. Nic dziwnego, miała to przecież w genach.

– Podoba się panu? – spytał Bruno Trockiego.

– Och... Słucham...? – burknął zapytany, po czym znów się zarumienił.

– Obrazek. Czy podoba się panu obrazek? – sprecyzował detektyw.

– Tak. Bardzo ładny. Dobra kreska.

– Dziękuję – wtrąciła Karolina. – Kiedyś myślałam, żeby iść na architekturę. Pamiętasz, Leszku, te pomysły?

– Tak, coś kojarzę – mruknął.

– Pożyczmy tę pracę – powiedział Bruno. – Oddamy ją w swoim czasie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyszła.

– Panu już również dziękujemy. Dołączmy do reszty – zarządził Bruno.



W salonie zastali tylko Filipa i Karolinę, którzy siedzieli z dala od siebie w ponurym milczeniu. Elżbieta właśnie zbiegała ze schodów.

– Babcia już się położyła – tłumaczyła jeszcze z daleka. – Jest w złym stanie. Ten pan, patolog, zbadał ją, jak umiał, powiedział, że jutro będzie się już czuła lepiej i że nic jej nie grozi. Ale chyba w jego interesie jest, aby ludzie umierali, prawda? – Kobieta zaśmiała się histerycznie, po czym ponownie się rozplakała. Trocki objął ją ramieniem. – Jutro zabiorę ją do lekarza. Jeśli panowie sobie tego życzą, przywiozę potem na komisariat.

– Do komendy, będziemy wdzięczni. Adres ma pani na wizytówce, ale jeśli to dla pań zbyt daleko, to sami podjedziemy – powiedział Piotr. – Proszę zadzwonić jutro i dziś już się tym nie zajmować. My na dzisiaj dziękujemy za rozmowy. Zapewniamy, że dołożymy wszelkich starań, by wyjaśnić, co właściwie zaszło.

– Tak. Będziemy w kontakcie – dodał Bruno. – Chcielibyśmy jeszcze porozmawiać z hostessą. Czy wciąż jest obecna?

– Chyba jest w oranżerii, mignęła mi jej sylwetka w oknie. Wejście od ogrodu powinno być otwarte.

Bruno skinął głową i skierował się do wyjścia. Piotr zaproponował, że obejdzie raz jeszcze cały dom i sprawdzi, czy nic nie zostało pominięte. Pogoda pogorszyła się, od kiedy weszli do ciepłego domu. Bruno opatulił się szczelniej kurtką i skierował na tyły willi, gdzie spodziewał się znaleźć wejście do oranżerii. Minął podjazd przed garażem, z którego zabrano już ciało Tadeusza Wilskiego, i skręcił w prawo. Zatrzymał się przed dużą przeszkloną konstrukcją

ze stali, do której zapraszały uchylone drzwi. Bruno przestąpił próg, ale po chwili zaczął się otrzępywać z niewidocznej sieci. Najwyraźniej w przejściu coś wisiało. Słabe światło, które sączyło się z salonu, nie pozwoliło mu dostrzec przeszkody na czas. Między roślinami zobaczył jakąś postać, która drgnęła, usłyszawszy Kosowskiego. Bruno ruszył w stronę nieznajomej, a kiedy dzieliło go od niej tylko kilka kroków, ta przesunęła się ku oknu, przez co rozjaśniła się miękko jej wysoka sylwetka ubrana w minimalistyczną czarną sukienkę i niepasujący do niej hipisowski płaszcz z frędzlami i haftami. Twarz dziewczyny pozostawała w cieniu.

– Co za noc! – powiedział na powitanie Bruno, robiąc ostatnie kilka kroków. – Na pewno nieczęsto ma pani szansę być świadkiem takich wydarzeń podczas pracy.

Dziewczyna wyłoniła się z cienia, a Bruno poczuł ciarki na plecach. Nie wiedział czemu, może to wina przeciągu i szelestu liści. Otrząsnął się i przyjrzał hostessie. Nie był pewien, czy w ogóle go zrozumiała. Miała bowiem niecodzienną dla tej szerokości geograficznej urodę. Na pierwszy rzut oka wydawała się mieć korzenie indiańskie. Jej czarne włosy, wyraźnie zaczesane wcześniej w ciasny koczek, nie trzymały się na miejscu i tworzyły na głowie artystyczny, romantyczny nieład. Pod jednym z głęboko osadzonych ciemnych oczu widniała rozmazana smuga tuszu do rzęs. Tak, ten wieczór nie był dla dziewczyny łaskawy.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się... – Bruno zaczął bardzo wolno i wyraźnie, na wypadek, gdyby dziewczyna faktycznie nie znała języka. – Nazywam się Bruno Kosowski, jestem detektywem. Czy możemy porozmawiać?

Dziewczyna delikatnie się zarumieniła i zacisnęła usta, powstrzymując uśmiech.

– Dlatego wciąż tu jestem, panie detektywie. Kazano mi poczekać – odpowiedziała płynną polszczyzną.

– Proszę wybaczyć, zacząłem mówić jak do obcokrajowca. Ma pani bardzo zachodnią urodę.

– Nie pan pierwszy się pomylił. Również co do typu urody – mam korzenie wschodnie, nie zachodnie. – Uśmiechnęła się słabo. – Mój tata pochodził z Jakucka. Nazywam się Kalina Dmitrijew – dodała,

podając dłoń mężczyźnie. – Już mnie przepytowano. Nie bardzo wiem, co więcej mogłabym powiedzieć.

– Proszę się nie martwić, ta rozmowa nie potrwa długo. Puścilibyśmy panią wcześniej, ale miała pani pecha znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie... Chociaż być może dobrze się stało. – Zerknął na dziewczynę, ale widząc, że nie zamierza wchodzić mu w słowo, kontynuował: – Pani Kalino, czy może mi pani powiedzieć, dlaczego wybiegła pani na zewnątrz i co pani zobaczyła?

Dziewczyna westchnęła głęboko.

– Powtórzę to, co już mówiłam. Zazwyczaj nie pracuję jako hostessa. Tak naprawdę to był mój pierwszy raz. Studiuję i trafiła się okazja, by zarobić, więc ją wykorzystałam. Nie spodziewałam się, że ta robota jest taka męcząca. Nie posiadam daru chodzenia w szpilkach z uśmiechem na twarzy. Co jakiś czas robiłam sobie przerwy. Nie ukrywam, że częściej, niż powinnam. Wymykałam się, żeby zaczerpnąć trochę oddechu i usiąść. Okolica jest tu piękna... Piękniejsza niż ten dom. Jest strasznie zimny, zauważył pan? Surowy, srogi... – Dziewczyna nie patrzyła na detektywa. Wydawała się zamyślona. Odwróciła się i oparła o murek oddzielający od gąszczu roślin mały placzyk, na którym stali. Bruno skopiował jej ruch, niechcący trącając nogą coś, co przewróciło się z brzękiem. Oboje natychmiast się schylili. Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na rozlewający się na betonową kostkę czerwony płyn, a mężczyzna z irytacją, gdy odkrył, że ciecz zmoczyła mu nogawki. Podniósł szybko niemal pustą butelkę po winie, uspokajając jednocześnie przepraszącą go dziewczynę.

– Nikomu nie powiemy – powiedział i mrugnął do niej, choć wątpił, by to zauważyła w tym mroku. Odchrząknął i poprosił, by kontynuowała.

– Siedziałam w pobliżu głównego wejścia – podjęła słabo. – Gdy zobaczyłam Wilską wychodzącą z domu, ukryłam się w cieniu. Wiem, jak to brzmi. – Spojrzała na Bruna, próbując zapewne wyjść na pewną siebie. – Ale niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie migał się od pracy.

– Dobrze, że wokół nie ma kamieni. W ten sposób nie może mi pani nic udowodnić. – Kosowski się uśmiechnął. Kalina

odwzajemniła uśmiech i z konsternacją rozejrzała się po oranżerii, w której kamienie leżały pod każdym krzakiem. Bruno zrobił głupią minę i znów skierował rozmowę na właściwe tory.

– To trwało chwilę – powiedziała. – Zobaczyłam, jak Wilska wyszła, rozejrzała się... Możliwe, że szukała męża. W każdym razie kogoś szukała na pewno. Zniknęła mi z oczu i nie minęło pół minuty, kiedy usłyszałam krzyk.

Bruno wpatrywał się w dziewczynę. Zaciśnięte oczy, mokre od pojedynczych łez rzęsy, zmarszczki na czole... Nie kłamała. Odczuwała to wszystko. To była najprawdopodobniejsza osoba, z jaką dziś rozmawiał, a ilość wypitego przez nią alkoholu tylko to potwierdzała. Szkoda tylko, że zeznania pod wpływem nie będą wiele warte. Trzeba będzie tę rozmowę powtórzyć.

– Pobiełam do niej – mówiła przez zaciśnięte gardło Kalina. – Była w rozpacz. Nachylała się nad nim. A on... on... leżał. Nie żył chyba.

Zapadła cisza. Bruno wciąż przyglądał się dziewczynie, która pod zaciśniętymi powiekami nadal przechowywała obraz martwego Wilskiego. Stopniowo się uspokajała, zmarszczki na jej czole się wygładzały. W końcu otworzyła oczy.

– Wie pan, jaka jest w tym ironia losu? – spytała, patrząc na detektywa wyzywająco. – Wyglądał jak pieprzony modulator.

## 6

Wciąż było ciemno. Przeciętny pracujący człowiek jeszcze o tej porze spał, nie wiedząc, że złowrogi budzik odlicza ostatnią godzinę do pobudki. Piotr stał przy jedynym pozostałym na parkingu samochodzie i czekał na partnera, niecierpliwie zerkając na zegarek. Zdziwił się, gdy zobaczył Bruna prowadzącego pod rękę młodą dziewczynę, która szła lekko chwiejnym krokiem. Na nogach miała balerinki, zaś w dłoni trzymała szpilki.

– Słabiej się poczuła. Wypiła trochę za dużo – powiedział Bruno, podnosząc butelkę, którą przewrócił wcześniej w oranżerii. –

Wychodzi na to, że została jako ostatnia. Cały zespół już się rozjechał. Co robimy?

– Nie zostawimy jej przecież. Marzę w tej chwili tylko o swoim ciepłym łóżku, ale trudno.

Piotr przejął dziewczynę i pomógł jej się usadowić na tylnym siedzeniu, zapominając, że absolutnie nie powinien był jej przy tym łapać za głowę.

– Dawne przyzwyczajenia. Może zapomni – mruknął do partnera.

– Nie zapomnę. – Pasażerka uśmiechnęła się nieśmiało. – Kalina Dmitrijew.

– Piotr Borowiec. Proszę wybaczyć. Źle ocenilem pani stan. Bruno, ty prowadzisz – powiedział detektyw i odetchnął w duchu. Najwyraźniej obawy o tapicerkę nie miały uzasadnienia.

Dziewczyna podała adres. Zanim Bruno odpalił samochód, już spała.

Może jednak się nie pomyliłem, pomyślał z niepokojem Piotr.

Jechali przez długi czas w milczeniu. Trasę pokonali szybko – sygnalizacja o tej porze nie działała, a ruch był znikomy. Wciąż się nie przejaśniało, ale zimą nie było w tym nic dziwnego.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział Bruno. – Weź ją obudź.



– Chyba miała koszmar – odparł Piotr, przyglądając się długiemu białemu śladowi po łzie na policzku dziewczyny. – Musiało nią mocno wstrząsnąć. Rozumiem, że z zeznań nic nie będzie. Do powtórki?

– Obawiam się, że tak. Pod koniec rozmowy zaczęła już chyba bełkotać. Szkoda, akurat ona wydawała się szczerą. Jak wszyscy pod wpływem... Obudź ją.

Piotr odwrócił się do Kaliny i dotknął jej ramienia. Przez gruby płaszcz nic nie poczuła, więc trącił ją jeszcze raz.

– Proszę pani, jesteśmy na miejscu – powiedział.

Dziewczyna obudziła się nagle i zaczęła się nerwowo rozglądać.

– Wszystko w porządku. Jest pani pod naszą opieką. Jak samopoczucie? Odprowadzić panią do drzwi? – spytał.

Kalina pokręciła przecząco głową i zaczęła przeszukiwać torebkę. Bruno czekał i z niepokojem patrzył w lusterko, gdy jej poszukiwania się przeciągały.

– Cholera. Nie mam kluczy. Musiały zostać u Wilekich – powiedziała.

– Jak wyglądały te klucze? Może uda nam się je odzyskać przy najbliższej okazji – odparł Bruno.

– Dwa małe kluczyki, srebrne. Miały przytwierdzony breloczek, taki z oprawionym okrągłym kamieniem. Szafirem.

– Breloczek z szafirem? – zdziwił się Piotr.

– Tak jest. Więc na pewno panowie rozumieją, że chciałabym go odzyskać. Byłabym wdzięczna.

– Mieszka pani sama? Ktoś panią wpuści? – spytał Bruno.

– Nie... To znaczy mam współlokatorkę, ale wyjechała do rodziców. Pojawi się dopiero na wydziale, o dziesiątej mamy wykład. O ile na niego przyjdzie... – Kalina westchnęła. – Trudno, prześpię się na klatce. Nic mi nie będzie.

Zapadła cisza i Bruno poczuł na sobie ciężar wzroku partnera. Faktycznie, Piotr wpatrywał się w niego uparcie.

– Nawet o tym nie myśl – mruknął z niezadowoleniem Bruno.

– Wiesz, że ja nie mogę. Asia się wścieknie. Zostawimy tak panią? W tej okolicy? Czy raczej sugerujesz przytułek?

Bruno zamyślił się i zanim przemówił, spojrzął na przyjaciela ze zmęczeniem i westchnął.

– Piotr... Pani jest świadkiem... Jak ty to sobie wyobrażasz? – spytał, ignorując pytające spojrzenia dziewczyny w lusterku.

– A jak ty sobie wyobrażasz zostawiać młodą dziewczynę, w stanie upojenia...

– Bez przesady... – mruknęła Kalina lekko urażona.

– W stanie delikatnego upojenia alkoholowego – kontynuował Piotr z naciskiem na „delikatnego”. – I to na ulicy. To nie jest najsympatyczniejsza część miasta, sam dobrze wiesz. Ostatnią sprawę prowadziliśmy dwa kwartały dalej, a na co dzień mamy tu najwięcej interwencji. Zastanów się.

– Piotr... To nie jest dobry pomysł. – Bruno mocno się zasepił.

– Chcesz ją mieć na sumieniu? A jak ktoś jej coś zrobi?

– Ponosi cię. Dobra. Ale to nie może wyjść na jaw. Rozumiesz?

– Tu się zgadzamy – odparł Piotr z uśmiechem i odwrócił się do dziewczyny. – Jeśli i pani się zgadza, naturalnie. Bruno na pewno odstąpi pani łóżko.

Kalina spojrzała niepewnie na Bruna, jakby oczekiwała jego przyzwolenia. Ten prawie niedostrzegalnie kiwnął głową.

– Dziękuję – odparła cicho z wyraźną ulgą, a Bruno ponownie odpalił silnik.

W mieszkaniu wciąż panował mrok. Może gdyby okna nie wychodziły na północ, byłoby jaśniej. Prezenter pierwszej dzisiejszej prognozy pogody rozwiał jednak wątpliwości – ten dzień miał być ponury. Mieszkańcy kamienicy nie nacieszą się dziś światłem, niezależnie od tego, czy mają okna skierowane na północ, południe, zachód czy wschód. Bruno zasepił się i usiadł na kanapie przed telewizorem. Pierwsze, co zrobił po wejściu, to włączył telewizor, by zakłócić niezręczną ciszę. Dziewczyna przywitała się z Olafem. Pies powitał gościa na swój radosny sposób, przedstawiając przy okazji wszystkie buty w przedpokoju. Ciekawe, czy złodzieja też by tak witał? – zastanawiał się Bruno za każdym razem, widząc zachowanie swojego czworonoga.

– Mogę skorzystać z łazienki? – spytała Kalina nieśmiało.

Bruno szybko znalazł czysty ręcznik i zajął się oglądaniem pierwszego dziś wydania wiadomości. Chciał zająć czymś myśli i nie zasnąć. Wiedział, że powinien być gościnnie, a przy tym zachowywać wobec dziewczyny dystans. Już sam fakt, że u niego nocuje, był

z punktu widzenia śledztwa bardzo nieetyczny. Sytuacja wyglądała więc niezwykle niezręcznie.

Gdy prognoza pogody dobiegła końca, na ekranie pojawiła się twarz Roberta, kolegi Rozalii. Poznał tego ulizanego dupka, gdy towarzyszył kobiecie na balu dziennikarzy. Był to ich pierwszy wspólny bal. Potem Bruno pojawiał się na imprezie co roku, dopóki się nie rozstali. Znowu poczuł, jak ogarnia go żal. Wszystko poszło nie tak, pomyślał i zupełnie jakby telepatycznie ją przywołał, usłyszał jej głos. Twarz Rozalii otoczona złocistym wiankiem loków spoglądała na niego ze szklanego ekranu. Miała zimne, profesjonalne spojrzenie. Nagrała to wejście zapewne zaraz po ich rozmowie. Zdradzały ją iskierki w oczach, które pojawiały się za każdym razem, gdy coś nie poszło po jej myśli. Kiedyś uznawał to za urocze, że – jak sądził – nie potrafi ukryć swojej złości. Teraz już wiedział, że nigdy nie próbowała.

Mężczyzna podszedł do lodówki. Wina już nie było. Przejrzał wszystkie półki, spychając na bok kilka słoików z bigosem, które dostał od mamy. Widział się z nią tak dawno, że wolał nie ryzykować zatrucia pokarmowego, ale jednocześnie nie chciało mu się ich wyrzucać. Jak zwykle przeszukiwaniu lodówki towarzyszył dźwięk stukania pazurami o podłogę. Olaf już tu był i dreptał pod nogami swojego pana, niecierpliwie czekając na należny mu przydział. Bruno spojrzął z przekąsem na psa i sięgnął po saszetkę z karmą, dokonując przy tym radosnego odkrycia. Za psim jedzeniem stały dwie butelki bez etykiet, zawierające nalewkę domowej roboty. Bruno zdążył już o nich zapomnieć. Sąsiad przyniósł mu je kiedyś w podziękowaniu za pomoc przy wnoszeniu kanapy. Gdyby Bruno nie ukrył wtedy butelek za smakołykami dla psa, znieczuliłby trunkiem ból w plecach, który towarzyszył mu kolejnego dnia. Pociągnął łyk. Odkaszlnął.

– O cholera – mruknął.

Pociągnął kolejny. Usłyszał, że jego gość zakręcił już wodę pod prysznicem, więc dla przyzwoitości wziął kieliszek i wrócił z nim na kanapę. Myślenie o Rozalii i jej odejściu było dla niego istną torturą. Nigdy mu nie przejdzie, był tego pewien. Ona nigdy nie zniknie z jego życia. Może mieć i dziesięciu mężów, a i tak zawsze będzie jego. Wypił zawartość kieliszka, po czym nalał sobie kolejny.

Odzyska ją. Czy to sygnał SMS-a? W sumie wszystko mu jedno. Wszystko mu jedno. Patrzył w telewizor na wciąż niezadowoloną minę kobiety. Nawet cieszyło go, że nie wyszedł jej ten reportaż. Nie może mieć wszystkiego, podczas gdy on – jak sądził – nie miał nic. Jeszcze jeden kieliszek.

– Kiepski dzień? – spytał czyjś smutny głos. Nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. Na chwilę zapomniał, że ta dziewczyna tu jest. Co mu odbiło z tą gościnnością? – Mogę się przysiąc? – dodała.

– To trochę niezręczna sytuacja; nie bardzo powinniśmy gadać, jest pani świadkiem – odparł trochę zbyt oschle. Jej chwilowe wahanie tylko go w tym utwierdziło.

– Mogę nic nie mówić – powiedziała niepewnie. – Nawet nie mam ochoty.

Kalina. Bruno z trudem przypomniał sobie jej imię. Alkohol już chwycił. Dziewczyna poszła do kuchni i wróciła z kieliszkiem.

– Też miałam kiepski dzień – powiedziała, nalewając sobie do pełna nalewki od sąsiada.

Po pierwszym łyku rozkasła się, a Bruno się uśmiechnął. Dalej pili w milczeniu. Po każdym kieliszku wychylnym przez Bruna Kalina robiła to samo, jakby chciała dotrzymać mu kroku.

– Kim jest ta kobieta? – spytała, gdy wiadomości się skończyły.

– Dziennikarką – odparł.

Dziewczyna widziała, że jest przygnębiony. Umiała bez trudu zinterpretować cudze emocje, choć nieraz miała problemy ze zdefiniowaniem własnych. Rozalia Ojdana nie była tylko dziennikarką. W każdym razie nie dla niego. Kalina знаła jej twarz z serwisów informacyjnych, kobieta pojawiała się także w newsach na portalach plotkarskich. Nie żeby dziewczyna je czytała, ale zdarzało jej się rzucić okiem na tytuły. Wiedziała, że Rozalia jest topową dziennikarką, uznawaną za niemającą sobie równych. Każdego roku zdobywała wiele nagród, zwyciężając zarówno w plebiscytach przeprowadzanych wśród widzów, jak i tych branżowych. Do wizerunku jej idealnego życia dołączył niedawno mąż miliarder, Zygmunt Trakowski. Mężczyzna był producentem filmowym, mającym w dorobku kilka najlepszych polskich obrazów. Ale to był tylko jeden z jego biznesów. Z pewnością miliardów nie dorobił się na kinie. Podobno Trakowski inwestował jeszcze na

giełdzie, ale Kalina się na tym nie znała. W każdym razie mężczyzna był sporo starszy od swojej pięknej żony, więc miał dużo czasu na zgromadzenie fortuny, zanim się pobrali.

Zazwyczaj nikt nie wierzy w takie małżeństwa. Ludzie nie lubią miliardarów, za milionerami też nie przepadają. Nie szanują również kobiet, które wychodzą za mąż z miłości do pieniędzy. Rozalia mogłaby być uznana za jedną z nich. A jednak z nieznanых przyczyn, mimo nie najlepszej prasy i zjadliwych artykułów – wraz z mężem byli uznawani za piękną, idealnie dopasowaną parę. Rozalia zawsze wyglądała perfekcyjnie, była profesjonalistką i na tematy prywatne prawie się nie wypowiadała. Nie sprzedawała prywatnych zdjęć, nie robiła ustawek z paparazzi, nie miała wspólnej okładki z mężem. To prawdziwa dziennikarka, nie celebrytka. Tematy, które przekazywała, były tymi najważniejszymi, którymi Polska żyła przez wiele tygodni.

Gdy Kalina weszła do pokoju, reportaż Ojdany właśnie się kończył, ale zdążyła zobaczyć, skąd był nadawany. Poznała ten podjazd. Upiła kolejny łyk nalewki. Już wiedziała, co będzie jutro tematem numer jeden w każdym polskim domu.

Kosowski siedział obok i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran. Mogło to być spowodowane zarówno alkoholem i myślami o Ojdanie, jak i zachowywaniem dystansu do samej Kaliny – świadka w sprawie. Dziewczyna spojrzała na detektywa. Jego broda była w rzeczywistości ruda, a nie blond, jak jej się dotychczas wydawało. I trochę za długa – był to raczej efekt uboczny zaniedbania niż element przemyślanego wizerunku. Gdy przechylał butelkę, zaciskał swoje niewielkie, niebieskie oczy. Wyglądał, jakby starał się uparcie pamiętać o powodzie dzisiejszego pijaństwa, tak by wciąż miało dla niego sens.

Kalina rozejrzała się jeszcze po pokoju, który zdawał się już zbyt mocno kołysać. Wnętrze urządzone bardzo prosto. Stwierdzenie „urządzono” było w jej głowie zastosowane na wyrost, w rzeczywistości mieszkanie nie było bowiem odpowiednio zagospodarowane – a szkoda, bo miało potencjał. Wzrok dziewczyny przesuwiał się po wymagającym odświeżenia suficie, gołych ścianach z pojedynczymi półkami i dwoma pustymi gwoździemi, w końcu po ładnym przedwojennym parkiecie oraz

krętych drewnianych schodach prowadzących do najpewniej nieużywanego pomieszczenia na strychu. Na końcu dziewczyna zatrzymała wzrok na stoliku ustawionym przy kanapie, na którego blacie leżały okulary. Zerknęła na Kosowskiego. Nie zapisał jej się w głowie jako okularnik, ale faktycznie na jego nosie widniały charakterystyczne ślady. A sam nos detektywa był całkiem pokaźny. Tak, ten element twarzy rzucił się jej w oczy od razu, gdy go zobaczyła. Parsknęła śmiechem i momentalnie się zawstydziła. Od razu sięgnęła po kolejny kieliszek. Bruno spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Przypomniało mi się, co moja współlokatorka powiedziała ostatnio o swoim byłym – powiedziała.

Dziewczyna wciąż się śmiała, co wywołało uśmiech na twarzy Bruna. Pocieszna istota. Miała w sobie dużo młodzieńczej niewinności, której nie zdołały przysłonić zmęczenie i alkohol. Przypomniały mu się jego czasy studenckie i towarzysząca im beztroska. Jego jedynym zmartwieniem była wtedy sesja. Dziewczyna śmiała się bardzo dźwięcznie i całkowicie niekontrolowanie. Co ten alkohol robi z ludźmi? Bruno dawno nie widział osoby, którą bawiłyby aż tak bardzo jej własne myśli. Rozalia śmiała się rzadko – nisko, krótko i uwodzicielsko. Panowała nad swoim śmiechem. Często służył jej określonym celom. Przymilenie się szefowi, załatwienie sobie wywiadu z niechętnym rozmówcą – jej śmiech był wystudiowany i pozwalał jej dostać to, czego chciała. Ale Bruno wiedział, że przy nim śmiała się szczerze. Nawet jeśli to też kontrolowała.

– O co chodzi? – spytał zaintrygowany Kosowski, uśmiechając się do Kaliny. Miał nie nawiązywać z nią zbędnego kontaktu, ale nie wydawało mu się to już tak istotne. Jego żelazne zasady utopiły się w nalewce.

– Ta koleżanka... Ona stwierdziła, że jego nos był tak duży... – Dziewczyna przerwała, wciąż zanosząc się śmiechem, a Bruno czekał, coraz bardziej rozbawiony sytuacją. – Jego nos... był tak duży, że musiał... musiał go podnosić, kiedy jadł!

– I przypomniało się to pani teraz, ponieważ...? – spytał Bruno, wtórując jej śmiechem. Miał świadomość rozmiaru swojego nosa, a skurczybyk podobno z wiekiem jeszcze rośnie.

– Przepraszam! – krzyknęła Kalina, trzymając się jedną ręką za brzuch, który mógł pęknąć w każdej chwili. Drugą rękę położyła na ramieniu detektywa.

Dawno już nie czuł dotyku damskiej dłoni na swoim ramieniu. Przed oczami znów zawirowała mu Rozalia. Śmiał się dalej, ale tym razem było w jego śmiechu trochę smutku. Pociągnął łyk prosto z butelki, opróżniając ją do zera. Chwila, w której jego twarz znalazła się milimetry od twarzy Kaliny, trwała zbyt krótko, by mógł zinterpretować jej wyraz. Nie stawiała jednak oporu. Jej miękkie, smakujące wiśniową nalewką usta były jedynym, na czym próbował się skoncentrować, zanim odpłynął.





**K**oszula przylgnęła do jego ciała, a po czole spływała mu strużka potu. Stał przed jakimś domem. Nie widział go dokładnie, ale mógłby przysiąc, że taki jak ten jest w każdej polskiej wsi. Nie był to tradycyjny dom, raczej sześcian przykryty brązowym dwuspadowym dachem z kalenicą równoległą do drogi. Jego brudnoróżową elewację zdobiły namalowane romby i pasy w kolorach bieli i żółci. Letnie słońce odbijało się od chromowanej barierki na niewykończonym balkonie. Nie pasowała do całości, mimo że była równie tandetna. Przed domem na trawniku stały dwa krasnale i bocian.

Bruno spojrzął w kierunku otwierających się drzwi. Spróbował wyostrzyć wzrok, ale postać, która zmierzała ku niemu, była niewyraźna.

– Wody... – wychrypiał, czując, jak uginają się pod nim kolana. Jego wzrok mimowolnie przesunął się po zbliżającej się sylwetce. Wysoka dziewczyna w białej sukience przyspieszyła, gdy zobaczyła, w jakim stanie jest Bruno. Ostatkiem sił spojrzął jeszcze raz, zanim zamknął oczy. Znał tę twarz.

Uniósł powieki. Jego ciało zdawało się sparaliżowane, jakby mózg poświęcił się całkowicie rozmyślaniu, zapominając przy tym o funkcjach motorycznych. Bruno mógłby spać dłużej, ale nie pozwalał mu na to silny ból głowy. Patrzył w sufit i próbował sobie przypomnieć wydarzenia minionej nocy. Telefon, Piotrek, Podkowa, architekt... To pamiętał. Co dalej? Przesłuchania, Rozalia i ta dziewczyna. Tak! Kalina.

– O nie, nie, nie, nie... – Bruno spanikował, szybko podniósł się z kanapy i jeszcze szybciej runął na nią z powrotem, trzymając się za głowę i próbując utrzymać zawartość żołądka na swoim miejscu.

Nic dziwnego, że Kalina mu się śniła. Odczekał na kanapie kilka dodatkowych sekund i spróbował podnieść się jeszcze raz. Pierwszym miejscem, do którego zajrzał, była jego sypialnia, którą miał odstąpić Kalinie na tę jedną noc. Łóżko było idealnie zaścielone, a poduszki uporządkowane – niezbity dowód na to, że przebywał tu ktoś obcy. Bruno w panice złapał za pierwszą z brzegu poduszkę i strącił ją na podłogę, jakby bał się, że przemówi przeciw niemu. Następnie pobiegł do łazienki, na wszelki wypadek zapukał, a gdy nikt mu nie odpowiedział – otworzył. Na pralce leżał złożony w kostkę ręcznik, ale Kaliny nie było.

Cholera jasna, jeśli to się wyda... Co ja narobiłem? – pytał samego siebie.

Bruno opadł ciężko na kanapę i spojrzał z wściekłością na puste butelki obok łóżka (skąd się wzięła trzecia – tego nie wiedział), po czym cisnął jedną z nich o podłogę. Olaf, trzymający się dotąd blisko swojego pana, uciekł z podkulonym ogonem.

– Chodź tu, piesku! – zawołał Bruno. Gdy chodziło o Olafa, wyrzuty sumienia zawsze brały górę. Podeszedł do niego, pogłaskał go uspokajająco i zaczął zbierać odłamki szkła. Skaleczył się. Ten dzień nie zapowiadał się najlepiej. Nie pamiętał nic poza pocałunkiem. Jak daleko to zabrnęło?

Musi ją znaleźć. Mężczyzna zerknął na telefon: kilka nieodebranych i jeden SMS – wszystko od Piotrka.

„Zadzwoń, jak przeczytasz. Ważne”.

Czyżby już się wydało? Nie znał tej dziewczyny, nie wiedział, do czego jest zdolna. A co, jeśli złożyła na niego skargę? Nie tylko zostanie odsunięty od śledztwa, ale jak nic wyleci... Bruno już miał oddzwonić, kiedy zobaczył wiadomość od Rozalii w „przeczytanych”. Niemożliwe, że nawet tego nie pamiętał.

„Nie doprowadzasz spraw do końca. Jak zwykle” – napisała.

A w następnej:

„Nie wyobrażam sobie naszej dalszej współpracy, jeśli tego nie naprawisz”.

Bruno przełknął ślinę. Wizja ponownego ochłodzenia relacji z Rozalią wydawała mu się nieszczęściem nieporównywalnym do utraty pracy. Wolał być bezrobotny niż stracić tę kobietę ponownie – tym razem bezpowrotnie.

„Naprawię” – odpisał, a następnie wybrał numer Piotra.

– Bruno? – Piotr zawsze rozpoczynał w ten sposób, mimo że przecież nazwisko dzwoniącego pojawiało się na wyświetlaczu. Gdy dzwoniła jego żona, odbierał, mówiąc: „Asia?”. Gdy jego szef, pytał: „Szefie?”, a gdy teściowa – „Mamusia?”. Bruno zawsze się z tego śmiał, ale tym razem jego kolega wyraźnie nie miał radosnego głosu. Czy już wiedział, co zaszło?

– Piotr. Dzwoniłeś kilka razy, zasnęłam – odparł detektyw.

– Tak, słuchaj. Sytuacja się skomplikowała... – powiedział, a Bruno poczuł dreszcz na plecach, świat wokół zawirował. Czekał na dalsze słowa partnera.

– Mój ojciec miał udar. – Piotrowi załamał się głos. – Jest w szpitalu. Nie wiemy, czy... czy z tego wyjdzie. Muszę jechać do Gdańska. Mama jest sama przy nim. Chciałbym...

– W porządku – przerwał mu Bruno. – Powinieneś jechać. Nie przejmuj się, załatwię to z Generałem.

– Nie, ja do niego zadzwonię. Chciałbym cię tylko prosić, żebyś, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko, nikim mnie nie zastępował. Wiem, że prowadzenie śledztwa w pojedynkę może być trudne... Ale wiesz, bardzo chcę żyć nadzieją, że zaraz wrócę do pracy.

– Rozumiem – odparł Bruno, chociaż nie było mu to na rękę. Piotr był jednak jego najlepszym kumplem, od kiedy zaczął pracę w wydziale śledczym. Poznał kiedyś jego ojca, który był człowiekiem serdecznym, chociaż trochę hałaśliwym, bo nie dosłyszał. – Nie martw się, Piotrek. Szybko wrócisz do pracy, wytłumaczę to Generałowi.

Generał, a właściwie Zbyszek Mikołajuk, był ich przełożonym. Trzymał wydział krótko, nieustannie podnosił głos i wymyślał różne przezwiska na podwładnych, wiecznie się przy tym jękając. Niekiedy coś powiedział, zanim to przemyślał, ale pracownicy i tak go lubili. Wiedzieli, że ich szef to mimo wszystko olbrzym o gołęmbim sercu – w rozmowach oko w oko był najmilszym człowiekiem świata. W rzeczywistości zawsze kombinował, jak wyciągnąć najdelikatniejsze konsekwencje wobec winowajców, zachowując przy tym autorytet i poważanie wśród podwładnych. Dlatego każdy potulnie przyjmował ciskane na pokaz inwektywy, wiedząc, że właśnie uniknął zwolnienia. Ale wszystko miało swoje granice –

Bruno był tego świadom. Jeśli informacja o spoufaleniu się ze świadkiem dotrze do uszu Generała, zostanie co najmniej zawieszony w obowiązkach. W sprawie Piotra powinno pójść lepiej. Generał z pewnością przystanie na prośbę, by Kosowski mógł prowadzić śledztwo samodzielnie. Bruno nie był tylko przekonany, czy jemu samemu ta perspektywa się podoba.

Detektyw spojrzął na zegar na ścianie i z niezadowoleniem odnotował godzinę – stracił już wystarczająco dużo czasu. Pojedzie od razu na komendę – tak postanowił. Już miał wychodzić, gdy usłyszał za sobą zniecierpliwione pomrukiwanie. Olaf. Pies miał rację, należał mu się spacer. Bruno podszedł do szafki schowanej pod kurtkami, gdzie zazwyczaj trzymał smycz. Kiedy ją podniósł, coś spadło na podłogę. Na czarno-białych kafelkach leżała zielona plastikowa karta z zaokrąglonymi rogami – legitymacja studencka. Ze zdjęcia patrzyła na niego azjatycka twarz dziewczyny, która spędziła noc w jego mieszkaniu. Bruno schylił się i przeczytał: Politechnika Warszawska, Kalina Dmitrijew. Do tego numer albumu, PESEL i adres.

Mam cię, pomyślał Bruno. Z nadzieją wpisał w przeglądarkę na smartfonie numer indeksu i nazwisko, ale ku jego rozczarowaniu Google nic nie znalazł. Będzie musiał udać się na politechnikę.

Gmach Główny Politechniki Warszawskiej nie był mu obcy. Minęło osiem lat od pamiętnego bankietu policyjnego, który organizowano corocznie w pięknej neorenesansowej auli. Bruno miał wtedy dwadzieścia pięć lat i był nowym nabytkiem w wydziale śledczym. Nie chciał brać udziału w tej bufonadzie, ale nie miał wyboru. Asystował przy najgłośniejszej wówczas sprawie kryminalnej, o której mówiła cała Polska. Morderstwo rodziny Drzewieckich stanowiło idealny temat dla mediów w sezonie ogórkowym. Sprawa ta, wtedy świeża, ciągnęła się przez opóźnienia, do których Bruno niechętnie powracał w myślach. Osiem lat temu była jednak sensacją, a chcący znaczyć cokolwiek w zespole śledczym młody Kosowski nie pozwalał sobie na odstępstwo o krok od pozostałych detektywów.

Tamten wieczór był ciepły i bezwietrzny. Niebo było tak czyste, że nawet nad Warszawą widać było morze gwiazd. Magiczna aura i kiepska muzyka spowodowały, że Bruno dużą część imprezy

spędził na zewnątrz. Opierał się o latarnię przed wejściem, kiedy zobaczył ją. Blondynka z włosami ułożonymi w fale w stylu dawnego Hollywood szła pewnym krokiem po nierównej kostce placu Politechniki. Już to zrobiło na nim wrażenie, bo chyba żadna mijająca go kobieta na obcasach nie była w stanie tak dzielnie pokonać tego toru przeszkód. Ku jego uciechu, naturalnie. Blondynka trzymała pod rękę kolegę Bruna, Romka z drogówki. Detektywa ten widok zaskoczył. Już mieli go minąć, gdy postanowił ich zagadnąć. Stał im na drodze, a wtedy kobieta zmierzyła go chłodnym wzrokiem niebieskich jak lód oczu, co prawie pozbawiło go pewności siebie.

– Romek! – wykrzyknął.

– Bruno, cześć. Nie zauważyłem cię. Jak tam nowa praca? Zapewne ciekawsza niż drogówka? – zagadnął spokojnie kolega.

– Tylko trochę. A ty nie chciałeś się przenieść? – zapytał Bruno i na widok rumieńca na twarzy Romka natychmiast pożałował pytania. Ten odchrząknął.

– Chyba wolę spokojniejsze życie. Zajmowanie się trupami nie jest dla mnie.

– Daj spokój. W większości chodzi o jakieś głupstwa, nie morderstwa – powiedział Bruno i machnął lekceważąco dłonią.

– Drzewieccy to nie głupstwo – odparł chłodno Romek.

– Tak, ale takie sprawy nie zdarzają się co dzień.

– Drzewieccy? – odezwała się niskim, melodyjnym głosem blondynka.

– Przepraszam, nie przedstawiłem was – zreflektował się Romek.

– Bruno, poznaj Rozalię, jest dziennikarką.

– Bardzo mi miło. – Bruno skłonił się teatralnie. – Mogę spytać, gdzie się poznaliście? – dodał, patrząc z rozbawieniem na Romka.

– Daruj sobie, ona wie – odpowiedział kolega. – Znamy się z Rozalką od dawna. Musiałem przyprowadzić kobietę. Ostatnio za dużo plotek o mnie krąży, a dobrze wiesz, że nie dadzą mi żyć, jeśli moje prywatne sprawy ujrzą światło dzienne.

– Musisz go bardzo lubić, skoro przyszedł na taką nudną imprezę – zwrócił się Bruno do Rozalii. Odpowiedziała mu wymuszonym uśmiechem.

– Mając w perspektywie nudzenie się w domu, wolałam już nudną imprezę – odparła.

– Jedyne sensowne wytłumaczenie. Z przyjemnością z tobą zatańczę, jako że moja partnerka dziś zaniemogła...

– Lub nie istnieje – dodała kobieta, tym razem uśmiechając się szczerze, lecz kpiąco.

– Słucham?

– Nie podrywałbyś mnie, gdyby jakaś była – wyjaśniła.

– Jesteś dość bezpośrednia – powiedział nieco zdeprymowany Bruno.

Kobieta się zaśmiała.

– Nie martw się, nie mam nic przeciwko – odparła. – Zatańczę z tobą z przyjemnością.

Zatańczyli do *Kryzysowej narzeczonej* Lady Pank, jedyne polskiego kawałka w repertuarze tego wieczoru, który nie reprezentował gatunku disco polo. Rozalia miała w sobie tyle radosnej energii, że mogłaby nią obdzielić połowę komendy, w której Bruno pracował. Jednocześnie wyniosła i bezpośrednia, nie przypominała w niczym jego koleżanek. Zanim Panasewicz wyśpiewał ostatnie słowa piosenki, Bruno już wiedział: właśnie znalazł żonę. Życie jednak zweryfikowało jego plany. Teraz Bruno zmierzał samotnie przez plac Politechniki, Rozalia zaś była żoną innego.

– Kalina Dmitrijew, tak – potwierdził, gdy pracownica sekretariatu rzuciła okiem na jego odznakę i powtórnie spytała go o nazwisko. Kobieta z urzędniczymi lokami na głowie za monitorem komputera wyglądała na zagubioną. – Mogę podać numer indeksu, jeśli to pomoże – dodał Bruno.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła sekretarka, mrużąc oczy. – Obecnie panią Dmitrijew mamy tylko jedną. Wydział architektury.

– Architektury? – zdziwił się Bruno.

– Tak, studia drugiego stopnia. – Kobieta spojrzała na swojego rozmówcę i najwyraźniej uznała, że powinna doprecyzować, bo dodała: – Magisterskie.

– Tak, rozumiem – zirytował się Bruno. – Gdzie mieści się ten wydział?

– Proszę pana, to będzie Koszykowa 55 – odparła skrzekliwym głosem sekretarka. – Wyjdzie pan z budynku, przejdzie przez plac i skręci w Lwowską. Budynek będzie przy skrzyżowaniu z Koszykową. Taki stary gmach, na pewno pan rozpozna.

Kobieta uśmiechnęła się i nie czekając na odpowiedź, wezwała kolejnego interesanta. Bruno wyszedł z budynku i ruszył zgodnie z otrzymaną instrukcją. Po drodze rozmyślał tylko o tym, że Kalina ma jednak coś wspólnego z Wilskim, a już na pewno mężczyzna nie jest dla niej postacią anonimową. To komplikowało sprawę.

Zgodnie z obietnicą sekretarki wydział architektury znalazł z łatwością. Nie mógł jednak docenić jego urody, bo budynek obstawiono rusztowaniami, na których wisały zielone siatki ochronne. Z górnego piętra przypominającą basenową zjeżdżalnię rurą zsypywano gruz. W miejscu zrzutu unosił się w powietrzu kurz. Mężczyzna wszedł do środka, minął wewnętrzny sklep dla plastyków i zatrzymał się przed dyżurką.

– Gdzie znajdę rozkład zajęć? – spytał siedzącego za szybą znudzonego mężczyznę. Ten w odpowiedzi, nie odrywając wzroku od małego telewizora, wskazał ręką szerokie schody na osi wejścia.

Na półpiętrze faktycznie znajdowała się duża metalowa tablica, a na samym jej środku umieszczono plan zajęć. Na studiach magisterskich były dwa roczniki, ale według planu zajęcia miał dziś tylko jeden – ten młodszy. Bruno przypomniał sobie, że dziewczyna wspominała coś o wykładzie o dziesiątej. Wszystko się zgadzało. Właśnie odbywał się wykład z historii architektury i urbanistyki. Kolejny miał być ze współczesnych konstrukcji budowlanych, w tej samej sali. Bruno spojrzął na zegarek – do przerwy zostało piętnaście minut. Okej, poczeka, nie będzie przecież wywlekał dziewczyny z auli na oczach rówieśników.

Salę wykładową znalazł bez problemu; prowadziły do niej pierwsze drzwi, które ujrzał po wejściu na piętro. Dzięki temu, że były przeszklone, Bruno mógł zobaczyć, że w środku panuje spory tłok. Ciekawe – za jego czasów wykłady niezbyt obchodziły studentów. Nagle poczuł się stary. Miał zaledwie trzydzieści trzy lata, a w policji przepracował już dziesięć. Usiadł na ławce i rozejrzał się wokół. Mimo że według planu prawie wszystkie roczniki miały teraz zajęcia, wielu studentów przebywało na korytarzach. Większość

siedziała przy stołach rozstawionych na środku długiego holu. Dwóch chłopaków ze skupieniem na twarzach zawzięcie pracowało nad makietą z balsy. Jakaś dziewczyna sięgała do wielkiej czarnej teczki, by wyciągnąć z niej szkice. Ktoś siedział nad notatkami i pilnie się uczył. Byli tu jednak też tacy, którzy po prostu dobrze się bawili. Bruno zaczął z zainteresowaniem lustrować wygląd młodych adeptów architektury. Ci z chłopaków, którzy mogli sobie na to pozwolić, zapuścili brody. Reszcie musiały wystarczyć okulary z grubymi oprawkami. Jeden miał pecha – ani brody, ani wady wzroku. Był za to wytatuowany w jakieś minimalistyczne wzory złożone z cienkich kresek i kropek. Wystylizowanym przedstawicielom płci męskiej towarzyszyły równie wystylizowane przedstawicielki płci żeńskiej. Dziewczyny nosiły wysoko zaczesane włosy, miały wielkie torby i zapewne modne, workowate spodnie, podobne do tych, które w latach młodości nosiła jego mama. Jedna z dziewczyn, ta z pomalowanymi na fioletowo ustami, posiadała jeszcze kolczyk w nosie. Wszyscy dobrze się bawili, z jednym wyjątkiem. Dziewczyna z kolczykiem zdawała się nieobecna, co jakiś czas nerwowo zerknęła na telefon. Ciekawe, co się stało? Studia? Miłość? Dom? Praca? No nic, każdy ma jakieś problemy – od czasu do czasu. Bruno ponownie spojrzął na zegarek. Już czas.

Po dwóch minutach usłyszał szuranie i skrzypienie starych ławek. Drzwi się otworzyły i hałaśliwa rzeka studentów wylała się na korytarz. Bruno podszedł do drzwi i wtedy uderzyło w niego gorące, zatęchłe powietrze nieprzewietrzanej sali. Wyciągnął szyję, by zaczerpnąć świeżego powietrza, nie przestając zarazem wypatrywać w tłumie znajomej twarzy. W końcu ją zobaczył. Kalina wychodziła samotnie. Bruno chwycił ją za nadgarstek i odciągnął na bok.

– Aua! – krzyknęła dziewczyna i wyrwała rękę z uścisku. Kiedy spostrzegła, kto ją napastuje, zrobiła wielkie oczy i zacisnęła szczęki.

– Musimy pogadać – powiedział Bruno, nie siląc się na uprzejmości.

– Przeszliśmy już na „ty”? – spytała Kalina, rozcierając nadgarstek.

– Myślę, że charakter naszej relacji drastycznie się zmienił po tym, co wczoraj zaszło. Nie sądzisz?



Dziewczyna uważnie przyjrzała się jego twarzy, próbując z niej coś wyczytać.

– Do niczego nie doszło – odparła w końcu. – Posłuchaj... byłam pijana i przygnębiona. I fakt, bardziej skłonna do głupot. Ale film mi się nie urwał.

Bruno nadal w milczeniu przewiercał ją wzrokiem. Chciał jej wierzyć.

– Ty nic nie pamiętasz – stwierdziła, marszcząc gniewnie czoło. – Pocałowałeś mnie. Ja w pierwszej chwili nie protestowałam, ale szybko mnie otrzeźwiłeś. Dziwne, że w tym wieku nie znasz podstaw, ale wiedz, że szeptanie imienia innej kobiety podczas pocałunku jest mało zachęcające. Odsunęłam się i poszłam spać, a ty zostałeś na kanapie.

– Innej kobiety? – Bruno nie rozumiał. Twarz Kaliny złagodniała. Rozejrzała się wokół, jakby chciała sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedziała trochę ciszej. – Mam w planie za chwilę zajęcia, ale sądzę, że się nie odbędą. Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia, poczekaj tam na mnie. Powinam być za – spojrzała na zegarek – góra dwadzieścia minut.



Czekał dwadzieścia pięć, pijąc powoli kawę. Liczył na to, że napój wystarczy mu do końca spotkania – miejsce bynajmniej nie miało studenckiego charakteru ani tym bardziej studenckich cen, dlatego nie chciał płacić za kolejny. Zastanawiał się nawet, czy na pewno trafił do właściwego lokalu, ale raczej nie było innej możliwości – kawiarnia, której zapach poczuł, jeszcze zanim zobaczył jej szyld w tropikalnym stylu, musiała być tą, którą wskazała dziewczyna. Jej wystrój – wiklinowe fotele i tapety w papugi – przyjemnie kontrastował z ponurą aurą i zbierającymi się nad Koszykową szarymi chmurami.

– Przepraszam – powiedziała zdyszana Kalina, rzucając torebkę na fotel i wyrывая Bruno z zadumy. – Widzisz, te zajęcia, które miały się odbyć, są z projektu.

Bruno spojrział na Kalinę, czekając na ciąg dalszy. Dziewczyna opadła z westchnieniem na siedzisko. Przełknęła głośno ślinę i spojrzała detektywowi prosto w oczy.

– Na zajęciach miał się dziś gościnnie pojawić Wilski – dodała.

– Uczył na twoim wydziale? – spytał Bruno.

– Uczył. Ale nie mnie – odparła Kalina. – Pracujemy w tej chwili nad projektem, który ma swoją lokalizację w miejscu, gdzie biuro Wilski/Trocki buduje ambasadę. Wilski miał tylko poopowiadać o problemach i mocnych stronach tej działki. Chciałam zobaczyć, czy zajęcia się odbędą. Czy dziekanat już wie. Jak nam to wyjaśnią.

– I?

– Zajęcia się nie odbyły, dziekanat wie, ale chyba od niedawna – nie postawili jeszcze tablicy z klepsydrą, jak to mają w zwyczaju, gdy umiera jakiś profesor. I wyjaśnili. Zwięźle. Nasz profesor przekazał tylko ze smutkiem tę okropną informację. Poprosił o minutę ciszy i zwolnił nas do domu. Chyba dowiedział się o tym na moment przed zajęciami, był bardzo roztrzęsiony.

– Byli dobrymi przyjaciółmi? – spytał Bruno.

– Czy to już formalne przesłuchanie?

– I tak musimy je powtórzyć. Jeśli tym razem się do tego nadajesz i coś pamiętasz – powiedział.

– Pamiętam – zachnęła się Kalina. – I wszystko ci opowiem, ale po raz ostatni, więc tym razem dla odmiany i ty postaraj się to zapamiętać – powiedziała i spojrzała wymownie na detektywa, który już się rozchmurzył, a nawet uśmiechnął. – Zanim przejdziemy do formalnej części, chciałabym sobie z tobą wyjaśnić parę spraw – powiedziała z udawaną pewnością siebie.

– Tak, zdecydowanie – odparł detektyw. – Liczę na twoją dyskrecję w sprawie wczorajszej nocy.

– Nie mówię tylko o tym. – Kalina się zawahała, zanim przemówiła dalej: – Wspomniałam o tym, że wyszeptałeś nie moje imię. Pamiętasz?

– Tak. – Bruno odchylił się na krześle, krzyżując ręce.

– Widziałam wiadomość od Rozalii – powiedziała, a Bruno zbladł.  
– Jej ekipa była jedyna na miejscu zdarzenia, a do tego pojawiła się w błyskawicznym tempie.

Detektyw milczał.

– I to jej imię wypowiedziałeś – dodała.

– Tak?

– Tak. Nie jestem głupia. Przekazujesz jej informacje. Nie wiem, co was łączy, ale cokolwiek to jest, domyślam się, że tkwisz w tym od jakiegoś czasu...

Bruno podniósł nagle dłonie do góry i przerwał jej wypowiedź.

– Wystarczy. Czego ode mnie chcesz? – spytał.

Kalina wpatrywała się w stół, jakby bała się przemówić. Chyba coś nawet wymamrotała.

– Powtórz. Mówisz za cicho – powiedział detektyw.

– Chcę w tym uczestniczyć – odparła, podnosząc twarz. Patrzyła teraz detektywowi prosto w oczy.

– „W tym uczestniczyć” – powtórzył Bruno. – Co masz na myśli?

– Chciałabym wziąć udział w śledztwie – odparła nieśmiało, a Bruno wybuchnął śmiechem.



**W** śledztwie – powtórzył Bruno, patrząc nieruchomym wzrokiem na dziewczynę, której błagalne spojrzenie przewiercało go teraz na wskroś. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Że co? Zgłoszę szefostwu, że jakaś małolata chce mi „pomagać”, mieć dostęp do każdego detalu sprawy, i na koniec dodam, że przypadkowo jest świadkiem zdarzenia? Nie żartuj sobie.

– Nie powiedziałam, że to musi być oficjalne – odparła.

– Nie musi? O, dziękuję ci za pozwolenie – zakpił.

– Zastanów się. Już jednej osobie nielegalnie dostarczasz informacje. To byłoby to samo, tylko ja dla odmiany bym ci pomagała.

– Nie wydaje mi się.

– Nie chcę cię wydać – powiedziała Kalina, a Bruno spiorunował ją wzrokiem.

– Grozisz mi? – spytał.

– Tylko jeśli mnie do tego zmusisz.

– Po co ci to wszystko?

Kalina znowu spuściła głowę. Mówiła cicho, jakby było jej wstyd.

– Czy zawsze wiedziałeś, co chcesz robić w życiu? – spytała ciszej.

– Zawsze nie, ale zawód wybrałem świadomie – odparł.

– No właśnie. Ja nie do końca. Powiedzmy, że mam architektoniczne korzenie. Nie byłam nigdy pewna, co chcę robić, ale dobrze rysowałam, radziłam sobie też w przedmiotach ścisłych. Miałam jakiś wzór, który chciałam naśladować. I jestem teraz tu, gdzie jestem, a wszystko wydaje się zmierzać w złą stronę. Architektura mnie nie cieszy, ale nie potrafię jej zostawić za sobą. Rozumiesz? Wsiadłam do pociągu i boję się z niego wyskoczyć. Wizja zostania architektem mnie przeraża i odbiera nadzieje na

interesującą przyszłość, ale nie umiem ot tak wyrzucić do kosza lat spędzonych na tym wydziale.

– Udział w jednym śledztwie nie uczyni z ciebie detektywa – powiedział Bruno poważnie.

– Wiem – zapewniła Kalina.

– I mimo wszystko...?

– Tak. Wiem, że proszę o wiele...

– O bardzo wiele – uciął Bruno.

Nie odzywał się przez chwilę i patrzył na dziewczynę, zastanawiając się nad tym, co właśnie zaszło. Był w kropce. Jeśli ta Dmitrijew go wyda – zarówno w sprawie Rozalii, jak i zbytniego spoufalenia między nimi dwojgiem – Bruno wyleci. Nie ma innej opcji. A podobnie jak jej – jemu też nie widziała się wizja wyskakiwania z jego policyjnego pociągu. Za długo nim jechał i nabrał już prędkości.

– Dlaczego w ogóle zakładasz, że jest tu jakakolwiek tajemnica do rozwikłania? – spytał w końcu. – To mogło być samobójstwo.

– Okno było zamknięte – odparła.

Dziewczyna wpatrywała się w stolik i bawiła palcami. Miała rację – okno było zamknięte. Jest spostrzegawcza. Ciekawe, ile ją kosztowało, żeby przedstawić mu tak absurdalną propozycję. Na ile musi być zdesperowana... Czy ta architektura jest faktycznie taka straszna...? Nie no, przecież to głupie. Bruno, zejdź na ziemię. Nie możesz się na to zgodzić. Chociaż? Piotrka nie ma. Zostałeś sam, a potrzebne ci będzie inne spojrzenie na sprawę. Do tego dziewczyna może orientować się w tej architektonicznej branży. Pomysł jest szalony i zdecydowanie nielegalny, ale może mieć swoje dobre strony.

– Dobra – powiedział. – To niedorzeczne, ale niech tak będzie.

Kalina uniosła głowę. Jej szeroko otwarte oczy zdradzały niedowierzanie. Wcale nie była pewna siebie.

– Naprawdę? – spytała.

– Tak. Ale ustalmy jasne zasady. Pierwsza jest taka: nikt nie może się o tym dowiedzieć. Jak ktoś się dowie, to konsekwencje będą wyciągnięte również wobec ciebie – powiedział Bruno, chociaż szczerze wątpił w swoje słowa. – Druga zasada: słuchasz się mnie cały czas. Jakiegokolwiek nieposłuszeństwo będzie skutkowało

natychmiastowym zakończeniem współpracy. Trzecia: to ja decyduję, do czego masz dostęp, a do czego nie. Nie będziesz z tym dyskutować. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała Kalina, energicznie kiwając głową.

– Dobrze. Muszę cię przesłuchać. Oficjalnie, pod kątem wczorajszego wieczoru i tego, co wiesz o Wilskim.

– Okej. Ale wczoraj powiedziałam wszystko. Nic nowego raczej nie dodam...

– Tak, ale wczoraj byłaś pod wpływem – odparł Bruno, wzruszając ramionami. – Pojedziemy na komendę, tam złożysz wyjaśnienia... –

Urwał, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. – Przepraszam... Kosowski, słucham... Tak... Aha... Rozumiem... No tak... A kiedy? Tak? Dobrze... Dziękuję za telefon. Do zobaczenia – powiedział i odłożył telefon.

– Zdaje się, że twoja „praca” zacznie się dopiero pojutrze – zwrócił się do Kaliny. – Dzwoniła Elżbieta Wilska. Stan zdrowia pani Janiny Wilskiej, kojarzysz, matka zmarłego... No więc jej stan zdrowia niestety się pogorszył. Zasłała. Została przewieziona do szpitala. Podobno jest już lepiej niż rano, ale lekarze ograniczają odwiedziny. Z rozmową trzeba poczekać.

– To straszne. Biedna pani Janina... Ta sytuacja musi być dla niej ciężka – powiedziała Kalina.

– Na pewno, ale czas nas nagli. Ruszajmy na komendę, ściemnia się – odrzekł oschle Bruno.



Pokój przesłuchań nie należał do przyjemnych i chociaż Kalinę zapewniono, że absolutnie o nic nie jest podejrzana, uczucie osaczenia nie opuszczało jej do końca rozmowy. Niepewnie zerknęła na duże lustro, podejrzewając, że ktoś może ją obserwować. Widząc zaniepokojoną minę dziewczyny, Bruno pospieszył z wyjaśnieniem.

– Nikogo tam nie ma – powiedział. – Nie chciałem cię przesłuchiwać w swoim biurze. Nie chciałbym, żeby mój szef na nas

wpadł. To tak na wszelki wypadek. Ten pokój przesłuchań jest najbardziej na uboczu.

Kalina pokiwała głową i rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie wyglądało aż tak źle jak na filmach. Może było trochę zaniedbane, miejscami ze ścian schodził nawet tynk. Ale nie roіło się na nich od grzybów czy zacieków, jak w telewizji. Nie było czuć stęchlizny, a pod sufitem zawieszono nowy klimatyzator. Rozmyślania Kaliny przerwało ciche pyknięcie uruchomionego dyktafonu.

– Proszę się przedstawić – powiedział Bruno.

– Kalina Dmitrijew, lat dwadzieścia pięć, rocznikowo. Studentka architektury na Politechnice Warszawskiej – odparła.

– Pani Kalino – zaczął Bruno oficjalnie – proszę opowiedzieć, jak znalazła się pani na przyjęciu.

– Zostałam zatrudniona jako hostessa. Koleżanka ze studiów, która pracuje w firmie eventowej, powiedziała mi, że potrzebuje zastępstwa na jeden wieczór. Chyba z kimś się umówiła, ale nie znam szczegółów.

– Zgodziła się pani bez wahania?

– Tak. Pieniądze zawsze się przydadzą, ale nie to było moją główną motywacją. – Kalina odpowiadała bardzo poważnie, wyraźnie stresował ją włączony dyktafon. – Wiedziałam, u kogo ma się odbyć bankiet, na którym miałam pracować. Chodzi mi o to, że wiedziałam, że to będzie w domu profesora Wilskiego. Każdy ze studentów wykorzystałby taką okazję.

– Co to znaczy? – spytał Bruno.

– Okazję, by porozmawiać z profesorem poza wydziałem i zapytać o możliwość odbycia stażu. Mało komu udało się dostać do jego pracowni w trakcie studiów, ale chodziły plotki, że kiedyś kilku chłopaków dokonało tego właśnie dzięki pracy u profesora w domu. Szczerze mówiąc, nie znam tych chłopaków i nie wiem, na ile jest to prawda, ale takie szanse trzeba wykorzystywać. Nigdy nie wiadomo, czy się powtórzą.

– Koleżanka nie żałowała? – spytał Bruno.

– Myślę, że w tamtym momencie co innego wydawało jej się ważniejsze – odparła Kalina, pozwalając sobie na nikły uśmiech.

Bruno pokiwał głową i zdecydował się nie drażyć tego tematu.

– Dobrze znała pani zmarłego? – spytał.



– Nie – powiedziała. – Można powiedzieć, że wcale. Miałam z nim tylko wykłady. Nigdy nie byłam w jego grupie projektowej.

– Jakie zrobił na pani wrażenie? – spytał Bruno, czym wyraźnie zaskoczył Kalinę, która na chwilę uniosła brwi.

– Wrażenie? – powtórzyła. – Myślę, że każdy mógł mieć inne. Są osoby, które wybierały go na promotora, a są i takie, które wieszały na nim psy.

– Ale jakie wrażenie robił na pani? Co pani o nim sądziła?

Kalina spojrzała smutno w oczy detektywa.

– Nie przepadałam za nim – odparła.

– Był jakiś konkretny powód?

– Nie. Nie lubiłam jego wykładów. Miał wysokie mniemanie o sobie, a niziutkie o studentach. Są profesorowie, którzy motywują studentów, wyróżniają ich za kreatywność, wspierają w rozwoju, a nawet po ludzku wierzą w ich sukcesy. Jest też druga grupa. W moich oczach profesor Wilski właśnie do niej należał. Ale to tylko wrażenie, dopuszczam możliwość, że się myliłam.

– Co się wydarzyło na bankiecie? – spytał Bruno, a Kalina w odpowiedzi powtórzyła dokładnie tę samą historię, co wczorajszej nocy.

– To wszystko? – spytał, gdy skończyła. Dziewczyna chwilę się wahała.

– Właściwie... Nie wiem, czy jest to istotne. Ale był jeden incydent. Jeden z gości trochę się awanturował.

– Nazwisko? – Bruno natychmiast zrobił się czujny.

– Przykro mi. Nie znam. Wiem tylko, że rozpytywał o profesora. Był wyraźnie zdenerwowany. Nie wiem, czy w końcu z nim porozmawiał. Nie widziałam ich razem.

– Jak wyglądał?

– Mężczyzna w średnim wieku. Miał kręcone włosy i wyraźne zakola. Był bardzo elegancko i kosztownie ubrany, ale...

– Tak? – niecierpliwił się Bruno.

– Nie wiem... Nie wyglądał w tych ciuchach autentycznie. Jakby był przebrany.

Równo o godzinie dziewiętej na klatce kamienicy w Alejach Jerozolimskich rozległo się nieśmiałe pukanie. Nikt nie otwierał. Kalina wzięła głęboki oddech i nacisnęła dzwonek. Teraz już usłyszała zbliżające się kroki. Bruno otworzył drzwi i zaprosił gestem dziewczynę do środka.

– Byliśmy umówieni – powiedziała z lekkim wyrzutem, wymownie patrząc na jego szlafrok, gdy wchodziła do mieszkania. – Nie powiedziałaś, o której, nie odbierałeś telefonu.

– Byłem zajęty – wychrypiał. – Napijesz się czegoś? To chwilę potrwa, muszę jeszcze wyjść z psem.

– Wody – odparła, schylając się, by przywitać się z Olafem. – Poradzę sobie. Dopiero wstałeś.

– Kiepsko spałem w nocy – odparł wymijająco.

– Koszmary? – spytała.

– Żebyś wiedziała.

– Czy wizyty są na konkretną godzinę? – Kalina zmieniła temat.

– Można powiedzieć, że nie mam stałych godzin pracy – odpowiedział, ruszając w stronę łazienki.

– Pytałam o szpital, w którym leży pani Janina.

– A, to. Nie wiem, ale zazwyczaj nie robią problemów, gdy pokaże się odznakę! – krzyknął.

Kalina rozejrzała się dookoła. Zerwała kartkę z kalendarza wiszącego w kuchni. Od dwóch dni był już nowy miesiąc, chociaż poza nieśmiałym śpiewem pojedynczych ptaków nic o tym nie świadczyło. Przy lodówce stał Olaf, który patrzył na nią błagalnie i radośnie merdał ogonem. Dziewczyna otworzyła lodówkę i przekonała się, że ta świeci pustkami. Znalazła jednak ostatni plasterek szynki i rzuciła go psu. Zanim zamknęła chłodziarkę, jej wzrok przykuła otwarta butelka czerwonego wina, stojąca na

drzwiach. Kalina zaniepokoiła się i zaczęła szukać kosza na śmieci, a gdy już go znalazła, sprawdziła jego zawartość – jedna butelka po czerwonym wytrawnym. Facet ma problem, pomyślała. Sięgnęła do kranu, żeby umyć ręce. W zlewie zobaczyła dwa kieliszki. Nieco się uspokoiła, ale na jednym z nich dostrzegła ślad burgundowej szminki. Ładny kolor. Ostatnio widziała w telewizji reportaż Rozalii Ojdany, która właśnie taki miała na ustach.

Kalina podeszła do drzwi łazienki i oparła się plecami o ścianę.

– Ona wie? – spytała.

– O tym, że ty wiesz? – odpowiedział Bruno po chwili ciszy.

– Tak.

– Wie.

Czy to ją martwi? Bruno otworzył drzwi i spojrzał na dziewczynę.

– Musiałem jej powiedzieć. I tak by się dowiedziała. A uwierz mi, gdyby ktoś inny jej doniósł, to mogłoby się źle skończyć. Dla mnie i pewnie w jakiś sposób dla ciebie. Taka już jest – powiedział.

Kalina kiwnęła głową w milczeniu. Bruno zawołał psa i chwycił smycz. W drodze do wyjścia zauważył na blacie dwa kieliszki, jeden ze śladem burgundowej szminki. Nie pamiętał, żeby je tam postawił.



– Poczekasz na zewnątrz – powiedział Bruno do Kaliny, gdy szli szpitalnym korytarzem. Wszędzie unosił się ten okropny chemiczny zapach, którego nienawidził, od kiedy trafił do szpitala jako dziecko. Przebywał wtedy na oddziale laryngologicznym, mieli mu usunąć guzek ze ślinianki. Był najmłodszy na oddziale, otoczony starcami z pozaklejnymi nosami i rurkami wystającymi z szyi, przez które próbowali oddychać, wydając przy tym dźwięki identyczne jak te, które wydaje się, pijąc resztkę gęstego koktajlu przez słomkę. Bruno nie pił koktajli od wielu lat.

– Chcę wejść – powiedziała Kalina.

– Nie. Nie współpracujemy oficjalnie. Tak naprawdę nie powinno cię tu być. Masz szczęście, że nie ma tu nikogo z rodziny. Zaczekasz na korytarzu i nie będziesz się wychylać... – powiedział i urwał, zatrzymując się przy przeszklonej sali. Ze szpitalnego łóżka patrzyła na nich osłabiona pani Wilska.

– Zostań tu – powiedział już szeptem, głosem nieznoszącym sprzeciwu i wszedł do pokoju.

– Panie detektywie, jeśli to nie problem, wołałabym, żeby pana koleżanka również tu była – zaproponował słaby kobiecy głos. Pani Janina Wilska uśmiechnęła się dobrotliwie. – To nic osobistego. Po prostu zawsze pewniej się czuję w obecności drugiej kobiety.

Bruno z rezygnacją odwrócił się do Kaliny i machnął jej ręką, by weszła. Przystawił do łóżka dwa krzesła. Spojrzał na starszą panią, oceniając jej stan. Wydawała się mniejsza, od kiedy widział ją ostatnio. Z jej oczu wyparowała siła, ale pozostał w nich jakiś dziwny upór.

– Nazywam się Bruno Kosowski, pamięta mnie pani? – spytał, a ta w odpowiedzi spojrzała na niego z wyrzutem.

– Oczywiście, że pamiętam.

– To moja... znajoma. Dlatego nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł, by tu była.

– Ja wszystko rozumiem, panie Kosowski. Ale proszę mi wierzyć, będzie mi dużo łatwiej.

– Dobrze – zgodził się niechętnie.

– Jak się pani czuje? – wtrąciła Kalina, a Bruno spiorunował ją wzrokiem.

– Lepiej niż wczoraj, dziecko – odparła. – Myślę, że niedługo mnie stąd wypiszą.

– Pani Janino, miała pani zawał... W pani wieku... No cóż, myślę, że musi się pani uzbroić w cierpliwość – powiedział Bruno, czym wyraźnie uraził starszą panią.

– Proszę się za bardzo nie przejmować tym, co mówi kolega – wtrąciła się ponownie Kalina. – Moja ciotka wyszła kiedyś po dwóch dniach, a mojego wuja – w pani wieku – zwolniono po trzech.

Starsza pani podziękowała dziewczynie promiennym uśmiechem.

– Widzi pan? – powiedziała do Kosowskiego. – Ale... nie przyszedł pan rozmawiać o moim zdrowiu. Podejrzewam, że chce

pan wiedzieć wszystko o tej prywatce? Jednakże, jeśli to nie kłopot, chciałabym zacząć wcześniej, po swojemu. Dobrze? – spytała.

– Ależ proszę.

– Ta historia może być długa, ostrzegam. Proszę mi to wybaczyć, bowiem właśnie straciłam jedyne go syna. Każda rozmowa o nim... Jeśli sprawi, że zostanie dobrze zapamiętany, jest dla mnie niezwykle ważna – powiedziała, a gdy nie usłyszała sprzeciwu, zaczęła swoją opowieść.

– Nie zawsze mieszkaliśmy w mieście – ja i Tadek. Wychowywałam się w małej wsi niedaleko Białowieży, jednej z tych, które nazywa się zapomnianymi lub, jak mawiano w tamtych stronach, zadupiem. – Zerknęła na dziewczynę, a widząc, że ją rozbawiła, z zadowoleniem kontynuowała: – Byłam jednym z ośmiorga dzieci, tak mi mówiła moja mama. Nigdy nie poznałam swojego rodzeństwa. Urodziłam się jako ósma i jako jedyna przeżyłam dziesięć lat. Moi bracia i moje siostry poumierali: po część przyszła śmierć głodowa, jeden zginął, kiedy spadł z konia, część umarła jeszcze w brzuchu mamy. Najstarszy, dziesięcioletek, wpadł do silosu. Byłam ósma i byłam ostatnia. Gdy miałam szesnaście lat, moja mama odeszła, taty nie było już od dawna. Umarł, gdy mama zaszła w ciążę ósmy raz. Mówiła mi, że się zapił. Nikt nie wiedział, czy z radości, czy ze smutku. Osobiście wolę myśleć, że tata cieszył się, że przyjdę na świat.

W wieku szesnastu lat zostałam sama z całkiem dużym kawałkiem urodzajnej, lecz nieużytkowanej od jakiegoś czasu ziemi, z którą nie mogłam sobie sama poradzić. Chociaż robiłam, co mogłam, ziemia potrzebowała mężczyzny. Ja potrzebowałam mężczyzny. We wsi był jeden, którego szczególnie lubiłam i tak się składało, że on również lubił mnie. Przychodził i pomagał mi w uprawie, nosił wiadra z wodą, dokarmiał świnię. Ale przychodził też, by porozmawiać, by od czasu do czasu pośmiać się ze mną trochę. Zakochałam się. Gdy miałam osiemnaście lat, zostałam żoną Tadeusza Wilskiego. Nim minął rok, dałam mu syna, który dostał imię po swoim tacie. Nim minął kolejny, do wsi zawitał tyfus, a gdy odszedł, zabrał ze sobą mojego męża. W ten sposób zostałam ponownie sama z dużym kawałkiem urodzajnej ziemi, ale tym razem także i małym synkiem, który dopiero zaczynał chodzić. W tym wszystkim nie było miejsca na

żałobę, ale Bóg mi świadkiem, że gdy wracałam z pola i kładłam Tadzika spać, żałoba sama znajdowała sobie miejsce w moim domu. Była wszędzie. W mojej małżeńskiej pościeli, w przesiąkniętej dymem papierosowym koszuli, która wciąż wisiała w szafie, w stłuczonej figurce owiniętej w gazety, która roztrzaskała się, gdy mąż pierwszy raz poczuł się gorzej i upadł na kredens. Cierpiałam nocą. Ale rano dzielnie wstawałam z łóżka, otrzepywałam się z zapachu naszej małżeńskiej pościeli, szłam z Tadzikiem do mojej teściowej, gdzie go zostawiałam, by iść na pole. Z czasem teściowa zaczęła narzekać, a ja zrozumiałam, że znowu potrzebuję mężczyzny. Że ziemia potrzebuje mężczyzny.

Byłam uważana za dobrą partię i z racji bogactwa mojej urodzajnej ziemi nie miałam problemów ze znalezieniem kandydatów. Było ich dziesięciu. Część z nich nie miała własnej gospodarki, byli młodszymi braćmi, nie dziedziczyli. Dwóch miało ziemię sąsiadującą z moją. Pozostałym, jak się okazało, nie zależało na niczym poza ulżeniem sobie. Nigdy nie wiązali ze mną poważnych planów. Każdego z nich pragnęłam lepiej poznać, chciałam mieć pewność, że swojemu synkowi przedstawię odpowiedniego kandydata. Ale takiego nie było. Pierwszych czterech wpuściłam do sypialni niechętnie, ale wiedziałam, że muszę znaleźć męża za wszelką cenę. Piątego wpuściłam już poniekąd z przyzwyczajenia, wiedząc, czego będzie chciał. Gdy okazało się, że to nie ten, na wsi zaczęły krążyć plotki na mój temat. Kobiety mówiły, że tak zarabiam na życie. Wpuściłam więc do sypialni kolejnych, z nadzieją, że kiedyś to się skończy. Z każdym następnym wierzyłam, że jest już tym ostatnim. Po ósmym doszły mnie słuchy, że Tadzik nie jest synem mojego zmarłego męża. Dziewiąty, ostatni, którego zaprosiłam do sypialni dobrowolnie, pozostawił po sobie ślad znacznie trwalszy niż jego poprzednicy. Zaszłam w ciążę, a gdy go o tym z ulgą powiadomiłam, myśląc, że to koniec i znalazłam mężczyznę, z którym już będę musiała być, który będzie musiał być ze mną... wręczył mi pieniądze. Kazał jechać do miasta i załatwić sprawę po cichu. Nie zrobiłam tego, ale jego pieniądze wykorzystałam później. Dziesiąty mężczyzna wszedł do mojej sypialni sam, bez zaproszenia. Zrobił, co chciał. Zabrał mi wszystko, zabrał mi dziecko. To była dziewczynka. Wtedy postanowiłam wyjechać. Wzięłam

Tadzika, wzięłam rozbitą figurkę i koszulę przesiąkniętą papierosowym dymem, nie wzięłam tylko naszej małżeńskiej pościeli, bo przestała dla mnie nią być. Z łatką rozpuścniczy wyjechałam do miasta. Pieniądze, które zgromadziłam, pozwoliły mi zatrudnić kogoś, kto szybko sprzedał moją urodzajną ziemię. Wynajęłam jednopokojowe mieszkanie, poszłam do pracy w szwalni, odkładałam każdy grosz. Dla syna. Wszystko robiłam dla niego. Zrobiłam też wszystko, by nigdy nie stał się jak jeden z tych dziesięciu, których twarze pamiętam do tej pory.

Tadzik dobrze wykorzystał start, który próbowałam mu zapewnić. Ciężko się uczył, ciężko pracował. Byłam z niego bardzo dumna. Nigdy nie powiedział mi złego słowa i dbał o mnie. Gdy tylko zaczął lepiej zarabiać, polecił mi rzucić pracę. Obiecał, że się mną zaopiekuje. Posłuchałam go. Po jego ślubie zamieszkaliśmy razem. Polubiłam synową, mogłam opiekować się wnukami, codziennie widywałam syna. Kilka lat temu przenieśliśmy się do tego nowoczesnego domu.

Większą część wieczoru, kiedy mój synek zginął, spędziłam u siebie w pokoju. Rzadko uczestniczę w tego typu bankietach. Zeszłam może parę razy, żeby zajrzeć do kuchni. Jestem prostą kobietą, która chciała mieć tylko proste życie. Nie uchodzę za duszę towarzystwa. Choćbym chciała, nie potrafię powiedzieć, jak zginął mój syn. Nie potrafię, bo nie było mnie przy nim.

Tadzik przez większość czasu był dobrym ojcem i mężem, ale miewał słabsze dni, jak każdy. Nie wiem, czy mógł mieć wrogów w pracy. Nie miałam nigdy wglądu w jego interesy, ponieważ jemu nigdy nie zależało na tym, żebym się nimi interesowała. „Nie przejmuj się tym, mamó” – mawiał. – „Zadbam o ciebie”. Taki był mój syn.

W oczach kobiety załśniły łzy.

– Widzi pan, panie Kosowski, mój synek był dla mnie zawsze niezwykle uprzejmy i posłuszny, był też pracowity, taki, jak jego tata. I jak jego tata opuścił mnie.





**B**runo otworzył drzwi na korytarz i obejrzał się przez ramię. Zobaczył panią Wilską, która z uśmiechem uściśniła dłoń Kaliny, jakby chciała dodać dziewczynie otuchy i jakby ta historia jej nie zasmucała. Twarz Kaliny pozostawała jednak tak samo zatroskana, jak w momencie, gdy starsza kobieta skończyła opowiadać.

Bruno skinął głową na pożegnanie i przepuścił w drzwiach swoją towarzyszkę. Obejrzał się po raz ostatni. Pani Janina już na nich nie patrzyła. Odwróciła się do czegoś lub kogoś innego. Kogoś dla nich niedostrzegalnego. Już się nie uśmiechała, była tylko zmęczona.

– Lubisz carbonarę? – spytał Bruno, zmierzając za Kaliną do samochodu. Zrobiło się chłodno. Dziewczyna nie odpowiedziała, opatuliła się tylko ciaśniej.

– Hej! Kalina, pytałem, czy lubisz carbonarę – powtórzył, podbiegając i chwytając ją za rękę.

Kalina odwróciła się nagle, zamiatając hipisowskim płaszczem zapomniane, uschnięte liście z popękanego chodnika.

– Dlaczego pytasz? – spytała niemalże z wyrzutem, a Bruno asekuracyjnie się odsunął.

– Co się stało? – spytał zdziwiony.

– Nic – odparła, nie patrząc mu w oczy.

– O co chodzi?

– O nic. Co z tą carbonarą? Masz na myśli jakieś konkretne miejsce? – spytała Kalina, zmierzając już żwawym krokiem w kierunku samochodu.

– Podobno ja robię dobrą. Tak słyszałem – postanowił zażartować Bruno. – Pomyślałem, że zjemy razem, ale błagać cię nie będę.

– Teraz chcesz współpracować? – spytała kpiąco.

Bruno ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć: „Muszę”.

– Chcę zjeść carbonarę – odpowiedział.

– Okej.

Dziewczyna nie odzywała się całą drogę, za to z nienaturalnym zainteresowaniem obserwowała świat za szybą samochodu. Bruno co jakiś czas zerkał na pasażerkę, ale szybko doszedł do wniosku, że lepiej milczeć, tak jak ona. Na zwierzenia przyjdzie pora. Czuł to.

– Lubię to mieszkanie – powiedziała nieśmiało, kiedy siedziała już na kanapie z kubkiem kawy w dłoniach.

Bruno przywołał na twarz zachęcający uśmiech, by dziewczyna mówiła dalej, jednocześnie nasłuchując skwierczenia dochodzącego z kuchni. Nie przerywa się kobiecie, w której kotłują się emocje – tego nauczył się od Rozalii.

– Wiesz, kiedyś często się zastanawiałam, jak ono wygląda – ciągnęła Kalina. – Przechodziłam obok wiele razy, jak każdy warszawiak. Patrzyłam na twoją kamienicę, która niczym się przecież nie wyróżnia: ot zapuszczony parter z niszczącymi witrynami. Sklepek z tanimi rajstopami i podrzędny kebab w samym centrum stolicy... Ale pewnego dnia spojrzałam w górę. –

Dziewczyna uśmiechnęła się. – I w narożniku budynku zobaczyłam wieżyczkę. Zwieńczona kopułą, z oknami art déco... Wyglądała na zastygłą w czasie. Od tamtej pory patrzyłam w górę cały czas. –

Umilkła, a po chwili dodała, widząc zaskoczoną twarz Bruna: – Domyśliłam się, że to to mieszkanie, gdy zobaczyłam wejście na stryszek.

Bruno spojrzał w kierunku kręconych schodów i kłapy w suficie.

– Pewnie jesteś ciekawa, jak to wygląda od środka? – spytał. –

Muszę cię rozczarować, ale niestety od kiedy tu mieszkam, nie zabrałem się za wykończenie tego pomieszczenia. Nie wygląda tak, jak na to zasługuje.

– Długo? – spytała Kalina po chwili.

– Mieszkanie odziedziczyłem kilka lat temu. Właściwie odziedziczyli je moi rodzice, po mojej babci. Ale z racji tego, że sami żyją na bardzo przyzwoitym poziomie, przepisali je mnie. Duża część wystroju jest stara jak świat. Rozalia próbowała coś tu kiedyś zmieniać, kupowała jakieś meble czy dodatki... Ale zabrała wszystko, kiedy się wyprowadziła.

Kalina pokiwała głową.

– Wina? – spytał Bruno, kierując się do kuchni, żeby dokończyć obiad.

– Nie, może lepiej, żebyśmy tym razem nie pili. – Dziewczyna zmusiła się do słabego uśmiechu.

– No jak uważasz. Ja lubię wino do obiadu – odparł.

Bez obiadu chyba też ci ujdzie, pomyślała.

– Rozalia – powiedziała Kalina, odwracając głowę w stronę kuchni. – Opowiesz mi o niej?

– Co chcesz wiedzieć?

– Co takiego wydarzyło się między wami? Co spieprzyłeś?

– Skąd wniosek, że to ja coś spieprzyłem? – spytał, odwracając się do niej ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie ryzykowałbyś karku dla kobiety, która nawaliła – wyjaśniła Kalina. – To ty musiałeś zawinić.

Bruno westchnął, podał Kalinie talerz pachnący jajkiem i parmezanem i opadł ciężko na fotel.

– Tak naprawdę to oboje nawaliliśmy, ale gdybym nie zaczął, wszystko byłoby w porządku. Poznałem Rozalię na bankiecie policyjnym, była wtedy młodą dziennikarką, nie miała jeszcze na koncie żadnych sukcesów, ale wierzyła, że kiedyś to się zmieni. Ja również byłem świeżakiem w zawodzie. Nie wiem, czy... kojarzysz sprawę Drzewieckich?

Dziewczyna pokręciła głową.

– To dziwne. Była głośna swego czasu – powiedział Bruno. –

Media nią żyły. Brutalny przypadek, z wyjątkowym okrucieństwem zamordowano bogate małżeństwo i ich czteroletnią córkę. Większość z nas ledwo znosiła pracę nad tym tematem. Ale to była pierwsza sprawa, przy której współpracowałem, a że nie chciałem, by cofnięto mnie do drogówki, zaciskałem zęby. Nad morderstwem Drzewieckich pracowaliśmy kilka lat, tyle, ile byłem z Rozalią.

– Czyli ile? – spytała Kalina, a Bruno przez chwilę milczał.

– Pięć lat, sześć miesięcy i dwanaście dni. Tyle trwał nasz związek. Nad sprawą pracowałem pięć lat i siedem miesięcy, mniej więcej.

Kalina patrzyła na detektywa z żalem, ale nie odezwała się ani słowem.

– Czas nie jest tu zbiegiem okoliczności, na pewno się domyślasz.  
– Bruno uśmiechnął się krzywo. – Obawiam się, że źle ocenisz Rozalię, gdy już ci wszystko opowiem, ale postaraj się też spojrzeć na sprawę jej oczami, dobra? Po kilku miesiącach znajomości Rozalia się do mnie wprowadziła. Była wtedy bardzo szczęśliwa, wierzę, że szczerze zakochana i oddana swojej pracy. Te kilka lat, które razem spędziliśmy, stanowiły obietnicę pięknego życia razem. Zwłaszcza kilka pierwszych lat... Rozalia nie mogła przebić się w pracy, dostawała coraz gorsze tematy. Ja tymczasem piąłem się coraz wyżej po innych, mniejszych sprawach. Rozalia pracowała w dużej mierze w domu, a w każdym razie jako wolny strzelec, musiała zorganizować się sama. Ja natomiast często spędzałem całe dni w pracy, czasem nawet noce. Widziałem, że jest jej z tym coraz ciężiej, ale nie mogłem przecież rzucić roboty, zresztą – święcie wierzyłem w jej sukces. Wiedziałem, że sobie poradzi, nie chciałem tylko, żeby samotnie spędzała czas w domu. Dlatego kupiłem psa. Później okazało się, że Rozalia nie przepada za psami. Nie wiedziałem tego. Uwierzysz? Mieszkałem z nią kilka lat i nie wiedziałem tak podstawowej rzeczy. Nawet polubiła Olafa, ale odchodząc, zostawiła mi go bez żalu.

– To wszystko? Po prostu była zmęczona brakiem ciebie? – spytała Kalina.

– Nie – westchnął Bruno. – To nie wszystko. Zanim odeszła, zdążyła mi jeszcze wbić nóż w plecy. Ale zasłużyłem sobie na to, więc nie mam jej za złe. Dawno jej wybaczyłem. Wiesz, na jakiej sprawie wybiła się Rozalia?

– Zaczynam się domyślać.

– No właśnie. Któregoś dnia wróciłem do domu dużo wcześniej i zastałem ją siedzącą przy stole, przed nią leżała jakaś gazeta. Obok stały dwie walizki. Była zestresowana, miała czerwony nos i spuchnięte oczy. Nerwowo bawiła się palcami. „Przepraszam – powiedziała. – Nie miałam wyboru”. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się dzieje. Nie wiedziałem, co zrobiła. Wtedy rzuciłem okiem na nagłówek gazety. *Drzewieccy: czy to ogrodnik zabił?* Wtedy już domyślaliśmy się, że taka była prawda. Ale brakowało nam jeszcze ostatniego dowodu. Plan był taki, by dać facetowi do zrozumienia, że nikt go o nic nie podejrzewa.

Chcieliśmy, żeby poczuł się pewnie, stracił czujność i niechcący się zdradził. Planowaliśmy prowokację, którą mieliśmy przeprowadzić następnego dnia. To miał być koniec tej sprawy...

– Autorem artykułu była Rozalia.

– Tak – przyznał Bruno. – Wygrzebała w moich dokumentach teczkę Drzewieckich i napisała artykuł do najpopularniejszej gazety. Numer miał trafić do kiosków następnego dnia. I trafił. Z samego rana.

Ciszę, która zapanowała po opowieści Bruna, przerwała Kalina.

– To nie ty zawałeś – powiedziała.

– Nie słuchałaś całości? Gdybym był przy niej, nie zrobiłaby tego. Ja się rozwijałem, a ona stała w miejscu. To nie było sprawiedliwe. Przecież chyba każda kobieta by tak uważała.

Kalina pokręciła głową z niedowierzaniem.

– W wieżycze jest coś, co ci ją przypomina? Dlatego nie chcesz mi jej pokazać?

Bruno milcząco zaprzeczył. Po chwili odchrząknął i zmienił temat.

– Zatem co się wydarzyło? – Widząc zdezorientowaną twarz Kaliny, dodał: – Pytam o to, co cię tak poruszyło na spotkaniu z Wilską.

– Jej spokój – odparła Kalina bez cienia uśmiechu.

– Myślałem, że raczej przygnębił cię fakt, że takie rzeczy faktycznie się zdarzają. Ja tak miałem, gdy pierwszy raz zetknąłem się z podobną historią. To było jak zderzenie z rzeczywistością. Po tamtym przesłuchaniu świat wydawał mi się trochę brzydszy.

Dziewczyna odpowiedziała dopiero po chwili:

– Nie rozumiem.

– No wiesz, chodzi mi o to, że wcześniej to wszystko nie wydawało mi się tak realne...

– Nie – przerwała mu. – Nie rozumiem jej.

Bruno westchnął i po chwili zastanowienia podjął temat ponownie.

– Pani Wilska jest silną kobietą. Silni ludzie umieją zapomnieć.

Kalina odstawiła talerz i spojrzała detektywowi w oczy.

– A co ze słabszymi? – spytała.

– Muszą próbować.

Na chwilę zapanowała cisza. Bruno z zaciekawieniem przyglądał się swojej towarzyszce. Kalina patrzyła w stół. Po chwili ponownie

przeniosła wzrok na detektywa i powiedziała:

– Ona nie zapomniała, Bruno. Jestem tego pewna.

Panie Trocki, mamy sobie do wyjaśnienia kilka spraw – zaczął Bruno, rozsiadając się wygodnie w biurze architekta. – Proszę się nie stresować – dodał, gdy zobaczył lśniące kropelki potu na czole rozmówcy. – Czytałem nieco o pańskiej firmie. Zdaje się, że Trocki/Wilski jest topowym biurem, do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Wilski/Trocki, panie detektywie. Wilski/Trocki – odparł architekt.  
– Owszem, jesteśmy najbardziej renomowaną pracownią architektoniczną w kraju, zaczynają nas zauważać za granicą. Ale laicy często nie mają takiej wiedzy.

Bruno uśmiechnął się i okręcił na boki w czarnym obrotowym krześle, przyglądając się wnętrzu. Było minimalistyczne, tak jak się spodziewał. Nie licząc brązu fornirowanych płyt na ścianach, jedynymi kolorami w pomieszczeniu były czern i biel. Architekt, który siedział teraz przed detektywem, skusił się tylko na jeden spersonalizowany detal – było to oprawione zdjęcie dorosłej córki postawione na biurku.

– Dziś jest pan sam – powiedział Trocki, a Bruno odnotował, że nie było to pytanie.

– Tak. To niedobrze? – Uśmiechnął się.

– Nie, nie. Po prostu odniosłem wrażenie, że pana kolega to ten dobry glina – spróbował zażartować architekt.

– Pewnie się pan nie pomylił – odpowiedział Bruno z uśmiechem i zaczął z premedytacją siorbać gorącą kawę. Widząc malujące się na twarzy Trockiego zniecierpliwienie, przeszedł do tematu, który go tu sprowadził. – Panie Trocki, nie chcę zajmować panu czasu. Przejdźmy od razu do rzeczy. Myślę, że może mi pan pomóc w dwóch sprawach – powiedział. – Obie dotyczą pracy w tym biurze. Pierwsza – waszych klientów lub współpracowników. Czy jest pan

w stanie wskazać osoby, z którymi pański wspólnik mógł mieć zatarg?

– Zatarg? – spytał Trocki i nerwowo zamrugał.

– Na przykład z kimś się pokłócił. Nie chcę za bardzo sugerować, ale może jakiś pracownik domagał się podwyżki albo trafił się nieusatisfakcjonowany inwestor? Albo na przykład pojawiły się kłopoty w jakimś urzędzie, przez co zmarłemu mogły puścić nerwy i narobił sobie kłopotów? Cokolwiek. Proszę się zastanowić.

Architekt milczał przez chwilę, jakby faktycznie się zastanawiał.

– Tadeusz nie miał zbyt dużego kontaktu z pracownikami, nie wychodził poza swoje biuro – powiedział w końcu. – Chyba że akurat z kimś pracował nad jakimś projektem konkursowym. Nie były to nigdy tematy na tyle poważne, by miał całą koncepcję wziąć na siebie – mam na myśli ubranie pomysłu w rysunki. Dlatego przysiadał na biurku wybranego projektanta i tłumaczył mu swoją wizję. Chciał chyba, żeby inni się łudzili, że z nim współpracują, współtworzą.

– Z panem nie współpracował?

– Niezwykle rzadko.

– A ci współpracownicy... mogli mieć mu za złe takie wykorzystywanie w pracy? – spytał Bruno.

– Wykorzystywanie? Absurd, proszę pana. Po pierwsze, w pracy architekta są dni, kiedy trzeba się wykazać kreatywnością, ale są też i takie, kiedy trzeba być tylko wykonawcą. Praca wizjonera to przywilej. Po drugie, tu nikt nie narzeka na pracodawcę, bo każdy młody architekt marzy o pracy w tym biurze. Proszę popytać na Wydziale Architektury, sam pan zobaczy.

Bruno pokiwał głową.

– Pan pracuje jako wizjoner? – spytał.

Leszek Trocki delikatnie się wyprostował i nieznacznie podniósł podbródek. Miękkie światło ze szpary w suficie lekko zamigotało.

– Zazwyczaj – powiedział architekt.

– Ale nie tak często jak pana wspólnik – stwierdził detektyw.

– Skąd... Skąd taki wniosek? – spytał Trocki łamiącym się głosem.

– Nieważne, to mi wystarczy. – Bruno udał, że coś notuje. Nie chciał patrzeć na zawstydzoną twarz tego człowieka. Było mu go trochę żal. Architekt odchrząknął.



– Pracownicy kierowali wszystkie zażalenia czy też wnioski do mnie, panie Kosowski – powiedział.

– Mniej się pana bali. – Bruno się uśmiechnął, licząc na to, że tym małym komplementem podbuduje pewność siebie rozmówcy. Gdy spojrzał na jego twarz, zrozumiał, że popełnił błąd. – Chodzi mi o to, że zapewne jest pan bardziej otwarty, bardziej przyjazny – dodał pospiesznie. Trocki nieco się rozchmurzył.

– Tak. Tak, Tadeusz był zwykle bardziej surowy i zamknięty w sobie – przyznał.

– A inwestorzy do kogo przychodzili? – spytał Bruno, choć znał już odpowiedź.

– Najczęściej do Tadeusza.

– Czy ostatnio jakiś dobijał się do niego natarczywiej niż zwykle?

– Teraz, jak pan to przedstawia w ten sposób, to wydaje mi się, że faktycznie coś takiego miało miejsce – odparł architekt.

Bruno pochylił się w jego stronę.

– Doprawdy? Pamięta pan, o co chodziło? – spytał.

– Tak, tak, przypominam sobie. Za budowlanki często odpowiadają młodzi architekci, co zwykle prowadzi do mniejszych lub większych problemów. Tak było i tym razem... Ciężko chłopaka winić, nie wpadł na to, że wymogi budowlane w Niemczech i w Polsce różnią się od siebie. Nigdy nie projektowaliśmy budynku, który miał stanąć akurat tam...

– Inwestor jest Niemcem?

– Nie. To Polak, wyjechał dawno temu, aktualnie zajmuje się deweloperką. Zaraz poszukam jego wizytówki... – Trocki zaczął niezgrabnie wyciągać wszystkie papierki z kieszeni marynarki i spodni, otworzył też szuflady i grzebał w nich zawzięcie.

– Ten inwestor przychodził do Wilskiego? – spytał w tym czasie Bruno.

– Chciał – odparł Leszek, nie przestając szukać. – Przyszedł tu niedawno i narobił trochę krzyku. Uspokoilem go, że projekt zostanie poprawiony i dostosowany do wymogów niemieckich, ale wściekał się, że ma zakontraktowanych wykonawców. Nalegał na spotkanie z Tadeuszem, jakby miało ono cokolwiek zmienić.

– Wilski się z nim nie spotkał?

– Nie. Był wtedy w podróży służbowej. Widziałem tego faceta jeszcze na bankiecie; Wilsy zapraszają inwestorów... Ale nie wiem, czy rozmawiali. O! Proszę bardzo – zakończył z uśmiechem satysfakcji, podając mu przybrudzoną, pogiętą wizytówkę.

– Waldemar Schmiegeła – przeczytał Bruno.

– Właściwie Śmigąła – poprawił Trocki. – Z tego, co pamiętam, tak się przedstawiał.

– Dzięki. Wspomniał pan o podróży służbowej zmarłego... To druga sprawa, o którą chciałem spytać – zmienił temat Bruno. – Co to właściwie była za podróż? Pana wspólnik wrócił mocno opalony, panie Trocki.

– Och, tak, ta sprawa. No, mamy projektować budynek we Włoszech, na konkurs...

Bruno nachylił się znowu w kierunku rozmówcy.

– I wszyscy to potwierdzą? – spytał cicho. – Poproszę pierwszego lepszego pracownika i coś mi powie o tym projekcie?

Leszek Trocki znieruchomiał i zacisnął szczęki.

– Nie powinienem o tym mówić – powiedział po chwili.

– O czym? O tym, że pański wspólnik robi sobie wakacje na koszt firmy, czy raczej o tym, że miał tajemniczą towarzyszkę? Zatem słucham, panie Trocki. Z kim „interesy” robił Tadeusz Wilski?



Bruno siedział w swoim biurze i postukiwał palcami o blat biurka. Co jakiś czas zerkał na zakurzony zegarek. Jego gość spóźniał się już piętnaście minut. Detektyw spojrzał z niesmakiem na stertę papierów piętrzących się na biurku i koty kurzu w kątach pomieszczenia. Będzie musiał z kimś o tym porozmawiać. Zebrał papiery na jeden stos i przełożył pod biurko, tak żeby wchodzący nie zobaczył bałaganu. Może potem posprząta.

Mężczyzna wyciągnął telefon i już zaczął wybierać numer widniejący na wizytówce, gdy do pokoju z impetem wszedł średniego

wzrostu mężczyzna. Był ubrany w dobrze skrojony szary garnitur, przez szyję niedbale przewiesił granatowy wełniany szal, kręcone włosy delikatnie zaczesał, ukazując pokaźne zakola. W ręku trzymał mokry czarny płaszcz i czarny kaszkiet. Brunowi coś jednak nie do końca pasowało w jego wyglądzie. Gość nie był w tym stroju autentyczny. Wtedy sobie przypomniał. „Jakby był przebrany”. Tak Kalina określiła nieznanego.

– Przepraszam pana, panie władzo – powiedział tubalnym głosem, dziarsko pokonując kilka dzielących ich kroków. – Jedna ulewa i od razu korek. Do tego trochę dłużej mi zeszło na rozmowie z moimi wykonawcami, niż sądziłem. Słowo daję, deweloperka to ciężki chleb.

– Ale chyba opłacalny, mimo wszystko. – Bruno się uśmiechnął, wstał i uściśnął rękę swojemu gościowi. Gdy puścił, roztarł dłoń, zastanawiając się, czy nie będzie potrzebował rehabilitacji.

– Oj tak. Śmigąła – przedstawił się mężczyzna. – Czym mogę służyć?

– Kosowski. Prowadzę sprawę śmierci Tadeusza Wilskiego. Zdaje się, że znał go pan? – spytał Bruno i zauważył, że wywołał u dewelopera zmieszanie.

– Tak... Podjąłem współpracę z biurem Wilski/Trocki – powiedział i opadł na fotel.

– Podobno ta współpraca nie należała do udanych? – spytał Bruno, również zajmując miejsce.

– Ktoś już panu doniósł, co? – spytał Śmigąła i prychnął z niedowierzaniem. – Założę się, że to ten drugi, ten Trocki.

– To nie jest istotne. Ważne, że wiem, iż nie pałał pan sympatią do zmarłego.

– Co pan insynuuje? – spytał deweloper podniesionym tonem.

– Na razie nic – odparł Bruno. – Chciałbym poznać szczegóły sprawy. Mógłby pan też coś wspomnieć o bankiecie, na którym, jak wynika z zeznań pozostałych gości, nieco się pan awanturował...

– Dobra. Niech pan zatem uważnie słucha, bo mój czas to pieniądz i nie będę się powtarzać – odparł zdenerwowany Śmigąła i rozparł się w fotelu. – Zamówiłem projekt centrum handlowego u tych partaczy. Chciałem dostać propozycję najlepszą z możliwych i wesprzeć rodzimy biznes, bo może i wyemigrowałem, ale Polskę

kocham. Do momentu przyklepania projektu koncepcyjnego wszystko szło jak z płatka. Projekt – miodzio! No mówię panu! Na tym etapie kontaktowałem się jeszcze z Wilskim. To on zajmował się inwestycją. Sądziłem, że tak będzie do końca. Odebrałem z zadowoleniem projekt i wpłaciłem resztę umówionej kwoty na konto Wilski/Trocki. Powinienem jednak uważnie go sprawdzić, a ja, jak ostatni głupek, zaufałem na słowo, że wszystko jest poprawnie. Pani w urzędzie szybko wyprowadziła mnie z błędu, kiedy wydała postanowienie dotyczące pozwolenia na budowę: odmowne! I do tego kilka kartek wyszczególnionych błędów, na które do tej pory nie znalazłem rozwiązania! Przyznaję, panie władzo, zdenerwowałem się. Mocno. To mnóstwo kasy zapłaconej tym partaczom i koniecznej do wypłacenia wykonawcom. Wykonawcom, którzy będą dla mnie pracować w określonym czasie. – Śmigła przeciągnął dłonią po czerwonej od gniewu twarzy i westchnął. – Poszedłem do tego biura i domagałem się wyjaśnień. Nie zastałem wtedy Wilskiego, był na spotkaniu. Ale patrzę: zmierza do mnie jakiś młodszy architekt, chce porozmawiać o problemach związanych z projektem. Bo to on go robił. On! Nie Wilski! Śmiem podejrzewać, że chłopak przez swoją wylewność wyleciał z pracy... Nie wyobrażałem sobie, że można mnie potraktować tak niepoważnie. Żeby jeszcze ten projekt dostał ktoś z większym doświadczeniem... Ale pytam chłopaka, ile tu pracuje, a on mi na to, że rok. No panie, krew mnie zalała!

– Rozumiem. Faktycznie, też bym nie zniósł tego dobrze. Ciekawi mnie, jak pan zareagował?

– A co ja mogłem? Próbowałem się dostać do tego Wilskiego. Chciałem pełnego zwrotu kosztów i kary finansowej. Jestem przekonany, że ten cwaniak mnie unikał. Nie odbierał telefonów, jego sekretarka zawsze mówiła, że jest na spotkaniu albo na wyjeździe służbowym. Prawda jest taka, że typ nie miał najmniejszego zamiaru wziąć odpowiedzialności za ten cały syf. Po kolejnej odmownej odpowiedzi sekretarki najzwyczajniej tam wparowałem. Wtedy spotkałem tam tylko tego Trockiego, bo Wilski znów rzekomo był na wyjeździe służbowym.

Bruno przyjrzał się uważnie mężczyźnie, który zdążył już mocno poczerwienieć.

– A na bankiecie? Udało się panu porozmawiać z Wilskim? – spytał.

– A skąd! – krzyknął Śmigąła i energicznie zamachał rękami. – Unikał mnie tak samo jak wcześniej.

– Długo pan tam zabawiał?

Czy Brunowi się wydawało, czy z twarzy Śmigąły zniknęła na chwilę pewność siebie?

– Nie. Pokręciłem się chwilę. Zdążyłem jeszcze nakrzyczeć na kogoś, z obsługi chyba... Wstydy mi za to. Nie jestem taki.

– Z pewnością – odparł chłodno Bruno.

– Panie władzo, proszę mnie nie oceniać pochopnie. Owszem, miałem na pieńku z tym architektem, ale nie ja jedyny. Przy takiej postawie, jaką reprezentował ten typ, myślę, że musiał robić sobie wrogów co chwilę. Ale błagam, nie zrobiłem mu przecież nic złego. Traci pan na mnie czas – swój i mój – powiedział, a po chwili dodał:

– Proszę raczej przyjrzeć się temu wspólnikowi. Temu Trockiemu. Jemu powinien się pan dobrać do dupy, nie mnie. Gość ma coś za uszami, mówię panu.

– Co ma pan na myśli? – spytał Bruno.

– Ja nie toleruję nielojalności, panie władzo. A Trocki był najzwyczajniej w świecie nielojalny wobec swojego partnera. Wiem, jak to brzmi, bo dopiero co sam wjeżdżałem na Wilskiego. Ale nie wolno być nielojalnym! Ja nie wiem, jak ten ich cały burdel funkcjonuje, słowo daję!

– Proszę się uspokoić.

– Tak. – Śmigąła odchrząknął. – Przepraszam. Mam ostatnio zszargane nerwy. Do tego problemy z ciśnieniem... No ale wracając do tematu: Trocki. Kopie. Dołki. Pod Wilskim. Od dawna. Gdy go spotkałem, sugerował, że gdyby tylko dostał większą władzę w firmie, takie sytuacje nie miałyby miejsca.

Bruno zmarszczył brwi.

– To były jego słowa? – spytał.

– Dokładnie tak mi powiedział, panie władzo.

– A co pan o tym sądzi?

– Że to bzdura. Że wierzy w to jako jedyny. Proszę na niego spojrzeć, panie władzo. To nie jest prawdziwy biznesmen. Gołym

okiem widać, że zawsze pozostawał w cieniu wspólnika, i jestem przekonany, że jego śmierć była mu na rękę.



Gdyby nie wyjątkowo jak na tę porę roku ostre słońce, nadal by spał. Przetarł drapiącą dwudniowym zarostem twarz i z ociąganiem wstał, by zasłonić okno. Powinien był o tym pamiętać, gdy przyszedł wczoraj z pracy. Zawsze to robił ze względu na ostrożność – sam nieraz widział swoich sąsiadów w niepozostawiających wiele pola dla wyobraźni pozycjach. Wczoraj jednak czuł się wyjątkowo zmęczony i najzwyczajniej w świecie zapomniał. Świadomość, że w domu najpewniej ktoś będzie na niego czekał, tylko to zmęczenie pogłębiała. Spotkanie było kwestią czasu i najchętniej odłożyłby je na później, gdyby nie fakt, że w rzeczywistości sam go potrzebował. Mężczyzna miał wieczne wyrzuty sumienia z powodu tej znajomości, ale nie były one zbyt wysoką ceną za korzyści płynące z ich kontaktów.

Staął przed oknem i zanim zdążył je zasłonić, zauważył (a przynajmniej tak mu się wydawało, bo wzrok zawodził go już od lat) zgorzłą twarz sąsiadki z bloku naprzeciwko. Odwrócił się od okna w stronę łóżka. Ona wciąż w nim była. Spojrzał z zażenowaniem w dół, na swoje nagie ciało. Nie jest takie silne jak dawniej, okłamywał sam siebie, bowiem nigdy do silnych nie należało. Skóra już mu obwisała, o intymnych partiach ciała nie wspominając, a włosy na kłacie się przetarły i pozostały mu z nich tylko pojedyncze sztuki. Ta dziewczyna... Nie rozumiał, co w nim widzi. Przez większość czasu czuł się w jej towarzystwie jak młody bóg. Ale czasem przychodził taki poranek, kiedy patrzył na siebie i ponownie był stary. Ona z kolei była śliczna, wysportowana i młoda przez całą dobę. Różnica wieku i w wyglądzie nie była jednak największym problemem tej niezdrowej relacji.

Leszek był współnikiem jej ojca i gdyby ten się dowiedział o tym, co ich łączy, skutki byłyby opletane dla wszystkich. Tak było jeszcze



tydzień temu, ale sytuacja zmieniła się diametralnie. Teraz Leszek nie miał wspólnika, a jego firmę – i córkę – posiadał na bezpieczną wyłączność. Pozostało tylko dopilnować formalności z Elżbietą.

Karolina przeciągnęła się w łóżku. Na jej bladej skórze dostrzegł kolorowy tatuaż otoczony czerwonymi plamami, których pojawienie się spowodował on sam. Tak, ta noc była wyjątkowa. Leszek powinien już pędzić do pracy, ale nie potrafił zostawić jej samej. Nie teraz. Wrócił do łóżka i położył się obok dziewczyny na wznak. Mruknęła i przekręciła się w jego stronę, zarzucając rękę na jego łysiejący tors.

– Nie musisz już iść? – wymruczała z wciąż przymkniętymi powiekami.

– Powinienem. Ale pomyślałem, że wczoraj nie porozmawialiśmy – odparł poważnie, nadal patrząc w sufit. Dziewczyna milczała. – Karolina? Porozmawiamy? – spytał.

– Ty zawsze chcesz tylko rozmawiać – odparła niechętnie.

– Wydaje mi się, że jest ci ciężko. To zrozumiałe. Chciałem wiedzieć, czy czegoś ci nie potrzeba, czy mógłbym ci jakoś ulżyć w smutku – powiedział Leszek, przekręcając głowę i patrząc na dziewczynę. Wyglądała słodko, jak zawsze rankiem. Niezwykle rozczulał go widok jej platynowych włosów przyklejonych do zaczerwienionego policzka.

Karolina prychnęła pogardliwie i odwróciła się do niego plecami.

– Kilka godzin temu solidnie mi ulżyłeś – powiedziała, a twarz Leszka momentalnie zmieniła kolor na czerwony. – Leszek, daj spokój. Chyba nie chcesz mi robić za ojca. To dopiero byłoby dziwne.

Trocki leżał jeszcze chwilę, patrząc w sufit, i powoli trawił jej słowa. Karolina bywała opryskliwa. Zupełnie jak jego własna córka. Mała różnica wieku między nimi przerażała go. Pozostawał niezwykle wyczulony na punkcie własnej rodziny, a jego dziecko było oczkiem w głowie tatusia. Niestety od czasu rozwodu rzadko widywał się z córką, bo ta nieustannie go unikała. Nie rozumiał tego przez długi czas, aż sama mu to wyjaśniła. Magda miała ojcu za złe, że nie potrafił być takim mężem, na jakiego zasługiwała jej matka. Obwiniła go o rozpad małżeństwa rodziców, a przy tym pozostawała całkiem głucha na jego nieśmiało wtrącane argumenty,

że matka też przecież nie była taka święta. Leszek nie powinien był wtedy oczerniać Ireny w oczach córki, ale nie widział innego wyjścia. Zresztą! Co to za oczernianie? Przecież to, co jej powiedział, było samą prawdą. Może i spędzał dużo czasu w biurze, ale Irena miała swoje sposoby walki z nudą. Wspierał ją w niej jej nauczyciel włoskiego, Lodovico. Leszek nigdy nie wiedział, po co jej ten język, ale teraz może go swobodnie używać w Rzymie, gdzie w końcu zamieszkała z córką oraz z samym Lodovikiem.

– Nie masz dziś zajęć? – spytał.

– Nie wiem. Nie interesowałam się – odparła Karolina.

– Dlaczego?

– Rzucam to. Żaden ze mnie psycholog – powiedziała i wstała z łóżka.

– Przecież jesteś na ostatnim roku...

– Daj mi spokój. Zaraz wracam. Przynieść ci wody?

– Poproszę – odparł i odprowadził jej nagą sylwetkę wzrokiem. Kochał to ciało, kochał jego właścicielkę. Kochał też swoją byłą żonę. I tak, przyznawał się do tego coraz częściej – kochał także mamę swojej młodej kochanki, Elżbietę. Leszek miał problem – kochał bowiem wszystkie kobiety.

Mężczyzna wciąż wypisywał do żony na Facebooku, licząc, że zauważy choć cień zainteresowania z jej strony. Jego próby nie odniosły jednak skutku. Ile by dał, żeby rzucić Irence w twarz, że ma młodszą i piękniejszą dziewczynę. Do tego zazdrosną jak diabli. Karolina lubiła przeglądać jego rzeczy – w tym wiadomości. Robiła mu aferę, gdy tylko spytał Irenę, co u niej słyhać. Jakiś czas temu Karolinka obraziła się na niego tak, że nie odzywała się przez dwa tygodnie. Przychodziła tu, spędzali razem czas w łóżku (choć nie miał na to tyle siły, co ona), ale dziewczyna uparcie milczała. Czasem zasypiała, jak zawsze przy włączonym świetle, a rano wychodziła, w ciszy. Któregoś dnia poczuł, że ma dosyć takiego traktowania, czuł się z tym głupio i nie chciał, żeby Karolinka go wykorzystywała. Posadził ją przed komputerem i demonstracyjnie usunął swoje konto na Facebooku. Karolina pocałowała go w usta i wyszła, a gdy wróciła kolejnego dnia, znów się odzywała. Leszek nie powiedział jej, że założył drugie konto. Trzymał je w tajemnicy, służyło mu wyłącznie do rozmów z żoną i córką.

– Do jasnej cholery! – usłyszał krzyk dziewczyny dobiegający z kuchni. – Leszek, do kurwy nędzy, co to ma być?!

Czyli znalazła, pomyślał i zagryzł wargi, przygotowując się do walki.

– Co to ma być, Leszek?! – Karolina wparowała do pokoju i rzuciła w niego plikiem kartek, pozostałe teatralnie przeglądając. –

Wykupienie udziałów? Jak mam to rozumieć? Nie tak się umawialiśmy!

– Rybko, uspokój się. Wszystko ci wytłumaczę. Usiądź, proszę. Usiądź. Mam rozsądne wyjaśnienie tej sytuacji.

– Lepiej, żebyś miał – odparła gniewnie Karolina i energicznie usiadła naprzeciwko Trockiego.

– To jedyna rozsądna opcja. Zastanów się. Wiem, że chcesz pracować w biurze, ja to rozumiem...

– Chcę pracować? Kpisz sobie? Gdybym tylko mogła zawrzeć układ z Bogiem, żeby zamienił nas miejscami, żebyś ty był tu, gdzie ja, a ja tam, gdzie ty, zrobiłabym wszystko. Wszystko, Leszek. Założyłabym pieprzoną włosienicę i pomaszerowałabym w niej do Częstochowy, co mi tam, do Guadalupe, Leszek. Zapieprzałabym do Guadalupe.

– Wiem... – powiedział pod nosem.

– Wiesz. Co z tego? Nic z tego nie wynika! Wiesz to od dawna i nie zrobiłeś nic. Ile razy prosiłam, żebyś porozmawiał z ojcem?

– To nie takie...

– ...proste? Mnie to mówisz? No owszem, ojciec nigdy tego nie ułatwiał, ale kilka dni temu wspiał się na wyżyny splawiania, nie sądzisz?

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj, Leszek. Zawdzięczasz pieprzoną karierę mojej rodzinie. Mojemu tacie i mnie. Zaczął zwracać uwagę na twoje propozycje, dopiero jak przestały być twoje. Jak podstawiałeś mu pod nos moje rysunki. Dobrze o tym wiesz.

Leszek nie odpowiedział. Odwrócił twarz, by ukryć wstyd. Nienawidził swoich słabości. Poczul, jak po policzku spływa mu łza, poczul sól w ustach.

– Ty płaczesz? – spytała z odrazą.

– Nie.

– Płaczesz. Przepraszam.

– Nic się nie stało, masz rację przecież.

– Nie, przepraszam. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Przepraszam.

Karolina objęła go ramionami i mocno przytuliła. Była ciepła. Poczul na ramieniu mokry policzek. Ona też płakała. Miał chwilę przewagi.

– Karolinko, obiecuję ci, że wciągnę cię do biura. Kiedyś zmienimy nawet nazwę na Wilska/Trocki, jeśli będziesz tego chciała.

– Naprawdę?

– Tak. – Uśmiechnął się pocieszająco i odwrócił, by otrzeć jej łzę. Znów była bezbronna, taka, jak lubił najbardziej. – Posłuchaj – powiedział poważnie. – Muszę odkupić te udziały od twojej mamy. Inaczej pół firmy przypadnie twojemu bratu. Obawiam się, że wtedy wszystko się pokomplikuje. Chłopak nie rwie się do pracy, za to lubi wystawne życie, przecież wiesz. Może doprowadzić firmę do ruiny.

– Nie mów tak o nim. Nie znasz go tak jak ja – odparła lekko zagniewana. Leszek westchnął ciężko. Nie rozumiał jej relacji z bratem.

– W porządku, ale musisz przyznać, że Filip raczej nie będzie dobrym architektem. A to prestiżowa firma.

– Musisz wykupić udziały? Mój brat przecież nie zrukuje biura, byłby współnikiem, nie rządziłby sam.

Leszek ponownie westchnął.

– Ma większość. Byłem w trudnej sytuacji po rozwodzie. Sprzedałem część udziałów twojemu tacie. Nie chciał mi ich później odsprzedać.

Karolina nie odpowiedziała. Leszek spojrział na nią z zatroskaniem.

– Rozchmurz się. Wykupię wszystko i wciągnę cię do biura. Obiecuję.

*J*esteś sama? – usłyszała męski głos w słuchawce, a jej serce przyspieszyło. Od kilku dni niespokojnie zerkała na telefon, licząc na to, że w końcu zadzwoni. Pokusiła się nawet o sprawdzenie poczty głosowej, co wydawało jej się absurdalne już w chwili, gdy wpadła na ten pomysł. Usprawiedliwiła się jednak, przypominając sobie, że Bruno jest od niej starszy.

– Myślałam, że już zapomniałeś o naszej umowie – powiedziała.

– Matko Boska, niczego nie zrobiłaś, prawda? – spytał mężczyzna z przerażeniem w głosie.

– Nie. Moja współlokatorka wyjechała na weekend. Czekam – odparła Kalina i odłożyła telefon.

Jeśli Bruno dopiero wyjeżdża, to będzie tu za około czterdzieści minut, a więc jest jeszcze sporo czasu. Na pewno się wyrobi. Kalina wstała ze spokojem od komputera i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Schyliła się, by poszukać słomek w pomalowanych na granatowo szafkach, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

Dziewczyna wyprostowała się i niepewnym krokiem podeszła do fioletowych drzwi wejściowych. Czuła kropelki potu na czole, co w obecnej sytuacji było jej bardzo nie na rękę. Drżącą ręką odchyliła wizjer w kształcie oka. Bruno.

– Cholera... – zaklęła cicho i zacisnęła mocno oczy, zapominając przy tym o ostrożności. Nie chciała nic zepsuć, ale chyba nie miała już na to wpływu. Zdjęła staroświecki łańcuszek zabezpieczający wejście i przekręciła zamek. Ustąpił z głośnym skrzypnięciem.

Mężczyzna stojący w drzwiach oniemiał.

– Kalina – powiedział Bruno, bo tylko tyle był w stanie z siebie wykrztusić.

– Wejdz, wszystko ci wyjaśnię – odparła. – Właśnie robiłam kawę, napijesz się?

– Dasz w ogóle radę ją wypić? – spytał.

– Mam swoje sposoby – powiedziała z uśmiechem, a gdy dostrzegła jego powątpiewający wzrok, dodała: – Mam słomki, Bruno. Też chcesz?

– Ja sobie poradzę – powiedział i zaśmiał się. – Co ci się stało? Wyglądasz inaczej.

– Poznałeś mój mały sekret. Rozgość się, zrobię tylko zdjęcia i pójdę to zmyć... Albo wiesz co? – dodała, patrząc na gościa wyzywająco. – Skoro już tu jesteś, to ty mnie sfotografuj. Umiesz? Pewnie czasem robisz zdjęcia trupom.

– Tym akurat się nie zajmuję. Ale pstryknąć umiem, a nawet postaram się nie uciąć nóg – odparł.

– Na nogach mi nie zależy. Sama twarz, okej? – odpowiedziała i poszła po aparat. Ustawiła się twarzą w kierunku okna i spojrzała z nostalgią na zachmurzone różowe niebo. Miała nadzieję, że klimat dzisiejszego wieczoru w jakiś sposób odbije się w jej oczach. Bruno kliknął kilka razy i poprosił, by sprawdziła, czy efekt jest dla niej satysfakcjonujący.

Kalina patrzyła teraz na nieznaną sobie blondynkę o niebieskich oczach i bladych różowych ustach. Uśmiechnęła się, wyszło tak, jak chciała.

– Kogoś mi przypominasz – powiedział Bruno. – Jakąś aktorkę?

– Nie – odparła Kalina i uśmiechnęła się. – Obawiam się, że możesz nie znać.

Kalina zdjęła perukę, wyjęła soczewki z oczu i zmyła makijaż. Wydawało jej się, że nie było jej tylko przez chwilę, ale gdy weszła do pokoju, zobaczyła, że jej gość musiał się w tym czasie znudzić.

– Co robisz? – spytała ostro, widząc, jak Bruno przegląda zawartość stojącego przy komputerze pudełka po butach.

– Wybacz – powiedział, chyba szczerze. – Było otwarte, leżało na biurku, zobaczyłem te zdjęcia na wierzchu, a że zaciekawiałaś mnie niezwykle, chciałem więcej. Nie wpadłbym na to, że zajmujesz się charakteryzacją.

– To tylko hobby – odpowiedziała Kalina asekuracyjnie. – Któreś zdjęcie szczególnie ci się spodobało?

– Nie wiem, wszystkie są fantastyczne – odparł i zaczął w zamyśleniu przerzucać odbitki. – Podobają mi się te, gdzie mogę

rozpoznać w tobie celebrytki, a nawet... Zaraz, zaraz... celebrytów?

Kalina uśmiechnęła się skromnie.

– Ale wiesz, podobasz mi się też na zdjęciach, gdzie robisz „tylko” makijaże albo, jak na przykład tu – Bruno pokazał zdjęcie – nakładasz sobie sztuczne blizny. Czemu się tym nie zajmiesz zawodowo?

– Już ci tłumaczyłam – odparła.

– Więc to tylko hobby? – spytał Bruno, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ale publikujesz to gdzieś?

Kalina milczała wymownie.

– Czemu nie? – spytał Bruno.

– Nie jestem dość dobra – przyznała i żeby ukryć zawstydzenie, wyszła do kuchni.

– Chyba żartujesz. Jesteś w tym świetna! – krzyknął za nią i poderwał się z krzesła. – Po co ci była ta architektura?

– Mówiłam, kwestia korzeni. Tak wyszło – ucięła Kalina, sypiąc do kubków kawę rozpuszczalną.

– Mama czy tata? – ciągnął Bruno.

Dziewczyna westchnęła.

– Mama, jak już musisz wiedzieć – powiedziała. – Ale droga na studia nie była przez to łatwiejsza. To nie tak, że miałam znajomości na wydziale. Nigdzie nie mam żadnych znajomości, bo moja mama umarła, zanim się dowiedziała, co zamierza studiować jej córka.

Bruno przygryzł wargę. Dziewczyna odwróciła się do niego z kubkiem kawy w ręce. Nie była przygnębiona, ale lekko spięte brwi wskazywały na zdenerwowanie.

– Przykro mi – powiedział Bruno.

– Niepotrzebnie... – odparła. – To znaczy doceniam to, ale wszystko wydarzyło się dawno temu. Miałam raptem pięć lat. Wychowała mnie rodzina adopcyjna, bo tata... też umarł. Też jak miałam pięć lat.

– Jakiś wypadek? – spytał detektyw.

– Pożar – odpowiedziała krótko Kalina. – Z rodziną adopcyjną mieszkałam, aż wyniosłam się do liceum z internatem. Nie byli przekonani do tego pomysłu, ale w końcu się zgodzili. W drugiej klasie do mojego pokoju zakwaterowano dziewczynę, która również wyniosła się ze wsi, ale której rodzice marzyli o jej dobrym

wykształceniu. Zapisali ją na kurs rysunku. Jest z niego egzamin na wydział architektury. Moja ówczesna współlokatorka miała jednak inne plany niż jej rodzice. Na zajęcia chodziła, ale nie siedziała nigdy na nich do końca. Opowiadała mi, że poznała jakiegoś starszego faceta. Wierzyła, że nie musi się uczyć. – Urwała, widząc minę Bruna. – Nie chciałam jej oceniać i ty też tego nie rób. Cieszyłam się, kiedy przynosiła tutoriale rysunkowe, na których mogłam ćwiczyć. W końcu się dostałam, tuż nad kreską, ale udało się. Tak naprawdę to dzięki niej.

– A ona?

– Nie podeszła do egzaminu – odparła Kalina, wzruszając ramionami. – Wnioskując po jej profilu na Facebooku, ułożyła sobie życie dokładnie tak, jak chciała. Chyba jest szczęśliwa.

– A ty? – spytał Bruno. – Jesteś szczęśliwa?

Kalina wpatrywała się chwilę w swojego gościa. Zmarszczone brwi sugerowały, że głęboko zastanawia się nad odpowiedzią. Rozchyliła wargi i już miała odpowiedzieć, ale Bruno wszedł jej w słowo, czując, że poruszył kolejny drażliwy temat.

– Pewnie jesteś ciekawa, jak śledztwo? – spytał, wyglądając za okno, gdzie na łysym drzewie, skrzecząc głośno, biły się dwie wrony.

Bruno dostrzegł kątem oka, jak Kalina energicznie pokiwała głową, jednocześnie próbując ukryć twarz w kubku z kawą.

– Wybacz, że nie dzwoniłem – powiedział.

– Nie mogłeś? – spytała z wyrzutem. – Minęły dwa tygodnie.

– Praca się trochę rozwlekła. Miałem trochę przesłuchań... Nie mogłem cię na nie zabrać – odparł i z trudem odwrócił wzrok od skąpanych w różowym słońcu ptaków.

– Dlaczego? – spytała Kalina, marszcząc brwi. Wcześniejsze zakłopotanie zniknęło.

– Najpierw przesłuchiwałem Trockiego, a on mógł cię skojarzyć z przyjęcia... Kalina, nie powinnaś brać udziału w przesłuchaniach, to wiąże się z dużym ryzykiem. W przypadku matki zmarłego popełniłem błąd.

– Popętniłeś ich już wiele. – Kalina pokręciła głową i powiedziała z wyrzutem: – Nie tak się umawialiśmy.

– Wiem – odpowiedział Bruno i ciężko westchnął. – Ale to śledztwo musimy doprowadzić do końca. A nie zrobimy tego, jeśli



ktoś wywlecze na wierzch naszą współpracę. Słuchaj, Trocki skierował mnie na ciekawy trop...

Bruno nagle zerwał się z krzesła, tylko po to, żeby po chwili usiąść przed komputerem Kaliny i wstukać coś na klawiaturze. Kalina stanęła za nim i poczuła mrowienie na plecach. Na monitorze pokazała się biało-niebieska strona z wyszukiwarką. Facebook.

– Kogo szukasz? – spytała podejrzliwie.

– Jednego faceta – odparł i kliknął w czyjś profil. – Spójrz.

Kalina nachyliła się i popatrzyła na fotografię. Poczowała, jak brwi same wędrują jej do góry. Z rozmazanego, zrobionego tanią cyfrówką zdjęcia profilowego patrzyła na nią z szerokim uśmiechem twarz mężczyzny o prześwietlonych oczach.

– Poznajesz go? – spytał Bruno.

Kalina w ciszy pokiwała głową, a Bruno klasnął w dłonie.

– Tak sądziłem – odparł z nieukrywaną satysfakcją w głosie.

– To ten facet z bankietu – powiedziała dziewczyna, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Jak go znalazłeś?

– Trocki wspomniał o jednym problematycznym kliencie, któremu Wilski załatwił za skórę – odparł Bruno.

– Gadałeś już z nim?

– Ta... – powiedział detektyw, odchylając się wygodnie na oparciu i zakładając ręce za głowę. – Ale zanim ci opowiem szczegółowo, zgadnij, na kogo on z kolei przerzucił swoje podejrzenia.

– Nie wiem... – odparła Kalina i przygryzła wargę. – Jeśli ktoś znany w sprawie, to jedyną opcją jest Leszek Trocki. Facet zna tylko jego. Mam rację?

– Masz – powiedział z dumą mężczyzna. – Ten cały Śmigala uważa, że powinniśmy przyrzeć się Trockiemu. I tu w końcu liczyłem na twoją pomoc!

– Na moją? – Kalina była wyraźnie zaskoczona. – Co miałabym zrobić?

– Może masz jakieś wtyki w tym biurze? Albo ktoś z wydziału zna prezesa?

– Mogę popytać, ale... poważnie bierzesz Trockiego pod uwagę?

– spytała z powątpiewaniem Kalina.

– Czemu nie? – odparł z zaciekawieniem Bruno.

– Widziałam go na tym przyjęciu. To nie jest typ, który odważyłby się na coś takiego.

– Błąd – powiedział detektyw. – Właśnie taki typ popełniłby morderstwo z tchórzostwa. Zastanów się, Kalina. Facet jest wiecznie tym drugim. W spółce ewidentnie, a z tego, co się dowiedziałem, to dla żony również. Wnioskując po jego zachowaniu podczas pierwszego przesłuchania, jest też numerem dwa dla wdowy po Wilskim. Widywałem już takie przypadki.

– No, jak uważasz – odpowiedziała Kalina, robiąc przy tym nieprzekonaną minę. Bruno się uśmiechnął. Jej twarz była jak płótno, na którym ciągle malowały się emocje – całe spektrum emocji. Różniła się w tym od Rozalii, która na swojej twarzy sama malowała to, co chciała. Miła odmiana, pomyślał Bruno. Chyba posiedzi tu dziś dłużej. Może zamówią coś do żarcia? Ale najpierw praca.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która cię zaciekawia – powiedział Bruno, mrużąc oczy.

– Tak? – spytała zaintrygowana, wychodząc ponownie do kuchni. Bruno ruszył za nią.

– Wilski miał romans – powiedział.

Kalina się zatrzymała. Stała tak w bezruchu, plecami do detektywa. Chyba ją zaskoczył.

– Z kim? – zapytała, wciąż stojąc tyłem do gościa.

– To będzie dobre, uważaj... Lubię takie historie. To takie typowe... – mówił Bruno, niemalże przestępując z nogi na nogę.

– Z kim, Bruno? – zapytała ponownie, tym razem odwracając się do Kosowskiego.

– Z Anną Schmidt, z domu Wierzbicką – odparł, a gdy nie zobaczył u dziewczyny żadnej reakcji, dodał: – Ze swoją szwagierką.



Ciszę zagłuszało tylko tykanie kuchennego holenderskiego zegara. Kobieta w białej koszuli i bieliźnie podarowanej przez męża siedziała na łożku z papierosem w dłoni. Miękką poświata przedzierająca się przez ciężkie zasłony zwiastowała chłodny poranek. Kiedy kobieta wstała, usłyszała za sobą szelest pościeli. Nie obejrzała się jednak za siebie. Skierowała się prosto do okna, rozsunęła zasłony i otworzyła stare drewniane okna. Zawsze, gdy to robiła, odpadała z nich część białej farby. Na parapecie gromadziło się jej coraz więcej. Powietrze było rześkie, wydawało się nawet świeże, jakby ludzie darowali sobie w końcu palenie węglem i wymienili samochody na elektryczne. Rozalia wzięła głęboki wdech i odpaliła długiego, smukłego papierosa.

– Wróć do mnie – usłyszała zaspány głos za plecami. Uśmiechnęła się.

– Muszę się zbierać – odpowiedziała.

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi.

Rozalia wypuściła z wdziękiem dym papierosowy. Przeczesała dłonią krótkie włosy, o których – była tego pewna – pojawi się dziś dużo durnych artykułów na serwisach plotkarskich.

– Nie zrobię tego – powiedziała.

– Bo nie możesz?

– Mogę. Ale tego nie zrobię – odparła ze spokojem.

– A jednak przychodzisz tu od jakiegoś czasu – powiedział Bruno.

– Wciąż tu wracasz.

Rozalia mu nie odpowiedziała. Czuła w powietrzu narastające napięcie. Czekala.

– Twój mąż wie? – dociekał mężczyzna ze złością w głosie. Spodziewała się tego pytania, musiało paść prędzej czy później. –

Sądziłem, że skoro wciąż się ze mną spotykasz, chcesz zakończyć tę farsę.

Kobieta odwróciła się od okna i spojrzała zdziwiona na swojego kochanka.

– Co uważasz za farsę? Moje małżeństwo czy schadzki z tobą? – spytała. Uniosła lekko brwi i przekrzywiła głowę, patrząc na Bruna wyzywająco.

– On jest dla ciebie za stary – odparł mężczyzna. – Jedyne rzecz, która go wyróżnia, to kasa. To na to poleciałaś? Dowiem się kiedyś?

Rozalia spojrzała pogardliwie na mężczyznę i prychnęła z niedowierzaniem. Bruno musiał to zauważyć, natychmiast zrobił bowiem skruszoną minę.

– Przepraszam. Przesadziłem – powiedział.

Rozalia ponownie odwróciła się do okna i ze spokojem zaciągnęła się papierosem. Lubiła ten widok. Okno wychodziło prosto na Pałac Kultury i Nauki. Znajdowała się w najbardziej zatłoczonym miejscu w Warszawie, a mimo to nikt z dołu nie mógł jej dostrzec.

– On kiedyś się dowie – powiedział za jej plecami obrażony głos. – Być może nawet ode mnie, jeśli to sprawi, że do mnie wrócisz.

– Nie radziłabym – odparła, nadal spokojnie paląc i rozmyślając nad warszawskim porankiem. Usłyszała, jak mężczyzna wstaje z łóżka i zmierza w jej kierunku. Poczowała jego ciepły oddech na ramieniu.

– Bo? – wymruczał jej do ucha Bruno.

– Bo on skręci ci kark – odparła. Ciepły oddech ustał. Mężczyzna się odsunął. Rozalia uśmiechnęła się do siebie.

– Jeśli mnie skręci kark, to co zrobi tobie? – spytał poważnie mężczyzna.

– Nic. Bo nie powiesz mu nic, o czym by już nie wiedział.

Rozalia zgmiotła papierosa i zostawiła go na parapecie, po czym z trzaskiem zamknęła okno. Bruno wciąż milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Kobieta minęła go bez słowa i sięgnęła po spódnicę, którą wczoraj z niej ściągnął. Wzięła torebkę i skierowała się w stronę łazienki. Poszedł za nią. Gdy z profesjonalną dokładnością poprawiała wczorajszy makijaż, on stał oparty o framugę i uważnie się jej przyglądał.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu.

– Wiem – odpowiedziała, chowając tusz do kosmetyczki. – Muszę już iść. Mam coś ważnego do załatwienia.

Miała już go wyminąć, ale zatrzymała się na moment, spojrzała mu prosto w oczy, uśmiechnęła się i pocałowała w usta.

– Zdzwonimy się – powiedziała i już jej nie było.



Jadąc na spotkanie, Rozalia rozmyślała o poprzednim wieczorze. O spotkaniu ze znajomymi, o tej wyuzdanej długowłosej brunetce przy stole, o tym, jak patrzył na nią Zygmunt. Zrobiła mu później awanturę, bo nie tak się umówili.

Kiedy Rozalia pierwszy raz przyłapała męża na romansowaniu z inną kobietą, była zdruzgotana. Od ich ślubu minęło raptem kilka miesięcy. Chciała się zrewanżować, a oczywistym narzędziem był Bruno. Kosowski wciąż nie pogodził się z ich rozstaniem, mimo że miał wiele powodów, by ją znienawidzić. Przyjął ją jednak z otwartymi ramionami, a gdy następnego dnia wróciła do domu, mąż czekał już na nią w salonie. Zdawało się, że wie, gdzie była.

– Pogadajmy – powiedział swoim biznesowym tonem, podając jej kieliszek czerwonego wina. Złożył jej najbardziej upokarzającą propozycję świata, ale na nią przystała. Odtąd mieli tworzyć związek otwarty. Rozalia będzie ignorować wypadki męża, a on przymknie oko na jej wyskoki. Kobieta poprosiła tylko o jedno – nikt nie może się dowiedzieć. „Jeśli to dotrze do prasy, będziemy skończeni” – tak to argumentowała. Zgodził się.

Zanim Rozalia przybyła na miejsce, solidnie się rozpadało. Widząc, że nie ma wolnych miejsc postojowych, zaparkowała na kopercie. Obejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nigdzie nie czai się na nią paparazzi, a gdy nabrała pewności, że jest sama, wyskoczyła z samochodu i drogę do klatki pokonała biegiem. Zatrzymała się pod daszkiem, wyjęła lusterko, poprawiła makijaż i przyglądała krótkie włosy. Rozejrzała się jeszcze raz na boki i już spokojnym krokiem

ruszyła na górę. Za czasów studenckich Rozalia mieszkała w podobnym budynku i nie wspominała tego okresu dobrze. Kojarzył jej się z irytującymi współlokatorami, hałasującymi sąsiadami i robactwem (bo przecież w starym bloku wystarczyło, że pojawiły się w jednym mieszkaniu, i rozpełzały się na cały pion). Drzwi, przed którymi się zatrzymała, nie nosiły śladów zdewastowania, co zwiastowało, że może nie będzie tak źle. Zadzwoiła.

W szczelinie pojawiła się twarz, która wcześniej tylko gdzieś Rozalii mignęła. Nie zdążyła jej wtedy dobrze zapamiętać – i prawdę mówiąc, nie próbowała, bo wcale się nią nie interesowała. Teraz okoliczności się zmieniły.

– Dzwoniłam – powiedziała Rozalia.

Dziewczyna skinęła głową bez słowa i odsunęła stary łańcuszek.

Rozalia dyskretnie (jak sądziła) zmierzyła ją wzrokiem i podała jej rękę.

– Nazywam się Rozalia Ojdana – powiedziała.

– Kalina Dmitrijew – odparła dziewczyna oschle. – Proszę wejść, napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję. Spieszę się. Ale może od razu zaproponuję: przejdźmy na ty – powiedziała i obdarzyła Kalinę swoim najbardziej wystudiowanym uśmiechem.

Kalina popatrzyła na dziennikarkę z lekkim zdziwieniem, ale przystała na propozycję.

– Czyli gramy w otwarte karty? – spytała.

Rozalia uśmiechnęła się i rozejrzała po małej, kolorowej kuchni. Przy oknie znajdował się mały stolik i dwa rozkładane krzeselka.

– Może usiadziemy? – spytała, ignorując słowa Kaliny i wywołując na jej twarzy delikatne zmieszanie.

Nie czekając na odpowiedź, Rozalia usiadła, zakładając nogę na nogę. Dziewczyna zajęła miejsce naprzeciwko i przyjrzała się charakterystycznej pozycji dziennikarki, którą wielokrotnie widziała w telewizji... Kobieta uśmiechała się delikatnie, ale był to uśmiech daleki od tych sympatycznych. Raczej zaczepny. Oparła się łokciem o blat stołu i pochyliła odrobinę w kierunku Kaliny. Przypominała drapieżnika, bawiącego się swoją ofiarą przed zadaniem

ostatecznego ciosu. Dwa dni temu dziennikarka zabawiła się w ten sposób jednym politykiem po wieczornych wiadomościach.

– Ty i Bruno – zaczęła Rozalia. – Jak wam się układa współpraca?

– A wam? – odparowała Kalina, co ponownie wywołało figlarny uśmiech jej rozmówcy.

– Jak do tej pory wyśmienicie – powiedziała, ignorując sarkazm Kaliny. – I mam wielką nadzieję, że tak pozostanie.

Kalina milczała.

– Nie jesteś chyba specjalnie rozmowna? – dodała Rozalia, a nie doczekawszy się reakcji, kontynuowała: – Na pewno wiesz, że łączy mnie z Brunem szczególna relacja. Byliśmy parą. Nie wiem, czy ci mówił, ale pewnie sama się domyśliłaś. Nie kryje się z tym szczególnie, nie zniósł najlepiej rozstania... – Nagle urwała, widząc minę Kaliny. – Wyglądasz na zde gustowaną.

– Bo to obrzydliwe. Wykorzystujesz to, że cierpi – odparła dziewczyna.

– Wykorzystuję to, że cierpi? – powtórzyła Rozalia, mrugnawszy kilka razy wachlarzem rzęs. – Możesz rozwinąć tę myśl?

– Gdyby nie to, że jest w tobie zakochany i jak ostatni dureń żyje nadzieją, że do niego wrócisz, nigdy by ci nie przekazał poufnych informacji.

– Jesteś pewna? Wydaje ci się, że dobrze go znasz, a poznałaś go... Kiedy? Przypomnij mi, proszę.

– To nie ma znaczenia. Istotne jest to, że on jest w błędzie, sądząc, że ci na nim zależy, i przez ten błąd naraża wszystko, co wypracował. Naraża swoje dobre imię.

Rozalia uniosła dumnie głowę i odwróciła ją w kierunku okna. Jej twarz nie zdradzała już żadnych emocji poza poirytowaniem.

– Kontynuuj, to bardzo ciekawe – powiedziała, obserwując zachmurzone niebo. – Tylko w momencie, gdy będziesz łapała oddech, by dalej mnie oskarżać, zastanów się, czy mówisz nadal do mnie, czy już raczej do siebie.

Kalina zamruwała nerwowo. Większa chmura zasłoniła ostatnie promyki słońca. W pokoju zrobiło się nagle bardzo ciemno.

– Co masz na myśli? – spytała.

Dziennikarka niechętnie odwróciła się od widoków za oknem i powiedziała, mrużąc oczy:



– A to, że wykorzystujesz go w takim samym stopniu jak ja. No w porządku, prawie takim samym... Dla swojego widzimisie i niespełnionych ambicji postanowiłaś zaszantażować mężczyznę, który nic nie jest ci winien. Jesteś zwykłą egoistką. Ze współpracy ze mną Bruno ma przynajmniej realne korzyści, ze współpracy z tobą nie ma nic.

– Korzyści? Jedyne korzyści odnosisz ty i odniesie niedługo zapewne ośrodek odwykowy – zadrwiła Kalina.

– Głupia dziewczyno... – wycedziła Rozalia, rozciągając przy tym drapieźnie usta. – On ma mnie. A ja mam jego. Rozumiesz?

Kalina nie odpowiedziała.

– Rozumiesz – prychnęła dziennikarka. – Domyślałaś się wcześniej. Ale pewnie miałaś nadzieję, że to nieprawda?

– Ciągniesz go na dno – wyszeptła Kalina.

Minęła chwila, nim Rozalia odpowiedziała. Ledwo dostrzegalnie zmrużyła oczy i wpatrując się w swoją rozmówczynię, powiedziała:

– Nie widzisz, że fakt, iż wciąż utrzymuję z nim kontakt, jest dla niego jak koło ratunkowe? Ja nie ciągnę go na dno, tylko utrzymuję go na powierzchni. Ty nic o nas nie wiesz. Nie wiesz nic o mnie.

– Wiem wystarczająco dużo, by nie mieć o tobie dobrego zdania. Zdradzasz męża, wykorzystujesz miłość Bruna dla własnych celów, to tak na rozgrzewkę. Ale skoro chcesz porozmawiać szczerze, to powiedz: wyprzesz się tego, że sprzedałaś mediom sprawę Drzewieckich? Że wybiłaś się na plecach Bruna? Na jego ciężkiej pracy? On ci ufał.

Rozalia patrzyła na Kalinę zaskoczona.

– Nie zaprzeczę – odparła z rozbrajającą szczerością i zerkając na Kalinę badawczo, spytała: – Co jeszcze ci powiedział?

– Możesz zadawać dowolne pytania, ale nie oczekuj, że będę miała ochotę na nie odpowiadać. Teraz twoja kolej.

– W porządku – odparła Rozalia. – Z chęcią zapoznam cię z całą historią, bo twoje oburzenie zdradza, że Bruno pominął jeden szczegół. Wiesz, dlaczego grzebałam w jego dokumentach? – spytała i zamilkła wyczekująco, a nie doczekawszy się odpowiedzi, cicho prychnęła. – Tego ci nie powiedział, co? Chciałam sprawdzić, z kim mój ukochany mężczyzna, ten, na którego czekałam godzinami sama w domu, gotując mu i piorąc, sprząając

i wyprowadzając jego psa, z kim mój drogi Bruno ma romans. Chciałam się przekonać, że moje przypuszczenia są mylne. Żywiłam tak samo silną nadzieję, jak ty w tej chwili, gdy liczysz, że nasza relacja nie jest już tak zażyła, jak dawniej. Zdziwiona?

Wyraźniejsza linia szczęki Kaliny zdradziła jej emocje.

– Chyba tak – odpowiedziała sobie sama Rozalia. – Bruno jest specjalistą w mieszaniu spraw zawodowych z prywatnymi. Więc nie mów mi, że z trudem przyszłoby mu przekazanie istotnych informacji komukolwiek, kto ma parę cycków i zgrabny tyłek. Choć w twoim przypadku musiało chyba zadziałać coś innego...

Kalina spojrzała ostro na Rozalię, która jednak nie dała jej nic powiedzieć, tylko ciągnęła:

– Siostra tej zamordowanej Drzewieckiej. To z nią spotkał się parę razy Bruno. Nie byłam pewna, gdy pierwszy raz zobaczyłam go z tą kobietą, ale skojarzyłam jej twarz. Nie z gazet, nie była interesująca dla mediów. Kojarzyłam ją z jego akt, które kiedyś zostawił na wierzchu. Postanowiłam się upewnić. Przy okazji odnalazłam teczkę tego ogrodnika wraz z informacjami, które wyraźnie wskazywały jego winę. To był przypadek. Resztę już chyba znasz. Oczywiście Bruno zarzekał się później, że do niczego nie doszło, że pocałował ją raz, może dwa, że to skończone... Nie miało to już dla mnie znaczenia. Mogłam zrobić to, co zrobiłam, bez wyrzutów sumienia. A Bóg mi świadkiem, nie miałam żadnych. Dziś postąpiłabym dokładnie tak samo.

Rozalia Ojdana skończyła mówić, lecz Kalina milczała. Dziennikarka wstała i ruszyła do wyjścia.

– Zbliżamy się do sedna – powiedziała. – Pewnie nie głowisz się szczególnie, po co przyjechałam. Częściowo zapewne się domyśliłaś, ostatecznie aspirujesz do roli Sherlocka Holmesa... –

Rozalia zaśmiała się cicho, ale nagle spoważniała. – Przejdźmy do rzeczy. Niestety znasz trochę faktów na mój temat i poniekąd na temat mojego męża, i choć dla mnie są to drobiazgi, to dla prasy już nie. Chcę, żebyś milczała. Chcę, żebyś milczała na temat mojego układu z Brunem, jeśli nie ze względu na mnie, to ze względu na niego.

– O to nie musisz się martwić – odpowiedziała chłodno Kalina, po raz pierwszy od dłuższego czasu zabierając głos.

– Właśnie widzę. Już miałam ci zagrozić, ale chyba nie ma takiej potrzeby.

Rozalia uśmiechnęła się po raz ostatni i zmierzyła wzrokiem Kalinę od góry do dołu, tym razem wcale się z tym nie kryjąc. Spojrzała dziewczynie głęboko w oczy. Gdy przemówiła, była spokojna.

– W sumie... nie widzę w tobie żadnego powodu do zmartwień.

Odczekała chwilę, by dostrzec delikatne drgnięcie powiek Kaliny. Wystarczy. Rozalia odwróciła się i odeszła, stukając głośno obcasami. Idąc długim korytarzem, na który wystawiano brudne buty, worki ze śmieciami i połamane sanki, nie obejrzała się za siebie ani razu, ale była pewna, że dziewczyna nadal stoi w drzwiach.

Tak, Rozalia dostała to, czego chciała, i z satysfakcją zaliczyła ten dzień do udanych.



Zegar głośno tykał, cząsteczki kurzu, podświetlane przez ciepłe światło słoneczne, unosiły się powoli w powietrzu, a razem z nimi unosił się ledwo wyczuwalny zapach starego, wilgotnego drewna. W końcu przyszła wiosna. Kobieta z chustą na głowie, spod której wystawały krótkie blond włosy, patrzyła wyczekująco na detektywa, marszcząc delikatnie brwi i zerkając co jakiś czas na dziewczynę o azjatyckich rysach twarzy. Nieświadomie na przemian rozcierała prawą dłońią lewy nadgarstek i bawiła się palcami. Niepokoiła ją obecność tej dziewczyny, coś jej w niej nie pasowało. Siedzący naprzeciwko detektyw patrzył na jej ruchy z zaciekawieniem.

– Coś się pani stało w rękę? – spytał, gdy ponownie potarła rękę.

– Mnie? Ależ skąd – odparła kobieta i uśmiechnęła się słabo, jakby nadal była chora. – Detektywi nie składają mi wizyt zbyt często. To tylko nerwy.

– Proszę się nie stresować. Liczymy na pani pomoc – uspokoił ją mężczyzna. Patrzyła trochę zazdrośnie na jego dłuższe włosy, myśląc o swoich kilkucentymetrowych kosmykach, z których nie dało się jeszcze nic ułożyć.

Kobieta skinęła głową, ale Kosowski powstrzymał się jeszcze od dalszej rozmowy. Czuł, że jego cierpliwość zostaje wystawiona na próbę. Po pomieszczeniu wciąż krzątała się gruba pielęgniarka, poprawiająca leniwymi ruchami poduszki swojej podopiecznej. Kiedy już je ułożyła, przypomniała sobie o lekach, które – jak zapowiedziała – „szybcuotko przyniesie”. Skrzypienie starych desek ucichło już dobre pięć minut temu, a ona wciąż nie wracała. Było to zastanawiające z uwagi na to, że dom, który odwiedzali, kojarzył się raczej z niewielkim domem letnim.

– Może pójde jej poszukać...? – mruknął Bruno, a Kalina rzuciła mu ostre spojrzenie. Wsparta na poduszkach kobieta delikatnie się

zarumieniła, co właściwie dodało uroku jej białej jak papier cerze.

– Przepraszam pana najmocniej... – powiedziała. – Myślę, że zaraz tu wróci. Leki przyjmuję w określonych porach.

Bruno nieco się speszył, więc Kalina przejęła stery.

– Nie bardzo wiem, czy wypada pytać, ale jak się pani czuje? – spytała, zerkając niepewnie na chustę kobiety.

– Szczerze mówiąc, wracam do formy. Ostatnie wyniki wprawiły nawet w osłupienie mojego lekarza – odpowiedziała kobieta, nieco się rozluźniając. – Czasem o tym zapominam i wciąż zachowuję się, jakbym stała nad grobem.

– Było aż tak źle? – spytał Bruno.

– O tak. Nie dawano mi szans. Wyliczając średnią od wszystkich lekarzy, których odwiedziłam, powinnam była umrzeć miesiąc temu.

– No to... wspaniały zwrot akcji – powiedział Bruno, kiwając głową.

– Pewnie tak – odparła kobieta, po czym dodała: – Szykuje mi się długie życie.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka. Kilka pojedynczych włosów przykleiło jej się do mokrego od potu czoła. Bruno był zdumiony – ta kobieta naprawdę się spieszyła.

– Bardzo urokliwy dom – powiedział detektyw, nie zapuszczając się jeszcze w rewiry dotyczące sprawy.

– Należał do moich rodziców – odparła kobieta w chuście, rozglądając się wkoło. – Wprowadziłam się do niego kilka lat temu. Uważam, że jest piękny. Jako dziecko bywałam w nim tylko w wakacje, resztę roku spędzaliśmy w domu na Saskiej Kępie. Wolałam być tu, ale paradoksalnie to tamten dom jest uznawany za jeden z najlepszych projektów taty i w tamtym czuł się najlepiej. Był bardziej minimalistyczny. Ten z kolei to było królestwo mojej mamy, prawie wszystko urządziła tu ona. Starłam się niczego tu nie zmieniać.

Pielęgniarka wyszła. Bruno milczał chwilę, czekając, aż jej sapanie i ociężałe kroki ucichną. Uśmiechał się zachęcająco do siedzącej naprzeciwko kobiety. Patrzyła niepewnie, co jakiś czas delikatnie zagryzając wargi. Jakby z przyzwyczajenia próbowała odgarnąć nieobecny kosmyk włosów z czoła. Mimo zapewnień o lepszej kondycji wciąż była chuda i blada.

– Pani Anno, nie opaliła się pani na wakacjach – powiedział z przekąsem Bruno. Kobieta ciężko westchnęła i ponownie zmarszczyła brwi.

– Domyślałam się, że to o tym będziemy rozmawiać... – powiedziała z rezygnacją w głosie. – Unikałam słońca. Męczyło mnie przebywanie na zewnątrz. To były moje ostatnie wakacje... Miały być. Nie chciałam się do niczego zmuszać, więc większość czasu spędziłam w cieniu, pozostawiając presję opalania innym kobietom. Ale to chyba państwa nie interesuje...?

– Nie jest tajemnicą, dlaczego tu jesteśmy, pani Schmidt. To zabrzmiało oschle, ale najbardziej interesuje nas pani towarzystwo – odpowiedział Bruno.

Anna Schmidt nie odpowiedziała. Zmarszczyła czoło i spojrzała w podłogę, jakby usilnie się nad czymś zastanawiała.

– Nie potrafię kłamać – powiedziała w końcu. – W porządku, powiem wszystko. Ale od początku...

Kobieta sięgnęła po szklankę z wodą i upiła kilka łyków, przełykając głośnie.

– Po powrocie z Niemiec próbowałam skontaktować się z Elą – zaczęła. – Rozwiodłam się młodo, nie znalazłam przyjaciół, nie miałam nikogo. Nie utrzymywałyśmy kontaktu z siostrą od lat... Ba! Od wielu lat, od dzieciństwa właściwie... – Anna Schmidt zrobiła pauzę, gdy zobaczyła, jak siedząca naprzeciw dziewczyna kręci głową.

Kalina, owszem, pokręciła z niedowierzaniem głową, ale nic nie mówiła. Tak się umówiła z Brunem – może słuchać, ale nie powinna zadawać pytań, jeśli nie jest pewna, że odpowiedzi na nie będą kluczowe dla sprawy. Nie bardzo satysfakcjonował ją ten układ i czasami się zapominała, ale na razie wołała z tym nie walczyć.

Bruno spojrzał na nią kątem oka i ledwo widocznie skinął głową na znak, że wie, o co chodzi.

– Jaką krzywdę mogły sobie panie wyrządzić w tak młodym wieku? Musiało się wydarzyć coś naprawdę bolesnego, skoro zerwały panie kontakt na tyle lat. Z akt wynika, że jest pani o sześć lat starsza od siostry, czy tak? – pytał.

Kobieta kiwnęła głową.

– Więc to tak naprawdę Elżbieta Wilska była dzieckiem, pani raczej... dojrzewającą... młodą... kobietą...? – spytał niepewnie Bruno i kątem oka dostrzegł minę Kaliny, która bezskutecznie próbowała powstrzymać uśmiech.

– Tak, proszę pana... Miałam szesnaście lat, a Ela raptem dziesięć, kiedy się poróżniłyśmy – powiedziała pani Schmidt.

– I można aż tak zniechęcić własną siostrę za popełnienie jakiejś głupoty w tak młodym wieku...? – spytał z powątpiewaniem detektyw.

– Jak widać, można – odparła. – Nie jest to coś, z czego jestem dumna, ale miały miejsce pewne wydarzenia, które oddaliły nas od siebie.

– Jakie wydarzenia?

Anna Schmidt wzięła głęboki oddech. Odwróciła się do okna, by uniknąć kontaktu wzrokowego z mężczyzną. Nie lubiła tej historii.

– Jako nastolatka udzielałam się charytatywnie – powiedziała. –

Spędzałam czas w różnych miejscach: w ośrodku odwykowym, na stołówce dla bezdomnych, w schronisku dla zwierząt. I w jednym z tych miejsc poznałam kogoś, kto namieszał. Zakochałam się bez pamięci. To były czasy, kiedy rodzice wciąż oglądali powtórki *Czterech pancernych*, więc kiedy przedstawiłam im swojego włochatego przyjaciela, zgodzili się, by go zatrzymać. Warunek był jeden: miał się wabić Szarik.

Szarik był sporym psem, sięgał mi prawie do pasa, przypominał wilczurę. Uwielbiał zabawę, ale nie znał w niej umiaru. Jak spotkał na swojej drodze osobę, która mogła mu poświęcić chwilę, nie panował nad sobą. Ela nie ucieszyła się, gdy go przyprowadziłam. Od długiego czasu prosiła rodziców o kota i kiedy pojawił się pies, o jej pomysły nie było już mowy. Razem z Szarikiem przyszło ochłodzenie naszej relacji. Ela nie bawiła się z nim. Nie była dla niego niedobra, po prostu udawała, że go nie ma. Wierzyłam w jej obojętność, do czasu.

Któregoś dnia wróciłam z ośrodka odwykowego. Byłam zdezorientowana, bo na podjeździe stała karetka. Zanim jakiś obcy mężczyzna zatrzasnął w niej drzwi, dostrzegłam w środku sylwetkę na noszach i mamę obok nich. Rozejrzałam się, szukając znajomej twarzy. Zobaczyłam tatę, który pospiesznie wsiadał do samochodu.



Zrozumiałam, że w karetce była Ela. Podbiegłam do taty, a on kazał mi zająć miejsce w aucie i nie wchodzić do domu. Ruszyliśmy do szpitala. Tata był roztrzęsiony, ale nie zrozpaczony, co pozwoliło mi mieć nadzieję, że sytuacja nie jest krytyczna. Dopiero po chwili powiedział: „To wszystko przez tego pierdolonego kundla”. – Anna przerwała, by napić się wody. – Muszę tu wyjaśnić, że tata nie zwykł przeklinać. Robił to tylko w stanach wyjątkowego wzburzenia. Bałam się spytać, co się wydarzyło, ale poinformował mnie sam. Powiedział, że Szarik, pies, który stał się najbliższym mi stworzeniem na świecie, zaatakował Elę. Nie wiem, czy siostra państwu mówiła, ale znając ją, podejrzewam, że tak. Otóż zapowiadała się na wybitną pianistkę. Pięknie grała i zdobywała nagrody w konkursach dla dzieci. Pech chciał, że Szarik ugryzł ją w dłoń, naruszając jakiś nerw. Ela trafiła do najlepszego chirurga, zoperował jej rękę i mogła się nią prawie swobodnie posługiwać. Ale pojawił się ten tik i siostra nie była w stanie powrócić do ćwiczeń.

Anna urwała.

– Więc wydarzyło się nieszczęście – powiedział Bruno, wzruszając ramionami. – Wciąż jednak nie rozumiem powodu kłótni...

– Powodem kłótni było to, co wydarzyło się, gdy Ela była jeszcze w szpitalu – odparła pani Schmidt. – Rodzice nie chcieli tego, ale czuli się w obowiązku spytać ją o zdanie...

– Odnośnie do?

– Odnośnie do przyszłości Szarika. Ela nie wahała się zbyt długo, chociaż był moment, w którym uwierzyłam, że ustąpi. Błagałam ją o to. Była jednak nieugięta i mojego pieska uśpiono.

– To panie poróżniło?

– Tak. I to, że wierzę, iż mój tata był w błędzie. To nie była wina psa. Elę znaleziono z Szarikiem w moim pokoju. Pies był tam zamykany pod moją nieobecność. Jak wspomniałam, Szarik był żywiołowy... Nie wiem, po co Ela weszła do mojego pokoju, ale jestem pewna, że bardzo go to ożywiło. Chciał się bawić, jak zwykle. A ona najpewniej chciała go odtrącić. Wtedy w zabawie pociągnął ją za rękę, a ona ją wyrwała i doszło do wypadku.

– Zdaje się, że wie pani wszystko – powiedział pod nosem Bruno, a kobieta spojrzała na niego ostro.

– To najprawdopodobniejsza wersja zdarzeń. Ma pan psa? – spytała pani Schmidt.

– Mam – odparł.

– Jest agresywny?

– Absolutnie nie, to potulny pies.

– Zatem gdyby ktoś wmówił panu, że pański pies pogryzł dziecko, sam z siebie, uwierzyłby pan? Jak by się pan czuł, gdyby osoba panu bliska zdecydowała o jego śmierci, wiedząc, ile bólu to panu sprawi? Marne szanse, żeby miał pan kogoś takiego w swoim otoczeniu, ale proszę chociaż wysilić wyobraźnię.

Bruno pokiwał głową, wydymając usta. Nic nie odpowiedział. Kalina wiedziała, kto przyszedł mu na myśl. Detektyw miał w swoim otoczeniu osobę zdolną do takiego świństwa.

– Wracając do tematu: Tadeusz – kontynuowała pani Schmidt. –

Gdy próbowałam się wtedy skontaktować z Elą, wciąż miałam do niej ogromny żal. Jednocześnie chciałam mieć kogoś bliskiego i chciałam, żeby kiedyś pożałowała tego, co mi zrobiła. Podejmując decyzję o powrocie do Warszawy, byłam pewna, że moje pragnienia się wykluczają. Zdobyłam jednak jej adres i wyruszyłam, a kiedy dotarłam na miejsce i zadzwoniłam do drzwi, dotarło do mnie, że Ela ma wszystko. Posiadała piękną willę, była bogata, z tego, co słyszałam, miała również kochającego męża i dwójkę dzieci. Ja nie miałam już nic, a do tego zaczynałam podupadać na zdrowiu. Emocje wzięły nade mną górę. Chciałam się wycofać i już miałam odejść, przeklinając pod nosem. Taką wzburzoną zobaczył mnie Tadeusz. To on otworzył drzwi.

– Znała się z nim pani wcześniej? – spytał Bruno.

– Nie. Nie byłam obecna na ich ślubie. Nie interesowało mnie życie Eli, póki sama wiodłam szczęśliwe. Tadeusz zrobił na mnie dobre wrażenie. Był całkiem przystojnym, postawnym mężczyzną. Powitał mnie uprzejmie, mimo iż widziałam, że jest bardzo zmęczony. Wtedy jednak nie dostrzegłam w nim jeszcze osoby, w której mogłabym się zakochać, a jedynie kogoś, kogo mogłabym wykorzystać. – Przerwała na chwilę i opamiętawszy się, powiedziała: – To wszystko tak źle brzmi... Ja jestem dobrym człowiekiem, naprawdę... Ale on mi się wydał idealny, wykorzystując go, mogłam się zemścić na Eli, ale z nim mogłam też nie czuć się samotna... Nie

stawiał oporu, kiedy go uwodziłam, i romans nawiązaliśmy szybko. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale sądzę, że Tadeusz pozostawał w bliskich kontaktach z różnymi kobietami, zanim się pojawiłam. Taki typ. W ostatnich dniach jego życia był mi jednak oddany, spędzał ze mną sporo czasu. Myślę, że wierzył, że to ostatnie nasze wspólne chwile. A ja cieszyłam się, mając go przy sobie. W końcu od naszego pierwszego spotkania minęło już dużo czasu, a ja zdążyłam się zakochać. Nie byłam już samotna... – Kobieta zawiesiła głos, a potem zwróciła się do Kaliny: – Czy Ela już wie?

– Mieliliśmy nadzieję dowiedzieć się tego od pani – odpowiedział jej detektyw, jego koleżanka wciąż milczała. – Czy ma pani powody, by przypuszczać, że pani siostra mogła się domyślić prawdy o pani związku z Tadeuszem Wilskim?

– Nie wiem... Tadeusz był przed śmiercią dziwnie niespokojny. Bywał rozgorączkowany, chodził z kąta w kąt. Miał nawet problemy żołądkowe... Może Ela mu powiedziała, że wie...? Może zagroziła mu rozwodem...? Znając rodziców, mogli ją nakłonić do intercyzy i może bał się, że straci firmę? Nie mam pojęcia, nigdy o tym nie rozmawialiśmy...

Kobieta pogrążyła się w zadumie. Nagle jej twarz zamarła.

– Wie pan co? – przemówiła. – Teraz sądzę, że ona wiedziała. I że to ona mogła mu coś zrobić. Ela jest mściwa. Zemściła się na moim psie... Możliwe, że...

– Że? – spytał ostro Bruno.

– Absolutnie nie chcę rzucać oskarżeń... Żal mi jej...

– Co ma pani na myśli?

– Myślę, że mogła mu coś zrobić.

Bruno wziął głęboki wdech i spojrzał surowo na kobietę.

– To poważne oskarżenie – powiedział.

– To tylko pomysł, detektywie, nie oskarżenie. Któż zna lepiej ode mnie moją własną siostrę?

Zapadła cisza.

– Nie mam więcej pytań – powiedział oschle Bruno i spojrzał pytająco na Kalinę, a gdy ta pokręciła przecząco głową, dodał: –

Dziękujemy pani za poświęcony czas, dostarczyła nam pani cennych informacji.

Anna Schmidt nieco się rozpogodziła i z głośnym stęknieniem wstała, by odprowadzić gości.

– Ależ proszę się nie trudzić, trafimy do wyjścia – powiedział detektyw i ruszył do drzwi.

Kalina spojrzała za odchodzącym współnikiem. Ociągała się. W końcu poszła za nim, ale nagle zmieniła zdanie. Odwróciła się do kobiety, stojącej w progu salonu.

– Przepraszam... – powiedziała cicho, oglądając się, by sprawdzić, czy detektyw już poszedł. – Kiedy otrzymała pani wyniki od lekarza?

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Spojrzała w oczy Kalinie, a spojrzenie to niewygodnie się dłużyło. Gdyby ktoś stał obok, mógłby poczuć się niezręcznie. Nie było jednak nikogo. W powietrzu znowu unosił się tylko kurz, tykanie zegara i zapach stęchlizny. Kobieta przekrzywiła głowę. Anna Schmidt z pewnością miała coś do powiedzenia. Lecz jedyne, na co się zdecydowała, to odpowiedź na zadane pytanie:

– Pod koniec sierpnia poczułam, że wyzdrowieję. Ale kolejne wyniki, które dostawałam, chociaż lepsze, wciąż nie napawały optymizmem. Informację, że rak całkiem zniknął, otrzymałam dopiero na początku lutego. Dla Tadeusza było to o kilka dni za późno.

Kobieta spojrzała jeszcze wymownie na dziewczynę, zanim się odwróciła. Kalina nie czekała na ciąg dalszy. Zrozumiała wszystko, a po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.



Elżbieta Wilska siedziała na wielkiej kanapie w swoim wielkim domu, postukując nerwowo obcasem i oglądając świeżo pomalowane paznokcie. W powietrzu unosił się zapach zupy kalafiorowej gotowanej przez jej teściową. Pokręciła z niezadowoleniem głową. Nie znosiła kalafiorowej, a sam zapach tego warzywa ją odrzucał. Była przekonana, że teściowa robi jej na złość. „Zpracuje się mama na śmierć!” – tak wykrzyczała do niej kilka dni po jej powrocie ze szpitala, gdy ta nie chciała odpoczywać. Starsza kobieta w odpowiedzi dumnie zadarła głowę i odparła: „I dobrze!”. Od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiały. Elżbieta uważała, że mamusia się obraziła, Janina zaś miała większe zmartwienia na głowie niż niemądre domysły jej synowej.

Elżbieta poczuła na kostkach zimny powiew i usłyszała huk w przedsionku. Zerknęła przelotnie na zegarek. Najwyższa pora! – pomyślała. Podniosła się z kanapy i wygładziła ołówkową spódnicę, jak to miała w zwyczaju.

– Cześć, mamó! – rzuciła młoda kobieta, minawszy matkę, nawet na nią nie patrząc.

– Karolina... – mruknęła z lekkim rozczarowaniem Elżbieta. – Myślałam, że... Gdzie ty byłaś?

Dziewczyna zawróciła niechętnie do salonu i opadła na fotel.

– Na zakupach – powiedziała.

– W nocy?

– Nie bądź niemądra, mamó. W nocy balowałam – powiedziała i puściła oko do matki.

– Karolina, nie pyskuj.

– To nie wypytuj, dorosła jestem – odparła, wzruszając ramionami.

– Widziałam Leszka na podjeździe.

– Tak? – udała zdziwienie Elżbieta. – To czemu nie wejdzie?

– Nie wiem, chyba rozmawiał z kimś przez telefon. Idę do siebie – powiedziała Karolina i wyszła. Elżbieta znów usiadła, wygładziła spódnicę i przeczesła dłonią włosy, uważając przy tym, by nie zniszczyć dzieła najlepszego fryzjera w Warszawie. Zerknęła jeszcze szybko w podręczne lusterko, a upewniwszy się, że wygląda całkiem dobrze, rozluźniła się. Natychmiast jednak poczuła opadającą skórę twarzy, więc ponownie spięła wszystkie mięśnie, które pieczołowicie ćwiczyła przed snem.

Znów poczuła chłód na kostkach i usłyszała głośny trzask drzwi.

– Przepraszam! Przepraszam! Przeciąg, Elu! – krzyknął Leszek od progu. – Nie chciałem hałasować. Trupa bym zbudził...

Elżbieta wytrzeszczyła oczy i wciągnęła głośno powietrze, a Leszek natychmiast pojął niezręczność wypowiedzianych słów. Gdzieś z głębi domu dobiegł ich śmiech młodej kobiety.

– Przepraszam, Elu – powtórzył Leszek.

– Przestań przeproszać, wiecznie tylko za coś przepraszasz – powiedziała, zbywając go z poirytowaniem ręką, jakby odganiała muchę. – Siadaj. Chcesz kawy?

– Tak średnio, Elu – odparł skruszony, nadal stojąc.

– Zaraz ci przyniosę.

– Ty...? – zdziwił się Leszek. – To znaczy, że... nie macie już gosposi?

Kobieta prychnęła śmiechem.

– Ładne określenie. Nie, nie mamy gosposi – powiedziała. – Trzymaliśmy ją, bo podobała się Tadeuszowi. Nawet nie potrafiła wody ugotować, taka z niej była gosposia. Teraz zatrudnię kogoś z referencjami, ale jeszcze nie zaczęłam szukać.

– Co ty gadasz, Elu? Przecież Tadek nie obejrzałby się za inną przy tobie...

Elżbieta spojrzała kpiąco na gościa, jakby chciała uzmysłwić mu absurd wypowiedzianych przez niego słów.

– No, przy mnie nie. Masz rację – odparła, nerwowo machając nogą. – Przejrzałam historię przeglądarki, Leszek. Tadek lubił sobie popatrzeć na młode dziewczyny, a gdzie mi do nich? Próbowałam się też dostać do jego laptopa, ale ustawił, cwaniaczek, hasło. Nie znasz go może?

– Elu...

– Nie znasz?

Leszek w odpowiedzi pokręcił głową.

– Elu, jesteś zdecydowanie atrakcyjniejsza od tych kobiet – powiedział.

– Skąd wiesz? Widziałeś je? – spytała.

– Nie, ale widziałem ciebie i to wystarczy.

Elżbieta poczuła nieoczekiwane uderzenie gorąca na twarzy, Leszek również. Już chciał zdobyć się na kolejny komplement, ale Wilska nie dała mu szansy. Odchrząknęła szybko i spytała:

– Po co chciałeś się spotkać?

– Sprawy biura – odparł Leszek i machnął ręką, jakby chodziło o jakąś błażostkę, a kobieta zmrużyła oczy. – Myślałem o tym i... Elu, weź głęboki oddech i nie uprzedzaj się do moich pomysłów... – powiedział nieśmiało Leszek i natychmiast pożałował swoich słów, kiedy tylko zobaczył reakcję Elżbiety.

– Co ty żeś wymyślił? – spytała agresywnie. Iskry w jej oczach niemal go parzyły.

– No tak... Może ci się to nie spodobać na początku... – wymamrotał.

– Przejdź do rzeczy – ucięła.

– Dobrze. Elu, chciałbym odkupić udziały Tadka.

Zapanowała cisza. W kuchni trzasnęła szafka, na górze ktoś upuścił coś ciężkiego z hukiem, za oknem śpiewał ptak. Nikt nic nie powiedział. Elżbieta wpatrywała się w swojego rozmówcę z wyrazem konsternacji na twarzy. Wyglądała, jakby czekała na jakąś puentę albo na to, że Leszek przyzna się do głupiego żartu. Ten jednak patrzył na nią z powagą i nie sprawiał wrażenia, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Obejrzała się po pokoju, by się upewnić, że nie wyskoczy na nią ekipa filmowa, ale kiedy nic się nie wydarzyło, Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się długo i głośno, tak jak nie robiła tego od dawna. Pierwszy raz zaśmiewała się jako wdowa, ale jej wesołość szybko zdominowały zmęczenie i rozpacz. W pewnym momencie nie wiedziała już, czy nadal się śmieje, czy raczej już płacze.

– Elu... spokojnie. To wcale nie musi być zły pomysł... – powiedział Leszek.



– To jest ewidentnie zły pomysł! W nim nie ma nic dobrego! – wyrzuciła ze złością, wycierając łzy z oczu.

– Pomyśl tylko... – zaczął i zrobił krok do przodu, wyciągając dłonie, żeby uspokoić kobietę, ale ta odsunęła się na kanapie ze wstrętem. Przystanął więc w miejscu i cofnął ręce o kilka centymetrów.

– Nie wiesz za dużo o tej branży, więc jak miałabyś podejmować najlepsze decyzje dla firmy? – spytał. – A Filip? Nawet nie obronił magistra. Nie jest w stanie zarządzać spółką ani zyskać szacunku pracowników jako szef. Nie ma żadnego doświadczenia. Zresztą oboje wiemy, jaki on jest...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – oburzyła się Elżbieta.

– Elu, jesteśmy przyjaciółmi, możemy być chyba ze sobą szczerzy? Filip jest leniwy, pobawi się w dyrektora i rzuci to po miesiącu. A to biuro to nie zabawka. Razem z Tadkiem pracowaliśmy na nie latami. On nie byłby szczęśliwy, widząc, że niszcycie jego dziedzictwo.

Nagle kobieta zerwała się z kanapy, a przed oczami mignęła mu jej dłoń i poczuł palący ból policzka. Spojrzał na nią z osłupieniem. Ona z kolei wydawała się przerażona tym, co zrobiła. Leszkowi zmięknęło serce.

– Należało mi się... – mruknął, pocierając obolałe miejsce. Ela krótko skinęła głową, patrząc wciąż w podłogę.

– Nic nie wiesz o moim synu, nic nie wiesz o Tadku ani o tym, jak traktował dzieci – powiedziała. – Jeśli jest coś, czego pragnął mój mąż, to tego, żeby Filip przejął kiedyś po nim ten biznes. Może i Tadek nie był ideałem, ale kochał Karolinę i Filipa nad życie. A nawet nad swoją pracę.

– Na pewno kochał, Elu – odpowiedział cicho Leszek, kładąc dłoń na ramieniu kobiety.

– Zrobimy tak... – powiedziała, a Leszek się wyprostował, by wysłuchać z zaangażowaniem słów przyjaciółki. – Możemy zawrzeć niepisaną umowę. Wszystkie drobne decyzje podejmujesz samodzielnie, jeśli jednak trzeba będzie zdecydować o czymś istotnym, przychodzisz z tym do mnie, przedstawiasz mi sprawę i decydujemy wspólnie. Filip za każdym razem będzie obecny przy tych rozmowach. Dobrze mu to robi... Bo widzisz, Leszku, bardzo

niesprawiedliwie go oceniasz. Nie znasz moich dzieci tak jak ja. Filip to cudowny chłopak, który trochę się pogubił. Ale już spokorniał, jakiś czas przed śmiercią Tadka wręcz się w sobie zamknął... Teraz, kiedy Tadka nie ma, jest tylko gorzej... Więc mój syn nie jest taki, jak sądzisz, to bardzo wrażliwy chłopiec. Może nowy cel go trochę rozrusza...

Leszek nie wierzył w jej słowa, bo miał przed oczami chłopaka pyskatego, imprezującego, egoistycznego i – co niechętnie stwierdzał – rozpuszczonego przez matkę. Odparł jednak, że rozumie, i ominąwszy temat Filipa, spytał:

– To kiedy podpiszemy pełnomocnictwo?

– Nie słuchałeś mnie? – odparła Elżbieta, marszcząc brwi. – Nie udzielę ci żadnego pisemnego pełnomocnictwa, ani wiecznego, ani tymczasowego. Nigdy. Jak ty to sobie wyobrażasz? Wilski/Trocki to moje jedyne źródło dochodu. Bez niego zostałabym z niczym. Nie spisujemy umowy, Leszek. Masz moje słowo i to ci musi wystarczyć.

Trocki poczuł, jak zadrżała mu powieka. Elżbieta nie zdążyła tego zauważyć, bo w tym samym momencie zadzwoniła jej komórka, której pobiegła szukać w torebce.

– Słucham? – powiedziała do telefonu.

Rozmowa trwała krótko. Leszek obserwował Elę i dostrzegł zmianę na jej twarzy. Zniknęły złość i poirytowanie. Rumieńce na twarzy Eli ustąpiły – kobieta była blada jak ściana. Odchrząknęła, a jej oczy zaszyły łzami. Głos jednak się nie załamał, kiedy uprzejmie potakiwała i udzielała krótkich odpowiedzi. Udawała silną. Leszek patrzył na nią z żalem.

Czas zwolnił. Mężczyzna podszedł do niej i podał jej dłoń. Spodziewał się, że ją odtrąci, ale nie zrobiła tego. Chwyliła ją mocno, tak że poczuł ból wbijanych w skórę czerwonych paznokci. Kiedy zakończyła rozmowę, odłożyła telefon i wciąż mocno go trzymając, wyszeptała:

– Mogę go pochować.

Po tych słowach opadła ze szlochom w ramiona przyjaciela.

– Nie zostawiaj mnie samej – usłyszał Leszek, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Nigdy – odparł i poczuł w sercu, że teraz wszystko już będzie lepiej, a uczucie to wyjątkowo ciężko mu na sumieniu.

Każdy, kto szykował się tego dnia do wychylenia nosa za drzwi, mógł poczuć się okrutnie oszukany przez pogodę. Słońce świeciło przyjemnie, ogrzewając mieszkania przez szyby okien, ale na zewnątrz hulał ostry wiatr, który uspokoił się dopiero w południe. Wtedy powietrze było nie tyle rześkie, ile wręcz bolesne dla policzków, ale gdy przestawało wiać, wiosna zdradzała się ze swoją obecnością. Tego poranka jednak ptaki nie śpiewały, nie licząc samotnego kosa w oddali. Bruno stał na cmentarzu i rozglądał się po zebranych wokół ludziach. Wszyscy ubrani byli na czarno, chociaż niektórzy nie przez żałobę, a raczej ze względu na minimalistyczny architektoniczny dress code. Duża część obecnych nosiła okulary, niektórzy przeciwsłoneczne.

Detektyw spodziewał się, że Tadeusz Wilski zostanie pochowany na Powązkach, ale jego żona wybrała inny, mniej popularny cmentarz na przedmieściach Warszawy, gdzie wybudowano mauzoleum rodziny Wilskich. Architekt miał w nim spocząć jako pierwszy. Mimo kameralności cmentarza na pogrzebie nie zabrakło osób z ratusza. Pojawili się także dziennikarze, którzy zachowywali przyzwoitą odległość od zgromadzonych żałobników. Bruno zauważył kilka identyfikatorów – wszystkie z pism branżowych. Nagle mężczyzna dostrzegł, że między kamerzystami i reporterami przeciska się znajoma, ubrana na czarno postać. Zmierzała w jego stronę.

Kalina nie zdołała ukryć pod ciemnymi okularami opuchlizny i zaczerwienionego nosa. Zatrzymała się przy nim bez słowa. Bruno zdobył się na dodający otuchy uśmiech, ale widząc skrępowanie na twarzy dziewczyny, przeniósł wzrok na pozostałych uczestników ceremonii.

Żona architekta wyglądała nieskazitelnie i elegancko, jak przystało na kobietę z klasą. Jeśli w ogóle płakała, to dobrze to zamaskowała pod grubą warstwą makijażu. Stała dumnie wyprostowana, przez co wydawała się silna i opanowana, ale gdy Bruno przeniósł wzrok na stojącego za nią syna, zobaczył, że ten ukradkowo ściska jej dłoń. Obok Elżbiety na wózku inwalidzkim siedziała Janina Wilska, której nie starczyło sił, by dotrzeć na pogrzeb syna na własnych nogach. Karolina Wilska stała obojętnie obok matki w pierwszym rzędzie. Za nią tkwił, wyraźnie wstrząśnięty, Leszek Trocki. Poklepał dziewczynę po ramieniu, ale ledwo zauważalny grymas na jej twarzy zdradził, że tylko ją to zirykowało. No tak, Trocki poczuł się najprawdopodobniej odpowiedzialny za rodzinę Wilskich. To mogło jej nie odpowiadać.

Elżbieta Wilska wyszła przed zgromadzonych i zajęła miejsce, które właśnie zwolnił duchowny. Przez chwilę stała bez słowa, szukając sił, by przemówić. Odchrząknęła.

– Tadeusz był wizjonerem – powiedziała. – Zdaję sobie sprawę, że większość osób, która przyszła tu dziś go pożegnać, przybyła także pożegnać jego olbrzymi talent. Dziękuję za obecność przedstawicielom SARP-u, władzom Politechniki Warszawskiej, dziennikarzom, a także młodym ludziom. Mogę się tylko domyślać, że mój mąż was uczył... Tadeusz Wilski zostanie zapamiętany przez nas wszystkich dzięki swoim projektom, uznaniu, jakim cieszył się w Polsce i za granicą, oraz prestiżowym nagrodom... To, czego państwo mogą jednak nie wiedzieć, to fakt, że Tadeusz był po prostu dobrym człowiekiem. Wiernym mężem. Kochającym tatą. Oddanym synem. Lojalnym przyjacielem. Będzie nam go bardzo brakować – powiedziała, po czym łamiącym się głosem dodała ciszej: – Mnie na pewno.

Dalszej części Bruno już nie usłyszał. Przegapił przemówienie Filipa, a także Leszka Trockiego. Nie przegapił za to wystąpienia Karoliny, które po prostu nie miało miejsca – dziewczyna postanowiła milczeć do końca pogrzebu.

Detektyw nie spał dobrze tej nocy. Wieczorem miał mieć gościa, ale ów gość spotkanie odwołał. Rozalia była dla niego bezlitosna, wodziła go za nos, a on się na to godził. Ostatnio upodobała sobie zabawę w rozpalanie jego nadziei i wymigiwała się z wizyt w ostatniej chwili. Dlatego całe wino, które Bruno kupił na

wczorajsze spotkanie, spożył samodzielnie. Nie był dziś w formie. Nie zauważył nawet, kiedy oparł się o stojące za nim drzewo i przymknął oczy. W pewnym momencie, oprócz twardej kory wbijającej się w plecy, poczuł na ramieniu muśnięcie czyichś palców. Odwrócił się, ale nikogo za nim nie było. Odszedł kilka kroków, pozostawiając Kalinę i żałobników w tyle. Rozejrzał się po otaczających go grobach i mauzoleach, na których widniały puste tablice. Wtedy ją zobaczył.

Siedziała na dachu bezimiennego grobowca i z bezpiecznej odległości obserwowała tłum zebrany wokół czarnej, prostej trumny Wilskiego. Zdawała się nie zauważać detektywa, chociaż był przekonany, że to ona przed chwilą dotknęła jego ramienia. Dziewczyna w białej sukience. Wyglądała tak samo jak za każdym razem i tak samo jak za każdym razem Bruno nie potrafił dostrzec jej twarzy. Przyglądał się jej usilnie, na przemian mrużył i otwierał szeroko oczy, z całych sił wyęczał wzrok, ale nic to nie dawało. Nagle zerwał się silny wiatr. Wydawało się, że witki pobliskich wierzb zaraz urwą się pod jego naporem. Do detektywa wiatr doleciał z opóźnieniem, przynosząc znajomy zapach. Tylko skąd go znał? Nie mógł sobie przypomnieć.

Nagle dziewczyna drgnęła. Bruno przez ułamek sekundy był pewien, że na niego spojrzy, a on ją rozpozna. Ktoś obok pociągnął głośno nosem. Detektyw zamrugał. Znowu poczuł twardą, zimną korę pod plecami. Spojrzał na grobowiec, ale nikt na nim nie siedział. To był tylko sen. Znowu.

Bruno przypomniał sobie płacz, który go ocucił, i rozejrzał się po twarzach gości. Poza rodziną architekta i jego współnikami nikt nie płakał. Za to ponownie usłyszał obok siebie pociąganie nosem. Kalina sięgnęła dłonią pod szkło ciemnych okularów i wycierała oko. Brwi Bruna powędrowały do góry, bowiem wrażliwość tej dziewczyny nieustannie go zaskakiwała, ale teraz przeszła samą siebie. Wilski był dla niej prawie anonimowy, nie znała go na tyle, by po nim płakać! A jednak czarna smużka rozmazanego tuszu zdradzała, że jest inaczej. Ta dziewczyna bardzo się różniła od innych kobiet, które znał Bruno – od Rozalii w szczególności. Ona by nie płakała. O, właśnie! Bruno rozejrzał się wokół i tak jak się spodziewał – znalazł ją. Rozalia stała w grupie dziennikarzy. Na pewno się nie spóźniła,

przybyła pod koniec ceremonii celowo. Patrzyła w tłum żałobników z zacięciem na twarzy, jak polujący na ofiarę drapieżnik. Wypatrywała odpowiedniej osoby do wywiadu, który pojawi się dziś w głównym wydaniu Faktów.

Bruno ponownie spojrzął na Kalinę. Wciąż popłakiwała i starała się ukradkiem wycierać łzy, niezbyt umiejętnie ukrywając swoje uczucia. Detektyw poczuł olbrzymią chęć, by przytulić dziewczynę, by powiedzieć jej, żeby się nie martwiła i że wszystko będzie dobrze. Chciał ją pocieszyć, chociaż była mu obca. Tak mu się wydawało. Sądził, że była mu obca. A jednak spędzał z nią coraz więcej czasu i ją polubił. Nim sam spostrzegł, co robi, złapał jej dłoń. Nie odpowiedziała mu uściskiem, a nawet mógłby przysiąc, że ręka jej zdrętwiała, bo nie drgnęła aż do końca ceremonii.

Bruno, zaskoczony przyływem sympatii do Kaliny, również dopiero wtedy przebudził się z letargu. Spojrzął na Elżbietę Wilską, którą w tym momencie podtrzymywało dwóch stojących najbliżej mężczyzn. Spojrzął też na matkę architekta, panią Janinę, która nagle została pozostawiona samej sobie. Patrzyła tępo w przestrzeń, pogrążona w żałobie. Karolina gdzieś zniknęła. Mężczyzna odwrócił się w kierunku Rozalii i poczuł chłód. Kobieta wbijała w niego morderczy wzrok, a gdy tylko upewniła się, że to zauważył, ruszyła do dziennikarskiego ataku na przypadkowego gościa.

– Rozmowa z panią Wilską może zaczekać do jutra – szepnął Bruno do Kaliny i pociągnął ją lekko do wyjścia.

Odwróciwszy się, zobaczył jeszcze jedną znajomą twarz, dobrze ukrytą pod bardzo dużymi ciemnymi okularami i luźno owiniętą obszerną chustą na głowie i ramionach. Stała w bezpiecznej odległości od rodziny zmarłego, tak że mogła pozostać anonimowa. Anna Schmidt zauważyła detektywa i pozdrowiła go skinieniem głowy. Nie podeszła jednak, by porozmawiać, a Bruno uszanował to i skierował się na parking. Otworzył drzwi do samochodu i zaprosił Kalinę do środka. Pół godziny później byli już u niego.

Kalina nigdy nie była szczególnie rozmowna, ale dziś wspinała się na wyżyny. Nie miała nastroju nawet na docinki, chociaż Bruno sam starał się jej podkładać. Gdy weszła do mieszkania, usiadła na kanapie, a miejsce obok niej natychmiast zajął Olaf, który położył głowę na jej kolanach, po cichu domagając się głaskania. Nie

odmówiła. Bruno poszedł po kieliszki, ale kiedy postawił je przed dziewczyną, ta natychmiast się skrzywiła.

– Bruno... – zaczęła.

– Dobrze, dobrze... – odparł, podnosząc dłonie. – Jeden zabieram. Ale ty się napij. W porządku?

Kalina nie wyglądała na przekonaną.

– Jedno z nas wypije to wino, czy ci się to podoba, czy nie. Sama wybierz: ja czy ty?

Kalina uśmiechnęła się słabo i podstawiła mu kieliszek, by nalał jej alkoholu. Bruno zrobił to wprawnym ruchem, nie roniąc przy tym nawet kropli. Potem zajął miejsce na fotelu obok. Spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę, która wyglądała, jakby znów gdzieś odpłynęła.

– Naprawdę go nie znałaś? – spytał, gry upiła pierwszy łyk.

– Już ci mówiłam – odparła.

– Po prostu nie jesteś najlepsza w pogrzebach?

– Na to wychodzi. Ale nie byłam na wielu, może to dlatego. W sumie... nie licząc pogrzebu rodziców, byłam jeszcze tylko na jednym.

– I też tak ciężko go zniosłaś? – spytał Bruno.

Kalina nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko smutno i pociągnęła duży łyk wina.

– Ja już nieco się oswoiłem ze śmiercią – powiedział pocieszająco Bruno. – Po którymś z rzędu pogrzebie już tak się nie rozpacza.

Kalina nie podjęła jednak tematu i nagle spytała:

– Bruno, dlaczego sobie to robisz?

– Dlaczego sobie co robię? – Zmarszczył brwi.

– Dlaczego pijesz?

Bruno wziął duży wdech i rozparł się wygodnie w fotelu, próbując odegnąć wrażenie *déjà vu*. Przez chwilę poczuł się jak u mamy.

– Nie piję jakoś dużo. Bez przesady – powiedział, patrząc w sufit.

– Pijesz niepokojąco dużo – odparła Kalina. – To przez Rozalię, mam rację?

– Każdy ma swoje demony – przyznał po chwili. – Tak się składa, że mój był mi przeznaczony na życie. Tylko to spaprałem.

– Czy ty sam siebie słyszysz? Ona ma męża, nie odejdzie od niego. Bawi się tobą i w końcu cię zniszczy. Nie wróci do ciebie.

– Nie wiesz tego – odpowiedział stanowczo Bruno. – Wcale jej nie znasz. Wiesz o niej tylko tyle, ile wyczytałaś w serwisach plotkarskich.

– Nie czytam serwisów plotkarskich – powiedziała pod nosem Kalina.

– Akurat – odparł Bruno, licząc na to, że odrobina drażnienia się trochę ją rozchmurzy, jednak zmartwiona mina Kaliny szybko wyprowadziła go z błędu. Bruno wpadł na pomysł. – Chodź ze mną. Coś ci pokażę – powiedział i wyciągnął do dziewczyny rękę.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem zmieszanym z niepewnością, jak małe dziecko, któremu mówi się, żeby zamknęło oczy i otworzyło buzię. I tak jak zwykle w przypadku dzieci – zwyciężyła ciekawość. Kalina odstawiła kieliszek i podała dłoń mężczyźnie.

Poprowadził ją prosto do starych, krętych schodów wiodących na strych. Wszedł przed nią i podniósł ciężką klapę w suficie. Ku zaskoczeniu Kaliny nie spadły na nią koty kurzu, nie rozległo się głośnie skrzypnięcie. Kłapa może i była stara, ale zawiasy od niej już nie. Dziewczyna wspinała się po schodach, starając się po drodze cokolwiek dojrzeć, ale Bruno skutecznie jej zasłaniał. W końcu przedostała się na strych i już po chwili stała na środku pomieszczenia, które tak bardzo ją ciekawiło przez lata.

Powiedzieć, że była zaszokowana, to jakby nic nie stwierdzić. Dziewczyna wydawała się nie tylko zaszokowana, ale również oczarowana. Nie spodziewała się w najmniejszym stopniu tego, co zobaczyła. Rozglądała się wokół, wciągając do płuc lekko zatęchłe powietrze. Unoszący się subtelny zapach staroci w ogóle jej nie przeszkadzał. Spojrzała w górę.

Pióra. Całe poddasze obwieszone było piórami. Były małe i duże, kolorowe, białe i czarne, postrzępione i idealnie złożone. Cały sufit, cały strych... Wszędzie nad nią unosiły się pozawieszane na cienkich żyłkach piórka. Okno, które do tej pory tak żywo ją interesowało, nie było zbyt szczelne i wpadające do środka powietrze poruszało piórami, tak że kołysały się lekko, a niektóre z nich co jakiś czas wolno opadały, tworząc chmurę pierza na podłodze. Światło popołudniowego słońca padało prosto na znajdujący się pod oknem materac. Na materacu leżało kilka



kolorowych koców i starych, połatanych poduszek. Usiadła w nich, przyciągając do siebie kolana, i z podziwem pochłaniała widok.

– Ptak jest pstry na zewnątrz, a człowiek wewnątrz – wyszeptala.

– Co takiego? – spytał Bruno, siadając obok dziewczyny.

Ona uśmiechnęła się tylko i wzięła do ręki leżące na czerwonym kocu czarne piórko.

– To jakuckie przysłowie... – powiedziała, przyglądając się znalezisku, który pod odpowiednim kątem mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Kalina uśmiechnęła się jeszcze raz i przeniosła wzrok na mężczyznę. – Wiedziałam, że masz więcej barw, ale nie sądziłam, że taką.

– Nie przesadzajmy. – Bruno zmieszał się i spojrzał w podłogę. – To tylko pióra.

Ale dziewczyna nie słuchała. Wpatrywała się jak urzeczona w otaczającą ją przestrzeń. Nagle jej uwagę zwrócił dźwięk wydobywający się spod zacienionej ściany. Podniosła się i podążyła za hałasem. To brzmiało jak trzepot skrzydeł.

W kącie pokoju stał zakryty grubym kocem duży przedmiot. Kalina ściągnęła narzutę i poczuła zapach wilgoci. Jej oczom ukazała się duża klatka, miejscami zdobiona motywami roślinnymi. Była trochę zardzewiała i wyglądała na bardzo starą. W środku, na przyniesionej z dworu świeżej gałązce, siedział mały ptaszek.

– Teraz wiesz, czym zajmuję się po godzinach... – usłyszała dziewczyna za plecami. – Jak widzisz, nie tylko piciem.

Kalina odwróciła się do mężczyzny z pytającym wyrazem na twarzy.

– Ornitologia – wyjaśnił. – Nie śmiej się, ale lubię ptaki.

Kalina spojrzała na Bruna wyraźnie zdumiona.

– Bruno, to piękne. Nie miałam pojęcia. A co się stało z tym maluchem? – Wskazała na ptaszka w klatce.

– Miał pecha – powiedział Bruno. – Podczas spaceru Olaf go wyczuł w krzakach. Zanim zdążyłem zareagować, chwycił go w zęby. Złamał mu skrzydło. Zostawiłem go jednak na miejscu i obserwowałem z daleka. Wiesz, to młodziutki kos, sądziłem, że przylecą jego rodzice. Ale nie zjawili się przez cały dzień.

– Obserwowałeś go cały dzień? – spytała, nie dowierzając, Kalina.

– Tak wyszło.

– Byłeś z nim u weterynarza?

– Tak – odparł. – Z nim i z paroma innymi wcześniej. Weterynarz już mnie dobrze zna, wciska jakieś leki i każe się nimi zajmować.

– Jak długo?

– Aż będą gotowe.

– Gotowe?

– By ruszyć dalej. Samodzielnie.

Kalina nie odpowiedziała. Milczała chwilę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając i obserwując małego ptaszka, po czym podeszła do detektywa, na tyle blisko, że poczuł jej świeże, jaśminowo-herbaciane perfumy. Dziewczyna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Spojrzała na niego porozumiewawczo, ale on nie bardzo wiedział, co się dzieje. Nie rozumiał ani trochę, co właściwie zaszło.



**D**etektyw Kosowski szedł samotnie przez podjazd, z którego trochę ponad miesiąc temu zmywano plamy krwi Tadeusza Wilskiego. Minęło tak niewiele czasu, ale to wystarczyło, by w życiu detektywa zaczęły kiełkować zmiany. Dobry nastrój przypisywał jednak coraz częściej wschodzącemu słońcu i jasnym porankom. Zapukał energicznie do drzwi, a przypomniawszy sobie o rozmiarach willi, nacisnął na dzwonek. Usłyszał zbliżające się pospieszne kroki i już po chwili w progu zobaczył Elżbietę Wilską we własnej osobie. Trochę się zdziwił, bo sądził, że Wilsy mają lokaja, ale musiał wcielić swój plan w życie. Taka była umowa.

– Pani Wilska – powiedział Bruno i skłonił się w dawnym stylu.

Po wieczornym wspólnym oglądaniu *Dumy i uprzedzenia* założył się z Kaliną, że niezależnie od tego, kto otworzy mu drzwi, przywita się jak austenowski pan Darcy. Elżbieta lekko się zarumieniła i Bruno pożałował, że nie ma przy nim Kaliny. Po chwili dotarło do niego, że skoro w domu nie pracuje lokaj, to mógł trafić gorzej – na przykład na Filipa – więc odetchnął z ulgą.

– Może się pan czegoś napije? – spytała kobieta, prowadząc gościa do salonu. – Zawołam gosposię, to przyniesie, co tylko pan sobie życzy.

– Nie, dziękuję. Nie tym razem – odparł Bruno, a gdy Wilska usiadła, sam zajął miejsce na fotelu. – Myślałem, że pracuje u was lokaj? – zagaił.

Elżbieta ponownie się zarumieniła.

– Och, nie. Lokaja zatrudniamy tylko na bankiety – odparła.

Detektyw pokiwał głową i przeszedł do rzeczy.

– Pani Elżbieto. Musimy porozmawiać... – zaczął.

Kobieta pobladła, wydawało się nawet, że wstrzymała oddech, ale powiedziała:

– Czegoś się pan dowiedział? Wiadomo, co się stało z Tadkiem?  
– Nie – odparł. – Jeszcze nad tym pracujemy. Dlatego muszę skonfrontować panią z niektórymi informacjami. Pozwoli pani, że wyjmę dyktafon.

– To konieczne?

– Nie ma ze mną partnera, sama pani rozumie...

– Dobrze zatem – powiedziała i przesunęła się na skraj kanapy.

Bruno trochę martwił się tą rozmową. Przekazywanie takich informacji nigdy nie było przyjemne dla żadnej ze stron. Włączając dyktafon, poczuł suchość w gardle i pożałował, że nie poprosił o wodę, gdy miał ku temu okazję. Elżbieta Wilska patrzyła na niego wyczekująco. Detektyw odchrząknął.

– Pani Elżbieto, jak właściwie wyglądało pani małżeństwo? – spytał.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Byliśmy zgodni i zgrani. Potrzebowaliśmy się nawzajem – powiedziała.

– Kochała go pani?

– Bardzo.

– Nie było między państwem żadnych zgrzytów?

– Nie ma małżeństw bez zgrzytów. – Kobieta się uśmiechnęła. – Kiedyś sam pan to zrozumie. Ale zwykle szybko się dogadywaliśmy. Albo odpuszczaliśmy.

– Mogę spytać, kto odpuszczał?

Z twarzy pani Wilskiej zniknął uśmiech.

– Ja – odpowiedziała poważnie.

– W jakich sprawach pani odpuszczała? – spytał Bruno.

– To były drobiazgi. – Elżbieta nerwowo machnęła ręką. – Kto by się tym przejmował? Czasem późno wracał do domu. Był zapracowany, często go przez to nie było.

– Tylko tyle? – zdziwił się detektyw. – A nie bywała pani zazdrosna?

– Nie rozumiem... – powiedziała powoli kobieta, kręcąc głową. – Skąd to panu przyszło do głowy?

– Przejrzałem zeznania gości z tego pechowego bankietu, pani Elżbieto – odparł Bruno. – Jeden z policjantów rozmawiał z dziewczyną, która u państwa pracowała od jakiegoś czasu.

Mówiła, że niejednokrotnie słyszała niewybredne komentarze z ust pani męża. Co gorsza, wspomniała nawet, tu użyję jej własnych słów, że zdarzało mu się też – Bruno przerwał na chwilę i odchrząknął – „położyć łapsko na jej dupie”.

Wszelkie emocje odpłynęły z twarzy pani Wilskiej. Milczała przez chwilę.

– Łatwo rzucać oskarżeniami, kiedy oskarżony nie może się bronić – powiedziała w końcu. – Ta dziewczucha perfidnie skłamała. Tadeusz nigdy nie dopuściłby się tego wszystkiego. Nie miałam nigdy powodu, by być o niego zazdrosna – wycedziła kobieta.

– Pani Elżbieto, nic prostszego niż poprosić tę dziewczynę, by do nas dołączyła. Mówiła pani, że gospoia jest obecna. Zakładam, że to o nią chodzi.

Wilska nie odpowiedziała.

– Pani Elżbieto?

Tym razem westchnęła w geście kapitulacji.

– Mamy nową gospozię. Tamtą zwolniłam.

Bingo. Bruno pokiwał głową, ale postanowił zmienić temat.

– Spędzaliście razem wakacje? Pani i mąż? – spytał.

– Ostatnio rzadko. Wyjeżdżałam raczej sama, ewentualnie z córką na kilkudniowe wycieczki zagraniczne. Tadek co chwilę miał jakieś wyjazdy służbowe.

– No właśnie... Udało mi się dowiedzieć więcej o ostatnim wyjeździe pani męża. Odbył się niedługo przed jego śmiercią.

– Tak... – wyszeptała Wilska i dodała: – Nie podoba mi się, dokąd zmierzają pana pytania, panie Kosowski. Nie jestem głupia. – Kobieta wyzywająco popatrzyła na detektywa.

– Więc skończę owijać w bawełnę. Bardzo mi przykro, ale pani mąż miał romans – powiedział.

Kobieta uniosła brwi i odsunęła się na koniec kanapy, wbijając jak najmocniej plecy w oparcie.

– Chyba nie z tą dziewczyną? – spytała. – To, że zachowywał się czasem jak... No, sam pan wie... nie oznacza jeszcze, że miał z nią romans. Zresztą Tadeusz w życiu nie wplątałby się w nic poważnego z kimś takim, to nie w jego stylu.

– Pani Elżbieto, pani mąż miał romans z pani siostrą.

Elżbieta Wilska nic nie odpowiedziała. Gdyby nie uwydatniona nagle linia szczęki i pobladła twarz, Bruno mógłby pomyśleć, że go nie usłyszała. Wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem odwróciła głowę i zaczęła drapać się po karku. Jej ruchy zaczynały zdradzać mocne zdenerwowanie. Bruno obserwował kobietę z niepokojem, zastanawiając się, czy nie powinien jednak poprosić gosposi o szklankę – ale nie wody i nie dla siebie.

– Pani Elżbieto...? – spytał cicho. – Wiem, że to dla pani trudne. Czy możemy o tym porozmawiać? Nie wiedziała pani?

Elżbieta pokręciła głową, ale nie dała rady wykrztusić z siebie ani słowa. Była na skraju płaczu. Bruno przejrzał swoją torbę i wyciągnął z niej stare opakowanie chusteczek. Podał jedną kobiecie i dał jej kilka minut na oswojenie się z informacjami.

– Nie wiedziałam – powiedziała w końcu. – Nie miałam nawet świadomości, że ona wróciła do Polski. Nie kontaktujemy się od lat. Ja nawet nie wiedziałam, że oni się znają! Gdzie mieliby się poznać...?

– Tutaj – odparł z rozbrajającą szczerością detektyw.

– Pan z nią rozmawiał...?

Bruno kiwnął głową.

– Mieszka w domu letnim rodziców. Myślę, że jeśli będzie się chciała pani z nią skontaktować, to ona również wyrazi taką wolę.

– Taką wolę, dobre sobie, doprawdy – oburzyła się nagle Elżbieta.

– Ta kobieta odebrała mi wszystko!

– Mówi pani o graniu? – spytał Bruno, skinąwszy głową w kierunku dłoni kobiety.

– O, z pewnością Anka panu opowiedziała?

– Tak, w skrócie. Mówiła, że to jej pies panią ugryzł.

– A pochwaliła się dlaczego?

– Chyba wspomniała, że to było w zabawie. Spekulowała, że pani go... odtrąciła? – odparł Bruno.

– Czyli nie powiedziała panu wszystkiego. Anka podejrzewała wtedy co innego, ale powiedzenie o swoich przypuszczeniach rodzicom byłoby obosiecznym mieczem. Może uratowałyby psa, ale siebie wpakowałyby w jeszcze większe bagno. Koniec końców i tak skończyła kiepsko, pies podobnie.

– Powie mi pani, co się w takim razie wydarzyło? – zniecierpliwił się Bruno.

– Powiem. Ale czy pan mi uwierzy? Anka zawsze zdobywała zaufanie innych. Jestem przekonana, że pana również.

– Przekonajmy się – odpowiedział detektyw i pochylił się nieznacznie w stronę kobiety.

– Dobrze. Miałam dziesięć lat, a Anka... nie wiem... koło szesnastu. Zanim nastąpiła tragedia z moją ręką, wszystko układało się idealnie. Tata odnosił sukcesy, mamę stać było na wszystko, o czym zamarzyła, ja zapowiadałam się na wyjątkową pianistkę, a Anka była na najlepszej drodze ku świętości. Spędzała czas na pomocy w schroniskach i stołówkach. Któregoś wieczoru zostałam pod opieką siostry, bo rodziców miało nie być do rana. Przebudziłam się w nocy, miałam chyba koszmar. Nie wiem. Z jakiegoś powodu postanowiłam udać się do pokoju Ani, więc podejrzewam, że to musiało być spowodowane koszmarami. Na korytarzu było ciemno, ale przez szczelinę pod drzwiami do sypialni siostry sączyło się światło. Spodziewałam się raczej, że śpi, więc mnie to zaniepokoiło. Zakradłam się pod drzwi i przykucnęłam. Panie Kosowski... Ja może byłam dzieckiem, ale te dźwięki były dla mnie jednoznaczne... Zorientowałam się, że u Ani ktoś jest. Oparłam się za mocno o drzwi, a musiała ich nie zamknąć, pewnie nasłuchiwała, czy się nie obudziłam... No więc oparłam się o te drzwi, a te się otworzyły. Ja wpadłam do pokoju, od razu plackiem na podłogę! I dobrze, bo z perspektywy parkietu nie widziałam wszystkiego. Chociaż i tak o dwa pośladki za dużo... Anka krzyknęła i dopiero wtedy zwróciłam na nią uwagę, bo tak to zasłaniała mi ją czyjaś kręcona grzywa. Wybiegłam z pokoju przerażona i zniesmaczona. Proszę pamiętać, że miałam dopiero dziesięć lat! Wybiegając, jeszcze się obejrzałam i zobaczyłam twarz tego faceta. Co ja mówię: faceta! Chłopaka raczej! Był niewiele starszy od Ani, o ile w ogóle. Panie Kosowski, gdyby tylko rodzice się dowiedzieli... Dziewczyna z dobrego domu, w tym wieku i z kimś takim... Już tłumaczę. Ja poznałam tego chłopaka, kojarzyłam jego twarz. Anka go z odwyku przytargała.

Elżbieta Wilska zrobiła przerwę, by nawiązać porozumiewawcze, pełne oburzenia spojrzenie z detektywem. Gdy go nie odwzajemnił, pokręciła tylko głową z niesmakiem.



– Nie wiem, czy moja siostrzyczka opowiedziała panu o moim marzeniu? – spytała kobieta, pozornie zmieniając temat. – Miałam jedno, szczególne.

– Wspomniała tylko o kocie – odparł Bruno.

– O kocie – powtórzyła Wilska rozmarzonym tonem. – Marzyłam o kocie. Nie byle jakim, chciałam rasowca, Brytyjczyka, kojarzy pan może? Więc... przez długi czas prosiłam o niego rodziców. Tata się w to nie mieszał, ale mama po którejś z kolei prośbie powiedziała, że mogę mieć kotka. Warunek był jeden: miałam sama na niego zaoszczędzić. Ucieszyłam się wtedy z tej propozycji, bo jeszcze nie rozumiałam, jaką kwotę trzeba dysponować, by takiego kota kupić. Zbierałam jednak złotówka po złotówce i po trzech miesiącach miałam tyle, by kupić kotu kuwetę, zabawki i karmę. Ale na kota to było zdecydowanie za mało. Dlatego dobiłam z Anią targu. Ja milczałam, a ona oddawała mi wszystko, co zaoszczędziła. Panie detektywie, przed tymi wydarzeniami miałam bardzo dobre relacje z siostrą. Później się ochłodziły.

Dziwisz się? – pomyślał Bruno, ale nie zabrał głosu.

– Któregoś dnia Ania przekreśliła naszą siostrzaną miłość całkowicie – kontynuowała Elżbieta. – Przyproceedziła ze schroniska tego psa. Nawet go polubiłam, ale starałam się tego nie okazywać. Oficjalnie byłam niezadowolona, chciałam przecież kotka, a byłam już bliska celu. Powiedziałam więc o tym mamie. I wie pan, co ona mi odpowiedziała?

Bruno pokręcił głową. Zastanawiał się, dokąd to wszystko zmierza.

– Powiedziała, że jak mamy psa, to nie możemy mieć jeszcze kota. Że to za dużo. Nie kłóciłam się, bo wiedziałam, że nic u mamy nie wskóram. Ania zawsze była tym lepszym dzieckiem o złotym sercu, córką idealną.

– I co pani zrobiła? – spytał Bruno.

Kobieta uśmiechnęła się, chociaż wyraźnie ze sobą walczyła, by tego nie zrobić.

– Powiem panu – odparła, a Bruno dostrzegł w jej oku błysk. –

Najpierw poszłam do pokoju Ani i poprosiłam ją grzecznie, żeby oddała psa do schroniska. Powiedziałam jej nawet, że jak kupię kota, to swoje kieszonkowe będę oddawać jej. To był mój jedyny pomysł na załatwienie tego polubownie. Ale Ania zaśmiała mi się

w twarz. Miałam złamane serce, tyle czasu zbierałam te cholerne pieniądze i tak bardzo marzyłam o tym kocie... Własna siostra zrobiła mi coś takiego... Ale ja zawsze byłam spostrzegawcza, panie detektywie. Zanim wyszłam z jej pokoju, zobaczyłam przez łyżę, jak chowa jakąś kopertę do szuflady, gdzie zwykle trzymała bieliznę. Podejrzywałam, że to listy od tego jej kochasia. Wystarczyło tylko, że się zakradnę pod jej nieobecność i je zabiorę, a wtedy na pewno zwróciłaby Szarika, bo nie wiem, czy mówiła, ale tak się wabił. Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Następnego dnia Ania jak zwykle była w ośrodku odwykowym, chociaż teraz nie wiem, czy faktycznie chodziła tam jako wolontariuszka, a ja weszłam do jej pokoju. Ale nie spodziewałam się tam...

– Zobaczyć psa – dokończył za nią Bruno.

– Tak. Nie wiedziałam, że zamknęła go u siebie. Wcześniej wykorzystywała do tego pralnię, bo tam niczego by nie zniszczył. Chyba mu zaufała. No, w każdym razie nie zauważyłam Szarika od razu. W sumie najpierw go usłyszałam, bo warczał. Było to w momencie, kiedy już wyciągnęłam z szuflady całą siostrzaną korespondencję. Zdażyłam tylko schować listy w spodnie – nie chciałam, żeby mama mnie z nimi zobaczyła, bo straciłabym kartę przetargową. I wtedy to bydlę się na mnie rzuciło. Ręka, jak pan widzi, nigdy nie wróciła do pełnej sprawności po tym wydarzeniu. Od tamtej pory mam ten cholerny tik. Przestałam grać w szkole muzycznej. Czasem zdarzało mi się tylko grywać w domu na święta. Ale rodzice już nigdy się tym nie cieszyli, jak dawniej. Myślę, że ich to frustrowało...

– A co z Szarikiem i pani siostrą? – dopytywał Bruno.

– Och tak, to. Szarika uśpiono, o czym niewątpliwie Anka panu powiedziała – odparła.

– Powiedziała też, że pani na to nalegała.

– Tak... – powiedziała kobieta, rumieniąc się po dekolt. – Ale nie jestem z tego dumna. Widzi pan, byłam zaślepiona tym, że Ania wszystko mi zabierała. A jedyne, czego chciałam, to ten kociak. To niewiele. Szarik zniknął, a jego miejsce szybko zajął nowy futrzany domownik, tym razem wybrany przeze mnie.

– Czyli doczekała się pani tego kota? – spytał Bruno.

– Tak, ale nie cieszyłam się nim długo. Zdechł po pół roku.

– Z jakiej przyczyny?

– Rozczaruję pana, panie detektywie – powiedziała Elżbieta. – Nie będzie tu mrozących krew w żyłach historii o siostrzanej żądzy zemsty. Ani nie było już wtedy z nami. Kot się zatrzał trutką na szczury, jak na ironię.

– Powiedziała pani, że pani Anny „nie było już wtedy z wami” – powiedział Bruno, mrużąc oczy. – Może pani rozwinąć myśli?

Elżbieta westchnęła głośno.

– Ja się do tego przyczyniłam – przyznała. – Mówiłam panu, że schowałam te listy za gumkę od spodni. Kiedy leżałam w karetku i mnie wieziono, mama je zobaczyła i zabrała. Spomiędzy nich coś wypadło. Coś w jakimś sreberku. Wtedy nie wiedziałam, co to, ale pamiętam, że mama mocno się zarumieniła, gdy podnosiła to z podłogi karetki na oczach ratowników medycznych. Teraz gdy już wiem, co to było, ani trochę jej się nie dziwię. Mam na myśli prezerwatywę, naturalnie. Listów mama nie przeglądała przy mnie, ale domyślałam się, że zrobiła to, kiedy jeszcze była w szpitalu. Nie wiem, o czym siostra pisała z tym chłopakiem, ale najwyraźniej w połączeniu z tym wstydliwym znaleziskiem stało się to czymś niezwykle niewybaczalnym. Rodzice byli nieubłagani i mimo rozpaczliwych próśb Ania już miesiąc później mieszkała w internacie przy prywatnej szkole średniej w Gdańsku. Z tego, co wiem, nie była to tradycyjna szkoła, a raczej jedna z tych, gdzie trzeba chodzić w nienagannym mundurku i uczyć się dobrych manier, typu jakiego kieliszka należy używać do jakiego trunku. Taka szkoła dla dam.

– I tak zakończyła się wasza siostrzana więź? – spytał Bruno. – Więcej się nie widziałyście?

– Widziałyśmy – odparła Elżbieta. – Póki Ania nie osiągnęła pełnoletności, musiała się przecież meldować w domu z okazji rozmaitych świąt. Ale gdy tylko skończyła osiemnaście lat, wyniosła się za granicę. Nie utrzymywała z nikim z nas kontaktu przez długi czas.

– Z powodu Szarika?

– Myślę, że bardziej z powodu tego chłopaka. Chyba była w nim zakochana.

– To za niego potem wyszła? – spytał Bruno.

– Nie – odparła kobieta. – Ania poznała jakiegoś Niemca i wzięła z nim ślub, jeszcze zanim skończyła dwadzieścia lat. Przeglądałam co jakiś czas informacje na jej temat w internecie, wie pan, Facebook i tym podobne. Z jej profilu wynika jasno, że się rozwiodła, ale nie wiem, jak dawno temu. Podejrzewam, że jest pan lepiej poinformowany.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Ale nie było to *Stayin' Alive*. Tym razem dźwięk był krótki. Bruno przeprosił i zignorował komórkę. Chciał już zadać kolejne pytanie, ale sygnał się powtórzył.

– Przepraszam. To może być ważne – powiedział i odblokował ekran.

„Musimy porozmawiać. Spotkajmy się u ciebie jak najszybciej” – głosił pierwszy SMS. Drugi był jeszcze bardziej naglący: „Pilne”.

Bruno, starając się ukryć ulgę, że zyskał pretekst, by zakończyć tę rozmowę i wyjść, wstał i pokornie poprosił Elżbietę o wybaczenie. Z domu Wilskich niemalże wybiegł i już kilka minut później pędził do Warszawy. Dalsza część dnia zapowiadała się ciekawie, bowiem Kalina coś znalazła.

Od kiedy Kalina zajęła się sprawą nieżyjącego architekta, na zajęcia spóźniała się jeszcze częściej niż wcześniej i jeszcze częściej była na nich nieobecna myślami. Nowe zadanie pochłoneło ją bez reszty. Myślała o nim od rana do wieczora, robiąc przerwy tylko na ćwiczenie charakteryzacji. Momentami miała wrażenie, że daje jej to nawet wytchnienie od pracy detektywa. Była zatem nieustannie wyczerpana, ale czujna.

Tego dnia na zajęcia się nie spóźniła, mimo że szła na nie z wyjątkowo ciężkim sercem. Bruno powierzył jej zadanie, a ona musiała je wypełnić. Nie wiedziała tylko jak. Kontakty z obcymi ją przerażały, a będzie musiała się na nie dziś wystawić. Rozpytać o Trockiego, rozpytać o Trockiego... Polecenie krążyło jej po głowie, od kiedy je usłyszała po raz pierwszy. Powinna była to załatwić następnego dnia, ale sądząc, że to zadanie wciśnięto jej na siłę, żeby miała coś do roboty, wolała odczekać, aż Bruno zapomni. Ten jednak pamiętał. Przypomniał się z prośbą wczoraj, zaraz po zakończeniu seansu *Dumy i uprzedzenia*. Zrujnował jej tym nastrój, chociaż nie był tego świadom.

Kalina już od przestąpienia progu wydziału rozglądała się, szukając osoby, z którą mogłaby porozmawiać. Miała pytać o Leszka Trockiego, bliskiego współpracownika Tadeusza Wilskiego, czyli osoby wyjątkowo nielubianej. To mogło oznaczać zarówno otwartość potencjalnego rozmówcy na zadawane pytania, jak i jego natychmiastowe zamknięcie. Kalina usiadła na ławeczce koło szatni. Szukała, rzucając ukradkowe spojrzenia. Większość osób na korytarzu wyglądała całkiem nieznaną, co mogło oznaczać, że to sami pierwszoroczni, którzy z Wilskim nie mieli żadnych zajęć. W tłumie nie było ani jednej znajomej twarzy, a do obcych nie miała śmiałości zagadać. Z westchnieniem wstała i skierowała się do

biblioteki. Zamierzała zaczekać tam do kolejnych zajęć i nabrać trochę odwagi.

Z czasopismem branżowym w dłoni zajęła miejsce obok jakiejś kobiety, która w zastraszającym tempie wypisywała małe karteczki idealnym architektonicznym pismem, jakiego nie opanuje już żaden student. Kalina z zaciekawieniem obserwowała, jak drobna blondynka kataloguje karteczki w wystawionej starej szufladce. Kobieta zauważyła to i z uśmiechem zwróciła się do Kaliny:

– Chcesz pomóc? – Gdy przemówiła, Kalina poczuła okropny smród papierosów.

– Co miałabym robić? – spytała w odpowiedzi.

– Robię nowy katalog z pracami dyplomowymi – odparła. – Do tej pory było po autorach, ale kilku niezadowolonych profesorów zaczęło się domagać, by można było również szybko połączyć prace z ich nazwiskami. I teraz wypisuję wszystko na nowo i układam alfabetycznie, co zajmuje trochę czasu. Bo oczywiście przepisuję z katalogu, gdzie wszystko mam w kolejności alfabetycznej według nazwisk studentów.

– Nie łatwiej to skserować...? – mruknęła Kalina.

Kobieta spojrzała na nią, lekko zdziwiona tym, że jej samej nie wpadło to do głowy.

– Muszę zapalić – powiedziała, szukając w torebce paczki papierosów. – Jeśli chcesz, możesz posegregować te kartki, które tu leżą. Resztę chyba faktycznie pokseruję.

Kalina z rezygnacją spojrzała na stosik nieposegregowanych kartek. Nie miała zamiaru spędzić tu zbyt dużo czasu. Już miała się po cichu zmyć, kiedy jej uwagę przykuła jedna z karteczek – a konkretnie jedno nazwisko. Już wiedziała, co ma robić.

Odnalezienie wszystkich tytułów z dopiskiem „promotor: Tadeusz Wilski” trochę jej zajęło. Nie dlatego, że było ich dużo. Naliczyła tylko sześć. Niezwykle mało, jak na tak dobrego architekta. Kalina nie była przekonana, czy wynikało to z niechęci studentów do tego człowieka, czy raczej odwrotnie – z tego, że to on nie miał chęci wspierać ich przy pisaniu prac dyplomowych.

Dziewczyna spisała kilka nazwisk i wklepała je w wyszukiwarke Facebooka. Dwie osoby odnalazła bez problemu, obie kojarzyła z twarzy i wiedziała, że jeśli są pilne, to powinna je znaleźć przed

salą wykładową, gdzie ostatni rocznik zaczynał za kilkanaście minut zajęcia. Cztery pozostałe musiały być dyplomantkami bardzo dawno. Jedyne informacje, jakie o nich znalazła, to te o stażu sprzed kilku lat w renomowanych amsterdamskich biurach. Kalina przyjrzała się jeszcze raz nazwiskom – coś jej nie grało. Tylko co? Już wiedziała! Wszyscy studenci, których promotorem był Wilski, to dziewczyny. A przecież ten facet gardził studentkami, wszyscy to wiedzieli.

Podniosła się ze starego bibliotecznego krzesła i z piskiem przesunęła je po sfatygowanych panelach. Nie umknęło to uwadze starszego mężczyzny, kierownika biblioteki, który już odruchowo chciał się podnieść i wygonić ją za drzwi. Kalina widziała to w jego lodowatym spojrzeniu. Szybkim ruchem sięgnęła po torbę, robiąc przy tym jeszcze więcej rabanu, i prawie biegiem pokonała drogę do wyjścia. W progu minęła jeszcze biblioteczną palaczkę, zaczerwieniła się mocno, mruknęła „przepraszam” i ruszyła, nie oglądając się za siebie. Nie usłyszała już ciężkiego westchnienia kobiety ani nie poczuła papierosowego smrodu, który tamta roztaczała. Kalina zatrzymała się dopiero u szczytu schodów, wypatrując jednej z dyplomantek i zbierając siły, by do niej zagadać. Kiedy zobaczyła znajomą rudą czuprynę, zacisnęła pięści i skierowała się prosto do dziewczyny.

– Hej, masz chwilę? – zagadała.

Niska dziewczyna spojrzała na nią z zaciekawieniem, po czym odeszła z Kaliną w ustronnejsze miejsce, zostawiając swoje koleżanki.

– Poszukuję informacji o Leszku Trockim, to współpracownik Tadeusza Wilskiego – powiedziała Kalina. – Po jego śmierci przejął stery ich wspólnej firmy, a ja chcę się tam zaczepić.

Dziewczyna ściągnęła rude brwi, marszcząc przy tym pokryte piegami czoło.

– Nie bardzo rozumiem... Dlaczego pytasz o to akurat mnie...? – spytała.

– Wilski... Znalazłam w katalogu bibliotecznym informację, że był twoim promotorem przy inżynierce, a nie pomagał wielu studentom, tylko nielicznym, wybranym. Musiałaś mu jakoś zaimponować, nie wiem, może cię polubił albo jesteś cholernie dobra. W każdym razie

jest szansa, że wiesz o Wilskim coś więcej, może nawet masz jakieś informacje o jego współpracowniku.

Ruda zarumieniła się mocno – akurat takiej reakcji Kalina się nie spodziewała.

– Słuchaj... Nie wiem nawet, jak masz na imię... – odezwała się dziewczyna z miną wskazującą na to, że ma poważne wątpliwości co do tej rozmowy.

– Kalina.

– Kalina – powtórzyła ruda. – Nie mam nic do powiedzenia w sprawie Troszkiego, czy jak go tam nazwałaś. Nie mam bladego pojęcia, kim jest ten człowiek.

– A mogłabyś mi powiedzieć coś więcej o Wilskim?

– A po co ci to? On już ci w szukaniu pracy nie pomoże. Lepiej nie ruszać też niektórych plotek...

– Jakich plotek? – spytała Kalina, ponownie przerywając rudej.

Dziewczyna spojrzała z wyraźną złością i odwróciła się do koleżanek. Zrezygnowana Kalina ruszyła na poszukiwania drugiej studentki. Szybko ją znalazła; stała przed salą w grupie znajomych. Dziewczyna była śliczna, miała długie nogi i niemalże równie długie włosy w kolorze złocistego blondu. Śmiała się dużo i nieustannie gadała, zajmując w hierarchii swojej grupy pierwsze miejsce. Kalina poczuła ukłucie w żołądku na myśl, że ma do niej podejść. Ponownie zacisnęła pięści i przymknęła na chwilę oczy. Da radę. Musi dać. Obiecała, że się postara. Zrobiła kilka kroków do przodu, próbując wyłączyć strach.

– Możemy pogadać? – spytała, gdy zatrzymała się za plecami blondynki i delikatnie poklepała ją w ramię.

– Jasne. Co tam? – powiedziała blondynka, kiedy odeszły na bok.

– Nazywam się...

– ...Kalina Dmitrijew. Wiem.

Kalina umilkła zdumiona.

– Znam ploteczki o każdym – odparła dziewczyna i zaśmiała się dźwięcznie. – Ale nie martw się, jesteś jednym z niewielu wyjątków od reguły. Kojarzę tylko twoje nazwisko, masz charakterystyczną urodę.

Kalina chwilę trawiła w głowie tę informację, nie będąc pewna, na ile może zdradzić swoje zainteresowanie architektem. Nie chciała



ploteczek na swój temat.

– Chciałam cię o coś spytać... – zaczęła, decydując się na ryzyko.  
– Czy kojarzysz może współpracownika Tadeusza Wilskiego? Potrzebuję informacji... To znaczy, chciałam zdobyć do niego kontakt. Mam zrobić jakiś referat o projekcie pracowni Wilski/Trocki. Wilski był chyba twoim promotorem, więc może masz jakiś bezpośredni zamiar, tak żebym mogła ominąć sekretarki.

Dziewczyna prychnęła.

– No do tego starego dupka miałam. Ale nie do jego koleżki przecież – powiedziała i wywróciła oczami.

– „Dupka” – powtórzyła Kalina z uśmiechem, próbując dotrzymać blondynce kroku. – Delikatnie powiedziane.

– No raczej. Czyli też miałaś z nim prywatne konsultacje, co? – spytała dziewczyna, patrząc teraz na Kalinę z zaciekawieniem, jakby chciała ją wy badać albo wręcz nawiązać nić porozumienia.

– Tylko raz – skłamała Kalina.

– I wystarczyło, nie? Chciałaś go na promotora?

– Eee... tak. Ale się wycofałam.

– No, twój wybór – odparła dziewczyna, wzruszając ramionami. – Ja dzięki temu zbokowi zostałam wyróżniona za najlepszy dyplom. Więc mimo wszystko było warto.

Kalina nie odpowiedziała, mieląc w głowie jej słowa. Blondynka spojrzała na nią z ledwo dostrzegalnym zatroskaniem.

– To nie przypadły ci do gustu jego „zwyczajne”, a chcesz jeszcze robić referat o jego projektach? Dziwne podejście. Wszystkie laski, które uciekły od typa z krzykiem, nie chcą nawet między sobą o nim gadać. No ale jak tam sobie chcesz. Dam ci jedno nazwisko. Wiem, że dziewczuszka zaczęła robić dyplom u Wilskiego, ale nie zdążyła się obronić, bo wykorkował. Może ten cały wspólnik pomaga jej skończyć pracę? Ja bym na jej miejscu do niego uderzyła. Jolka Kownacka, kojarzysz może?

Kalina z ciężkim sercem przytaknęła skinieniem głowy.

– Dzięki – powiedziała i uciekła.

Jolka Kownacka siedziała w jednej z przeszklonych sal na pierwszym piętrze, czekając już półtorej godziny, aż przyjdzie jej kolej na korektę. Z niechęcią patrzyła, jak dziewczyna obok szczebiocze wesóło do profesora i pierdzieli o dupie Maryni, nie licząc się z cudzym czasem. Po profesorach już się nie spodziewała, że kiedyś wykażą się empatią, ale to, że zapominali o niej inni studenci, napędzało jej i tak już wielki gniew na cały świat. Nagle rozdzwonił się telefon profesora, a Jolka przewróciła oczami. Podczas każdych zajęć dzwoniło któreś z pięciorga dzieci tego faceta, a on zawsze odbierał. Krótkie rozmowy załatwiał zawsze przy studentach, oczekujących na swoją kolej, skazując ich na irytację i zażenowanie, kiedy słuchali, jak mówi do córki: „Jak tam dzisiaj w szkole, słoneczko? Obiad zjadłaś? Tak? Dobry był? Super, fajnie. Pogadamy, jak tatuś wróci do domu, bo widzisz, tatuś ma zajęcia. Co... Co takiego zrobiłaś?”. Następnie wychodził i nie wracał przez minimum piętnaście minut. Żałowała, że wybrała go na promotora, ale nie pozostawiono jej właściwie wyboru. Poza Lelkiem żaden z profesorów nie chciał kontynuować dyplomu prowadzonego wcześniej przez Wilskiego.

Kiedy z rozmyślań wyrwał ją widok profesora wstającego od stołu i wychodzącego z sali z uśmiechem na twarzy i telefonem przy uchu, zerknęła na zegarek i zaklęła pod nosem. Spóźniła się dziś pięć minut. Pięć minut. To o której ma tu przyłączyć? Z samego rana? Czy ta zadowolona z siebie, szczebiocząca zołza była tu już o ósmej?

Jolka oblizwała pomalowane na ciemny fiolet usta. Nie piła nic od dawna, a starała się tego pilnować. Ciągle tyła od braku wody i snu. Rzuciła lodowate spojrzenie radosnej dziewczynie, czekającej, by powrócić do gadki o niczym z profesorem, zebrała rysunki i wyszła. Ledwo jednak wyjrzała zza drzwi, a ktoś na nią wpadł i cały projekt

powyginanego jak papier stadionu rozleciał się po korytarzu. Co jeszcze? – spytała Jolka samą siebie. Schyliła się, by pozbiierać kartki, i kątem oka dostrzegła, że osoba, która cały ten bałagan spowodowała, teraz sprząta razem z nią. Kojarzyła tę dziewczynę z korytarza, ale nigdy z nią nie rozmawiała. Jakaś kolejna cholerna Azjatka, jedna z wielu na tym wydziale. Jolka nie zdziwiłaby się, gdyby miały jakiś sekretny klub dla azjatyckich prymusek. Nie lubiła ich wszystkich, bo jedna wyjątkowo załazła jej za skórę.

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna, podając jej plik kartek z bazgrołami.

– Spoko – urwała Jolka i już miała odejść, kiedy tamta ją powstrzymała.

– Poczekaj. Szukałam cię, ktoś mi powiedział, że będziesz mogła mi pomóc.

Jolka spojrzała na obcą lekceważąco.

– W czym? – spytała niechętnie.

– Powiedziano mi, że możesz mieć kontakt do współnika Wilskiego. Podobno robiłaś u niego dyplom i...

– I miałabym go kończyć z tym ćwokiem? Trockiego widziałam raptem raz w życiu, kiedy czekał na Wilskiego w jego gabinecie.

– Nie rozmawiałaś z nim? – spytała Kalina.

– Po co ci to? Roboty szukasz na skrót?

– Nie. Robię referat. Nie moja wina, że zlecono mi akurat temat o tej pracowni. Jak widzisz, szukam kontaktu do tego gościa wszędzie – odparła Kalina z udawaną rezygnacją.

– Odpuść sobie, on zjebany jest – powiedziała Jolka i już się odwracała, by odejść, gdy Azjatka znów się odezwała.

– Co proszę...? – spytała.

Jolka westchnęła ciężko i odwróciła się do dziewczyny.

– To jakiś oszołom. Daruj sobie typa. Jak go zobaczyłam w tym gabinecie, to wybierał Wilskiemu prochy z opakowania i zastępował je własnymi. To zwykły ćpun – powiedziała.

Jolka zmierzyła jeszcze raz od góry do dołu Azjatkę. One wszystkie wyglądają tak samo, pomyślała.

– Muszę spadać – powiedziała. Straciła tu dziś już i tak za dużo czasu. Odchodząc, obejrzała się, by po raz ostatni zerknąć, czy profesor jednak nie wraca, ale zobaczyła jedynie Azjatkę, która już

pisala do kogos SMS-a. – Psia mac. Kolejna plotkara – mruknela do siebie Jolka.



Kalina siedziala na wycieraczcze pod wiekowymi czarnymi drzwiami w kamienicy przy Alejach Jerozolimskich. Na klatce byla sama. W takiej przestrzeni kazdy szmer wywolalby glosne echo. Czula jednak obecnośc innej istoty po drugiej stronie drzwi i usmiechnela sie. Olaf nie ujadal – wyczul, ze to ona. Podrapala framuge i odpowiedzialo jej podzwanie adresowki przy jego obrozy. Dziewczyna spojrzala na zegarek. Bruno powinien juz tu byc. Wyciagnela z kieszeni komorkę, ale na ekranie nie bylo zadnych nowych wiadomosci i nieodebranych polaczen. Coś musiało go zatrzymać.

Rozgladanie sie na boki i postukiwanie paznokciami w zimna posadkke zaczynalo ja troche nuzyć. Postanowila zejśc na dol, by zadzwonic i pozostac przy tym anonimowa (na tej klatce – byla pewna – roilo sie od wscibskich starszych sasiatek). W tym samym momencie uslyszala glosne skrzypniecie cięzkich drzwi wejsciowych. Ktos szybko pokonywal schody, przeskakujac po dwa stopnie. Poznawala ten krok. W efekcie zanim zdazyła sie podnieśc, z wyciagneta dłonia stanal nad nia Bruno.

– Przepraszam. Wiem, naczekałas sie. Ale mialem telefon z komendy, musialem wstapic. To bylo bardzo pilne – tłumaczył sie mężczyzna, gdy juz pomógł jej wstac. Zanim wyciagnal z kieszeni klucz, zdjal okulary i przetarł pot spod oczu. Na jego skórze wyraźnie odznaczaly sie ślady nosków.

– To coś w związku z Wilskim? – spytala Kalina.

– Tak. Coś, co powinno byc zrobione juz dawno i mimo ze domagalem sie przyspieszenia sprawy wielokrotnie, dopiero dzisiaj doczekala sie ona finału – odparł, przekreczajac klucz w zamku. Drzwi skrzypnely, tak ze oboje sie skrzywili. – To wyniki sekcji zwłok

– dodał, widząc pytający wyraz twarzy dziewczyny, i wykonał zapraszający gest ręką. W drzwiach czekał już na nich szczęśliwy pies.



W powietrzu unosił się intensywny zapach papryki i kiełbasy. Babcia byłaby dumna, mruknął w myślach Bruno na wspomnienie leczu, które u niej podpatrzył. Już kończył robić obiad, jeszcze tylko chwila. Poza podziwianiem własnych umiejętności kucharskich cały czas zastanawiał się nad tym, co przed chwilą zakomunikowała mu Kalina. Nie odrywając wzroku od patelni, powiedział:

– Podsumujmy fakty: o Wilskim krążą interesujące plotki na wydziale. I do tego ta dziewczyna... Jolka? Widziała, jak Trocki podmienia jakieś tabletki Wilskiemu, tak?

– Tak jest – odparła Kalina. Siedziała na wyspie kuchennej i niecierpliwie machała nogami. Czekwała, aż zajrzą do teczki z wynikami sekcji zwłok.

– I Trocki był wtedy sam w gabinecie Wilskiego? – dopytywał Bruno.

– Tak zrozumiałam z jej słów.

– Okej – odparł ze spokojem.

– Tylko „okej”? – spytała, nie dowierzając, Kalina.

– Okej, obiad gotowy. – Mężczyzna odwrócił się z dwoma talerzami w dłoniach. – Chodź zjeść, pachnie świetnie, nie?

– Tak, ale... Bruno, czy to, co powiedziałam ci przed chwilą o Trockim, nie jest istotne?

– Ależ jest.

– I zamierzasz coś z tym zrobić?

– Pewnie, spytam go o to.

– Co takiego? – prawie krzyknęła Kalina.

Bruno odstawił z brzękiem talerze na stół i spojrzał na dziewczynę. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Od oparów kuchennych

poskręcały jej się włosy, jedno pasmo przykleiło się do czoła. Wyglądała ładnie i pierwszy raz ucieszył się, że popsuł mu się ten wiekowy okap.

– Zmieniłem zdanie o Leszku Trockim. Jest już dla mnie niemalże jak symbol – odparł ze śmiechem mężczyzna, a widząc, że Kalina tego nie rozumie, dodał: – Proszę cię, Kalina. Jego IQ jest mniejsze niż twój rozmiar buta.

Kalina spróbowała ukryć uśmiech.

– Wszystko od razu wyśpiewa – wyjaśnił Bruno. – To na pewno interesujące, co mi powiedziałaś, ale bliżej jestem uwierzenia w to, że Trocki chciał łyknąć swoje pigułki na skołataną nerwy, ale pośliznął się, wywinął orła, przy okazji stracił fiolkę z lekami na potencję Wilskiego, wysypał wszystko i w pośpiechu podmieniał. Trocki nie wygląda na mordercę.

Kalina zacisnęła usta.

– Nie zgodzisz się ze mną? – dodał.

– Zgodzę – przyznała w końcu, już szczerze się uśmiechając.

– Dobrze. Teraz, gdy ustaliliśmy tę kwestię, chodź jeść. Papierki o naszym trupie zaczynają żółknąć z nudów.



Kalina patrzyła z wyczekiwaniem na teczkę z dokumentacją. Co kilka sekund przenosiła wzrok na detektywa, licząc na to, że ten w końcu sięgnie po papiery i dowiedzą się z nich czegoś interesującego. Bruno Kosowski dostrzegł jej zniecierpliwienie, lecz udawał, że nie zwraca na to uwagi. Całkiem dobrze się przy tym bawił. Wprawdzie sam był ciekaw, co dokładnie skrywa w sobie teczka, a raczej – jakie tajemnice skrywało ciało Tadeusza Wilekiego, ale czas spędzony z Kaliną w sposób bez troski cieszył go bardziej niż czas poświęcony na pracę. Chociaż i tak musiał przyznać w duchu, z nieopuszczającym go poczuciem winy, że

praca z tą dziewczyną była miłą odskocznią od męskiej współpracy z Piotrem.

Z rozmyślań wyrwało go brzdęknięcie sztućców. Kalina siedziała, wpatrując się w niego uparcie. Zerknął na nią zdziwiony – jej talerz był pusty, nóż i widelec leżały złożone idealnie na godzinie siedemnastej. Spojrzał na swój obiad. Jeszcze nie skończył, a zwykle to on jako pierwszy siedział przy stole z pustym talerzem, nieraz żalując, że już nic nie ma, kiedy inni jeszcze jedli.

– Dokładkę? – spytał, szeroko się uśmiechając.

Kalina spojrzała na niego krzywo, czym poczuł się delikatnie urażony. Prawie usłyszał, jak Kalina obraża jego babcię.

– Nie smakowało? – spytał lekko oschle.

– Bardzo smakowało – szybko zapewniła Kalina, widząc, że Bruno najwyraźniej nie zrozumiał jej intencji.

– Chcesz już wrócić do pracy?

– Po to tu przychodzę, Bruno – odparła.

Mężczyzna zdziwił się samemu sobie – czy właśnie coś go ukłuło?

– W porządku – powiedział i odstawił talerze na bok. Sięgnął po serwetkę i otarłszy brodę, zrozumiał, jak źle musiał wyglądać przez kilka ostatnich minut. Westchnął ciężko i sięgnął po teczkę. Kalina natychmiast się przysunęła, by dobrze widzieć treść dokumentacji. Nie był przekonany, czy powinna mieć do niej wgląd, ale stwierdził, że skoro i tak wie już o tym śledztwie absolutnie wszystko, wycofanie się teraz byłoby mało konsekwentne.

Otworzył teczkę powoli, ale i tak kilka kartek spadło mu pod nogi. Schylił się, żeby je podnieść, a kiedy zobaczył, co się na nich znajduje, odetchnął z ulgą, że Kalina nie zdążyła tego zauważyć. Zwinnym ruchem odwrócił je spodem do góry i wsunął na koniec dokumentacji.

– To zdjęcia – powiedział, kiedy zauważył minę Kaliny. – Zaufaj mi, nie chcesz ich oglądać.

– Mogą być istotne – odparła z uporem.

– Jeśli będą, to je zobaczysz. Ale na razie – odpuść.

– Dobra, czytaj – ponagliła go dziewczyna.

Bruno sięgnął po kolejną kartkę, ale ponownie wypadło mu na kolana zdjęcie. Tym razem nie udało mu się ubiec Kaliny, która

dopatrzyła się swojej szansy i nie zamierzała jej zmarnować. Zwinnym ruchem chwyciła fotografię.

– To nie z sekcji, nie martw się – powiedziała Kalina, przyglądając się zdjęciu z powagą. – Modulator – dodała już szeptem. Nie uszło to jednak uwagi mężczyzny. Pamiętał to słowo.

– Co powiedziałaś? – spytał.

– Modulator. Wilski tak wygląda. – Kalina przekazała mu zdjęcie. Zostało zrobione na podjeździe, gdzie znaleziono trupa.

– Co to jest ten modulator? – spytał Bruno, patrząc na zdjęcie i zastanawiając się nad ewentualnymi skojarzeniami.

– Le Corbusier, taki architekt, opracował system proporcji na postaci człowieka przyszłości. Człowieka przedstawionego z uniesioną ręką. Wilski leży w takiej pozycji – wyjaśniła Kalina.

– Ironia losu – powiedział Bruno, pogrążając się w myślach.

– Okej, czytaj. – Kalina ponownie przywołała go do porządku.

Bruno przebiegł szybko wzrokiem po raporcie. To, co najistotniejsze, było podane u góry.

– Ciemna krew w okolicach uszu, nosa... również w jamie ustnej. Do tego okazałych rozmiarów siniec na szyi... – czytał. – Ech... widzę to już nie pierwszy raz. Mógłbym rozwiązywać krzyżówki z takimi hasłami.

– Co to wszystko znaczy? – spytała Kalina. W odpowiedzi Bruno wskazał jej odpowiednią linijkę, a dziewczyna przeczytała na głos: – „Przyczyna zgonu: pęknięcie podstawy czaszki”.

– To nam akurat niewiele mówi – powiedział Bruno. – Po prostu wyjątkowo niefortunnie uderzył głową o beton.

– No tak – odparła dziewczyna, odchylając się w geście kapitulacji. Bruno jednak czytał dalej.

– Co jest...? – wyszeptał, a Kalina ponownie wróciła do pozycji roboczej. Siedziała jak na szpilkach, wyczekując tego, co powie jej Bruno Kosowski.

– Czy Wilska wspominała o jakichkolwiek problemach zdrowotnych męża? – spytał Bruno, marszcząc czoło nad szylkretowymi okularami.

– Nie przypominam sobie.

– To musimy to z nimi wyjaśnić – odparł.



– Dlaczego? Co wykrył ten patolog? Wilski był chory? – dopytywała Kalina.

– Nie wiem. Ale najwyraźniej coś mu było. Patolog wpisał nawet kwasicę metaboliczną. Z raportu wynika, że facet miał wyjątkowo wycieńczony organizm. A specjalnie dla ciebie, Kalinko, upraszczając naukowy bełkot – gwałtowne sraczki to tylko jedna z wielu niedogodności, z jakimi zmagał się ostatnio pan architekt.



Młody mężczyzna zmierzał ulicami Warszawy w stronę stacji kolejowej. Niebo było już czarne, ale zachmurzenie i tak nie pozwalało dostrzec spadających gwiazd, którymi reklamowały się wszystkie miejscówki w stolicy, posiadające swoje własne ogródki. Dziś bulwary Wiślane są pełne zawiedzionych ludzi, leżących w kurtkach na modnych, ale przecież niewygodnych leżakach. Mężczyzna sam nieraz spędzał na nich popołudnia razem z przyjaciółmi i udawał przy tym, że czuje się świetnie. Zwykle popijał przy tym jakieś niszowe piwo, które najczęściej mu nie smakowało. Wszyscy z jego paczki w nim gustowali, więc on sam nie chciał się wyłamywać propozycją zmiany trunku.

Piątkowy wieczór to była jego pora, a Warszawa w tym czasie to było jego miejsce. Znał wszystkie kluby, do których warto było się udać, wszystkie restauracje, wszystkie bary i kawiarnie. Właśnie teraz takie miejsca przeżywały oblężenie. Grupy współpracowników, studenci, single szukający szczęścia czy też ci, którzy w niedalekiej przyszłości mieli się z kimś związać na stałe – panny i kawalerowie w ich „ostatni wieczór wolności”. Warszawa w piątkową noc oferowała im wszystko, o czym dusza hedonisty mogłaby zamarzyć. Młody mężczyzna pragnął jednak tylko wrócić do domu.

Zatrzymał się na chwilę, by wybrać na iPhone'ie najnowszą płytę pewnego rapera, bardzo modnego w jego kręgach. Założył czerwone słuchawki Beats by Dr. Dre, po czym schylił się, by zawiązać sznurówki najnowszego modelu nike'ów. No, prawie najnowszego. Nie kupił nic od tamtej pamiętnej nocy, chociaż wiedział, że jego kumple ustawiali się w kolejkach po jakiś nowy model Yeezy. Tak naprawdę mało co interesowało go od tamtych wydarzeń. Była jednak rzecz, która nie dawała mu spokoju, i tego wieczoru Filip Wilski postanowił ją raz na zawsze wyjaśnić. To

dlatego wyjątkowo o tej porze nie zmierzał w kierunku „Balu”, tylko w stronę stacji Centrum.

Od tego cholernego bankietu nic mu się ze sobą nie kleiło. A wszystkie wnioski, do których dochodził po wielu godzinach rozważań, natychmiast odrzucał. Wydawały mu się nierealne. Chciał końca. Marzył, by wszystko, co się wydarzyło, tak naprawdę było jedynie koszmarem, z którego może się obudzić. Ale na razie wydawało mu się, że nawet jeśli byłby to zły sen, to jeden z tych bez dobrego zakończenia.

Filip minął kasę biletową, nie zatrzymał się też przy automacie. Pociąg już podjechał, więc mężczyzna przyspieszył i w biegu wskoczył do ostatniego przedziału. Nie słyszał ostrzeżenia dźwiękowego, więc przycięły go drzwi. Nie przejął się tym. Nic go w tej chwili nie interesowało, poza podjętą w końcu decyzją. Dlatego nie zainteresował się także szczególnie, kiedy podszedł do niego kanar, który za brak biletu wlepił mu mandat. Matka nie będzie zadowolona, ale to nie jest teraz jej największy problem. Musi z nią pogadać.

Wyszedł z pociągu i głośno odetchnął. Czuł, jak serce rozbija mu się o żebra. Przez chwilę myślał, żeby wziąć taksówkę, w końcu przed nim długi spacer do samej posiadłości, a jeszcze ten królewski podjazd... Stwierdził jednak, że być może mandat i taksówka to zbyt dużo. Schylił się raz jeszcze, bo buty znów mu się rozwiązały, włączył *Take on me* zespołu a-ha i wciągnął powietrze. Wystartował.

Bieganie w połączeniu z a-ha stanowiło dla Filipa najlepszy sposób na rozładowanie emocji, można się więc było spodziewać, że ich flagowy utwór znienawidzi po pierwszym tygodniu od śmierci ojca. Tak się jednak nie stało. Przysłuchał go pięciokrotnie, zanim dotarł do domu.

Zatrzymał się nagle, jakby zapomniał o hamulcu, a pociągnął za ręczny. Spojrzał ze złością na czerwony samochód stojący na podjeździe i splunął.

Nie marnuje czasu, pomyślał.

– Cześć, babciu – powiedział, mijając w drzwiach starszą panią. – Gdzie się wybierasz?

– Tylko się przewietrzyć, Filipku. Dobrze, że już jesteś. Nie lubię, jak późno wracasz – odpowiedziała.

Filip tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Nie chciał wdawać się z babcią w dyskusje na ten temat, zawsze prowadziły donikąd. Poszedł prosto do salonu, bo wiedział, że tam ich zastanie. Nie mylił się na szczęście. Gdyby znalazł ich gdzie indziej, policzyłby temu facetowi zęby. Leszek Trocki siedział pochylony naprzeciwko jego matki i coś zawzięcie jej tłumaczył, gdy chłopak wszedł do pokoju. Mężczyzna zaczerwienił się na jego widok i odruchowo odsunął od Elżbiety, wbijając się w oparcie kanapy.

Palant, pomyślał Filip.

– Cześć. Jest Karolina? – spytał.

– Sądziłam, że bawicie się razem – odparła Elżbieta, przybierając zaniepokojony wyraz twarzy.

Nigdy nie bawimy się razem, pomyślał Filip, ale na głos zasugerował tylko, że pewnie jest z koleżankami. Uspokoił też matkę, że skontaktuje się z siostrą, i poprosił, żeby się nie martwiła. Filip czuł się odpowiedzialny za rodzinę, teraz gdy nie było jego ojca. Napisał więc SMS-a ze zdawkowym poleceniem „Zadzwoń do mamy”, a zanim odszedł, usłyszał, że dzwoni jej telefon. Dostrzegł jeszcze nieuzasadniony wyraz ulgi na twarzy Trockiego. Co ten gość sobie wyobraża? Martwi się? Myśli, że zastąpi ojca w tym domu? Jego wizyty stawały się coraz częstsze w ostatnim czasie i to się Filipowi nie podobało.

Chłopak ruszył po schodach. Na piętrze znajdowały się sypialnie, w tym ta należąca do rodziców. Mieli własną łazienkę, dostępną tylko z ich pokoju, do której można było się dostać przez mały przedsionek, prowadzący jeszcze do okazałej garderoby mamy. Filip chciał się dobrze przygotować przed rozmową z nią i domyślał się, że to, czego potrzebuje, znajdzie właśnie w łazience. Jeśli nie – będzie musiał zajrzeć do gabinetu ojca, a ta opcja mu się nie uśmiechała – nie wchodził do tego pomieszczenia od dnia jego śmierci.

Wszedł przez duże dwuskrzydłowe drzwi, które były już otwarte, co przyjął z zadowoleniem. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, a z racji swojego ciężaru otwierały się dość głośno. Nie lubił tego pokoju. Sypialnia rodziców kojarzyła mu się z definicji z intymną przestrzenią dwóch osób, które się kochają. Ten pokój taki nie był. Od wielu lat nie widział u rodziców oznak miłości, szczególnie ze

strony ojca. Był raczej oschły w stosunku do mamy. Ostatnie ciepłe rodzinne wspomnienia Filipa pochodzą z czasów, kiedy był jeszcze małym chłopcem.

Pokój był przestronny. Była to największa sypialnia w domu, urządzona w całości przez tatę, chociaż Filipowi wydawało się, że od jego śmierci zmieniło się tu kilka rzeczy. Mama chyba zaczęła przemycać do wnętrza drobiazgi, które miały tę sypialnię ocieplić. Zmieniła prostą białą pościel na równie białą, ale obszytą koronkami. Położyła też na łóżku kilka nowych poduszek. Tata ich nie lubił. Za bardzo cenił czas swój i innych, by ktokolwiek miał je układać. Jakkolwiek było to niedorzeczne, to jednak prawdziwe.

Filip ruszył do przesuwnej płyty, skrywającej za sobą przejście do łazienki. To pomieszczenie było urządzone w bieli, szarościach i czerni. Miało dwie umywalki, dużą wannę z hydromasażem i prysznic, którego Filip zawsze rodzicom zazdrościł. Woda pod prysznicem leciała tu z olbrzymiej kwadratowej deszczownicy, podczas gdy on w swojej łazience miał tylko standardową słuchawkę. Filip skierował się do szuflady pod umywalką ojca. Wyglądało na to, że mama nie ruszała tu niczego od jego śmierci. Głupie to z jej strony, w obliczu tego, co Filip podejrzewał. Szperał chwilę między zużytymi golarkami i dezodorantami, aż znalazł to, po co tu przyszedł. Uśmiechnął się z satysfakcją i otworzył szufladę pod drugą umywalką – tą należącą do mamy. Tu nie musiał nawet szukać. Opakowanie leżało na wierzchu. Sięgnął, przeczytał mały druk, żeby się upewnić. Ucieszył się, że poszukiwania nie trwały długo, ale gdy zorientował się, co odkrył, szybko wrócił na ziemię.

Zszedł na dół, licząc na to, że Leszka już nie ma, ale się rozczarował. Mężczyzna wciąż siedział w tym samym miejscu z markotną miną. No trudno, Filip podjął już decyzję. Jeśli wycofa się teraz, to nigdy o to nie spyta. Usiadł w pewnej odległości od matki i Trockiego, na stołku przy fortepianie. Tak będzie najłatwiej.

– Rozmawiacie o czymś ważnym? – spytał. Leszek się zarumienił, co wcale Filipa nie zdziwiło. To, że zarumieniła się również jego mama, było już jednak zaskakujące. Chłopak wpatrywał się w nich wyczekująco i mimowolnie zaciskał pięści. Elżbieta zerknęła z niepokojem na Leszka, milczała.

– Tylko o biurze – odparł Leszek. – Zdawałem raport, co i jak.

Leszek był cienki w kłamaniu. Filip już miał go wziąć w krzyżowy ogień pytań, ale przypomniał sobie, że nie po to tu przyszedł. Zwrócił się do mamy.

– Mamo, co to jest? – spytał i wyciągnął przed siebie tubkę z tabletkami, taką, w jakie pakuje się wapno.

Kobieta pobladła.

– Nie rozumiem, synku. To magnez, masz nawet napisane na opakowaniu. Tata pił dużo kawy, musiał przez to uzupełniać niedobory – odparła.

– Czyli to przez niedobory magnezu tata miał problemy z oczami? Wymiotował, miał zawroty głowy?

Kobieta zbladła jeszcze mocniej. Była już biała jak ściana. Filip spojrzał na Leszka. Ten wpatrywał się w kobietę i mocno nad czymś zastanawiał.

– Niewykluczone, Filipku – powiedziała.

– Tata brał to od dawna. I nie pomogło? – pytał Filip.

– Synku, do czego zmierzasz? – spytała mama z niepokojem.

Filip zastanawiał się chwilę. Spojrzał na szklanekę z wodą, stojącą na stoliku kawowym. Wstał od fortepianu i podszedł, by po nią sięgnąć. Była jeszcze w połowie pełna. Gdy wziął ją do ręki, zwrócił się do matki:

– To twoje?

– Tak. Co chcesz zrobić?

– Nic. Pić mi się chce – odparł, wzruszając ramionami. Następnie otworzył tubkę i wrzucił do wody jedną tabletkę.

– Filipku, poczekaj. Jak chcesz coś smacznego, to w kuchni powinny być soki. Magnez chyba też jest w kuchni, nieotwierany jeszcze – odpowiedziała kobieta, wyraźnie spięta.

– Przecież tym się nie zatruję, mamo – powiedział. – Prawda?

Kobieta milczała. Wpatrywali się w siebie przez chwilę. Chłopak podniósł szklanekę do ust. Przechylił.

– Czeka! – usłyszał krzyk mamy. – Nie pij tego!

Leszek westchnął ciężko i pokręcił głową, ale nie brzmiało to jak westchnięcie ulgi, a jego gest świadczył raczej o niezadowoleniu. O co tu chodzi?

Elżbieta Wilska ukryła twarz w dłoniach i głośno zaszlochała. Leszek siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami, z miną, która jak

na niego była wyjątkowo wzburzona. Filip nie widział go jeszcze w takim stanie. Chłopak podejrzewał, że matka podtruwała tatę, ale nigdy nie pomyślałby, że Leszek mógł w tym maczać palce. A jego zachowanie? Czy on chciał również jego śmierci?

– Podejrzewam, że możesz to wypić. – Filip usłyszał spokojny obcy głos, dobiegający z wiatrołapu. Podniósł wzrok, podobnie jak pozostali obecni w salonie. W ich kierunku zmierzał ten detektyw, a za jego plecami stała babcia z przerażeniem wymalowanym na twarzy.

Filip spojrzał na matkę. Ona również była przerażona, ale patrzyła na detektywa z niedowierzaniem.

– Nie może... – jęknęła. – Nie powinien tego pić.

Detektyw podszedł do stołka przy fortepianie, ale zamiast usiąść, wziął go i postawił między kanapą a fotelem. Widział teraz wszystkich z bliska. Filip wyraźnie się pogubił. Elżbieta sądziła, że detektyw nic nie wie. Tylko Leszek patrzył na niego porozumiewawczo.

– Mogę...? – spytał detektyw, wyciągając rękę po naczynie. Filip podał mu je niepewnie, patrząc przy tym z powątpiewaniem na mamę.

Detektyw podniósł szklankę do ust, ale wbrew oczekiwaniom zgromadzonych nie wypił jej zawartości, a jedynie powąchał. Obejrzał się na stojącą wciąż w przejściu babcię i zwrócił się do niej:

– Pani Janino, czy byłaby pani tak uprzejma i poczęstowała mnie szklanką wody?

Kobieta kiwnęła głową i ruszyła do kuchni, wciąż wyglądając na przerażoną. Po chwili wróciła z naczyniem.

– Może pani usiądzie...? – zaproponował cicho Leszek, a kobieta przycupnęła na wolnym miejscu na kanapie.

Spektakl trwał. Bruno Kosowski sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej tubkę tych samych rozmiarów jak ta, którą wciąż ścisnął w dłoni Filip. Zwinnym ruchem otworzył opakowanie i wrzucił do szklanki jedną tabletkę. Gdy się rozpuściła, powąchał zawartość szklanki, podobnie jak uczynił to wcześniej. Ku zaskoczeniu wszystkich poza Leszkiem pociągnął jeszcze łyk z każdej ze szklanek. Efekt chyba go usatysfakcjonował, ponieważ Filip dostrzegł na twarzy detektywa cień uśmiechu.



– Postaw, proszę, tubkę z trutką na stole – zwrócił się do Filipa mężczyzna. Chłopak posłusznie odstawił tabletki, przy których po chwili stanęło opakowanie należące do detektywa. Teraz wszyscy mogli przeczytać nazwę wydrukowaną wielkimi czarnymi literami na biało-zielonym tle.

– Aspiryna? – zdziwił się Filip.

– Aspiryna – powtórzył Bruno i zwrócił się do Leszka: – Wydaje mi się, że pan coś wie na ten temat.

Teraz wszystkie oczy zwrócone były na mężczyznę. Leszek nie wyglądał na szczęśliwego, ale tak jak podejrzewał Bruno, miał coś do przekazania.

– Nie wiem, jak pan się dowiedział, ale faktycznie wiem, skąd się wzięła aspiryna w tym opakowaniu. Chyba jednak nie chcę o tym mówić...

Bruno pokiwał głową.

– W porządku – powiedział. – Wyręcę pana, bo wiem, co się wydarzyło. Proszę mnie jednak poprawić, gdybym gdzieś się pomylił... Kiedyś prowadziłem sprawę, w której ofiarą był mężczyzna, a jego śmierci winna była żona, która bardzo go kochała. Ta żona nie radziła sobie z tym, że poświęciła mu całe swoje życie, a on znalazł sobie inną. Klasyczna historia. Pani Elżbieto... – zwrócił się Bruno do przelęknionej kobiety – wydaje mi się, że tu zadziałał podobny schemat. I myślę, że pan Trocki nie chce wyjawić, co wie, ponieważ panią chroni.

Kobieta nie była pewna, co powiedzieć. Przeniósła wzrok z detektywa na Leszka, ale ten na nią nie patrzył.

– Ja naprawdę nie wiem, skąd ta aspiryna... – wyszeptała.

– Fragment o aspirynie wyjaśni nam pan Trocki. Proszę jednak powiedzieć... – Bruno zrobił pauzę i poczekał, aż kobieta spojrzy mu w oczy, a kiedy w końcu to zrobiła, spytał: – Czy truła pani męża?

– Ta...ak! – wyszlochała kobieta, ukrywając twarz w dłoniach. – Trułam! Ale nie chciałam nigdy doprowadzić do jego śmierci! Naprawdę! Daję słowo!

Filip patrzył na swoją matkę i nie wierzył w to, co słyszy. Wciąż miał nadzieję, że to nie jest prawda. Ale widział przecież, jak mama podmieniała jakieś tabletki w tej tubce, i podejrzewał, że w kilku innych, wcześniejszych również. Odwrócił się do babci. Była jak

skąła, chociaż oczy mocno jej lśniły. Tymczasem jego mama mówiła dalej:

– Tadek wiecznie oglądał się za innymi kobietami. Bałam się, że w końcu jakąś znajdzie i mnie zostawi... A ja zrobiłam dla niego wszystko! Zostałam kurą domową dla niego! Kiedyś mnie kochał, ale jak dzieci dorosły, to nagle okazało się, że nie mamy już ze sobą nic wspólnego. A ja? Ja nie byłam mu potrzebna. A chciałam mu być potrzebna. Panie detektywie, słowo daję: wszystkie tabletki, które mu podmieniłam, nie były szkodliwe. To znaczy – były. Ale nie poważnie szkodliwe. Były robione na zamówienie w aptece. Kilka na przeczyszczenie, kilka na zatwardzenie, kilka takich, żeby wymiotował. Przemieszałam je losowo razem z magnezem, tak żeby trafiała mu się taka raz na jakiś czas...

– Raz na jakiś czas? – wtrącił się Filip. – Mamo, tata ostatnio miał problemy codziennie. Do tego coraz słabiej widział i słyszał. Co ty mu dawałaś?

Bruno spojrzał na chłopaka surowo.

– Pocieszę panią, że nie przyczyniła się pani do pogorszenia zdrowia pana Wilskiego, w każdym razie nie w sposób bezpośredni... – powiedział. – W raporcie patologa odnotowano kwasicę metaboliczną, kiepską pracę nerek, do tego organizm był wycieńczony przez biegunki, wymioty, zawroty głowy. To, proszę państwa, są efekty przedawkowania aspiryny.

Bruno odwrócił się do Leszka, który teraz był blady jak ściana, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

– Panie Trocki, to jak było? – spytał.

Architekt przełknął głośno ślinę i spojrzał po zebranych.

– Po-podmieniłem te tabletki – wydukał. – Wi-widziałem, jak Ela coś przy nich majstruje. Bałem się, że oszalała, popełnia błąd. Tadek może nie był idealnym mężem, ale zabójstwo wydawało mi się grubą przesadą, nawet jeśli była rozżalona. Wybacz, Elu... Podmieniłem te tabletki na aspirynę tego samego dnia. Miałem ją akurat przy sobie, bo coś mnie brało. Wykorzystałem moment, kiedy Tadka przez chwilę nie było w jego oficynie na wydziale. Potem podmieniałem tabletki już systematycznie na to samo, żeby się nie zorientował, że coś jest nie tak. Ja... Ja chciałem mu pomóc. I tobie, Elu. Chciałem tylko pomóc.

– Nie pomyślał pan, że takie ilości aspiryny mogą zaszkodzić? – spytał Bruno.

– Nie przeszło mi to przez myśl – przyznał Leszek, a Bruno mu uwierzył.

Detektyw spojrzął po zebranych i spostrzegł w dłoni Filipa jeszcze jedno opakowanie leków. Wtedy zrozumiał coś jeszcze. Zwrócił się do Wilskiej.

– Pani Elżbieto, czy tej nocy, kiedy zginął pani mąż, rozpuściła mu pani tabletki samodzielnie?

– Ja... Dlaczego pan pyta? – zawahała się kobieta. – Czy to ma znaczenie?

– Widzicie państwo... – zaczął Kosowski, a Filip spojrzął na detektywa ze zrozumieniem. Potwierdzało się wszystko, co podejrzewał. – Problem jest taki, że mimo przedawkowania aspiryny patolog nie znalazł w ciele pana Wilskiego śladu po niej. To znaczy, że pan Wilski nie zażył jej tuż przed śmiercią. Znalaziono jednak w jego organizmie ślady innego leku...

– Mamo... – powiedział Filip, widząc, dokąd zmierza detektyw Kosowski – rozpuszczałaś sobie co wieczór swoje środki nasenne. A byłaś tej nocy bardzo rozbudzona...

Bruno spojrzął na matkę chłopaka. Wydawała się nic nie rozumieć. Jakby nie pamiętała, nie zwróciła na to uwagi przez wydarzenia tamtej nocy. Kiedy już chciała odpowiedzieć, za ich plecami od strony drzwi rozległ się czyjś niski głos.

– To akurat ja potrafię wyjaśnić – powiedziała postać, która wyszła właśnie z cienia, a wszyscy w pokoju zamarli.



Bruno stał z pochyloną głową. Uniósł jedynie wzrok, by spojrzeć na swojego przyjaciela. Czuł drżenie rąk i boleśnie wbijające się w niego spojrzenia kilku osób. Nie tracił Piotra z oczu, nie rozglądał się, ale ten zdawał się tym nie martwić.

– Spójrz, co narobiłeś – szepnął tak, by pozostali obecni w pokoju go nie usłyszeli. Bruno cały czas z uporem wpatrywał się w przyjaciela, ręce drżały mu coraz bardziej. Oderwał jedną z nich od wiekowego biurka, ale w momencie, gdy niebezpiecznie się zachwiał, zrozumiał swój błąd. Poleciałby do tyłu, gdyby nie dłoń Piotra, która z nienacka zacisnęła się na jego ramieniu. Piotr zawsze miał refleks.

– Spójrz – powtórzył mężczyzna.

Teraz dopiero Bruno się rozejrzył: teczki rozrzucone po podłodze, mnóstwo dokumentów z najróżniejszych akt walających się bezpańsko, jedna stłuczona brązowa butelka. Spojrzył na tę samą dłoń, którą przed chwilą podniósł, by odepchnąć swojego najlepszego przyjaciela. Krwawiła. Piotr dostrzegł wątpliwości Bruna, chwycił go drugą ręką mocniej, odwrócił i poprowadził w kierunku wyjścia.

– Uprzątnijcie to, zanim Generał przyjdzie – rzucił przez ramię do pozostałych policjantów. Na komendzie wszyscy byli solidarni wobec siebie, wobec szefa niekoniecznie.

Bruno szedł chwiejnym krokiem, podtrzymywany przez kumpla. Minęli już drzwi wyjściowe, ale Piotr popychał go dalej. Gdzie on go prowadzi? Nie pozwoli tak sobą pomiatać, to on tu jest ważniejszy.

– Zostaw mnie, kurwa – wybełkotał Bruno i zaczął się szamotać. Piotr nie ustępował i wywiązała się z tego mała walka, która zakończyła się dopiero w momencie, gdy wpadli razem na jakąś dziewczynę, stojącą pod wejściem.

– Najmocniej przepraszam – powiedział Piotr i skłonił się dziewczynie, po czym poprawił marynarkę. Bruno opatulił się szczelniej bluzą i odszedł w węższą alejkę, cały czas się zataczając. Nie uszedł jednak daleko, bo już po chwili kolega był przy nim.

– Do jasnej cholery, Bruno – powiedział ze złością Piotr, popchnąwszy go na ścianę. Bruno prychnął – kurdupłowi nigdy by się to nie udało, gdyby obaj byli trzeźwi. – Po co w ogóle przyszedłeś?

– Chcę wrócić do pracy – wymamrotał mężczyzna bełkotliwie.

– Spójrz na siebie! Nie nadajesz się do pracy. Jesteś na zwolnieniu jeszcze przez trzy tygodnie. Lepiej wykorzystaj ten czas. Wytrzeźwiej.

– Chcę wrócić – mówił Bruno, czując, że dziewczyna, na którą wpadli, wciąż go obserwuje. Zaczęło mu być trochę wstyd. – Piotr, ja muszę wrócić... Oszaleję sam.

– Bruno... – Piotr zmiękł. – Weź się za siebie. Może... Może jeśli przestaniesz pić, zagadam do Generała. Ale nie zrobię tego, dopóki będziesz chlał. Ona odeszła już dawno, a to, że wyszła za męża, nie jest niczym zaskakującym... Minęło już tyle czasu...

– Miesiąc – przerwał mu Bruno.

– Miesiąc. W porządku, niech będzie miesiąc – przytaknął Piotr. – To ile potrzebujesz na rozpacz? Weź się w końcu w garść.

Bruno poczuł, jak znów ogarnia go bezsilność. Czuł podsuwającą się do góry bluzę, kiedy sam osunął się na chodnik. Ukrył twarz w dłoniach. Tamta dziewczyna postanowiła skręcić w tę samą uliczkę i właśnie ich mijala. Po co jakaś baba ma patrzeć, jak on beczy?

– Ja miałem z nią być... – powiedział z rozpaczą Bruno.

– Aj tam, zaraz miałeś – zachnął się Piotr, który siedział już obok kumpla.

– Nie wiesz, jak to jest. To było moje przeznaczenie. Bycie jej partnerem było moją życiową rolą. Jak mam dalej funkcjonować, kiedy wiem, że się w tej roli nie spełniłem...? Kiedy wiem, że już nigdy się w tym nie zrealizuję...?

– Dramatyzujesz – powiedział Piotr, ale poklepał przyjaciela po ramieniu. Bruno uniósł twarz, by na niego spojrzeć. Za jego plecami

dostrzegł jednak dziewczynę, stojącą w pewnej odległości. Dziewczynę bez twarzy.

Poczuł nagły ból w nodze i wrzasnął. Podwinął ją i złapał za łydkę. Znów był u siebie w mieszkaniu, na kanapie w salonie. Usłyszał kroki z sypialni i stukanie pazurów.

– Cholerny skurcz! – krzyknął, zwijając się z bólu.

– Myślałam, że coś poważniejszego – usłyszał nad sobą łagodny kobiecy głos. Uniósł wzrok i zobaczył Kalinę. – Skoro już się obudziłaś, zrobić ci kawę?

– Poproszę – wymamrotał, przecierając twarz dłońmi.

Zaczynały mu się przypominać wydarzenia wczorajszego wieczoru. Najpierw fragmenty, ale gdy je połączył, miał już pełne wspomnienie. Aspiryna, Elżbieta Wilska, Leszek Trocki, Filip Wilski i jeszcze jedna osoba. Niespodzianka. Nie mógł się doczekać, aż opowie tę historię Kalinie, więc jeszcze zanim wrócił do domu, zajechał po nią i zabrał ją do siebie. Nie zdradził jej nic przez całą drogę. Gdy weszli do mieszkania, usadził ją przy stole i podszedł do szafy, by znaleźć w niej planszówkę, którą dostał od rodziców, gdy zaczął pracę w policji.

– Cluedo – przeczytała Kalina, gdy Bruno położył przed nią podniszczone pudełko. – Przywiozłaś mnie tu, żeby pograć w grę?

– To tylko jeden z powodów – odparł zadowolony z siebie. – Znasz ją?

– Kojarzę z pótek, ale nigdy nie grałam.

– To gra logiczna, ale zanim opowiem ci jej zasady, chcę, żebyś wiedziała, o czym jest.

– Zamieniam się w słuch – odparła Kalina i przeciągle ziewnęła.

– To kryminał. Mamy stary, wielki dom. Mamy zamordowanego gospodarza. I mamy szóstkę gości – podejrzanych. Trzech mężczyzn i trzy kobiety.

Bruno usiadł naprzeciwko Kaliny i otworzył pudełko. Po kolei wyciągał kolorowe pionki i je opisywał.

– Mamy pierwszą obecną na bankiecie. Jest nią Elżbieta Wilska – powiedział, stawiając na planszy niebieski pionek. – Drugi gość, dla równowagi dajmy mężczyznę, to Leszek Trocki. – Postawił pionek fioletowy. – Kolejna obecna, niech będzie to córka, Karolina – powiedział Bruno i na planszy pojawił się czerwony pionek.

– Nic na nią nie ma – przerwała Kalina, krzyżując ręce na piersi.

– Nie psuj mi tego – odparł Bruno i opowiadał dalej: – Jeszcze trzy pionki. Na bankiecie był też Filip Wilski – powiedział i wystawił zielony pionek na stół. Został jeszcze żółty i przezroczysty. – Długo się zastanawiałem, kto powinien zająć miejsce tego pionka, na pewno jakaś kobieta – powiedział Bruno, wskazując na przezroczysty kawałek plastiku w kształcie człowieka.

– Rozumiem, że nie szukasz między zwykłymi gośćmi, tylko wybierasz spośród tych, którzy mieli bliższą styczność z Wilskim?

Bruno uśmiechnął się przebiegle.

– Boisz się, że wybrałbym ciebie? – spytał.

– Nie miałoby to sensu – powiedziała dziewczyna i wzruszyła ramionami. – Sens miałyby pani Janina.

Bruno milczał chwilę z tym samym przebiegłym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Trzymał Kalinę w niepewności.

– Masz rację. Ten pionek to starsza pani – powiedział w końcu, a dziewczynie wyraźnie ulżyło.

– Pozostaje jeszcze jeden – powiedziała. – Rozumując po twojemu, musi to być mężczyzna.

– Masz rację. To mężczyzna. Ale zanim do niego przejdziemy, opowiem ci, co zaszło, zanim cię tu przywozłem – powiedział Bruno i oparł się wygodnie na krześle.

Opowieść detektywa streszczała w sobie wszystkie wydarzenia tego wieczoru i Kalina słuchała jej z widocznym przejęciem na twarzy. Bruno opowiedział o tabletkach, o podtruwaniu architekta przez żonę, o tym, jak Leszek, chcąc mu pomóc, tylko mu zaszkodził. O tym, że syn się domyślał, a matka zmarłego najwyraźniej nie. Mężczyzna urwał dopiero w momencie, gdy wyjawiał informację o lekach nasennych.

– Kalina, upewniłem się w laboratorium. Wilski nie miał w organizmie aspiryny przed śmiercią. Nie zażył jej, chociaż przygotowała mu ją żona. Oczywiście jest również, że Wilska nie wydawała się senna tej nocy, kiedy była przesłuchiwana, a z tego, co wiemy, zażyła silne środki nasenne na długo przed pójściem do łóżka. Za to senny mógł być jej mąż, bo w jego organizmie znaleziono pewien silny środek. Z opisu patologa wynika, że jego skład odpowiadał tym przyjmowanym przez Wilską.



– Doszło do zamiany – powiedziała cicho Kalina, a detektyw się uśmiechnął. – Ale kto za nią odpowiadał?

Bruno w odpowiedzi wystawił ostatni, żółty pionek. Przymknął oczy, by upewnić się, że w jego opowieści nie zabraknie żadnego ważnego pierwiastka. Nie. Pamiętał o wszystkim...



– To akurat ja potrafię wyjaśnić. – Bruno usłyszał niski, męski głos. Jego właściciel wyłonił się z ciemnego wiatrołapu. Najpierw światło odbiło się od jego głębokich zakoli, otoczonych zaczesanymi do tyłu loczkami. Wszyscy wpatrywali się w przybysza z całkowitą konsternacją. – Przepraszam, sam się wpuściłem – powiedział mężczyzna, w którym Bruno rozpoznał Waldemara Śmigalę, niezadowolonego klienta pracowni Wilski/Trocki. – Drzwi były uchylone, pukałem, ale nikt nie słyszał.

Bruno spojrzął po zebranych. Leszek był skonsternowany jeszcze bardziej, ale Elżbieta Wilska pobladła z furii.

– Ty! – wrzasnęła, gdy kolory już całkiem odpłynęły z jej twarzy. – Wiedziałam, że to ty! Poznałam! Nie od razu, ale poznałam na bankiecie! Szukałam cię, by się upewnić, ale nigdzie cię nie znalazłam!

Waldemar nic nie odpowiedział. Patrzył na nią równie chłodno.

– To ty go zabiłeś! – krzyknęła kobieta, zerwawszy się z miejsca.

– To już kompletna bzdura! – zachnął się Waldemar. – Zawsze byłaś podstępna suką, ale teraz przechodzisz sama siebie!

– Miarkuj się pan – powiedział Leszek cały czerwony na twarzy. Wciąż siedział, ale dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Co się miarkuj?! Co to ma być?! Nikt mnie tu nie będzie oskarżał o morderstwo – powiedział wzburzony mężczyzna.

– Ja o tym zdecyduję – powiedział chłodno Bruno. – Radzę zacząć uważać na słowa. O co tu chodzi? – dodał i spojrzął najpierw

na Śmigalę, a potem na Wilską. Kobieta wahała się przez chwilę, po czym przemówiła, już odrobinę spokojniej.

– Mówiłam panu o tym... o tej kanalii – powiedziała i spojrzała na Waldemara, jakby patrzyła na robactwo.

– Kiedy? – spytał ostro Bruno.

– Znałem jej siostrę – wtrącił Waldemar.

– Annę Schmidt? – zdziwił się Bruno.

– Tak. To znaczy nie wiedziałem, jakie ma teraz nazwisko. Znałem ją jeszcze jako Wierzbicką. Anię Wierzbicką.

Bruno odetchnął ciężko.

Nieźle, pomyślał.

– Opowiem panu wszystko, co wiem... – kontynuował Waldemar.

– Na pewno będzie kłamał. Parszywiec. Ćpun w tym domu... – mówiła Elżbieta.

– Elu, to nasz klient... – wtrącił nieśmiało Leszek Trocki. Zarówno Filip, jego babcia, jak i Elżbieta spojrzeli na niego z oburzeniem.

– To jest istotne? Że to klient? – spytała kobieta, robiąc wielkie oczy. – Tadek by go wygonił i nie baczył na to, że to klient. Nie pozwoliłby, żeby ktoś tak nazywał jego żonę w tym domu! W grobie się teraz przewraca...

– Dobrze! – rzucił Waldemar. – Ale znalazł się w nim przez ciebie. Trułaś go, kobieto!

– Proszę się uspokoić – powiedział Bruno niechętnie, bo tak naprawdę wolałby teraz pójść po solony popcorn z karmelem. –

Czekam na konkrety. Pani Elżbieto, proszę usiąść i pozwolić mówić panu Śmigale. Przecież wszyscy chcemy poznać prawdę.

– Trochę się pan rozpędził – pospieszył z wyjaśnieniami Waldemar. – Moje zeznania nie wniosą dużo. Nie mam bladego pojęcia, kto odpowiada za śmierć tego architekta, ale gdyby pan chciał usłyszeć, co sądzę...

– Już raz słyszałem. Wskazał pan pana Trockiego, jeśli mnie pamięć nie zawodzi – powiedział Bruno i uśmiechnął się szeroko. Zerknął na Leszka, który wyglądał teraz jak wyciągnięta z wody ryba, łapiąca zachłannie powietrze. Waldemar zaczął się tłumaczyć.

– Panie Trocki, spokojnie – powiedział głosem handlarza i rozłożył ręce. Zabrakło tylko: „Szefuniu, jakoś się dogadamy”. – To był ślepy strzał, teraz wszystko wskazuje na Elkę.

Bruno żałował, że nie ma tu Kaliny. Obserwowanie wewnętrznej walki Leszka było niezwykłą rozrywką. Detektyw był przekonany, że dziewczyna też bawiłaby się przednio.

– Do rzeczy, proszę pana – powiedział jednak, przywołując tym mężczyznę do porządku.

– Dobra. Już opowiadam – zaczął Śmigąła i odchrząknął. Bruno był pewien, że mężczyzna by splunął, gdyby nie powstrzymał go widok perskiego dywanu, który musiał kosztować małą fortunę. – Ja i Wilski mieliśmy na pieńku, o czym już pan wie. Prace nad moją inwestycją są wciąż zawieszona, a ja każdego dnia tracę przez to kasę – powiedział i łypnął na Trockiego. – Z panem sobie jeszcze pogadam – powiedział groźnie, celując palcem w Leszka, na co ten schował się nieznacznie za plecami pani Janiny.

– Dostałem zaproszenie na ten bankiet i liczyłem, że tutaj dorwę gościa – kontynuował Śmigąła – ale unikał mnie skubaniec przez cały wieczór. Mignął mi ze dwa razy. Raz nawet nasze oczy się spotkały, ale kiedy ruszyłem w jego kierunku, on się ulotnił. Żeby się nieco uspokoić, poszedłem do barku. Minałem kogoś, kogo nie spodziewałem się tu zobaczyć – powiedział i spojrzał na Elżbietę Wilską. – Nie wiedziałem, że Elka to jego żona. Nawet w momencie, gdy ją mijalem, nie miałem tej świadomości. Ale jakiś dżentelmen staromodnie się jej skłonił, tytułując ją „panią Wilską”. Jak w jakiejś austenowskiej historii! – wybuchł i zauważył, że detektyw pospiesznie odwrócił głowę, próbując nie zdradzić rozbawienia. – Co pana tak bawi? – spytał agresywnie Śmigąła. – Nie jestem ignorantem. Znam literaturę.

– Ależ to nie... – zaczął Bruno, ale nie miał siły tłumaczyć. – Przepraszam. Proszę kontynuować.

– No. Więc usłyszałem „pani Wilska” i mnie olśniło. Gościłem u tej samej Elki, która kiedyś elegancko spaprała mi życie. Jak wspomniałem, znałem jej siostrę. Miałem trudne dzieciństwo i dokonywałem głupich wyborów, przez które trafiłem na odwyk. Tam Ania pracowała jako wolontariuszka. Wyciągnęła mnie z nałogu, była dla mnie motywacją do dalszych zmagani. Chciałem się z nią ożenić. Już w wieku tych kilkunastu lat wiedziałem, że znalazłem towarzyszkę życia. Ale tu obecna mała Ela postanowiła podkablować, że jesteśmy razem, swoim rodzicom, którzy odesłali

Anię do jakiejś szkoły z internatem. Nie dali nam się pożegnać, nie powiedzieli nawet, gdzie ta cholerna szkoła się znajduje. Ja byłem zrozpaczony, raz nawet się zламаłem i znowu... – Mężczyzna przerwał na chwilę, zawstydzony swoją słabością. Po chwili dodał: – Ale tylko ten jeden raz. Nie wróciłem do nałogu. Ale! Wracając do tematu. Zobaczyłem „panią Wilską” i udałem się za nią. Po co? Sam nie wiem, szczerze mówiąc. Może podświadomie zapragnąłem zemsty już w tamtym momencie. Ela trzymała w dłoniach dwie szklanki, chyba z wodą. Poszła z nimi do kuchni, a ja obserwowałem ją z ukrycia. Z szuflady wyciągnęła tubkę, taką jak na wapno czy magnez, i wyjęła z niej jedną tabletkę. Jak ją wrzuciła do wody, to zaczęła musować, nic nadzwyczajnego. A potem zobaczyłem, jak Elka wyciąga z kieszeni jakieś inne tabletki. Wrzuciła sporą dawkę do drugiej szklanki. Te też musowały. Wtedy usłyszałem, że ktoś jej szuka. Nie wiem, czy nie była to starsza pani. Ela także to usłyszała i odwróciła się do wyjścia. Na blacie zostawiła obie szklanki i opakowanie. Panie władzo, to była moja szansa. Upewniłem się, że nikt mnie nie widzi, i zakradłem się do kuchni. Nie wziąłem nawet tego pudełka do ręki, nie chciałem zostawiać jakichkolwiek śladów. Ma się ten łeb! – powiedział z przejęciem Śmigąła, wyraźnie z siebie dumny.

– Że też się pan tym chwali – zachnął się Leszek. Waldemar skierował na niego wzrok, jakby zdziwiony obecnością tego człowieka. – Przed detektywem... Że śledził pan kobietę... Podśluchiwał... jak jakiś... Wie pan, jak to wygląda z mojego punktu widzenia? – spytał Leszek.

– Chciałbym zobaczyć, jak to wygląda z pańskiego punktu widzenia, ale obawiam się, że głowa nie sięgnie mi aż do mojej dupy – odparł Waldemar Śmigąła.

Leszek zapowietrzył się, a Bruno zagryzł na chwilę wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Korciło go, żeby to zapisać.

– Nazwa leku coś panu mówiła? – spytał Bruno, przywołując się do porządku.

– A skąd. Sprawdziłem w internecie. Żyjemy w pięknych czasach, prawda? – odparł, ale Bruno go zignorował. – Silny lek nasenny. Ela już kiedyś miała problemy ze snem. Pamiętasz, Elu? – zwrócił się do poczerwieniałej ze złości kobiety. – Nie byłem pewien, dla kogo

jest druga szklanka, ale podejrzewałem, że dla kogoś z domowników, skoro Ela rozpuściła w niej witaminy. Istniała szansa, że dla jej męża. Mogłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wystarczyło zamienić szklanki. Wtedy Wilski padłby ze zmęczenia na własnej imprezie, a Ela cierpiałaby na bezsenność całą noc.

– Jesteś doprawdy mistrzem zbrodni – powiedziała Elżbieta, kręcąc głową z udawanym niedowierzaniem. Śmigąła spojrzał na nią krzywo.

– Nie jestem zwyrodnialcem. Wiem, że może marna to zemsta, a raczej prztyczek w nos. Ale musiało mi to wystarczyć. Chciałabys czegoś więcej?

Elżbieta nie odpowiedziała, patrzyła tylko na swojego gościa z nienawiścią w oczach.

– Po co pan tu dziś przyszedł? – wtrącił się Filip.

Waldemar Śmigąła drgnął, jakby nie spodziewał się, że chłopak się odezwie.

– Chciałem zdobyć adres twojej ciotki – odparł, wzruszając ramionami.

– Po co ci on? – spytała Elżbieta.

– Ja... nie wiem. Chciałem chyba zobaczyć, jak się miewa.

W odpowiedzi usłyszał tylko śmiech. Elżbieta Wilska nie panowała nad sobą, a Filip zerkał na nią z niepokojem. Wstał i podszedł do Waldemara.

– Lepiej będzie, jak pan już pójdzie – powiedział chłopak spokojnie.

– To tylko adres. Nie możesz mi go dać? – spytał mężczyzna, a w jego głosie zabrzmiała nuta błagania. Mówił cicho, tak żeby Elżbieta go nie słyszała.

– Przykro mi. Nie utrzymywaliśmy nigdy kontaktu z cicią. Sam nie miałem okazji jej poznać.

Śmigąła skinął głową i z posmutniałą miną skierował się do drzwi. Bruno stwierdził, że nic tu po nim, pożegnał się i prędko ruszył za Śmigąłą, licząc, że jeszcze go złapie.



– I co? Zdążyłeś? – spytała Kalina, wpatrując się z zainteresowaniem w Bruna i wrywając go z chwilowej zadumy.

– Tak – odparł Bruno.

– Dałeś mu adres?

Bruno uśmiechnął się i kiwnął głową. Kalina odwzajemniła uśmiech. Wzięła do ręki żółty pionek i ustawiła go na polu „Kuchnia”.

– Gramy? – spytała.

– Gramy – odparł.



Rozalia z kieliszkiem w dłoni siedziała na łóżku w rozmiarze king size i przyglądała się swojemu mężowi. Kiedy kupowali ten mebel, była dumna, że może sobie na taki pozwolić i że ma sypialnię, która go pomieści. Jednak po jakimś czasie, gdy gorąca miłość małżeńska ostygła, mąż i żona zajęli przeciwległe brzegi łóżka, zostawiając między sobą pustkę.

Zygmunt Trakowski krzątał się teraz po garderobie. Spakował już garnitur i zabrał najlepszą koszulę, jaką kupiła mu Rozalia. Wziął też krawat – prezent od tej drugiej. Rozalia nienawidziła tej kobiety już bez świadomości, że ma ona dobry gust, więc stylowy krawat wzmagał tylko jej irytację.

– Musisz jechać? – spytała męża.

– Nie zadawaj głupich pytań, stać cię na więcej. Wiesz, że muszę. Jeśli chcemy sobie pozwolić na to – machnął na szafę Rozalii – to muszę pracować.

Rozalia pociągnęła solidny łyk wina. Było mocno cierpkie, więc kobieta już nastawiała się na ból głowy. Zygmunt wychodził z domu coraz częściej. Od ich pomocy domowej, pani Stasi, Rozalia wiedziała, że jej mąż znika również, kiedy ona pracuje. Zerknęła na leżącą obok niej walizkę. Coś błysnęło spod garniturowych spodni męża. Korzystając z jego chwilowej nieuwagi, podniosła ubranie, by sprawdzić, co to takiego. Torebka zaszeleściła, ale Zygmunt na szczęście nie usłyszał. Złote litery na czarnym papierze. Tak lubiła tę markę, bardzo ekskluzywną. Nie każdy mógł sobie pozwolić na zakupy w tym sklepie, ale ona to co innego. Jej mąż to co innego. Pierwszy raz Rozalia nie ucieszyła się na widok tej torby, ale liczyła jeszcze, że Zygmunt spakował w nią jakieś swoje rzeczy.

Zajrzała do środka. Zobaczyła. Zamknęła oczy. Przecież wiedziała. Powiedział jej to wprost. Wprost. No właśnie, może o to



chodzi. Ostatnio przestał jej to mówić wprost. Wypierał się. Wniosek był oczywisty: ta bielizna nie była dla jego kochanki, ale najwyraźniej kogoś znacznie ważniejszego. Ważniejszego od niej. Rozalia poczuła suchość w gardle i przełknęła ślinę. Wino już nie pomagało. Kobieta wstała z łóżka i skierowała się do garderoby. Gdy go znalazła, właśnie w pośpiechu chował telefon.

– Do kogo piszesz? – spytała.

– Do nikogo. Sprawy służbowe – burknął.

– Ach tak...? – odparła i spojrzała mu dumnie w oczy. Trochę się bała. Poznała Zygmunta na tyle, by wiedzieć, do czego jest zdolny.

– Co sugerujesz? – spytał.

Rozalia pociągnęła kolejny łyk i wycedziła zgorzkniale:

– Że to ta baba.

Mężczyzna spojrzał na nią z pogardą.

– Nie ośmieszaj się. Ile już wypitaś?

– Tyle, by się ciebie nie bać – skłamała. – Uderzysz mnie?

– Przestań – odparł. Starał się zachować spokój, ale Rozalia zobaczyła, jak zaciskają mu się pięści. Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Przejrzałam cię, Zygmunt. Jeśli myślisz, że dostaniesz rozwód, to się grubo mylisz.

– O czym ty gadasz, do cholery?

Rozalia się obróciła. Usłyszała, że on idzie za nią. Dobrze. Gdy doszła do walizki, wyciągnęła z niej papierową torebkę. Pokazała znalezisko mężowi. Zbladł. Dobrze – ponownie. Nie rzekł ani słowa.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytała. Wzięła zamach i z całej siły rzuciła torbą w Zygmunta. Jej zawartość wypadła, czarny koronkowy biustonosz spadł na ziemię, stringi zatrzymały się na jego ramieniu. To te same, które pokazywała mu w sklepie. Liczyła, że kupi je dla niej. Spojrzała na twarz męża i zrozumiała, że przegięła. Zygmunt ruszył na nią i zanim zdążyła zareagować, złapał ją za nadgarstek. Ścisnął mocno. Nacisk uwidocznił jej niebieskie żyły i wiedziała, że palce męża wbijające się w jej skórę będzie czuła jeszcze przez kilka dni. Ale była twarda. To nie pierwszy raz przecież. Zygmunt nie puszczał, ścisnął coraz mocniej, a ona pilnowała się, żeby nawet nie pisnąć. Żeby mu nie dać satysfakcji. Bolało. Zaraz krzyknie. Nie wytrzyma.

– Panie Zygmuncie, taksówka już czeka – dobiegł ich głos pani Stasi, która wyrosła za plecami mężczyzny i patrzyła z niepokojem na całą sytuację. Uchwyt zelżał, a Rozalia odetchnęła z ulgą. – Wszystko w porządku? – spytała kobieta.

Zygmunt puścił nadgarstek Rozalii, wygładził marynarkę i z uśmiechem, który tak oszałamiał kobiety, odwrócił się do gospodyni.

– Oczywiście, pani Stanisławo. Żegnałem się tylko ze swoją ukochaną żoną – powiedział i spojrzał poważnie na twarz Rozalii. Jego wzrok widziała tylko ona i zrozumiała, że też ma się uśmiechnąć. Posłusznie wykonała to nieme polecenie. Patrzyła na panią Stasię, która wciąż czekała przy drzwiach. Zygmunt liczył chyba na to, że kobieta wyjdzie, ale pojął, że nie miała takiego zamiaru. Spojrzał ze złością na rozrzuconą bieliznę, ale nie schylił się po nią, by zachować pozory dobrego męża. Zasunął walizkę i wyszedł, a za nim podążyła starsza kobieta. Rozalia osunęła się na łóżko i zapłakała.

Rozcierając obolały nadgarstek, nasłuchiwała. Kiedy usłyszała trzask zamykanej bramy i pisk opon, zamówiła taksówkę. Była tylko jedna osoba, której teraz potrzebowała.



Samochód zatrzymał się w Alejach Jerozolimskich. Zanim wysiadła, spojrzała jeszcze w oprawione w złotą obudowę przenośne lustro ze lśniącym logo Dolce & Gabbana. Poprawiła makijaż i dopiero gdy upewniła się, że Bruno nie zauważy, że płakała, wręczyła kierowcy banknot.

– Poczekać na panią? – spytał kierowca, patrząc zachłannie na nominał dużo wyższy, niż wskazywał taksometr.

– Nie. Dziękuję – odparła i już otwierała drzwi, gdy mężczyzna ją zatrzymał.

– Chwileczkę. To muszę wydać, dała mi pani banknot dwustuzłotowy. Nie ma pani drobniej?

– Nie mam. Reszta dla pana – powiedziała i wysiadła. Nie obejrzała się za siebie, więc nie widziała miny taksówkarza, który wyłączył już oznakowanie i dzwonił do żony z wiadomością, że wróci dziś wcześniej na kolację. Rozalia zmierzała do kamienicy. Widziała w oknach światło i wiedziała, że zastanie Bruna w tej jego wieżycze.

Drzwi były otwarte, więc postanowiła, że zrobi mu niespodziankę. Olaf powitał ją na szczęście po cichu. Dobrze, że nie narobił jazgotu, bo miała plan. Poszła na palcach do łazienki, oceniła jeszcze raz makijaż. Za mało drapieżny. Pociągnęła usta czerwoną szminką. Dostała ją od Zygmunta. Uśmiechnęła się na myśl, że to nie on będzie ją zlizywał z jej ust. Sięgnęła do torby, z której wyjęła zakupiony przez męża biustonosz push-up i stringi. Wciąż z metkami, w końcu to prezent dla tej drugiej. Rozalia zerwała je i wrzuciła do śmietnika pod umywalką. Gdy już się przebrała, stanęła wyprostowana przed lustrem. Ten komplet był idealny, od początku to wiedziała. Zarzuciła na siebie czarny jedwabny szlafrok i wyszła z łazienki. Założyłaby jeszcze szpilki, ale nie widziało jej się wspinanie na takich butach do tego jego schronu.

Najdelikatniej, jak to możliwe, ruszyła w kierunku schodów, ale niestety stara podłoga i tak skrzypiała. Wtem jej wzrok przykuło coś leżącego na stole. Skręciła. Format znaleziska oszacowała mniej więcej na pięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów. Tak jej się wydawało. Miała bowiem kilka wciąż niewykorzystanych ram w tym rozmiarze, które czekały, by zawisnąć w salonie. Oczywiście Rozalia gustowała w sztuce wyższych lotów niż wiejskie krajobrazy, ale od tego nie mogła oderwać wzroku. Coś jej on mówił, z czymś się kojarzył. Ilustrację narysowano odręcznie, nie była wydrukowana. W takim razie nie była to reprodukcja niczego, co mogłaby znać. Skąd więc w niej ten niepokój? Do jasnej cholery, a co, jeśli to jakiś dowód? Zostawiła telefon w torebce. Może zdążyłaby...

Skrzypnięcie oznajmiło, że otworzyła się kłapa w suficie. Rozalia usłyszała śmiech Bruna. I czyjś jeszcze. Spojrzała na siebie. To będzie miał niespodziankę. Co robić? Panika trwała nie dłużej niż pięć sekund. Tyle, ile zajęło, by pierwsza schodząca postać zdążyła

ją zauważyć. Kobieta wyprostowała się dumnie, starając się swoją postawą wyrażać maksymalną pewność siebie. Była w końcu Rozalią Ojdaną. Znała swoją wartość. Nie zestresuje jej jakaś ptaszyna.

Jednak to Bruno schodził pierwszy. Poblądł, kiedy tylko na nią spojrział. Kolejny mężczyzna błędnie dziś z jej powodu, ona kolejny raz uśmiecha się triumfalnie. Jakże jednak inne były to okoliczności.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił do towarzyszki, która wciąż w połowie znajdowała się kondygnację wyżej.

– Może poczekaj na mnie? – spytał. – Zrobię jeszcze kawę przed wyjściem?

– Weźmiemy do termosów? – Do Rozalii doleciał głos tej dziewczyny, Kaliny, czy jak jej tam.

– Tak. Poczekaj, zaraz przyjdę. Zamknę tylko klapę, bo cały ten syf się sypie.

Rozalia zobaczyła, jak długie nogi tej Azjatki znikają na strychu.

– Boisz się, że mnie zobaczy? – spytała Bruna, kiedy ten zszedł na dół.

– A ty się nie boisz? Co sobie pomyśli? – odparł.

– Chyba nic nowego – powiedziała i rozchyliła lekko szlafrok. Bruno przełknął ślinę.

– Nie odzywałaś się ostatnio – powiedział z lekkim wyrzutem.

– Ale teraz jestem. Odprawisz ją?

Bruno nie odpowiedział, zamrugał tylko nerwowo, nie patrząc przy tym na kobietę. Rozalia poczuła, że traci grunt pod nogami. Zaciśnęła mocno szczęki i oparła się o stół, żeby zachować swoją dumnie wyprostowaną sylwetkę. Trzymała głowę w górze, chociaż czuła, że nienaturalnie jej cięży.

Bruno chciał już coś powiedzieć i rozchylił usta. Rozalia zareagowała szybko. Zbliżyła się do mężczyzny i pocałowała go namiętnie. Trwało to tylko chwilę. Z początku nie odwzajemnił pocałunku, był obojętny. Dopiero po chwili dołączył do niej. Kobieta się odsunęła. Prawie się wymknął, ale ponownie miała go w garści.

– Zadzwoń jutro – powiedziała, idąc już w kierunku łazienki.

– Nie, zaczekaj, ja... – Bruno chciał coś powiedzieć, ale nie miała zamiaru go słuchać. Niezależnie od tego, czy chciał właśnie odrzucić jej propozycję, czy wyprosić tę dziewczynę. Gdy już ubrana wyszła

z łazienki, znalazła go w tym samym miejscu. Ponownie spojrzała na obraz na stole.

– To dowód? – spytała, zarzucając płaszcz.

– W pewnym sensie. Najpewniej nieistotny – odparł.

Kobieta przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. Coś jej ten obrazek przypominał. Wiejski krajobraz, mogła widzieć takich setki. Ale ten się czymś różnił. Ten klimat... Nieważne, jeszcze o tym pomyśli. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Spojrzała ostatni raz w smutne oczy Bruna i wyszła, nie oglądając się za siebie. Zatrzymała się dopiero przed wejściem do kamienicy i wykręciła numer korporacji taksówkowej. Czekala pod daszkiem, padał deszcz. Wyciągnęła cienkiego papierosa. Zaciągnęła się mocno, uspokajało ją to.

Wtem usłyszała, jak ktoś biegnie po schodach, skrzypnęły stare drzwi do klatki i sama straciła równowagę, kiedy tajemnicza osoba zamiast ją ominąć, wpadła na nią z impetem. Rozalia przewróciłaby się, gdyby nie stojący obok śmietnik.

– Przepraszam! – usłyszała kobiecy głos, gdy sama otrzepywała ręce z brudu. Upokarzające. – Nie chciałam, nic ci się nie stało? – spytała nieznajoma.

– Trzeba uważać, jak się chodzi. I nie jesteśmy na ty... – odparła oziębłe Rozalia i podniosła wzrok. Dopiero teraz ją zobaczyła. – Ty – powtórzyła.

Kalina wpatrywała się w nią z miną zbitego psa. Chyba naprawdę nie chciała. I czy jej się wydawało, czy miała zaczerwienione oczy? Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. Rozalia była pewna, że już sobie pójdzie, i odwróciła wzrok, ale wyczuła, że Kalina wciąż tam stoi. Kątem oka dostrzegła, jak dziewczyna sięga do kieszeni i coś z niej wyjmuje. Wyciągnęła do niej rękę.

– Zostawiłaś na górze – powiedziała.

Rozalia wzięła od niej przedmiot. Kalina nie czekała na odpowiedź i odeszła szybkim krokiem. Kobieta patrzyła za nią, aż tamta zniknęła za rogiem. Dopiero wtedy spojrzała na to, co ścisnęła w dłoni, chociaż wiedziała doskonale, co to. Krwistoczerwona szminka. Coś jej się jednak udało tego dnia i kiedy Rozalia wsiadała do taksówki, oznajmiła kierowcy z zadowoleniem, że wraca do domu.



Bruno wstał późno tego dnia. Z rozczarowaniem stwierdził, że znajduje się w swoim łóżku, a nie na kanapie, co oznaczało, że był całkiem sam, inaczej, niż zaplanował. Dobiegał go śpiew jakiegoś ptaszka, ale śpiew ten nie dochodził z zewnątrz. Bruno wstał z łóżka i podążył za głosem. Zatrzymał się dopiero pod klapą prowadzącą na strych. Była otwarta, tak jak zostawiła ją wczoraj Kalina. Pojedyncze piórka leżały rozrzucone na podłodze. Razem z kłębkami kurzu wirowały powoli, kiedy przechodził. Wszedł na górę po skrzypiących stopniach, licząc na to, że może tam ją zastanie. Miał nadzieję, że wróciła. Na strychu nie było jednak nikogo poza młodym kosem, który płakał, by go nakarmić. Bruno wziął kilka sztuk ususzonych chrząszczy i po jednym wsadzał je ptakowi do dzióbka.

– Niedługo i ty mnie opuścisz – powiedział Bruno.

Rozejrzał się jeszcze po pomieszczeniu. Miękkie światło padało na materac pod oknem. Coś na nim leżało. Książka – Kalina musiała ją zostawić. Mężczyzna schylił się po tomik. Może jej go podrzuci? I tak musi z nią porozmawiać, nie można tak tego zakończyć. Książka była stara, podniszczona, jej strony pożółkły, ale wciąż pięknie pachniały. Przeczytał tytuł na okładce.

– *Zabić drozda* – mruknął. Dobra lektura. Otworzył w miejscu, gdzie Kalina zostawiła zakładkę, i przeczytał początek strony. – „Drozdy nic nam nie czynią, poza tym, że radują nas swoim śpiewem. Nie niszczą ogrodów, nie gnieźdzą się w szopach na kukurydzę, nie robią żadnej szkody, tylko śpiewają dla nas z głębi swoich ptasich serduszek. Dlatego właśnie grzechem jest zabić drozda”[1].

Znał ten fragment. Usłyszał przeciągłe ziewanie swojego psa. Olaf domagał się spaceru.

W drodze powrotnej Bruno zajrzał do skrzynki na listy. Według godziny na zegarku listonosz powinien był już coś zostawić. Chociażby rachunki. Nie pomylił się, w skrzynce leżały trzy koperty. Spojrzał na pierwszą – spółka gazowa. Na resztę już nie chciał patrzeć. W sumie dzisiaj nie miał ochoty na wiele rzeczy. Jedyne, co planował, to spotkać się z nią i wszystko jej wyjaśnić.

Rzucił koperty na stół i poszedł do lodówki. Może znajdzie w niej coś, z czego skleci prymitywne śniadanie. Kiedy wrócił z miską płatków w dłoni, jego wzrok przykuła jedna z kopert. Nie wyglądała na taką, która zawiera rachunki, była mniejsza i chudsza. Nie miała żadnego znaczka z logo. Logo! Ona nie miała znaczka w ogóle. Nie miała adresu. Jeśli to jakaś cholerna reklama, to Bruno już dopilnuje, żeby rozmówić się z listonoszem. Wydawało mu się, że ostatnio dobitnie mu wytłumaczył, iż nie życzy sobie śmieci w skrzynce.

Otworzył. To nie była reklama. W środku była zapisana ręcznie, wyrwana z zeszytu kartka. Bruno usiadł i zaczął czytać, a kiedy skończył, miał wrażenie, że świat się zatrzymał.



Jolka wyjątkowo nie spóźniła się na konsultacje. Mało tego – tym razem zebrała siły i przybyła już godzinę wcześniej. Powinna już kończyć pracę dyplomową, a zaliczyła ze trzy rozmowy. To nie była jej wina, przez długi czas trwania korekt promotora nie doczekała się już czterech z nich. Dzisiaj musi się udać. Patrzyła znudzona na zegarek, podobnie jak trzy pozostałe osoby w sali. Dwie z nich nie miały co liczyć na konsultacje, ale to ich problem. W końcu długa wskazówka przesunęła się na cyfrę trzy. Było piętnaście po pierwszej. Facet powinien już być, ale jak zawsze się spóźniał, co dawało jeszcze od piętnastu minut do pół godziny czekania. Dziewczyna usłyszała kroki i chrząknięcie za plecami. Czyżby już dotarł? Odwróciła się w kierunku drzwi, ale w progu stał inny profesor, szef katedry.



Błagam, nie. Do jasnej cholery, tylko nie to, pomyślała.

– Dzień dobry – powiedział. – Rano dostałem informację od pana Lelka, że dziś nie dotrze. Tak że przykro mi, ale zajęcia się nie odbędą.

Rano. Dostał informację dziś rano. I nie mógł przykleić zasranej kartki. Tyle czasu.

Słowo daję, któregoś dnia wyjdę z tego wydziału i nie wrócę. Pieprzony Lelek – Jolka prawie powiedziała to na głos.

Dziewczyna zebrała rozłożone kartki i starego laptopa, który nie wytrzymał trzech minut niepodłączony do zasilania. Wyszła z sali i skierowała się do wyjścia. Nie zostaje na żadnym wykładzie, ma tego dość. Odbierała właśnie płaszcz z szatni i kiedy się odwróciła, natrafiła na tego gościa. Widziała go już raz na wydziale. Czekał wtedy na kogoś pod salą wykładową. Wysoki, za stary na studenta, za młody na rodzica, za rzadko widywany, żeby być doktorantem czy prowadzącym. Kto to jest?

– Bruno Kosowski – przedstawił się niskim głosem.

Okej, jakiś Kosowski. Przystojny na swój sposób. Dla niej trochę za stary, ale na krótki termin mógłby być.

– Jestem z policji – dodał, kiedy Jolka nie odpowiedziała.

Dziewczyna pobladła. Czego od niej chce policja? Jeśli chodzi o ziło w doniczce, to, do jasnej cholery, nie jej pieprzony biznes, tylko jej durnego współlokatora. Nie będzie za to odpowiadać.

– Chciałbym chwilę pogadać. Nie zajmę dużo czasu. Usiądziemy? – spytał policjant i wskazał ławkę w rogu holu.

No skoro nie ciągnie jej na komisariat, to chyba nic jej nie grozi. W serialach kryminalnych zawsze tam zabierają podejrzanych. Dziewczyna usiadła na ławce i czekała. On chyba też liczył, że to ona zacznie, ale widząc, że się na to nie zanoszą, w końcu powiedział:

– Jesteś przyjaciółką Filipa Wilskiego. Prowadzę sprawę dotyczącą jego taty. Mam tylko kilka pytań.

– „Przyjaciółka” to mocno zobowiązujące słowo – odparła. – Powiedzmy, że należymy do jednej paczki. U jego starego miałam robić dyplom. Ale widziałam się z nim ze dwa razy, zanim umarł.

– Nie miałaś z nim zajęć?

– Tylko wykłady, a nie bywałam na nich zbyt często.

– Okej, to i tak nie ma w tej chwili znaczenia... – zasępił się policjant. – Bardziej interesuje mnie Filip. Jaki jest, z kim spędzał najwięcej czasu, jak ten czas spędzał i gdzie.

– Nie jestem niańką Filipa, nie chodziłam za nim bez przerwy – odparła Jolka, nie patrząc w oczy detektywowi.

– Wystarczy mi, jeśli przyznasz, że chociaż trochę. Tak słyszałem.

Jolka poczuła gorąco na twarzy. Który z tych idiotów miał taki długi język? Może raz się upiła i pocałowała młodego Wilskiego, ale nikt nie wiedział, że chciała tego od dawna. Nie było po co o tym gadać.

– Bzdura – powiedziała.

– Możemy udawać, że nie było tematu, jak chcesz. Ale powiedz mi, co o nim wiesz.

– Muszę?

– Mam ci pokazać odznakę? – odpowiedział pytaniem.

Jolka westchnęła i skrzyżowała ręce na piersi. Dobra, niech będzie. Ostatecznie takimi informacjami w nic Filipa nie wkopie.

– Filip to dobry chłopak – powiedziała.

– Sprawia wrażenie imprezowicza i hulaki. Zresztą odniosłem wrażenie, że jego kumple też tak sądzą – odparł Kosowski, a Jolka przewróciła oczami. Dlaczego zadaje się z tymi półgłówkami?

– Bo nie znają go dobrze. Ja też go nie znam. Filip, wbrew pozorom, nie jest otwarty. Dopasowuje się do grupy, ale uważam, że to wrażliwy chłopak.

Detektyw nie odpowiedział, na pewno jej nie uwierzył.

– Poważnie! Skoro mnie pan pyta, to niech mi pan zaufa.

– Ufam, że to twoje przekonania. Ale najprawdopodobniej go wybielasz, bo...

– ...bo na niego lecę? – dokończyła. – To nie ma nic do rzeczy. Powiedział pan, że nie będziemy o tym gadać.

– Niech będzie – odparł i uśmiechnął się. – Co jeszcze?

– Wiem, że ma jakieś hobby. Coś go pochłania w domu, bo często zwijał się z imprez. Ale nigdy nie chciał zdradzić, co to takiego.

– Może gra? Na fortepianie? Sam słyszałem.

– Serio? On gra? – zdziwiła się Jolka. Chłopak wydawał jej się teraz jeszcze fajniejszy.

– Tak... ale kontynuujmy: ma hobby, pewnie muzykę. Co jeszcze? Dlaczego nie byliście razem?

Jolka spojrzała na niego chłodno. Co za dupek.

– To nie pytanie do mnie – powiedziała.

– Chcesz, żebym spytał o to Filipa?

Jolka ponownie poczerwieniała.

– Do jasnej cholery, nie! Niech pan się od tego odwali.

Kosowski patrzył wciąż na nią spokojnymi oczami, wyglądającymi spomiędzy opadających na twarz, nieuczesanych włosów. Zobaczyła u niego worki pod oczami. Rany, ten facet nie miał chyba ostatnio szczęścia, tak samo jak ona.

– Miał inną. I świata poza nią nie widział – dodała Jolka i wstała z ławki. Zauważyła, że wzrok detektywa się wyostrzył.

– Jak się nazywa ta dziewczyna? – spytał.

– Teraz nie ma to już znaczenia – odpowiedziała i odwróciła się od mężczyzny. Założyła słuchawki i udała, że nie słyszy jego „Zaczekaj!”. Szybko się oddaliła. Czuła łzy w oczach, a nie lubiła płakać. Nie przy innych. Płakać mogła tylko w samotności.



Bruno włożył list do koperty i wcisnął go do schowka w samochodzie. Chciał go pokazać Kalinie, wiedział, że to ważne, ale nie dziś. Dziś nie będą pracować. Jego myśli krążyły wokół wczorajszego wieczoru. Przyniósł ten rysunek autorstwa młodej Wilskiej, a Kalina patrzyła na niego z uwagą, ale nie skomentowała nic poza zdawkowym: „Dobra kreska”. Nie podchwyciła tego, nie rozumiała, dlaczego Bruno traktuje coś takiego jako dowód. Spytał ją, ile czasu zajęłoby namalowanie takiego rysunku.

– To nie jest nawet skończone – odparła. – Nie wiem, Karolina mogła nad tym siedzieć godzinę, dwie albo trzy. Zależy, jak pracuje. Może robić setki podrysów, szukać inspiracji, wycierać, poprawiać, robić przerwy na Facebooka. Nie wiem, każdy pracuje inaczej. Znam osoby, które poświęciłyby na to całą noc, ale znam też takie, którym

zająłoby to dwie godziny. Masz swoją ekspercką opinię – powiedziała i poszła na górę.

Ostatnio lubiła tam przesiadywać. Bruno zwykle krzątał się jeszcze w kuchni, robił jedzenie albo kawę, a kiedy wchodził na strych, znajdował ją przy klatce z kosem.

– Chcesz mu dać wolność? – spytał ostatnio, kiedy zastał ją taką zamyśloną.

– Nie wiem, czy jest gotowy – odpowiedziała.

Bywały dni, kiedy była przepełniona melancholią. Nie odzywała się dużo, za to wyglądała niezwykle romantycznie, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie dbała też o to szczególnie. Zdarzało się, że odwiedzała go w dresach, niewyspana i nieumalowana, po nieprzespanej nocy spędzonej nad projektem. Odpoczywała u niego, mówiąc, że koleżanka robi imprezy u nich w mieszkaniu. Nie do końca jej wierzył, ale nie przeszkadzały mu te kłamstewka. Jej obecność pasowała mu do tego stopnia, że powiedział jej o skrytce na klucze. Trzymał je pod poluzowanym kafelkiem, pod wycieraczką. Kalina kładła się więc na materacu w jego wieżyczce, kiedy miała na to ochotę, i usypiała. Czasem z książką. Tak jak wczoraj, kiedy robił w kuchni obiad i zostawił ją na pół godziny samą. Kiedy ją obudził, zeszła na chwilę, zjadła, rzuciła okiem na tamten obraz, powiedziała kilka zdań i wróciła na górę. Lubiła tam być i on też to lubił.

Spędzili potem kilka godzin na czystej rozrywce. Braku spekulacji. Zastanawianiu się, jak zginął Wilski. Cieszyli się swoją obecnością, rozmawiali, żartowali, grali w Cluedo. Kalina szybko przekonała się do tej gry.

W pewnym momencie czarne pasmo włosów wysunęło się Kalinie spod wsuwki i opadło na oczy. Bruno nie zastanowił się nad tym i sięgnął instynktownie, by założyć jej je za ucho. Uznał to za naturalne. Ale czemu? Nie byli przecież parą. Nie powinien był tego robić.

Spojrzała na niego lekko zdumiona, lekko przestraszona. Cofnęła rękę, ale ona nie spuszczała z niego wzroku. Wtedy zaproponował spacer. Było już ciemno i wieczór należał niewątpliwie do chłodnych, ale zgodziła się. A kiedy schodzili na dół, zobaczył Rozalię. Obleciał go strach. Kobieta nie odpisywała mu na SMS-y od jakiegoś czasu, nie odbierała telefonu i nie oddzwaniała. Od dawna również go nie

odwiedziła. Sądził, że zostawi ją za sobą. Tak mu się wydawało. Miłość do niej była bagnem, które wciągało i nie chciało puścić. Uczuciem, które zabijało.

A jednak tam stała.

Poprosił Kalinę, żeby zaczekała, i zszedł sam do Rozalii. Była piękna i pociągająca, mało brakowało, a znów dałby się jej omamić. Jeden krok naprzód i przepadnie. Odprawił ją. Zebrał się w sobie, użył całych pokładów silnej woli, chociaż Bóg jeden wiedział, jak to było trudne. Odprawił ją, a ona... go pocałowała. I już tonął znowu.

Kiedy trzasnęła drzwiami, na schodach prowadzących ze strychu pojawiła się uśmiechnięta Kalina. Dziewczyna, nieświadoma faktu, że przed chwilą była tu Rozalia, zeszła na dół.

– Co z tą kawą? – spytała i podeszła do ekspresu. Z szafki wyjęła dwa podniszczone termosy. Jeden należał do Rozalii. Bruno stał w miejscu, nie wiedząc, w którą stronę ma wykonać krok. Kalina podeszła do niego z gorącą kawą, stanęła przed nim i wciąż z uśmiechem spytała: – Idziemy?

Jej wzrok spoczął na ustach Bruna i przez chwilę wydawało mu się, że może go pocałuje. Bruno patrzył jej w oczy, były przecież takie piękne, pełne ciepła. Miłsze od chłodnych, pozbawionych uczuć oczu Rozalii. Ale te również zrobiły się takie w ułamku sekundy. Źrenice Kaliny się rozszerzyły, kiedy z jej spojrzenia ulotniły się wszelkie ciepłe emocje. Odsunęła się i wzięła coś ze stołu. Powiedziała, że chyba jednak nici ze spaceru, projekt sam się nie robi, jutro może przecież iść na korektę. Nie dopuściła go nawet do głosu. Niemalże wybiegła z jego mieszkania, pozostawiając go w głębokim szoku. Zrozumiał wszystko, dopiero kiedy poszedł do łazienki i spojrzął w lustro. Rozalia zostawiła mu na ustach intensywnie czerwoną smugę. Podpisała go.

Bruno zaparkował pod starym blokiem i pobiegł na górę. Zapukał. Z wnętrza mieszkania dobiegała głośna muzyka, jakiś radiowy pop. Zapukał raz jeszcze, mocniej, zadzwonił też dzwonkiem. W końcu usłyszał kroki. Otworzyła mu młoda tęga dziewczyna z charakterystycznym zadartym nosem i nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Tak? – spytała niepasującym do jej aparycji miłym głosem.

– Jest Kalina? – spytał Bruno.

– A pan to kto? – odparła.

Bruno nie chciał tłumaczyć, pokazał odznakę. Oczy dziewczyny się rozszerzyły.

– Coś nabroiła? Chce pan przeszukać mieszkanie? – spytała.

– Chcę z nią jedynie porozmawiać – odpowiedział detektyw. Dziewczynie wyraźnie ulżyło.

– A, to nie ma jej. Przekazać coś, jak wróci?

– Nie ma potrzeby. Wiesz, gdzie ją znajdę?

– Nie mam pojęcia. Wyszła jakąś godzinę temu. Nie mówiła dokąd.

– Dzięki – odpowiedział i odszedł. Wybrał numer w telefonie, ale Kalina była chyba poza zasięgiem. Spróbuje jeszcze później.

Gdy wszedł do domu, poczuł, że coś jest nie tak. W pierwszym odruchu nie wiedział co. Wszystko leżało na swoim miejscu. Ale nigdzie nie było Olafa. Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, że kiedy przestępował próg mieszkania, miał gęsią skórę. Był przeciąg, który nie miał prawa się pojawić, bowiem przed wyjściem z domu zamknął wszystkie okna.

Okno w salonie było szczelnie zamknięte, więc skierował się do sypialni. Upewnił się – tu również wszystko było w porządku. Została tylko jedna opcja. Spojrzał na klapę w suficie i prowadzące do niej schody. Na podłodze wciąż sennie kołysały się opadłe tam wczoraj pióra. Ale teraz leżały w zupełnie innym miejscu. Oczywiście istniała szansa, że pies ganiał po mieszkaniu, ale Bruno założyłby się teraz, że to nie to.

Z nadzieją spojrział na klapę i po cichu wspiął się na górę.



Świeży aromat zielonej herbaty i jaśminu przedzierał się z trudem przez zapach kurzu i stęchlizny. Przywoływał wspomnienia latające sennie wśród wzbitych w powietrze piórek. Pióra były małe i duże, czarne, białe i kolorowe, puchate, leciutkie i sztywne, ostro zakończone. Każde z własną nieodkrytą historią i nieliczne z historią godną odkrycia. Zachodzące światło wpadało miękko przez okno. Zatrzymywało się na wiekowym materacu, podniszczonych panelach, czarno-brązowym futrze Olafa i ciemnych rozpuszczonych włosach osoby, która głaskała go melancholijnie za uchem, nucąc przy tym nieznaną melodię.

Dziewczyna siedziała po turecku przed klatką młodego kosa, odwrócona plecami do mężczyzny. Nie przestała nucić, chociaż wiedziała, że nie jest sama, a ptaszek jej wtórował. Bruno nie słyszał go nigdy śpiewającego tak ochoczo.

Mężczyzna podszedł do dziewczyny i usiadł obok niej, tak że miał przed oczami jej profil. Popatrzył na twarz Kaliny, ale ona wciąż zdawała się nie zwracać na niego uwagi, którą całkowicie poświęcała kosowi w klatce. Zdradzał ją tylko delikatny rumieniec na dekolcie i coraz słabiej ukrywane emocje na twarzy.

– Szukałem cię – powiedział szeptem Bruno, jakby bał się zburzyć panującą na strychu mistyczną atmosferę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale jej głos, którym nie przestawała nucić, lekko się załamał.

– Byłaś mi potrzebna – dodał, ale wciąż nie uzyskał jej uwagi. Oddech mu przyspieszył. Niecierpliwił się. – Słyszysz? – spytał, ale odpowiedziała mu cisza. – Byłaś mi potrzebna.

Kalina nadal nuciła, jednak już słabiej, z mniejszym zaangażowaniem.



– Do cholery, wciąż jesteś! – Podniósł głos i ujął jej twarz w swoje dłonie, przekręcił, tak żeby na niego spojrziała. Przestała nucić. Patrzyła na niego rozżarzonym wzrokiem, który mógł zwiastować zarówno gniew, jak i uczucia zgoła inne. – Wciąż jesteś – powtórzył ciszej, wpatrując się z niedowierzaniem w malujące się na jej twarzy emocje, których nie potrafiła opanować. A tak się starała. Ukrócił jej męki i przyciągnął ją do siebie.

Gdyby ktoś go zapytał, odparłby, że to był jego pierwszy pocałunek – nie tylko z nią, ale i w ogóle. W obu przypadkach nie byłoby to prawdą, ale pragnął w to wierzyć, bo wspomnienia o wszystkich poprzednich były przy tym tak nieznaczące.

Jak duże było jego zdziwienie, gdy go nie odwzajemniła. Poczuł, że traci grunt pod nogami, był zdany na nią, nie miał żadnej kontroli. Trwało to chwilę zbyt długą, by tłumaczyć to szokiem dziewczyny, ale i zbyt krótką, by Bruno zdążył się odsunąć. Już miał to zrobić, gdy poczuł jej delikatny dotyk. Uczucie niepewności go opuściło. Dłoń Kaliny i palce przesuwające się po jego zaroście – tylko to miało znaczenie. Nie to, że popełnia błąd, że wchodzi w szkodliwą relację ze świadkiem, że może stracić pracę. Nie. Teraz liczyła się tylko ona.

Olaf drapał głośno pazurami o stare deski, kiedy szukał nowej pozycji do spania, i właśnie to spowodowało, że Bruno się obudził. Świtało. W klatce obok cicho pogwizdywał kos. Mężczyzna odwrócił się jednak do niego plecami, w stronę śpiącej obok niego kobiety. Jej czarne włosy opadły w nieładzie na stary materac, odsłaniając przy tym jej nagie ramię. Miała na nim jakąś bliznę, wyglądającą jak po oparzeniu. Ale to nie blizna przykuła jego uwagę na dłużej, a znajdujący się przy niej tatuaż. Chociaż określenie „przy” nie było najtrafniejsze. Blizna stanowiła część kompozycji, nieznaczny element tatuażu.

Z ramienia Kaliny patrzył ciekawskim wzrokiem czarny ptak. Nie był duży, miał pięć, może siedem centymetrów. Otaczały go polne kwiaty i koniczyna. Dziewczyna oddychała miarowo; nadal spała. Bruno wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po nagiej skórze. Zrobił to najdelikatniej, jak umiał, ale ku jego zaskoczeniu dziewczyna odruchowo cofnęła ramię. Bruno również zabrał dłoń.

Kalina przekręciła się w jego stronę. Przeciągnęła się i popatrzyła na niego zaspanym, rozkojarzonym wzrokiem. Bruno uśmiechnął się łagodnie.

- Nie chciałem cię obudzić – powiedział szeptem.
- Wiem – odparła równie cicho. – Mam lekki sen.
- Ten tatuaż... Od dawna go masz?
- Czemu pytasz? – spytała.
- Chciałbym się łądzić, że wybrałaś kosa ze względu na moje nazwisko, ale... – zaczął kpiarsko.
- Nie schlebiaj sobie – zamruczała Kalina i roześmiała się cicho, jak przystało na zaspaną kobietę.
- Tak lubisz tę książkę? – drażył.
- Jaką książkę?

– Zostawiłaś ją u mnie wczoraj. *Zabić drozda*.

– A, tę książkę – odparła, a Bruno już zdążył się ucieszyć, że trafił.

– Nie – dodała jednak, a mina mu zrzędała. – To znaczy, lubię ją. Świetna jest. Ale nie zrobiłam sobie tatuażu na cześć książki. No co ty.

– Więc? Co symbolizuje tatuaż? Ptaszka w klatce? – dopytywał Bruno.

– Może tak – powiedziała. – Ale może nie tego, o którym myślisz. Dotknęła jego dłoni.

– Masz zimne ręce – powiedziała i ucałowała koniuszki jego palców. Zamknęła oczy. Znowu odpływała.

– To którego? – Bruno nie odpuszczał. Kalina uśmiechnęła się sennie. Z zamkniętymi oczami odparła:

– Czy nie bierzesz nigdy pod uwagę, że niektóre nasze decyzje nie mają logicznego uzasadnienia? Są najzwyczajniej... fajne?

Bruno z uśmiechem przewrócił się na plecy. Wiedział, że Kalina ma rację.

Odczekał chwilę, a gdy ponownie usłyszał powolny, miarowy oddech dziewczyny, podniósł się, wziął Olafa na ręce i zszedł z nim na dół. Ubrał się pośpiesznie, zarzucił wczorajszą bluzę, na wszelki wypadek napisał karteczkę z informacją, że zaraz wraca, złapał za smycz i już go nie było.

Z uczuciem zadowolenia szedł spokojnie w kierunku niedużego trawnika, jedynej skrawka zieleni w okolicy. Wiosna już przyszła i gdyby nie mieszkanie w ścisłym centrum stolicy, Bruno na pewno poczułby ją bardziej. Włożył dłoń do kieszeni w poszukiwaniu psich smakołyków i uśmiech z jego twarzy zniknął. Wyciągnął z bluzy lekko pogniecioną kopertę i spojrzał na nią zatroskany. Dotarło do niego, że musi przeczytać list Kalinie i nie będzie to dla niej przyjemne. Wolałby odwlec to zadanie, ale wiedział, że przesyłka nie trafiła do niego przez przypadek i stanowiła dowód w sprawie. Mimo że w liście nie padały żadne nazwiska, łatwo było się domyślić, że chodzi o sprawę Tadeusza Wilskiego. Bruno z westchnieniem skierował się do sklepu. Postanowił, że kupi świeże pieczywo i jajka, zrobi szakszukę i jeszcze trochę to odwlecze.

Gdy wrócił, Kalina już nie spała, siedziała na kanapie z kubkiem gorącej kawy w dłoniach. Uśmiechnęła się do niego, gdy go

zobaczyła, ale wyraz jej twarzy pozostał wyjątkowo nieodgadniony.

– O co chodzi? – spytał Bruno.

– Co teraz będzie? – odparła dziewczyna.

– Zjemy śniadanie, a potem się zobaczy – powiedział i podszedł do niej, po czym cmoknął ją w czoło. Zarumieniła się.

Jedli i rozprawiali o wszystkim wokół, ale nie o tym, co między nimi zaszło. Żartowali, gadali o pogodzie, mieli dobre nastroje. Kalina zauważyła tylko, jak co jakiś czas Bruno markotnieje i spogląda w kierunku wieszaków w przedpokoju. Dziewczyna otarła usta serwetką i odchyliła się na siedzeniu.

– Co jest? – spytał Bruno.

– Sama chciałabym wiedzieć, Bruno... Chcesz, żebym już poszła? Patrzysz ciągle w kierunku wyjścia – spytała z niepewnością w głosie.

– Skąd! – oburzył się mężczyzna. – Skąd – powtórzył już ciszej. Ale dziewczyna wciąż pytała go wzrokiem. – W porządku. Musimy porozmawiać.

Kalina milczała.

– O pracy – dodał szybko Bruno, żeby ją uspokoić. Wstał i poszedł po list. Położył go przed nią na stole. – Dostałem go wczoraj – powiedział.

Dziewczyna z niepokojem spojrzała na kopertę, po czym sięgnęła i wyciągnęła z niej ręcznie zapisaną kartkę. Pobladła.

– To fragment listu. Zaczyna się w połowie zdania i urywa na innym, niedokończonym – wyjaśnił Bruno. – Nie byłem pewien, czy powinnaś się z nim zapoznać i w jaki sposób. Ale chyba najlepiej będzie, jeśli sama go przeczytasz.

Kalina zaczęła, ku zaskoczeniu i uczuciu niezręczności Bruna, na głos.

*...powiedzieć osobiście. Ale tak mi było wstyd. Nie umiałam się pozbyć, zmierzyć z tym samodzielnie, a co dopiero wyznać to przed Tobą. Wybacz mi. Mam nadzieję, że wybaczysz mi również szczegółowość, ale nie mogę, nie potrafię trzymać tego tylko w sobie, bo najpewniej coś sobie zrobię. I tak myślę o tym każdego dnia, od kiedy to się stało... Ale przejdę do rzeczy, bo wciąż przecież nie wiesz, do czego zmierzam.*

*To był wieczór. Mniejsza z tym, jak do tego doszło, bo nie chcę w to mieszać innych. Oni nie chcieli zawinić – nie wiedzieli, że ich decyzje mogą być opłakane w skutkach... Do rzeczy: to był wieczór. Wszystko wydarzyło się na wydziale. Weszłam do jego gabinetu, musiałam z nim załatwić, dogadać parę spraw. Czekałam chwilę na niego, bo chyba gdzieś wyszedł, nie wiem gdzie. Kiedy wrócił, był bardzo nabuzowany, zdenerwowany. Patrzył na mnie straszonym wzrokiem... Ja nawet nie wiem dlaczego, nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam. Chciałam mu tylko pomóc, robiłam przecież, co mogłam. (Wiesz, mówiłam Ci. Może nie wszystko, ale wystarczająco. Sprawa jest ci znajoma). Ale był zły, bo mi się nie udało.*

*Podszedł do mnie szybko. Nie zdążyłam zareagować. Zanim się obejrzałam, przyparł mnie do ściany...*

Kalina urwała. Bruno obserwował ją z uwagą. Odwróciła wzrok od kartki, w oczach miała łzy. Do czytania wróciła dopiero po chwili. Wzięła głęboki oddech, kontynuowała – już w ciszy. Bruno znał treść listu, jemu samemu z trudem przychodziło czytanie, więc wierzył, że jej jako kobiecie jest jeszcze trudniej. Przerывała kilka razy, odwracała wzrok i przywoływała się do porządku. Dopiero gdy udawało jej się pohamować łzy, wracała.

– Chodzi o Wilskiego – bardziej stwierdziła, niż spytała, gdy skończyła czytać.

– Tak sądzę – odpowiedział.

– Kto wysłał ten list? – spytała, wzięwszy do ręki kopertę, i odwróciła ją, by znaleźć jakąkolwiek poszlakę.

– Ktoś go dostarczył, a nie wysłał. Ale nie mam pojęcia kto. Snuję pewne domysły, ale raczej nie ma sensu ci o nich opowiadać.

– Opowiedz – powiedziała.

– Sądzę, że ktoś bliski tej dziewczynie. Tyle na razie mogę powiedzieć. Nie chcę rzucać na oślep pomysłami.

– Proszę.

Bruno westchnął. Kalina patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, oczy wciąż miała pełne łez.

– Biorąc pod uwagę cały list, szczegóły, traktowanie wydziału jako obiektu znanego i oczywistego w rozmowach między adresatem

i nadawcą... Wilski zgwałcił studentkę.

Kalina nie odpowiedziała. Patrzyła w stół i powstrzymywała się od płaczu.

– Jest jeden trop. Ale może być mylny i prawdopodobnie mało realny. Szansa, by to się wydarzyło, wydaje się niewielka... – kontynuował. – Byłem wczoraj na twoim wydziale. Rozmawiałem z niejaką Jolantą Kownacką. Mówi ci coś to nazwisko?

Kalina kiwnęła głową.

– Tobie też powinno. Mówiłam ci o niej. Nie jest to moja bliska koleżanka, ale miałam okazję rozmawiać z nią raz czy dwa. To ona widziała Trockiego w gabinecie Wilskiego – odparła.

– Faktycznie. Więc może kojarzysz, że jest to dobra znajoma Filipa Wilskiego.

– Niewykluczone, trzymają się w jednej paczce, ale nie powiedziałabym, że to przyjaciele.

– Nie masz o nich dobrego zdania? – spytał Bruno.

– Nie moja bajka. Ale to nie ma znaczenia. Co ci powiedziała?

Bruno popatrzył Kalinie w oczy.

– Powiedziała, że Filip miał dziewczynę.

Kalina nie spuszczała wzroku, ale Brunowi wydawało się, że jej źrenice się rozszerzyły.

– A wspomniała, kim była ta dziewczyna? – spytała.

– Nie. Nie mam pojęcia. Ale...

– ...uważasz, że to ona była ofiarą Wilskiego?

– Ja tak nie uważam, to tylko hipoteza – odparł Bruno.

– W porządku – powiedziała Kalina i zerknęła na zegarek. – Cholera! – krzyknęła, a Bruno podskoczył na krześle.

– Co się stało? – spytał detektyw.

– Mam dzisiaj korektę, spóźnię się jak nic. Oddanie projektu za rogiem. Muszę lecieć. Zdzwonimy się, dobrze? – powiedziała, zbierając swoje rzeczy i biegnąc do przedpokoju.

– Może cię podrzucę? – zaproponował Bruno, idąc za nią.

– Nie, no co ty. Przecież to blisko – odpowiedziała. – Pa!

Drzwi trzasnęły. Bruno stał, tak jak go zostawiła, a obok niego stał jego pies. Obaj wpatrzni w miejsce, gdzie przed chwilą była ona. Detektyw czuł niepokój, a jego powodem była twarz dziewczyny.

Twarz dziewczyny, która nie panowała nad malującymi się na niej emocjami. Twarz dziewczyny, która coś wiedziała.

Rozalia nerwowo wpatrywała się w swojego iPhone'a w szkarłatnym futerale. Machała stopą pod blatem, uderzając przy tym czubem zielonej szpilki o nogę eleganckiego biurka. Chwyliła za słuchawkę telefonu stacjonarnego i wykręciła wewnętrzny numer. Usłyszała, jak telefon dzwoni za ścianą.

– Milena, gdzie te archiwa? Chciałam je mieć na swoim biurku przed końcem pracy. Zaraz wychodzę. Przyspiesz trochę ruchy!

W słuchawce trzasnęło. Kiedy Rozalii puszczały nerwy, potrafiła być nieprzyjemna dla swojej asystentki. Zazwyczaj następnego dnia przychodziła z drobnym podarunkiem, licząc na załagodzenie sprawy. Zwykle działało, ale dziennikarka wciąż czuła na karku zagrożenie, że zostanie oskarżona o mobbing albo – co gorsza – że ruszy lawina negatywnych artykułów na jej temat.

Ktoś zapukał do drzwi. Milena nie czekała na zaproszenie, weszła i stanęła przed biurkiem swojej szefowej. Miała dwadzieścia cztery lata i aspiracje do bycia gwiazdą. Była bardzo ładna, zgrabna, wygadana, ale też niezbyt pracowita. Rozalia wiedziała jednak, że to nie przeszkadza prezesowi, który lubił ją zaczepiać, czasem fizycznie. Dziewczyna widziała w tym jedynie swoją szansę.

– Szukałam, ale jedyne, co znalazłam, to zdjęcie i tytuł artykułu. Wysłałam prośbę do archiwisty, ale jeszcze nie odpisał – powiedziała Milena na wydechu obrażonym tonem i wręczyła Rozalii wydruk.

Dziennikarka spojrzała krytycznie na kartkę.

– Wydrukuj w sepii. I zadzwoń do tego archiwisty. Chcę mieć to w tym tygodniu na biurku. Wszystko, co mamy. Rozumiesz?

Milena ściągnęła nieznacznie brwi i kiwnęła głową. Odwróciła się na pięcie i już wychodziła, gdy Rozalia zawołała za nią:



– Jeśli chcesz być dziennikarką, musisz wiedzieć, że istnieje też inna komunikacja niż werbalna i wywracanie oczami w tym zawodzie jest nie do przyjęcia. Naucz się nad tym panować. Dobrze ci radzę.

– Kiedy chcę, to panuję – odpowiedziała Milena, ale Rozalia już tego nie usłyszała, bo dzieliły je ściana i zatrzaśnięte drzwi.

Rozalia znowu spojrzała na telefon, ale wciąż nic nie dostała: żadnego SMS-a, żadnego telefonu, żadnego maila. Mąż dzwonił do niej tylko raz, rano, ale nie odebrała. To nie na niego czekała.

Usłyszała, że drukarka w biurze asystentki pracuje, więc spakowała swoje rzeczy do torby i wyszła. Po drodze zgarnęła wydruk, rzuciła lakoniczne pożegnanie do Mileny i skierowała się na parking, gdzie już czekała na nią taksówka, a w niej kierowca, który zawsze odwoził ją po pracy.

Mężczyzna ruszył, ale Rozalia go powstrzymała.

– Tym razem nie do domu. Proszę jechać w Aleje Jerozolimskie. Może pan zatrzymać się na przystanku w centrum – powiedziała.

– Jest pani pewna? – spytał, patrząc na nią w lusterku znad ciemnych okularów. Odwoził ją czasem w te okolice i doskonale wiedział, dokąd się wybiera. Dyskrecja jednak była wliczona w cenę jego usług.

– Tak.

– Będzie pani na pewno obserwowana, ktoś może za panią pójść.

– Proszę jechać we wskazane miejsce – ucięła, a kierowca już się nie odezwał. Wysadził ją na przystanku, zgodnie z prośbą. Rozalia założyła okulary przeciwsłoneczne i szybkim krokiem skierowała się najpierw do sklepu po dwie butelki wina, a następnie do kamienicy, w której mieszkał Bruno.

Poprawiła na szybko makijaż i zapukała do drzwi. Wyglądał na zaskoczonego. Chyba zamierzał gdzieś wyjść, ubrał się ładnie. Jak na niego. Założył koszulę, podwinął rękawy. Uczesał się nawet. Do tego pachniał wyjątkowo apetycznie.

– Czy wyczuwam nowe perfumy? – spytała, zalotnie się uśmiechając.

– Rozalia. Byliśmy umówieni? – zdziwił się Bruno.

Kobieta nie odpowiedziała, prześliznęła się obok niego w drzwiach, a kiedy się odwrócił, wyciągała już z kredensu kieliszki.

– Wiem, że ostatnio cię zaskoczyłam, miałeś w końcu gościa. A dzisiaj? Nie przeszkadzam? – powiedziała, siłując się z korkiem. – Chyba musisz mi pomóc.

Rozalia rozłożyła ręce i patrzyła wyczekująco na mężczyznę. Widząc jego wahanie, poczuła ukłucie na wysokości płuc. Wymykał jej się. Liczyła na to, że załatwiła sprawę, ale najwyraźniej zaszło coś, co pokrzyżowało jej szyki. Coś, co znów przechyliło szalę na korzyść tej dziewczyny. Ale co to dla niej. Po prostu to odkręci, tym razem skuteczniej.

– Bruno, nie stój tak. Kobieta z winem czeka. Kupiłam najdroższe, jakie mieli – powiedziała.

Bruno podszedł do niej niezbyt chętnie.

– Miałem właśnie wychodzić – powiedział.

– Tak? Umówiłeś się?

– Nie... Rozalia, nie możemy tego przełożyć?

Kobieta zrobiła lekko urażoną minę, ale zbliżyła się tylko do detektywa i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dawno nie spędzaliśmy razem czasu – powiedziała.

– Bo się nie odzywałaś – odparł z wyrzutem. – Czekałem. Długo czekałem. Pisałem, dzwoniłem. Nie było z tobą kontaktu.

– Miałam problemy w domu – powiedziała niby od niechcenia, podwijając rękawy czarnego golfu. Bruno spojrzał mimowolnie na jej nadgarstki i mocno zacisnął szczęki. Złapał ją za rękę i podniósł bliżej światła.

– On ci to zrobił? – spytał ze złością, patrząc na ciemnoniebieską plamę na jej nadgarstku.

Rozalia wyrwała mu rękę z uścisku.

– Oj tam. Nie panował nad sobą. Należesz mi tego wina? – spytała.

Bruno, wciąż zdenerwowany, przechylił butelkę i wypełnił dwa kieliszki trunkiem. Postawił je na stoliku przy kanapie i po ustąpieniu damie pierwszeństwa usiadł.

– Pogadam z nim, jeśli chcesz – powiedział.

Pogada. To chyba żart, pomyślała Rozalia i z trudem opanowała nieco pogardliwe spojrzenie. Zrobiła wystudiowaną zabiedzoną minę.

– Bruno. Nie ma takiej potrzeby. On nie chciał. Poza tym... liczy się to, że w końcu się spotkaliśmy, jesteśmy sami... Prawda?

Bruno przełknął ślinę, ale nie odpowiedział. Rozalia pociągnęła łyk wina i zrzuciła szpilki. Podeszła tanecznym krokiem do głośnika, wzięła telefon i włączyła Spotify. Miała wybraną piosenkę na takie szczególnie romantyczne okazje. Wyjątkowo cichą i wolną. W sam raz do tańca.

Wyciągnęła rękę do Bruna. Ten z wahaniem się podniósł.

– Nie jestem dobrym tancerzem, przecież wiesz – powiedział, ale Rozalia już kołysała się u jego boku, nie pozostawiając mu wyboru. Poczwała, jak niepewnie obejmuje ją w pasie, jakby nie należał już do niej. Spojrzała na kieliszki. Jego był nietknięty.

– Nie pijesz? – szepnęła.

– Nie chcę – odparł.

Wirowali tak jeszcze przez chwilę w milczeniu. Bardzo powoli. Rozalia ujęła w dłonie twarz Bruna i spojrzała mu głęboko w oczy, ale nie dostrzegła już w nich tego żaru, co dawniej.

Coś skrzypnęło, ale Bruno tego nie usłyszał. Stał tyłem do drzwi wejściowych, wciąż obejmując Rozalię w pasie. Ta natomiast miała dobry widok na odbijające się w lustrze wejście. Ktoś pociągnął za klamkę. Drzwi się otworzyły. Rozalia przyjrzała się dobrze, tajemnicza osoba obserwowała ich z zaciemnionej klatki schodowej. Dopiero po chwili, gdy kobieta zobaczyła radosną reakcję Olafa, domyśliła się, kto to taki. Ta dziewczyna. Rozalia nie miała zamiaru zmarnować takiej okazji. Pokaże tej gówniarze, gdzie jej miejsce. Przyciągnęła twarz mężczyzny i namiętnie go pocałowała.

Ku jej zdziwieniu trwało to krótko, bo Bruno szybko ją odepchnął. Wystarczyło jednak, by ta dziewczyna zniknęła. Już jej nie było. Drzwi zostały zamknięte.

Spojrzała pytającym wzrokiem na detektywa.

– Rozalia, to nie jest taki wieczór jak zwykle... W każdym razie nie taki, jakich już dzieliliśmy wiele. Wybacz – powiedział, nie patrząc na nią. – Nie widzisz tego? Wszystko się skończyło.

– Nic dla ciebie nie znaczyłam. Nigdy! – odparła teatralnie.

– Nic? – Bruno spojrzał tym razem w jej oczy ze złością i złapał za nadgarstki, tak jak jej mąż wczoraj. Bruno był jednak delikatniejszy. – Jak możesz mówić, że nic? Zawsze liczyłaś się tylko ty. Nie wiesz,

do czego mnie doprowadziłaś? Byłem na skraju nałogu, a ty... ty przynosisz dziś wino. Przecież doskonale wiedziałaś! A ten taniec? Próbujesz mnie uwieść tylko po to, by mnie zranić. Znowu.

Rozalia odsunęła się od niego, głęboko zszokowana. Musi usiąść, jak najprędzej. Złapała się oparcia kanapy i chwyciła za kieliszek.

– Idź, płacz. Zapłacz chociaż raz – powiedział z pogardą.

Rozalia założyła szpilki i dumnie wyprostowana stanęła przed mężczyzną. Nie da mu satysfakcji.

– Nie chcesz mieć we mnie wroga, Bruno – powiedziała.

Złość na twarzy mężczyzny powoli ustępowała, Rozalii wydawało się, że pojawiło się na niej coś w rodzaju współczucia, co było jeszcze gorsze.

– Nie chcę – przyznał. – Ale chcę zakończyć tę chorą relację.

– Za wiele mam do stracenia, kochanie – powiedziała i chwyciła za torebkę. Wychodząc, przypomniała sobie o znalezisku Mileny. Wyciągnęła kartkę i położyła ją na stole.

– Wiedziałam, że kojarzę skądś ten widoczek – powiedziała. – To wszystko, co na razie mam, ale będzie tego więcej. Zadzwoń, jak dowiem się czegoś jeszcze.

Zerknęła ostatni raz na mężczyznę. Niech czuje się źle, niech czuje wyrzuty sumienia, niech czuje wdzięczność wobec niej. Przynajmniej tyle może teraz działać. Wyszła. Huk uderzającej o stół pięści rozniósł się po klatce schodowej zaraz po tym, jak zamknęła za sobą drzwi. Chociaż to.

Elżbieta spędziła cały dzień w oranżerii. Kiedyś bywała tu rzadko, chociaż sama nalegała na jej wybudowanie. Szybko zniechęciła się idealnie dociętymi krzewami i małą ilością kwiatów. Jedyne, jakie akceptował jej mąż, to strelicje królewskie, które sam wołał wołać z angielska „birds of paradise”. Nie były jednak łatwe w hodowli i po kilku wymianach całkowicie zrezygnowano z tego gatunku. Teraz, kiedy Tadeusza już nie było, Elżbieta miała w końcu wolną rękę w urządzaniu. Wydała więc ogrodnikom polecenia odmienne od poleceń męzkowskich i cieszyła się „zarastającym” powoli oranżeryjnym ogrodem.

Tego dnia towarzyszyła jej ekipa sprzątająca – w tym osoby wyspecjalizowane w myciu szyb na wysokościach, bowiem do oranżerii wpadało coraz mniej światła. Elżbieta przechadzała się betonowym chodnikiem, nadzorując pracę każdego z osobna i ochoczo wytykając wszystkim błędy. Miała dzisiaj bardzo dobry nastrój, nikt nie zawracał jej głowy. Karolina pojechała na trzy dni do koleżanki na Mazury, Leszek również wyjechał, on z kolei w delegację, zbiegiem okoliczności również na trzy dni. Filip był na zajęciach, mówił, że wróci późno. Mama Tadka przebywała na rehabilitacji w prywatnej klinice i Elżbieta miała ją odebrać dopiero jutro. Był to więc dzień idealny na wydawanie poleceń służbie i zrobienie odpowiednich porządków, na jakie ta willa czekała od dawna.

Druga przyczyna jej błędnego nastroju miała cztery łapki i pochodziła z najdroższej polskiej hodowli kotów brytyjskich. Leszek pomógł jej przy zakupie i przywiózł malucha do Podkowy, a ten w drodze spod polsko-czeskiej granicy zdążył mu udekorować pazurami tapicerkę. Kociak był cudowny i natychmiast stał się oczkiem w głowie Elżbiety. Teraz był zamknięty w jej sypialni, tak

żeby nie nabroił w innej części domu, na której remont Elżbieta nie wydałaby chętnie pieniędzy. Od godziny nie widziała tego futrzaka, uznała więc, że przyszła pora, by sprawdzić, co porabia.

Stała przed drzwiami do sypialni i z niepokojem zauważyła, że są podejrzenie czyste. Tak samo cała otaczająca je przestrzeń. A przecież Elżbieta prosiła wyraźnie o pozostawienie tego pomieszczenia na sam koniec. Podkreśliła to tamtej kobiecie dwa razy. Wilska nacisnęła klamkę i weszła do pokoju. Tak jak sądziła – sprzątaczką już tu była.

– Kici, kici, kici... – zawołała kobieta. Powtarzała to, zaglądając pod łóżko, do garderoby, do każdej z szaf, łazienki, wanny z jacuzzi. Zajrzała wszędzie. Kota nigdzie nie było.

Kobieta ruszyła do najbliższej sypialni, licząc na to, że tam znajdzie zgubę. U Karoliny zastała tylko tę młódkę, która nie wypełniła jej poleceń.

– Czy ja nie prosiłam pani wyraźnie, że chcę, by ten pokój został sprzątnięty na samym końcu? Do jasnej cholery, zadziwia mnie pani, nie mogłam być chyba bardziej dobitna – powiedziała Elżbieta.

Dziewczyna ze ścierką w dłoni spojrzała na Elżbietę spode łba i przyznała, że w istocie „zapomniało się jej”, za co bardzo przeprasza. Kota nie widziała.

– Ale zamykam każdy pokój, jak już go sprzątnę – dodała. – Została mi jeszcze jedna sypialnia...

– Która? – spytała ze złością Elżbieta, opierając ręce na biodrach.

– Na końcu korytarza, proszę pani – odparła dziewczyna.

Elżbieta ruszyła do pokoju syna. Nie zamierzała spędzić całego dnia na poszukiwaniach. Ten dzień miał być dobrym dniem. Tak zaplanowała, a była wyjątkowo niezadowolona, gdy jej plany nie wypalały. Drzwi były uchylone. Pokój Filipa, podobnie jak inne pokoje w tym domu, zmienił się od śmierci taty chłopaka. Dawniej pomieszczenie było bardzo schludne, poza tym, że na biurku leżały jakieś modele, które, jak sądziła Elżbieta, Filip zostawiał na pokaz dla ojca. Teraz tych modeli nie było. Nie było też laptopa, którego chłopak zabrał na zajęcia. Spieszył się widocznie, bo nie pościelił łóżka. Elżbieta oparła rękę o biurko i usłyszała, jak coś cichutko zaszeleściło. Odskoczyła. Z przerażeniem odkryła, że niechcący złamała skrzydełko jakiemuś zasuszonemu motylowi. Filip nie będzie

zadowolony. Otrzepała dłonie i rozejrzała się po pokoju. Zajrzała do szafy i pod nią, ale kota nie było. Przykucnęła i spojrzała pod biurko, ale tam też nie było śladów po zwierzaku. Jej uwagę zwrócił jednak dywan, a raczej wyraźne ślady ostrzenia na nim pazurów. Kot musiał tu dzisiaj być, bo do tej pory nie opuszczał bez niej jej sypialni. Elżbieta spojrzała na łóżko. Ostatnia szansa. Podeszła na kolanach i sięgnęła ręką. Wyczuła jakieś pudło i wyciągnęła je szybkim ruchem. W powietrze wzbiły się chmury kurzu, ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było to, że go znalazła. Leżał zwinięty w kłębek pośród jakichś śmieci Filipa. Kobieta z czułością wzięła kotka na ręce. Już miała odsunąć pudło, gdy zamarła. Oczy, które patrzyły na nią z podniszczonego zdjęcia leżącego w pudle, były jej znajome. Drżącą ręką sięgnęła po fotografię i odwróciła ją na drugą stronę.

– *Bye, bye, blackbird* – przeczytała na głos. Musi natychmiast zadzwonić do tego detektywa.



Bruno zaparkował pod blokiem, w którym mieszkała Kalina. Może tu ją znajdzie. Nie odbierała od niego telefonów, od kiedy wyszła na zajęcia. Bruno szukał jej już na wydziale, ale bezskutecznie – nie pojawiła się ani na wykładach, ani na korektach. Pytał o nią nawet jej prowadzącego, który zapewnił, że w tym tygodniu jej nie widział. Na dowód pokazał Kosowskiemu listę obecności. Faktycznie, Kalina nie poszła na wydział tamtego dnia, gdy wybiegła od niego w pośpiechu. Albo poszła, ale nie dotarła. Bruno nie wiedział, co mogło być tego powodem, chociaż jak zwykle miał kilka pomysłów. Jednym z nich był on sam.

Zapukał do drzwi. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, ale czekał cierpliwie. Nic nie zwiastowało, że ktokolwiek mu otworzy – jeśli nie Kalina, to chociaż jej koleżanka. Zapukał drugi raz – nadal

nic. Zadzwoił dzwonkiem – nawet to nie zadziałało. Z rezygnacją wycofał się do wyjścia.

Klatki schodowe w takich budynkach zawsze odzwierciedlały kulturę ich użytkowników i myśląc o tym, Bruno poczuł dreszcz na karku. Schodząc, minął kilka butelek po różnych trunkach, dwa worki śmieci, których zapach rozniósł się już po całym korytarzu, a także plamy moczu – mężczyzna liczył na to, że chociaż psiego... A co, jeśli Kalinie coś się stało? Czy nie widział wcześniej, w jakich warunkach mieszkała? Z zamyślenia wyrwał go czyjś serdeczny głosik.

– O, pan policjant, dzień dobry – powiedziała dziewczyna, w której Bruno rozpoznał współlokatorkę Kaliny.

– Dzień dobry. Właśnie wracam od was – odparł.

– Kalina już wróciła? – spytała.

– Właśnie w tym rzecz, że nie. Wiesz, gdzie ona może być?

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie. Bruno uśmiechnął się zachęcająco.

– Macie tu straszny syf – powiedział.

– Aaa... To tak różnie, zależy, kto akurat się wprowadzi. Teraz mamy złą passę – odparła i się zamyśliła. Po chwili ciszy powiedziała: – Ona coś zrobiła? Przepraszam, że tak pytam, ale wolę mieć pewną współlokatorkę. Nie chciałabym, żeby nawiała bez zapłacenia czynszu.

– Nie, spokojnie. Próbuję się dowiedzieć, czy u niej wszystko gra, bo nie odbiera telefonu – zapewnił Bruno. – Więc wiesz, gdzie ją znajdę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że pojechała do domu, pakowała się do większej torby – powiedziała.

– Do domu? Czyli dokąd konkretnie? Masz adres? – spytał.

– Nie, to jakaś wioska. Nie pamiętam nazwy, jakaś dwuczłonowa. A może to nawet pod wioską? Sama nie wiem. Ale skoro jest pan z policji, to na pewno powiedzą panu na uczelni. Nie?

Bruno kiwnął głową. Nie jest taka głupia. Podziękował dziewczynie i już pędził na politechnikę. W międzyczasie podjął jeszcze kilka prób dodzwonienia się do Kaliny, ale wszystkie były bezskuteczne. Przepadła jak kamień w wodę. Na światłach sięgnął po telefon



z nadzieją, że ostatnia próba przyniesie rezultat. Numeru jednak nie wybrał, bo na wyświetlaczu widniała informacja, że również do niego próbowano się dodzwonić. Z tego samego numeru przyszedł MMS.

Bruno zjechał na przystanek i włączył światła awaryjne. Otworzył wiadomość. Kiepskiej jakości zdjęcie przedstawiało Kalinę. Fotografia niczym się nie wyróżniała. Dziewczyna siedziała na podłodze pod jedną z przeszklonych sal, które Bruno widział na wydziale architektury. Uśmiechała się nieśmiało, a czarne włosy opadały jej na jedno oko.

Może to ona. Może wysłała mu zdjęcie. Pomysł wydawał się absurdalny, ale zważywszy na okoliczności, miał w sobie odrobinę romantyzmu. Sprawdził nieodebrane połączenia. Co to za numer? Bruno kliknął zieloną słuchawkę i czekał. Po trzech sygnałach chciał się rozłączyć, ale właśnie wtedy ktoś odebrał. Głos był znajomy.

– Dziękuję, że pan oddzwania. Tu Elżbieta Wilska – powiedziała, a Bruno zamrugał nerwowo.

– Pani Elżbieto, wysłała mi pani MMS-a, prawda? – spytał detektyw, sądząc, że to jakaś pomyłka. Może połączenia i wiadomość były z różnych telefonów.

– Wysłałam. Panie detektywie, to ta dziewczyna! Ona u nas pracowała tego wieczoru, a teraz znalazłam jej zdjęcie. Doprawdy nie wiem, co o tym myśleć, jestem taka zdezorientowana! – niemalże wykrzyczała kobieta do słuchawki.

– Nie pani jedyna...

– Czyli kojarzy ją pan? Przesłuchiwaliście ją dłużej? Ona coś wie? – pytała Elżbieta.

– Tak... To znaczy nie! Nie! Kojarzę ją tylko z tego wieczoru, wie pani, ona jest dość charakterystyczna. Pani Elżbieto... Gdzie pani znalazła tę fotografię? – spytał Bruno, kiedy próbując zachować spokój, rozcierał mocno czoło.

– U Filipa. Było w pudełku pod jego łóżkiem. Panie detektywie, co to wszystko znaczy? Co mam robić?

Bruno się zastanawiał. Myśli kłębiły mu się w głowie i znalezienie tej odpowiedniej zajęło mu chwilę.

– Proszę to zostawić – powiedział w końcu. – Niech pani nic nie mówi synowi i odłoży pudełko na miejsce. Dla dobra śledztwa, bardzo panią proszę.

- Czy coś grozi mojemu synkowi? – spytała.
- Nie. I nic nie będzie groziło, jeśli nic mu pani nie powie, dobrze?  
– wymyślił na szybko.
- No... dobrze. Niech tak będzie. Panie detektywie, na drugiej stronie jest jakiś zapisek. Zaraz panu wyślę zdjęcie, to sobie pan zobaczy – powiedziała.
- Będę wdzięczny – odparł i się rozłączył. Czekał na wiadomość, z tyłu zatrąbił na niego autobus. – Kurwa – zaklął pod nosem. Sięgnął do schowka i wyciągnął dawno nieużywanego koguta. Wystawił rękę przez okno i umieścił urządzenie na dachu. Niech sobie trąbią.
- Po chwili krótki sygnał obwieścił przyjście wiadomości. Bruno natychmiast ją otworzył. Zdjęcie było lekko rozmazane, ale udało mu się odczytać napis.
- Żegnaj, kosie – przeczytał po polsku i ruszył z piskiem, nie zdjawszy koguta z samochodu.



Detektyw zatrzymał się pod samymi drzwiami wydziału architektury i pobiegł do dziekanatu, do którego prowadził sznur petentów. Młodzi ludzie z wielkimi czarnymi teczkami popatrywali ze złością na zegarek i zawzięcie kłócili się o pierwszeństwo z kolegami z roku. No cóż, Bruno zrobi im jeszcze jeden zawód. Wyciągnął odznakę i uniósł ją nad głowę, po czym przecisnął się przez tłum. Część osób mu ustąpiła, innym mężczyzna musiał niemalże podstawić odznakę pod nos. Byli i tacy, którzy chcieli się awanturować. Tych po prostu odepchnął na bok. Gdy wparował do gabinetu, w środku zobaczył trzy panie, każdą w innym narożniku. Tylko jedna z nich kogoś obsługiwała. Bruno skierował się do jednej z tych wolnych, ale ta nawet nie podniosła oczu znad monitora. Widział w szklach jej okularów odbijającego się pasjansa.

– Przerwę mam – powiedziała martwym głosem, nie podnosząc wzroku. – Proszę obok – dodała i od niechcienia wskazała na jedyną pracującą osobę w pomieszczeniu.

– Jestem z policji – powiedział chłodno Bruno. Kobieta się ożywiła. Spojrzała na mężczyznę, oczami wielkimi jak u muchy, powiększonymi przez grube szkła staromodnych okularów. – To pilne – dodał Bruno.

– No dobrze, czekam przecież, co trzeba? – spytała obrażonym tonem.

– Adres jednej studentki. Kaliny Dmitrijew.

– Dmitrijew... Dmitrijew... – mruzczała kobieta pod nosem, włączając archiwa. – Mówi pan, jakie imię?

– Kalina. Dmitrijew – odparł Bruno lekko zniecierpliwiony.

Kobieta kiwnęła głową. Po chwili włączyła się drukarka, stojąca w innej części pokoju.

– A pokaże pan odznakę – powiedziała jeszcze sekretarka ku zaskoczeniu mężczyzny, bo chyba powinna była spytać o to wcześniej. Ile razy przez taką łatwowierność sprzedano jego własne dane osobowe? Zgodnie z prośbą pokazał jednak. Kobieta rzuciła okiem i machnęła ręką na drukarkę.

– Niech pan sobie weźmie – powiedziała i ponownie w jej szklach odbił się pasjans.

Bruno podszedł do maszyny i wyciągnął kartkę z zapisaną jedną linijką. Przeczytał adres.

No to w drogę, pomyślał i już kilka minut później zmierzał na Podlasie.

**D**ziś we wsi bal. Tęga kobieta z krótko przystrzyżonymi włosami ułożonymi na wałki wyglądała ciekawsko przez okno na posesję sąsiada. Jego bramę przyozdobiono różowymi i białymi balonami, które ktoś nierówno, niechlujnie napompował. Gdy jej najstarsza córka brała ślub przed rokiem, kobieta samodzielnie przystroiła bramę, tak że żadna inna we wsi nie mogła się z nią równać. Oprócz białych i różowych balonów użyła jeszcze droższych, złotych, których szukała w Białymstoku przez trzy godziny. Dołączyła mnóstwo serpentyn i zaopatrzyła się w duże ilości żubrówki. Niech sąsiedzi wiedzą, że ma gest!

Wprowadziła się tu kilka lat temu i czuła się panią na tych ziemiach. Kupili z mężem wspaniały dom, przyozdobiony geometrycznymi malunkami i drogimi, chromowanymi barierkami. Jedyne takie w okolicy. Był jak pałac wśród tych wszystkich małych chaterek, nieróżniących się niczym między sobą. Do domu należała schludna stodoła, którą przerobili na warsztat maszyn rolniczych prowadzony przez jej męża, który jeszcze wczoraj naprawiał w nim traktor dla ojca panny młodej. Ten sam traktor, którym dziś młodzi jechali do ślubu. Kobieta nie mogła uwierzyć, że ktoś był w stanie zdecydować się na taki obciachowy zabieg. Pokręciła głową z dezaprobatą.

O! Chyba przyjechał pierwszy gość. Patrzcie państwo, jaka limuzyna, na pewno jakiś miastowy. Ciekawe to bardzo, sąsiedzi nigdy się nie chwalili, że mają krewnych na poziomie. Ale co to, co to? Dlaczego parkuje w jej bramie? Co to za pomysły? Już ona go pogoni!

Kobieta pospieszyła do wyjścia, po drodze zaplątała się w zawieszoną w drzwiach wejściowych firankę, służącą za moskitierę. Kiedy udało jej się z niej uwolnić, zobaczyła, jak

z samochodu wysiada wysoki mężczyzna i zmierza w jej stronę. Tak jak sądziła – miastowy. Ale raczej nie na wesele. Na weselu jej córki było wielu miastowych i każdy miał garnitur. Ten był ubrany trochę za bardzo nieformalnie, chociaż miał koszulę. Ale był też dość niechlujny, rozczochrany. Nawet tu, na wsi, żaden weselnik by sobie na coś takiego nie pozwolił.

Kobieta stanęła przed wejściem i wsparła ręce na biodrach. Zmrużyła oczy, bo słońce świeciło dziś wyjątkowo mocno.

– Pan się pomylił chyba. To do sąsiadów pewnie, tam ślub mają – powiedziała, gdy podszedł. Odwrócił się, jakby roztargniony, by spojrzeć na posesję po drugiej stronie ulicy.

– Ja nie na wesele. Szukam Kaliny Dmitrijew. Podobno tutaj mieszka – odparł.

Kobieta zmierzyła go nieufnym wzrokiem.

– Kim pan jest? Kalina pana zna? – spytała.

– Zna. Nazywam się Bruno Kosowski – powiedział i z westchnieniem sięgnął po coś do kieszeni. Gdy pokazał jej odznakę, kobieta spojrzała jeszcze bardziej podejrzliwie. Dodał: – Pani zapewne jest jej mamą?

– Przybraną. Rodzice Kaliny nie żyją, nie wie pan tego? Znajomy chyba by wiedział... – powiedziała sceptycznie.

– Wiem, nie chciałem pani urazić, to wszystko. Kalina wspominała coś o pożarze... – odparł.

Znaczy się – wiedział. Kobieta pokiwała z namysłem głową.

– Wejdzie pan do środka. Zaraz z akordeonem przyjdą. Nie znoszę tego dziadostwa – powiedziała i pokierowała gościa do domu. Wyglądał trochę niepewnie, gdy z zainteresowaniem rozglądał się po pokoju. Kobieta zastanawiała się chwilę, czy nie pobiec po męża, ale ten policjant chyba jednak faktycznie znał Kalinę...

– Napije się pan czegoś? A może jest pan głodny? Skwarki mam – powiedziała.

– Nie, dziękuję. Przepraszam, nie wiem nawet, jak się pani nazywa... – Mężczyzna przeczesał dłonią jasne włosy.

Kobieta zaczerwieniła się mocno.

– Gdzież moje maniery! – powiedziała i pospiesznie wytarła dłonie w spódnicę, by po chwili podać jedną gościowi. – Bożena Litwińska.

Kaliny nie ma. Była jeszcze dziś rano, ale wyjechała ze dwie godziny temu. Nie odwiedza nas zbyt często. Coś może pomóc?

Mężczyzna zrobił niepewną minę, jakby nad czymś się zastanawiał. Zaczął z ociąganiem:

– Przyjechała sama? Czy była z chłopakiem?

– Z chłopakiem? Kalina? – zdziwiła się Bożena. – Nigdy nam nie przedstawiła żadnego chłopaka. Kiedyś może o jakimś wspominała, ale to już dawno.

– Coś mi się musiało pomylić. A może... może mogłaby pani powiedzieć mi coś więcej o tym pożarze?

– Ech... Kalina nie lubi o tym mówić, prawda? – spytała Bożena, ale mężczyzna zrobił tylko wymowną minę, potwierdzającą jej przypuszczenia. – Doprawdy nie wiem... Ta dziewczyna chowa w sobie wszystko. Nadal ma do nas żal.

Patrzyła na mężczyznę zatroskanymi oczami. W końcu spytała:

– Czy pan jest tu rzeczywiście jako jej znajomy?

– Przytapała mnie pani. Trochę tak, trochę nie. Kalina jest świadkiem w jednej ze spraw, które prowadzę. Ale proszę się nie martwić, nie jest o nic podejrzana.

– To dobrze – odparła z ulgą. – Nie wiem, jak ona żyje. Jest bardzo zamknięta. Ledwo co przyjechała, trochę pogadałyśmy – o niczym w sumie, a pan mi tu mówi, że jest jakimś świadkiem.

– Powiedziała pani, że Kalina ma do państwa jakiś żal...? – zagaił mężczyzna.

– Tak. To taka zadra między nami. Mama Kaliny była moją serdeczną przyjaciółką. Jako jedynej udało jej się wyrwać ze wsi, z której obie pochodziłyśmy – to wioska po sąsiedzku. Pojechała w wielki świat, konkretnie do Francji, żeby się uczyć architektury. Ale spędziła tam tylko jakiś rok. Wróciła stamtąd tylko na chwilę, by zaraz wyruszyć znowu. Nosiło ją, to był taki niespokojny duch.

– Dobrze ją pani wspomina – stwierdził detektyw.

– Bardzo dobrze – przytaknęła Bożena. – Zawsze namawiała mnie, żeby się edukować, żeby podróżować... Ale ja się nie odważyłam. I tak jak byłam na wsi, tak na wsi pozostałam. Gospodarstwo mam tylko teraz lepsze. Kiedy Renia – bo tak miała na imię mama Kaliny – wróciła z Paryża, to był ostatni raz, kiedy widziałam ją jako pannę. Ponownie pojawiła się w wiosce już jako

mężatka. Ale proszę pana, jaki ona zrobiła skandal we wsi! – zaśmiała się Bożena. – To było wtedy nie do pomyślenia, żeby sprowadzać sobie męża z zagranicy. I jeszcze takiego! Kalina mówiła panu chociaż, skąd pochodził jej tata?

– Mówiła, że z Jakucka – powiedział mężczyzna.

– Z Jakucka – potwierdziła kobieta. – Tak, Renia właśnie tam znalazła męża. Po pobycie we Francji podróżowała. Wybrała bardzo osobliwy kierunek, ale co zrobić? To była bardzo osobliwa dziewczyna. Nie sądziłam tylko, że jeszcze do nas wróci. Podejrzywałam, że będzie ciągnąć ją do miasta. Ten jej mąż, Anton, Antek żeśmy go nazywali, on nie był taki jak my. I nie mówię o kolorze skóry, jego skośnych oczach i tak dalej. On był inny kulturowo. Był inny religijnie. Bo widzi pan, panie policjancie, on był... szamanem.

Mężczyzna ściągnął brwi, tak że powstała mu pionowa zmarszczka na czole.

– Szamanem? – spytał zaskoczony.

Nic dziwnego, Bożena sama by kiedyś nie dowierzała, gdyby jej ktoś powiedział, że do wsi wprowadzi się syberyjski szaman.

– Ano szamanem – powiedziała. – A w wiosce jest, jak jest. Równie dobrze mógł być szatanem. Ludzie szybko przestali go ignorować i zaczęli być wrodzy. My z mężem się z nim zapoznaliśmy. Nie podobały nam się te jego czary, ale póki nas nie próbował przekabacić, to żeśmy mu te wygłupy wybacжали. Reni też nie przerobił. Ona miała swoją przestrzeń do wiary i on w nią nie ingerował.

– A pożar? To było podpalenie? – spytał policjant.

– Panie władzo... ja tego nie mówię panu po to, żeby kogokolwiek ścigać. Szczerze mówiąc, nie mam też wiedzy na ten temat. Tak żeśmy się tylko z Witkiem, moim mężem, domyślali. Ale nikt nikogo nie przyłapał. Była możliwość, że może Antek rozpałił jakieś ognisko do tych swoich modłów, że ogień się rozprzestrzenił. Bo prawdę mówiąc, spaliło im znaczną część podwórka. Ale po wstępnych oględzinach Witek stwierdził, że ogień wybuchł bliżej domu. A przecież nikt nie rozpałiłby ogniska tuż pod domem. Antek nigdy tak nie robił. Chodził gdzieś na pole, żeby czarować.

– Czy ten dom można zobaczyć? – spytał policjant.

– Można. Skorupę w zasadzie. Za dużo z niego nie zostało, nikt go nie kupił, nie wyremontował. To przez plotki o Antku. Ale jak pan chce, to można obejrzeć. Z tym że to nie we wsi, a pod nią – odparła.

Mężczyzna spojrzął na zegarek.

– Mam jeszcze trochę czasu, przejechałbym się może.

– No jak pan sobie życzy, drogę wskażę – powiedziała Bożena.

– A co z Kaliną? Była w domu w czasie pożaru? – spytał mężczyzna.

– Była – potwierdziła kobieta z westchnieniem. – Na szczęście nie ucierpiała zanadto. Miała jedno poważniejsze oparzenie na plecach. Bliznę ma do tej pory.

Policjant pokiwał głową w zamyśleniu. Kobieta pociągnęła nosem. Z przerażeniem odkryła, że w powietrzu unosi się zapach spalenizny, a w pokoju zrobiło się podejrzanie siwo.

– Ciasto! – krzyknęła i zerwała się na równe nogi. – Przepraszam na chwilę!

– W porządku – odparł mężczyzna, a ona pobiegła do kuchni. Sięgnęła do drzwiczek piekarnika i gdy je otworzyła, otoczyły ją kłęby dymu.

– Psiakrew! – zaklęła pod nosem. Wyjmując nieudany wypiek, usłyszała głos mężczyzny z salonu.

– Pani Bożeno, o co Kalina ma do pani żal?

Kobieta przymknęła oczy i ciesząc się w duchu, że nie musi się do tego przyznawać prosto w oczy, krzyknęła:

– O to, że nie wzięliśmy ich obu.

Nie usłyszała odpowiedzi. W salonie coś upadło, a z dworu dobiegło ją akordeonowe rzępolenie.



Bruno podniósł telefon, który przed chwilą upuścił. Otrzeptał go i pobieżnie ocenił, czy aparat nie odniósł żadnych szkód. Mała ryska na szybcie pozostała niezauważona – mężczyzna miał teraz większe zmartwienia. Słowo „obu” utkwilo mu w głowie i zapętało się w niej jak irytująca piosenka. Wstał i przeszedł się po pokoju. Chodził z kąta w kąt, czekając na gospodynię. Z zewnątrz dobiegała akordeonowa muzyka w możliwie najgorszym guście, a Bruno czuł, że trzeba jeszcze otworzyć okno. Dym wypełniał już każdy zakamarek domu. Kosowski szarpnął za klamkę i muzyka wdarła się do środka z jeszcze większą mocą. Zagłuszyła przyjście Bożeny, która siedziała już na swoim miejscu i czekała cierpliwie, aż gość znowu skupi na niej swoją uwagę. Widok weselników zaabsorbował go na tyle, że zauważył kobietę dopiero po chwili, gdy tamta zakaszła.

– Pani Bożeno, co miała pani na myśli? – spytał natychmiast, siadając naprzeciwko niej.

– Kalina miała siostrę. Tego też panu nie powiedziała?

Bruno nie odpowiedział na to pytanie. Czekał.

– W trakcie pożaru obie były w domu i obie przeżyły. Kalina i Olga – powiedziała Litwińska. – Renia wymyśliła im takie wschodnie imiona, żeby uhonorować Antka i jego pochodzenie. Pamiętam, jaki był dumny tego dnia, kiedy przyszedł na świat...

– Dnia? – przerwał jej Bruno. – Bliźniaczki?

– Tak... ale dwujajowe, chociaż bardzo do siebie podobne, to jednak nie identyczne. Natomiast nierozłączne, owszem. Kalina była tą silniejszą, już jako berbec. To ona zawsze prowadziła Olgę za rączkę, przytulała ją, inicjowała zabawę. Potem próbowała opiekować się siostrzyczką, na swój dziecięcy sposób. Dziewczynki miały raptem pięć lat, kiedy wybuchł pożar. Przygarnęliśmy je obie.

Nie mieliśmy wtedy własnych dzieci i mogliśmy sobie na to pozwolić. Renia by tego chciała. One nie miały żadnej rodziny.

– Ale powiedziała pani, że „nie wzięliście obu” – powiedział Bruno.

Kobieta w ciszy bawiła się palcami. Rozejrzała się nerwowo i podeszła do parapetu.

– Ależ oni hałasują! Co za utrapienie... Okropna ta wiejska muzyka! – powiedziała nienaturalnie wysokim głosem i trzasnęła oknem.

– Pani Bożeno...? – zwrócił się do niej jeszcze raz Bruno. – Co miała pani na myśli...?

– Słyszałam pana pytanie doskonale, panie policjancie – odparła kobieta. – Nie lubię po prostu o tym rozmawiać. Chociaż całkowicie usprawiedliwiam to, co zrobiliśmy. Mieliśmy z Witkiem święte prawo. I tak zasłużyliśmy się dla Reni bardziej, niż musieliśmy. A mamy w końcu własne życie, prawda?

– Oddała pani jedną z dziewczynek – powiedział Bruno, patrząc na kobietę z wyrzutem.

– Oddałam – przyznała. – Oddaliśmy. To była nasza wspólna decyzja. Dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nie przelewało się nam. Nie mieliśmy takich wspaniałych pokoi jak teraz. Nie mogliśmy wychować przecież wszystkich dzieci świata!

– Oczywiście – powiedział Bruno z niechęcią. – Długo państwo dawaliście nadzieję temu dziecku?

– Rok. Olga trafiła do domu dziecka, jak miała sześć lat. Kalina bardzo to przeżyła. Dopuszczam nawet możliwość, że bardziej niż jej siostra.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie wiedział, co miałby powiedzieć. Myśl o oddaniu do schroniska psa, którego wcześniej wzięto się do domu, wydawała mu się okropna, a co dopiero dziecka!

– Zdaję sobie sprawę, jak to wszystko brzmi... – podjęła kobieta. –

Nie widziałam wtedy innej możliwości. Zadłużyliśmy się, ledwo radziliśmy sobie z dwójką dzieci, a na świat miało przyjść trzecie...

– Co się potem działo z siostrą Kaliny? – przerwał jej Bruno.

– Nie znam szczegółowo jej losów. Powiedziano nam tylko, że dziewczynkę przygarnięto w ciągu dwóch lat – odparła.

– Czy one się jeszcze spotkały? – spytał. – Widziała ją pani?

Kobieta już nie odpowiedziała. Bruno widział, że bije się z myślami, i czuł, jak jego samego zalewa fala wątpliwości. Kiedy Litwińska otworzyła usta, by zabrać głos, niespodziewanie ktoś jej przerwał. Do pokoju weszła z jękiem starsza kobieta ubrana w spodnie dresowe, wyciągniętą kamizelkę i golf w paski. Do tego skarpetki i klapki Kubota oraz niechlujnie spięte siwe włosy. Poruszała się o lasce. Mogła mieć dobrze ponad osiemdziesiąt lat.

– Ta wiedźma... Ta wiedźma tu była! – zagrzmiąta roztrzęsionym głosem. Sprawiała wrażenie, jakby zbierała się, by to powiedzieć, od dłuższego czasu.

Litwińska podniosła się i szybko ruszyła do staruszki.

– Ciociu, miała ciocia odpoczywać... Prosiłam przecież... – zwróciła się do niej.

– Odpoczywać! Odpoczywać! – oburzała się kobieta. – Ta wiedźma tu była! Czarownica! W tym domu, w tym katolickim domu! Wpuściłaś ją tu! Księdza! Księdza!

– Niech się ciocia uspokoi – powiedziała Bożena, już z wyczuwalną groźbą w głosie. Położyła dłonie na ramionach staruszki i skierowała ją do wyjścia. – Pomyliło się coś cioci. Tylko Kalinka tu była. Nikt więcej.

– Przyrowadź tu księdza! – usłyszał jeszcze Bruno, kiedy kobiety się oddalały. Bożena wróciła po chwili lekko zdyszana i zarumieniona na twarzy.

– Przepraszam pana, panie policjancie. Ale muszę się nią zająć, gorzej się poczuła – powiedziała, stojąc w przejściu.

Bruno wstał i pokornie ruszył do wyjścia. Kobieta poszła za nim. Mężczyzna zatrzymał się na schodach i odwrócił do gospodyni.

– Pani Bożeno, którędy trafię do domu państwa Dmitrijew? – spytał.

Kobieta zrobiła niezadowoloną minę, ale wyciągnęła rękę w odpowiednim kierunku.

– Cały czas w tamtą stronę. Przy znaku wyjazdu ze wsi będzie skręt w lewo. Taka piaszczysta dróżka. Od dawna nieuczęszczana, bo prowadziła tylko do nich. Nikt tam już nie jeździ. Droga prowadzi w kierunku lasu, ale dom będzie jeszcze przed nim. Nie ma innego budynku w okolicy, nie pomyli pan – powiedziała.

Bruno uklonił się i odprowadzany czujnym wzrokiem Bożeny Litwińskiej oraz dźwiękami akordeonu ruszył do samochodu, trzymając w dłoni skwarę. Nie opuszczało go uczucie, że skądś zna ten chodnik, tę furtkę i drogę. Jakby kiedyś już je widział. Jakby kiedyś już tu był.

Niechący ruszył z piskiem opon. W lusterku zauważył młodą parę i gości weselnych, patrzących za nim z oburzeniem. Przyspieszył, ale kura, która wybiegła przed maskę, szybko uświadomiła mu, że większa prędkość w tej okolicy to nie najlepszy pomysł. W ostatniej chwili zwolnił, ledwo unikając potrącenia ptaka ze skutkiem śmiertelnym. Dalej jechał już spokojnie, wciąż czując na sobie wzrok mieszkańców wsi, którzy nie przywykli do widoku miastowych w tej części Polski. Trzymał się trasy wyznaczonej przez Litwińską, co zważywszy na banalność instrukcji, nie powinno było stanowić problemu. Wieś jednak ciągnęła się na tyle długo, że Bruno już kilka razy zastanawiał się, czy nie minął znaku.

Przejeżdżał obok niskich domów ustawionych nietypowo dla tej części Polski – równolegle kalenicą do drogi. Każdy z nich z nieużywanym od frontu wejściem, zarośniętym kwiatami. Zza domów wystawały budynki gospodarcze. Co chwilę muczła gdzieś jakaś krowa, rzadziej ujadały psy. W powietrzu unosił się zapach suchego siana i końskiego gówna. Drzewa szumiały, a słońce zbliżało się ku zachodowi.

– Magia – mruknął Bruno. Mijał właśnie kościół parafialny, pod którym jedna starsza kobieta sprzedawała obwarzanki, a inna w równie sędziwym, jak nie sędziwszym, wieku przesuwała się na kolanach w kierunku zdobionych wrót.

Dziesięć domów dalej Bruno zobaczył zapowiadany znak, a zaraz za nim ukazała mu się piaszczysta droga, a raczej to, co z niej zostało, bowiem ścieżka w dużej mierze już zarosła. Zaryzykował jednak, licząc, że się nie zakopie, i skręcił. Ujechał niewiele, bowiem po dwóch minutach powolnej jazdy, w odległości około dwudziestu metrów od miejsca, w którym przystanął, zobaczył stado krów, pasących się – jak sądził – dokładnie na środku drogi. Mężczyzna zaklął pod nosem i wysiadł z samochodu. Zaczął machać rękami, ale krasule nic sobie z tego nie robiły. Tylko jedna przeniosła na niego znudzony wzrok, nie przestając przy tym przeżuwać trawy. Gwizdnął

najgłośniej, jak umiał, po chłopsku, wsadziwszy palce między zęby. Ale i to nie zrobiło na krowach wrażenia. Zniecierpliwiony Bruno obejrzał się na samochód i z powrotem na krowy, a raczej na to, co za nimi się znajdowało. Był już bardzo blisko lasu, więc dom, którego szukał, powinien być zaraz za wzniesieniem, z którego spoglądał. Mężczyzna wrócił po kluczyki, rzucił na fotel okulary i zamknął samochód. Gdy tylko odszedł dwa kroki, usłyszał, jak rozdzwonił się jego telefon, który zostawił na desce rozdzielczej. Westchnął ciężko, niezadowolony, że znów coś go blokuje, i zawrócił, żeby odebrać.

Rozalia. Jej piękna twarzyczka widniejąca na ekranie sprawiła, że Bruno sięgnął po komórkę niechętnie, a nawet wahał się chwilę, czy w ogóle odebrać. Telefon przestał dzwonić. Bruno znowu miał się oddalić, kiedy usłyszał sygnał wiadomości.

„W sprawie służbowej” – tak mu napisała. Bruno niechętnie wybrał jej numer. Odebrała zaskakująco szybko.

– Dzwoniłam do ciebie – usłyszał w głośniku jej melodyjny głos, z którego przebijał wyraźny wyrzut.

– Nie... Nie mogłem odebrać – skłamał na poczekaniu.

– Masz ze sobą tamtą kartkę? – spytała.

– Kartkę, kartkę... – mruknął, zastanawiając się, o co jej chodzi. –

A tak, mam.

– Jakież wnioski?

– Ciężko o wnioski, Rozalia. Poczekaj... – powiedział i sięgnął do schowka. Wyjął złożony na pół wydruk i spojrzał na niego kolejny raz, z taką samą pustką w głowie, jak wcześniej. – Tu nic nie ma. To tylko zdjęcie, nic więcej. Nic mi nie mówi, poza tym, że to wszystko robi się coraz bardziej zawile.

– Bruno, to jest to samo miejsce. Przyjrzyj się dokładnie. Jest dużo różnic, przede wszystkim diametralnie różny stan obu obiektów, ale to na pewno jest to samo miejsce! – mówiła Rozalia. Zapewniała go tak kilka razy, wyraźnie podekscytowana. Bruno nie podzielał tej ekscytacji. Zamiast zabrać się za kończenie układanki, wciąż wynajdywał nowe puzzle i robił się już tym zmęczony.

Pozwolił kobiecie mówić, a sam wysiadł z samochodu. Przytrzymał telefon ramieniem i niechętnie potakując, podwinął rękawy. Ruszył przed siebie, omijając krowy bezpiecznym łukiem. Ledwie zostawił je za sobą, teren zaczął się obniżać, a w dolince

zamajaczył mu jakiś budynek – a raczej to, co z niego zostało. Bruno słyszał w komórce już tylko co drugie słowo.

Mężczyzna przyspieszył, nie spuszczać domu z oczu. Rozalia krzyczała mu do ucha, żądając konkretnych odpowiedzi, ale ją ignorował. Skupiał się na budynku, a im bliżej był celu, tym bardziej przyspieszał. Kiedy dzieliły go od niego ostatnie metry, zatrzymał się.

– Oddzwonię do ciebie – powiedział i się rozłączył, nie zważając na protesty dziennikarki.

Z przerażeniem patrzył na ruiny domu.

Jak to możliwe? Co to znaczy?

Oderwał wzrok od pogorzelska i przeniósł go znów na telefon. Niesprawnymi ruchami otworzył galerię zdjęć i zaczął przewijać fotografie, aż trafił na odpowiednią. Patrzył chwilę na zdjęcie, które wykonał kilka dni temu, kiedy przyniósł obraz Karoliny do mieszkania, żeby pokazać go Kalinie. Na chwilę schował telefon do kieszeni, ponownie rozprostował kartkę od Rozalii i znów wolną ręką sięgnął po komórkę.

Patrzył na zmianę – na wyświetlacz, na kartkę i na spaloną skorupę, będącą dawniej domem rodziny Dmitrijew. Wszędzie widział ten sam budynek, ale nie wszędzie w obecnym stanie.

– Co to wszystko znaczy?! – krzyknął w złości, a z pobliskiego krzewu wyleciał jakiś ptak. Bruno odskoczył, a kiedy zobaczył czarną ptasią sylwetkę i smukły pomarańczowy dzióbek, opadł na trawę i ukrył twarz w dłoniach. Gdzieś niedaleko zapłakał kos.



**D**robny żwirek wbijający się w dłonie zaczynał mu przeszkadzać. Miał szczęście. Mało brakowało, a trafiłby ręką prosto w odłamki zielonego szkła. Kartka, którą upadając, wypuścił, zaczęła niebezpiecznie poruszać się na wietrze, więc złapał ją szybko i przetoczył się na plecy. Ponownie sięgnął po telefon, by się upewnić, że to nie omamy. Teraz to widział – Rozalia miała rację. Wybrał numer, ale zrobił to bardzo niechętnie. Był zdany na jej łaskę. Po tym, co jej zrobił, mogła już mu nie przekazać żadnych innych informacji albo nawet skłamać. Przymknął oczy, a pod jego powiekami rozlał się czerwony blask.

Najpierw sygnału nie było wcale. Za drugim razem usłyszał: „Abonent czasowo niedostępny”.

Spojrzał na ekran pod światło, a jako że go oślepiło i nic nie zobaczył, usiadł. Zrobił to na tyle szybko, że zrobiło mu się ciemno przed oczami. Musiał więc jeszcze chwilę odczekać, zanim zrozumiał, że nie dodzwoni się do Rozalii. Nie dodzwoni się do nikogo. Najzwyczajniej w świecie nie miał zasięgu.

Obejrzał się na samochód w oddali, zastanawiając się, czy nie zawrócić. W końcu tam udało mu się wcześniej porozmawiać przez telefon. Był już jednak na tyle blisko tego domu, że pomysł, by zawrócić, wydał mu się głupi.

Bruno podniósł się i otrzepał kolana, z niezadowoleniem zauważając plamy na spodniach. Stał tak chwilę, oparłszy dłonie na biodrach. Spojrzał raz jeszcze tęsknie na samochód, nie mogąc się doczekać potencjalnych wiadomości od Rozalii. Poczekają, pomyślał. Z ociąganiem skierował się w stronę rudery.

Zatrzymał się przed framugą, w której dawniej musiały znajdować się drzwi wejściowe. No tak – nie musi się niczego domyślać. Znalazł w telefonie odpowiednie zdjęcie. Faktycznie – dawniej



dokładnie w tym miejscu znajdowały się bogato rzeźbione drewniane drzwi, które pasowały do pozostałości dekoracji na zwęglonej framudze. Oparł dłoń o przybrudzone mury, dawniej pobielone wapnem. Ten dom musiał mieć w sobie wiele uroku, zanim strawił go ogień. Z dachu nie zostało wiele – zaledwie kilka pojedynczych krokwi. Dziwne, że do tej pory się nie zawaliły. Pokrycia brakowało. Bruno spojrzął jeszcze raz na zdjęcie. Widniała na nim słomiana strzecha, ale mężczyzna nie był przekonany do wierności tego obrazu. To mógł być wytwór wyobraźni Karoliny.

Bruno przestąpił próg domu i natychmiast zrobił unik, kiedy wprost na niego wyleciał nietoperz. Minał go na szczęście, chociaż mężczyzna jeszcze przez jakiś czas nie mógł uspokoić kołatającego serca. Dopiero gdy doszedł do siebie, rozejrzył się po pomieszczeniu. Sufit zachował się w zaskakująco dobrym stanie. Jednak tylko w rozumieniu konstrukcyjnym, bowiem tynk odchodził z niego wielkimi płatami. Wielkie pajęczyny podpierały go na tyle, na ile było to możliwe, ale to, czego nie utrzymały, leżało tu i ówdzie na zniszczonej drewnianej podłodze. Skrawki tynku sąsiadowały z ptasimi i szczurzymi odchodami, a także takimi pochodzącymi od jakichś niezidentyfikowanych stworzeń. Gdzieniegdzie samoistnie wysiały się chwasty. Wydawało się, że przebiły się przez posadzkę, tak jak robi to trawa w dziecięcych basenikach. Brudne, osmolone szyby wpuszczały do środka niewiele światła, ale jeden z promieni, który przecisnął się tu z trudem, trafiał prosto w rozbite lustro, tworząc niezwykłą mozaikę światła.

Bruno podszedł do lustra i stwierdził, że ktoś mógł je zbić na długo po pożarze. Mężczyzna dostrzegł w jakimś kącie prymitywnie namalowanego penisa, któremu towarzyszyło wyznanie miłości. Pod malunkiem, niczym znicze pod pomnikiem, stały równo ustawione butelki po różnego rodzaju trunkach.

Już chciał podejść, by obejrzeć to wątpliwej wagi znalezisko, kiedy coś odleciało z trzaskiem spod jego stopy. Odruchowo zrobił krok w tył, ale okazało się, że to był tylko długopis. W pierwszej chwili chciał do niego podejść, ale ostatecznie stwierdził, że nie ma powodu, by oglądał takie śmieci. Odwrócił się do wyjścia, gdy coś mignęło w otworze i poczuł się nieswojo. Znów miał te cholerne

zwidy. Ta biała sukienka prześladowała go już tyle czasu, że chyba uda się z tym do jakiegoś lekarza. Może to przez picie?

Będzie dzielny. Będzie dzielny. Dlaczego serce tak mu przyspieszyło? Przecież to tylko zwidy. No i koszmary. Zwidy i koszmary, właśnie tak.

Ostrożnie stawiając kroki, wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Pochylił się nawet nad żwirową alejką, ale jego ślady były jedynymi od czasu ostatnich deszczy. Był sam.

Kucał nadal, rozglądając się wokół, kiedy jego wzrok zatrzymał się na innej dróżce, zdecydowanie mniej widocznej, rzadziej uczęszczanej. Odchodziła od drogi do domu i – jak sądził – biegła wzdłuż młodej części lasu, by skręcić gdzieś za nią i zniknąć mu z oczu. Skoro Bruno zaszedł już tak daleko – może pójść dalej. Jedyne, co go niepokoiło, to coraz bardziej wydłużające się cienie.

Szedł szybko, co minutę patrząc z nadzieją na telefon. Nic się nie zmieniało, na wyświetlaczu nie było ani jednej kreseczki, która by świadczyła o tym, że złapał znowu zasięg. Na skraju lasu, tak jak przypuszczał, ścieżka zakręcała i ciągnęła się w głąb nieznanego. Robiło się coraz ciemniej. Z wahaniem zrobił kolejny krok, ale przed następnym ktoś go powstrzymał.



Stefan Sasin wychodził z domu żegnany krzykami siostry, niemalże równie starej, jak on. Miał sześćdziesiąt pięć lat, Maryla liczyła rok mniej. Mieszkali razem od zawsze, bo żadne z nich nie znalazło sobie drugiej połówki. Oboje byli przerażeni myślą, że muszą spędzić ze sobą pozostałe lata, prowadząc wspólnie gospodarstwo. Stefan nie chciał baby, ale potrzebował kogoś, kto by mu gotował i prał gacie. Jego siostra chciała mężczyzny – jak to zwykła mawiać – ale jeden jej się wykręcił, zanim za niego wyszła, a następcy nie znalazła. Powiedziała Stefanowi, że zostanie, by

robić mu to pranie, jeśli nigdy, przenigdy nie będzie musiała latać za krowami i zbierać stonkę. Nienawidziła szczerze obu gatunków. Stefan przystał na tę propozycję, widząc w niej kilka plusów, ale nie mógł przewidzieć, że decyzja ta zabierze im obojgu święty spokój na długie lata. Stefan był wolnym duchem – lubił popić po sianokosach, lubił i przed nimi. Wymówki miał na każdy dzień roku. Maryla z kolei nie lubiła, jak pił albo – co gorsza – sprowadzał na podwórze swoich zachlanych koleżków.

Teraz Stefan wyszedł po krowy, ale jego siostra nie była ślepa. Zauważyła, że spod ceraty na wielkim zamrażalniku zniknął banknot, który przeznaczyła na mszę za dusze w czyścicu cierpiące. Ten drań znów nakupi browaru albo – co gorsza – wody.

Miała rację. Dziesięć minut później Stefan podążał na pole swoim starym składakiem z koszykiem wypełnionym po brzegi piwem, najbardziej kultowej we wsi marki Biebrzak. Słońce było już bardzo nisko, kiedy dotarł do zakrętu na końcu wioski i zboczył na zarośniętą ścieżkę, którą, jak z niepokojem spostrzegł, ktoś już dzisiaj jechał. Zatrzymał się na chwilę, zebrał flegmę i splunął najdalej, jak umiał. Jako dzieciak słynął z tego talentu. Sięgnął po puszkę i otworzył ją, wypuszczając gazy z niej i z siebie z głośnym syknięciem. Upił potężnego łyka i wsiał z powrotem na rower, ale kiedy zrozumiał, że nie da rady tak jechać, zszedł na moment, by dokończyć piwo. Dopiero wtedy ruszył dalej.

Jego stadko pasło się wokół jakiegoś samochodu na numerach nietypowych dla Podlaskiego. Rozgonił krowy różgą, którą zerwał po drodze, i zajrzał do środka. Pusto. Z grymasem na twarzy spojrzął na spaloną rudę tych szarlatanów, ale nikogo tam nie dostrzegł. Dopiero kiedy powędrował wzrokiem w stronę nieużywanej od dawna ścieżki, zobaczył jakiegoś człowieka. Ni to chłop, ni baba. Barczysty, ale włosy jak u panienki. Ki diabeł...? Ale nie miało to teraz znaczenia. Stefan właśnie zrozumiał, dokąd zmierza ten jegomość. Nie tracąc czasu, chwycił za rower i ruszył w pościg. Musi go zatrzymać. Dla jego własnego dobra.



– Halo! Halo! – usłyszał Bruno za plecami.

Zatrzymał się i spojrzął w kierunku, z którego ktoś do niego krzyczał zachrypniętym męskim głosem. W jego stronę, popychając z trudem rower, zmierzał jakiś nieznajomy.

– Stoi! Stoi pan! – krzyczał dalej zdyszany. Bruno, widząc zmęczenie człowieka, zawrócił do niego, żeby skrócić mu drogę. Spotkali się w połowie.

Nieznajomy mężczyzna mógł mieć koło siedemdziesięciu lat, co Bruno założył z zapasem. Czasem bywał na wsi w związku z jakimś dochodzeniem i widywał osoby o podobnej sieci zmarszczek na twarzy, o podobnym stopniu wysuszenia i wychudzenia. Ktoś, kto nie znał wiejskich realiów, mógł sądzić, że to osiemdziesięciolatek. Mężczyzna miał w rowerowym koszyku kilka puszek piwa, co również nie zaskoczyło detektywa. W dłoni trzymał bat zrobiony z długiej, cienkiej gałęzi.

– A gdzie idzie? – spytał mężczyzna. Bruno spojrzął na niego z konsternacją. Wahał się, jak odpowiedzieć, przecież nawet nie wiedział, dokąd zmierzał. Może wtargnął na własność tego człowieka?

– Przepraszam, to pana ziemia? – zapytał.

– A moja, nie moja. Wiejska ziemia.

Czyli nie twoja, pomyślał Bruno, ale powiedział:

– Wydawało mi się, że pan mnie gonił. W czym problem?

– Oszczec chciałem. Tędy nie chodzi nikt. Lepiej zawróci – powiedział.

Bruno spojrzął w kierunku, w którym zmierzał.

– Wolałbym nie – odparł i powtórzył: – W czym problem?

– Idzie – powiedział stary. – Idzie stąd. Nic tu nie ma do oglądania. Czego szuka?

– Z policji jestem – powiedział Bruno. – Pracuję.

– Policji... – odparł z przekąsem nieznajomy i splunął. Bruno był pod wrażeniem dystansu, jaki pokonała plwocina, ale nie zdołał ukryć zniesmaczenia. – Idzie pan.

– Zaraz zrobi się ciemno. Wolałbym dotrzeć na miejsce i wrócić do samochodu, zanim to nastąpi. Jeśli nie ma pan nic konkretnego do przekazania, to pójdę już – powiedział Bruno i odwrócił się od starca. Nagle poczuł mocno zaciskające się na ramieniu palce. – Co jest...? – zaczął, ale mężczyzna mu przerwał.

– To diabelska droga – powiedział głosem jak zza grobu i zrobił zamach. Bruno przewrócił się do tyłu, by uniknąć ciosu różgą. Pechowo uderzył głową w coś twardego. Ostatnie, co zobaczył, to oddalający się na rowerze mężczyzna. W uszach dudnił mu dziewczęcy śmiech.



Poczuł, że o jego rękę ociera się coś futrzanego. Z trudem otworzył oczy, ale zobaczył niewiele, bo wokół było już ciemno. Wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku, Bruno widział już pojedyncze gwiazdy i zarys kilku gałęzi wysoko nad głową. Gdy próbował sobie przypomnieć, co właściwie zaszło, znowu poczuł łaskotanie. Drugą ręką wyjął telefon z kieszeni i go odblokował, a światło ekranu na chwilę go oślepiło. Oświetlił rękę, na której czuł łaskotki, i odskoczył z przerażeniem. Pieprzony szczur.

Bruno podniósł się i spróbował zignorować zawroty głowy. Pomacał się po potylicy i poczuł coś lepkiego. Obejrzał się – uderzył głową w duży kamień, który leżał samotnie na żwirowej drodze, zabarwiony teraz jego krwią. Odwrócił się w kierunku, z którego przyszedł, i ponownie odskoczył przerażony. Tak jak wcześniej – poleciał do tyłu, lecz tym razem szczęśliwie nie uderzył o nic głową.

To, co go przestraszyło, najwyraźniej już zniknęło. Znowu ta sama dziewczyna w białej sukience, której twarzy nie widział. Bruno jednak nie miał ochoty sprawdzać, czy nigdzie się na niego nie czai, i jak

najszybciej ruszył w kierunku samochodu. Diabelska droga i zjawy – starczy tego jak na jeden dzień. Biegł na tyle szybko, na ile pozwalał mu pulsujący ból w potylicy. W pewnym momencie nie potrafił oddzielić prawdy od fikcji, słyszał śmiech, tępy odgłos stóp podążający za nim, raz po raz coś migało mu przed oczami. Nie bawiło go to. To ból głowy. Oraz zmęczenie. Na pewno. Przecież – kiedy on ostatnio jadł?

Dopał do samochodu i rzucił telefon na siedzenie pasażera. Gdy tylko to zrobił, usłyszał sygnał powiadomień i SMS-ów. W końcu wrócił zasięg. Ale nie miało to już dla niego znaczenia. Najpierw wyjedzie z tej wsi. Wróci do miasta. Wtedy pomyśli, co dalej.

Nie patrzył na wyświetlacz przez całą drogę, mimo że słyszał, że ktoś do niego dzwoni. Nie spojrzął na telefon, nawet kiedy wysiadał z samochodu. Sięgnął po niego i schował go do kieszeni. Ze zmęczenia ledwo wspiął się po schodach, a kiedy włożył klucz do zamka w drzwiach i usłyszał skomlenie psa, poczuł głąz w sercu. Olaf. Siedział cały dzień sam.

Bruno otworzył drzwi i zapalił światło, a jego terier skoczył na niego radośnie. Nie był obrażony, a czasami mu się to zdarzało. Wyraźnie się cieszył. Mężczyźnie trochę ulżyło, ale oszczędził ostrożnie mieszkanie w poszukiwaniu psiej niespodzianki. Nic takiego nie znalazł. Zobaczył natomiast pełną miskę, chociaż był pewien, że Olaf zjadł wszystko, co nasypał mu rano. Na stole spostrzegł także teczkę z aktami dotyczącymi sprawy. Nie kładł jej tam. Wcześniej była schowana. W kuchni obok zlewu stały dwa czyste kieliszki, których nie zdążył umyć od wizyty Rozalii. Tknięty niepokojem wyszedł na klatkę schodową. Schylił się przy drzwiach do mieszkania. Podniósł wycieraczkę, a następnie wymacał poluzowany kafelek, pod którym od lat znajdowała się skrytka. Od pewnego czasu zostawiał tam dodatkowy klucz dla Kaliny, bo wiedział, że lubi czasem posiedzieć w wieżyczce. O skrytce wiedziała też naturalnie Rozalia. Teraz w skrytce klucza nie było.

Wciąż czuł pulsujący ból z tyłu głowy. Wrócił do mieszkania i sięgnął do najwyższej szafki w kuchni. Wyciągnął pudełko z lekami i poszukując bandaża, pomyślał, że dziś nie ma już na to siły. Przemył sobie ranę wodą utlenioną i niestarannie opatrzył. Nie zdążył nawet dojść do sypialni, bo usnął na kanapie.

**M**ail. Tak brzmiał ostatni SMS od Rozalii. „Mail”. Bez uśmiechu, bez grymasu, bez jakiegokolwiek znaku zdradzającego uczucia – poza kropką. Ta kropka nie oznaczała tylko końca wiadomości. Nie, ona oznaczała koniec rozmów. Tak na jakiś czas, na dzień, tydzień, miesiąc. Na czas, w którym Bruno zbierze się, by okazać jej wdzięczność i wyrazić żal, że pozwolił jej cierpieć. Detektyw był tego pewien, przechodził już przez to nie raz, nie dwa.

Ból huczał mu jeszcze w głowie, ale ciszej niż poprzedniego dnia. Nie wstając z kanapy, chwycił torbę na laptopa, stojącą – na szczęście – w zasięgu ręki. Wyciągnął z niej służbowy komputer i zerknął na godzinę. Słońce dopiero się budziło, nie minęła jeszcze piąta. W pokoju panował zbawienny półmrok, który został rozproszony przez światło monitora. Bruno poczuł ukłucie w głowie i szybko wyregulował jasność. Od razu lepiej.

Otworzył pocztę. Miał kilka nieprzeczytanych wiadomości. Generał domagał się informacji o postępach w śledztwie, bo w telewizji usłyszał więcej teorii niż od własnych podwładnych. Wiadomość najwyraźniej wysłał też do Piotra, bo od niego Bruno także dostał maila z tym samym pytaniem. Spółka gazowa straszyla karą za brak wpłaty za zaległe rachunki, o których Bruno wiecznie zapominał – tak samo jak zapominał, by po prostu zrobić zlecenie stałe. Reklama viagry przypomniawszy, że nie powinien był rejestrować się na żadnych zagranicznych stronach za pomocą służbowego adresu – nawet jeśli była to tylko strona z muzyką. Będzie musiał udać się z tym do informatyka, nie bardzo mu się to uśmiechało. Na samym szczycie nieprzeczytanych wiadomości znajdowała się jedna bez tytułu, wysłana z adresu Rozalii, którego używała tylko do korespondencji między nimi. W mailu nie było treści poza

lakonicznym „Nie dziękuj, dupku”, był za to plik PDF o interesującym tytule *Tajemnicza nieznajoma*.

Bruno poczuł, jak włosy stają mu na karku. Chyba Rozalia nie napisała by jakiegoś durnego listu? A co, jeśli to coś o Kalinie? Kliknął w małą czerwoną ikonkę. To, co wyskoczyło na monitorze, było PDF-em posklejonym z kilku mniejszych plików – artykułu pod tytułem *Tajemnicza nieznajoma* i kilku innych o podobnych nazwach. Wszystkie teksty były zdawkowe, niebędące materiałem na „temat numeru”, a raczej na drobne informacje zapowiadane w narożnikach okładek. Pierwszy artykuł pochodził z taniego brukowca, ale była to najpopularniejsza gazeta w tym zestawieniu.

### **Tajemnicza nieznajoma**

Śnieżka. Tak określili miejscowi niezidentyfikowaną dziewczynę, którą dwa dni temu znalazł dwunastoletni mieszkaniec Dolistowa Starego na nieodwiedzanej przez nikogo łące. Gdyby nie zaginiony pies chłopca, Śnieżka pozostałaby samotna jeszcze przez długi czas.

„Szukałem Hektora, zwiął mi – mówi Eryk (12 l.) – Sąsiad widział, jak pies pobiegł w kierunku zagajnika, to i ja tam pobiegłem”.

Chłopiec opisuje wszystko z przejęciem. Niewątpliwie obraz dziewczyny zostanie mu na długo w pamięci: hebanowe włosy, szczupła sylwetka, baśniowy ubiór i biała, trupia cera. Tak, trupia. Śnieżka wisi na drzewie od jakiegoś czasu.

Niestety nikt nie wie, kim jest dziewczyna. Miejscowi milczą. Nie dysponujemy zdjęciem nieznajomej, ale z przekazów wiemy, że była piękna. Po wielu rozmowach z mieszkańcami wsi udało nam się ustalić, jak mogła wyglądać, a nasz grafik sportretował ją dla Państwa. Mamy nadzieję, że ktoś dojrzy w tej twarzy podobieństwo do kogoś mu znanego. Pragniemy dowiedzieć się więcej o tej piękności i złożyć kondolencje na ręce rodziny. Zapraszamy do kontaktu z redakcją.

Artykuł opatrzony był rysunkiem dziewczyny wyglądającej niemalże jak księżniczka Disneya, połączenie Królowny Śnieżki z Mulan. Rzeczywiście wyglądała bajkowo, ale grafika chyba za



bardzo poniosła fantazja, bo niebezpiecznie oddalił się w swojej wizji od wizerunku ludzkiego.

Drugi tekst był zrzutem ekranowym z forum internetowego. Temat dotyczył „Wisielca”. Ktoś chwalił się, że udało mu się zrobić zdjęcia telefonem, zanim zmarłą zabrano. I faktycznie tak było, czemu Bruno nie mógł się nadziwić. Jakim cudem jakikolwiek policjant mógł dopuścić do takiego zaniedbania? Trzy zdjęcia, wszystkie lekko rozmazane, jak przystało na fotki wykonane przez przypadkowego rozemocjonowanego paparazzi.

Na pierwszym widniało ciało – przykryte pewnie przez jakiegoś bardziej wrażliwego miejscowego, bo dziewczynę okrywał domowy koc. Pod brązowym kocem w jelenie, oświetlonym złotym słońcem, rysowała się kobieca sylwetka. Między źdźbłami trawy dało się zauważyć długie i splątane czarne kosmyki włosów, ale twarz ich właścicielki pozostawała ukryta. Po drugiej stronie spod materiału wystawały szczupłe blade łydki, na których niżej, w okolicach kostek, odznaczyły się oponki, zapewne ślady po skarpetkach. Wgłębienia wyglądały zbyt delikatnie, by przypuszczać, że dziewczyna była związana.

Bruno przeszedł do drugiego zdjęcia. Przedstawiało policjantów podnoszących dziewczynę, nadal przykrytą. Obok nich stały nosze z transporterem. Jednak to nie one przykuły uwagę detektywa.

Bruno nie zapanował nad nagłymi torsjami. Skąpą zawartość żołądka zwrócił prosto na posadzkę, szczęśliwie omijając laptopa. Nagły hałas obudził Olafa, który podbiegł z piskiem i zatrzymał się w pewnej odległości od swojego pana, wciąż mrucząc ze zdenerwowania.

Bruno oddychał ciężko i zanim wstał, by posprzątać, z przerażeniem spojrzął jeszcze raz na monitor. Nie mogło być mowy o pomyłce. Biały skrawek materiału wystawał spod grubego wełnianego koca. Falbana sukienki, spod której wystawała biała nóżka młodej dziewczyny. Tej dziewczyny.

Olaf wciąż piszczał i Bruno wstał, by pospiesznie posprzątać, zanim pies zbierze się na odwagę i podejdzie do wymiocin. Wytarł wszystko w ekspresowym tempie, nie zważając na ciągły ból i zawroty głowy. Siadając ponownie przed monitorem, czuł, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

Trzecie zdjęcie, wstawione wbrew chronologii jako ostatnie, odpowiadało na tajemnicę, której Bruno nie mógł rozszyfrować od dłuższego czasu. Nieznajoma dziewczyna w końcu pokazała swoją twarz.

Leżała w trawie z rozrzuconymi wokół długimi czarnymi włosami. Wyglądała, jakby spała, pełna spokoju. Powieki zakończone czarnymi posklejnymi rzęsami skrywały prawdopodobnie równie czarne oczy. Miała wydatny nos i pełne usta, teraz zsiniałe, a także duże płaszczyzny policzków, białych jak jej lekka sukienka.

To, co nie pasowało do jej nieskazitelnego wizerunku księżniczki, to duża blizna na czole, przecinająca brew i skręcająca nad opuchniętym okiem w kierunku skroni. Wyglądała na bliznę po oparzeniu i Bruno mógł tylko się domyślać, ile dziewczyna miała szczęścia, że jej oko nie doznało uszczerbku. Na jej długiej szyi widniała inna blizna, wyglądająca na świeższą, jakby od zadrapania. Olaf ozdobił go podobną podczas ostatniego obcinania pazurów.

Bruno zamyślił się na chwilę. Uroda tej dziewczyny była bardzo oryginalna. Nie europejska, nie azjatycka, nie indiańska. Osobę o takiej urodzie spotkał tylko raz w życiu.

Przeszedł do trzeciego tekstu pochodzącego z lokalnej gazety.

### **Zmarła kobieta zidentyfikowana**

Młoda kobieta znaleziona w okolicach wsi Dolistowo Stare została zidentyfikowana jako Olga B.

Kobieta nie była mieszkanką Dolistowa ani pobliskich miejscowości. Nie wiadomo wciąż, jak znalazła się w tych rejonach. Policja wykluczyła udział osób trzecich w zdarzeniu. Prosimy społeczność o zachowanie spokoju i uszanowanie uczuć rodziny zmarłej. Bliskim składamy kondolencje.

Na koniec Rozalia załączyła kilka zrzutów ekranowych z galerii internetowej ze strony *Moje Dolistowo*. Galeria zawierała to samo zdjęcie, które dostał od niej wcześniej. Przedstawiało biały domek, a raczej jego pozostałości. Kolejno widniały zdjęcia domów w Dolistowie, część z nich pamiętał ze swojej wycieczki. Najbardziej w oczy rzuciło mu się zdjęcie ostatnie. Przedstawiało polanę

i pojedyncze, ogromne drzewo. Znajdowało się ono jednak na dalszym planie. Przed nim rozciągało się pole maków.

Bruno poczuł dyskomfort, żołądek znowu podszedł mu do gardła. Użył całych rezerw sił, by powstrzymać kolejne torsje.

Siedzącego na kanapie mężczyznę zastało budzące się słońce, ale mimo urokliwego świtu za oknem Bruno pozostał niewzruszony. Nie dlatego, że był niewrażliwy na piękno, ale dlatego że poznał piękno większej miary. Również w postaci wschodzącego słońca. Wtedy jednak wychodziło zza olbrzymiego drzewa. Tego samego drzewa, na które patrzył teraz. Tak. Bruno znał to miejsce. Pamiętał, że w nim był. I czuł, że nie był tam sam. Wrócił do zdjęcia zmarłej dziewczyny.

Nagle z trzaskiem zamknął laptopa. Jego serce obijało się już o oba płuca, utrudniając mu łapanie powietrza. Śpiąca dziewczyna obudziła się, by spojrzeć mu w duszę czarnymi jak węgiel oczami.

Młoda kobieta o blond włosach i czerwonej twarzy siedziała nieruchomo na łóżku w swojej sypialni. Patrzyła przed siebie, starając się skupić wzrok na pierwszym elemencie wystroju, który wpadł jej w oko. Stare, czarno-białe zdjęcie z całującą się parą gdzieś na ulicach Nowego Jorku powiesiła tylko ze względu na malującą się w tle panoramę wieżowców. Mama zrozumiała to od razu, ale tata – jej wzór do naśladowania – widział w tym tylko romantyczną duszę swojej małej córeczki. Nie przepadał za tym zdjęciem. Uważał chyba, że jest w złym guście, a jego pojawienie się w pokoju córki obwieszczało zniknięcie wiecznego, w jego wyobrażeniach, dziecka.

Karolina próbowała ze wszystkich sił powstrzymać kołysanie. Nie ruszaj się, nie poddawaj się temu. Nie pozwól na to. Oczy miała tak bardzo spuchnięte, że ledwo przez nie patrzyła. Oblizła obrzmiałe, mokre i słone od łez usta. Mrugnęła dwukrotnie. Czuła, że krzyknie, że huragan emocji, który sieje spustoszenie w jej głowie, musi znaleźć swoje ujście. Trzy sekundy. Dwie. Jedna. Otworzyła usta najszerszej, jak mogła, wydając niemy wrzask.

Z tym wyrazem nieskończonego bólu, oplecioną własnymi ramionami i trzęsącą się w spazmach znalazł ją Filip. Wrócił właśnie z konsultacji konstrukcyjnych i odpędzał od siebie myśli o walącym się projekcie. „Panie kolego, przecież to się posypie. Proszę nie tłumaczyć... No ale to na którym roku pan jest?” – usłyszał dzisiaj. Po tym nastąpiła chwila milczącej dezaprobaty, niemal upokarzającej w obliczu otaczających go kumpli. Najgorsze spadło na niego na koniec, kiedy profesor pomarszczonym palcem wskazał sam środek najbardziej imponującego lobby, jakiego świat studencki dotąd nie widział. Powiedział ochryple: „Ech... Musi pan tu dać słup”. Dla Filipa to nie był dobry dzień.

Jego relacja z Karoliną wydawała się dla obcych nieprzyjazna i być może faktycznie była napięta. Przepaść między rodzeństwem pogłębiła się po śmierci ojca. Ale przyjaźń... Ludzie się mylili, ona pozostała taka sama. To przez nią wchodzący do pokoju chłopak na widok targanej bólem siostry rzucił się na pomoc, której nie potrafił udzielić.

Karolina była tak zamroczona, że dopiero po chwili zorientowała się, że nie podołała i od huśtania się na wszystkie strony powstrzymuje ją nie jej własna silna wola, ale silne ramiona brata. Wczepiła się w niego palcami i schowała twarz w jego kraciastej koszuli. Stłumił jej wrzaski i uspokajająco kołysał. Przejął kontrolę. Po kilku minutach rozległ się dzwonek leżącego obok nich telefonu. Filip sięgnął po komórkę.

– To budzik... Dlaczego go ustawiłaś? – spytał.

– Minęła doba – powiedziała słabo.

Filip kiwnął głową. Zgodnie z ulotką mogła brać tylko trzy tabletki na dwadzieścia cztery godziny. Sam to wyczytał. Podeszedł do biurka Karoliny i wysunął szufladę. Kilka kartek, klucze z niebieskim breloczkiem, kosmetyki... Są i tabletki – ziołowe. To on jej je kupił, gdy go poprosiła. Miały ukoić nerwy dziewczyny, ale Filip obawiał się, że to nie wystarczy. Może spełniłyby swoje zadanie, kiedy ich tata jeszcze żył, ale stan Karoliny od tamtej pory mocno się pogorszył. Podał opakowanie siostrze i z niepokojem zauważył, że połknęła trzy kapsułki naraz.

– Nie radzę sobie... – załkała po chwili.

– Widzę... – odparł. – Myślę, że już czas, żebyś z kimś o tym porozmawiała.

Karolina odsunęła się gwałtownie i spojrzała dzikim wzrokiem na brata.

– Jak jakiś czubek? To masz na myśli? Nie jestem zasraną szajbuską, Filip! – krzyknęła i opadła na poduszki.

Chłopak nie odpowiedział. Był przygotowany na taką reakcję, spotkał się z nią już wcześniej.

– Nie tylko ty cierpisz po stracie, Lotka – zwrócił się do niej spokojnie. Nie odpowiedziała, ale zrobiła duży wdech, jak dziecko, które zaraz wrzaśnie. Na szczęście jednak nie wydała z siebie dźwięku. „Lotka”. To ją powstrzymało. Nie mówił tak do niej prawie

nikt. „Lotta” i „Lotka” nie były używane w tym domu. Jak hasła zakazane, wstydliva część jej przeszłości.

Teraz Karolina czekała na to, co chciał jej powiedzieć Filip. On jednak w milczeniu podniósł się z łóżka i nie oglądając się za siebie, opuścił pokój. Ta bezradność, którą odczuwał, niezwykle go irytowała. Pozostała mu tylko Karolina, a czuł, jak i ona wymyka mu się przez palce.

Dziewczyna przykryła twarz poduszką. Wykrzyczała w nią cały swój ból, a kiedy nie miała już sił na więcej, zasnęła. Leki zaczęły działać.



Dzień tradycyjnie dłużył się Grzegorzowi, mimo że był ostatni raz w pracy. Z utęsknieniem wyglądał siedemnastej, regularnie zerkając na zegar w swoim biurze, ale dzieliła go od niej jeszcze godzina. Uprzątnął wszystkie oznaki swojej obecności, łącznie ze zdjęciami wnuków, które dumnie zdobiły jego biurko przez kilka ostatnich lat. Tykanie i stłumione odgłosy pracowników zza drzwi go usypiały. Zaśmiał się w duchu, że drzemka to jest właśnie to, na czym chciałby spędzić ostatnie sześćdziesiąt minut jako policjant.

Oparł się wygodnie w czarnym skórzanym fotelu i przymknął oczy. Czuł powiew na twarzy od wentylatora, który zamontowano na suficie niecały miesiąc temu. Jego następcą będzie miał tu wygody! Grzegorz odpływał. Dopiero dzwonięcie telefonu przywołało go do porządku, uświadamiając przy okazji, że z kącików ust spływa mu ślina, mocząc klapy wyświechtanej marynarki. Obudził się oburzony.

– Czego, do cholery...? – fuknął, zerkając ponownie na zegarek. Za pół godziny miał stąd wyjść. Czego jeszcze od niego chcą? Nie zostanie w pracy nawet minuty dłużej. Zbyt długo czekał na ten dzień.

– Komisariat w Mońkach, Fiuty – powiedział groźnie. Po drugiej stronie nikt się nie odezwał, chociaż Grzegorzowi wydawało się, że

coś usłyszał.

– Halo? Halo? – odezwał się w końcu jakiś głos, jakby nie był pewien, czy połączenie się nie zerwało.

– Słyszysz mnie pan? Komisariat. Mońki. Fiuty. Grzegorz – wydukał policjant, przecierając ze zmęczeniem oczy.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że coś prze...

– Dobra, dobra. Proszę mi tu nie czarować. Noszę to nazwisko od wielu lat, pana reakcja wcale nie jest czymś niezwykłym. O co chodzi? – burknął. W słuchawce ktoś odchrząknął.

– Z tej strony Bruno Kosowski, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, Warszawa – powiedział rzeczowo mężczyzna.

– Ta?

– Tak. Potrzebuję informacji. Przefaksowałem panu moje dokum...

– Już sobie sprawdziłem – przerwał mu Grzegorz, otwierając bazę danych i wklepując hasło.

– Prowadził pan sprawę w Dolistowie Starym. Młoda dziewczyna. W tamtym roku.

– No tak, prowadziłem... – mruknął ledwo dosłyszalnie. Czekał wciąż, aż baza wyrzuci mu odpowiedniego człowieka. Zrobiła to w tym samym momencie, w którym uruchomił się faks. Grzegorz sprawdził wszystkie numery i nazwisko. Typ najwyraźniej był autentyczny. – Czego pan potrzebuje? – spytał o pół tonu milej i spojrzał poirytowany na zegar nad drzwiami.

– Mógłby mi pan przekazać więcej szczegółów? – spytał Kosowski.

– Szczegółów! Panie, tam nie było szczegółów. To była cholernie przykra sprawa, ale nie ma się co tu nad tym rozwodzić. Nawet nazywanie tego „sprawą” jest mocno na wyrost. To było zwyczajne samobójstwo. Zaraz znajdę... – powiedział Grzegorz i wpisał słowa kluczowe, zaczynając od określenia, które się wtedy przyjęło: „Śnieżka”.

Od początku wydawało mu się absurdem nazywanie jej w ten sposób, bo nie miała nawet białej skóry. Pośmiertnej bladości nigdy nie dostrzegał. Patrząc na zwłoki, widział, jak człowiek wyglądał za życia.

– O, mam! – zakrzyknął, kiedy na monitorze pokazała się ładna, uśmiechnięta twarzyczka na zdjęciu z dowodu. – Tak, tak właśnie kojarzyłem, przerwany rdzeń kręgowy. Klasyczne przy powieszeniu. Jacyś miejscowi zdążyli ją zdjąć, zanim przyjechaliśmy, ale wciąż miała sznur na szyi i sińce. I obrzęk; trochę wisiła. Straszna sprawa... Ma pan dzieci?

– Nie mam – odparł ten Kosowski.

– No to powiem panu, że znajdowanie trupów w wieku własnych córek nie jest łatwe. Ja mam dwójkę, z dużą różnicą wieku. Jedna ma już własne dzieci, druga skończyła studia... Wie pan, czemu to mówię?

– Nie wiem, ale na pewno dokądś pan zmierza.

– O to, to. Dokądś zmierzam. Dokładnie tak. Na emeryturę. Jeszcze dzisiaj. Więc pytaj pan szybko, bo niewiele czasu panu zostało.

– Dobrze, proszę zatem o przesłanie mi akt sprawy. Jest tam jakiś kontakt do rodziny? Jak nazywała się denatka?

– Olga Bińczyk. Kontakt jest, będzie miał pan blisko. Rodzice mieszkają w stolicy. Czy coś jeszcze? – spytał niecierpliwie Grzegorz, patrząc na zegar.

– Chyba nie. Głównie zależało mi na tych dwóch rzeczach, reszta, jak sądzę, jest w aktach.

– Panie Koło...

– Kosowski.

– Panie Kosowski, te akta są niemal puste. Była martwa, jest przyczyna, czas zgonu przybliżony. Jest kontakt do rodziców. To wszystko, co tu mam. Żegnam się z panem, drukuję i faksuję. Proszę mi życzyć udanego życia. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Na szybko zrobił, co obiecał, i po raz ostatni spojrzął na zegar. Dziesięć minut. To nic, urwie się wcześniej. Niech żyje emerytura!



**B**runo stał przed nowoczesnym, ale wykończonym bez przepychu budynkiem. Blok był sympatycznie skromny w wyglądzie, zbudowany dla osób zamożnych, ale z dobrym gustem. Wykończony piaskowcem, bez nieuzasadnionych wielkich przeszkleń od strony ulicy, niewysoki – tylko cztery piętra. Do tego niemalże graniczył z Łazienkami i Belwederem. Lokalizacja idealna.

Mężczyzna spojrział na karteczkę, którą ścisnął w dłoni, tak że namiętkła od potu i rozdarła się w miejscu zgięcia. Zanotował na niej adres do państwa Bińczyk, który pani Bińczyk podała mu osobiście. Prosiła, by pojawił się wieczorem, tak żeby zastał ich oboje. Jej mąż kończył pracę w banku o siedemnastej i zanim przedrze się przez miasto, może być już wpół do dziewiętnastej. Na zegarku widniała dwudziesta trzydzieści, więc Bruno po prostu skierował się do okazałego foyer, w którym urzędujący portier powitał go życzliwym pytaniem o to, w czym może pomóc. Po krótkim wyjaśnieniu zadzwonił do wybranego mieszkania, dopytał się o spodziewanego gościa, a kiedy okazało się, że Bruno nie jest intruzem, uprzejmie pokierował go na odpowiednie piętro.

Drzwi otworzył mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Ubrany elegancko, jakby nie zdążył się jeszcze przebrać po pracy. Zdradzał go tylko rozpięty pod szyją guzik koszuli. Był przystojny, czego nie zdołały mu odebrać podkrążone, smutne oczy.

– Cezary Bińczyk – powiedział, uściskawszy mocno dłoń detektywa. – Zapraszam do środka. Napije się pan czegoś?

– Bruno Kosowski. Kawy, jeśli można.

– Oczywiście. Proszę przejść do salonu. Za chwilę do pana dołączymy – odparł i skierował się zapewne do kuchni.

Bruno zauważył, że mężczyzna mówił głosem niemalże wypranym z emocji. Odprowadził go wzrokiem i przeszedł do pomieszczenia

wskazanego mu przez gospodarza. Wnętrze mieszkania było schludne, eleganckie, ale wciąż ciepłe. Bardzo uporządkowane. Nad kominkiem gazowym wisały zdjęcia. Na większości z nich widniała ta sama dziewczynka. W wieku przedszkolnym, szkolnym, jako nastolatka, a w końcu jako dorosła młoda kobieta, w której Bruno rozpoznał tak zwaną „Śnieżkę”. Miała miłą twarz o nieśmiałym uśmiechu i długie czarne włosy. A także bliznę – na każdym zdjęciu, co dowodziło, że nabyła ją w trakcie pożaru. Najlepszym potwierdzeniem braku pokrewieństwa między dziewczyną i jej rodzicami była kobieta, która weszła do salonu w towarzystwie swojego męża. Uśmiechnęła się delikatnie – ten delikatny uśmiech był jedynym, co wizualnie łączyło ją z córką. Kobieta była drobną, pulchną blondynką w okularach przesłaniających okrągłe niebieskie oczy. Miała iście słowiańską urodę i Bruno nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że w młodości tańczyła w zespole Mazowsze.

– Dzień dobry – powiedziała, wyciągając dłoń, tak jak wcześniej jej mąż. – Rozmawialiśmy przez telefon. Nazywam się Helena Bińczyk. Proszę usiąść.

Bruno posłusznie zajął wskazane miejsce i od razu sięgnął po filiżankę z kawą.

– Jest pan... – zaczęła kobieta.

– ...policjantem – dokończył za nią Bruno, pociągawszy łyk kawy tak gorącej, że oparzył sobie przelyk. – Prowadzę sprawę dotyczącą śmierci Tadeusza Wilskiego. Czy to nazwisko mówi coś państwu?

Kobieta zrobiła niepewną minę, a jej mąż ściągnął krzaczaste brwi, tak że tworzyły jedną włochatą linię.

– Tadeusza Wilskiego? – spytał zdziwiony. – Nazwisko kojarzymy, Ola miała z nim jakieś zajęcia. Ale nic więcej o nim nie wiemy. To znaczy owszem, słyszeliśmy o jego śmierci, bo media ciągle o nim trąbią. To chyba była istotna postać w środowisku architektów, prawda?

– Tak, był dość znaną osobistością...

– Ale co to ma wspólnego z nami? Z Olą? – dopytywał mężczyzna.

Bruno westchnął i odstawił filiżankę.

– Przyznaję – być może nic. Być może zawracam państwu niepotrzebnie głowę. Na razie nie mam powodów, by twierdzić, że

śmierć państwa córki jest w jakiś sposób powiązana ze śmiercią Wilekiego. Ale muszę dowiedzieć się kilku rzeczy na temat pani Olgi, a szczególnie jej pochodzenia i jej rodziny. Jej biologicznej rodziny.

Mężczyzna pokiwał głową, patrząc gdzieś ponad ramieniem Bruna, a kobieta sięgnęła po leżące na stole chusteczki, które znalazły się tam najwyraźniej nie przez przypadek. To ona podjęła temat.

– Adoptowaliśmy Olę, to prawda. Długo staraliśmy się z mężem o dziecko. Próbowaliśmy leczenia, ale nic nie dawało. Ostatnia szansa to było odstresowanie się. Nasłuchałam się historii, że jeśli chcemy mieć dziecko, powinniśmy odpocząć, zapomnieć o obowiązkach... – powiedziała, a Bińczyk skrzywił się, wyraźnie niezadowolony z wylewności żony. – Pojechaliśmy na wakacje – kontynuowała. – Na Podlasie, do jakiejś agroturystyki. Pamiętam, był pierwszy czerwca, Dzień Dziecka, i w miejscowości, w której odpoczywaliśmy, odbywał się tego dnia festyn. Brały w nim udział dzieci z domu dziecka. Opiekunowie chcieli zapewnić im trochę rozrywki. To był czas, kiedy tęsknie patrzyłam na dzieci, bo bardzo chciałam mieć własne. Wtedy w oczy wpadła mi mała dziewczynka, bawiąca się na kocu w towarzystwie dwójki innych maluchów w podobnym wieku. Oczywiście była z nimi opiekunka, ale chyba była nieuważna, bo siedzący obok małej chłopiec zrobił zamach i uderzył dziewczynkę. Przyglądałam się z niepokojem dzieciom, a kiedy zobaczyłam, że ten łobuziak znowu bierze zamach, podbiegłam szybko i mu przeszkodziłam. Zwróciłam uwagę opiekunce, ale nie przejęła się tym zbytnio. Usiadłam na kocu i postanowiłam się chwilę pobawić z tą malutką. Wyglądała bardzo niecodziennie. Miała nietypową urodę i dużą bliznę po oparzeniu. Opiekunka wytłumaczyła mi chwilę później, że – cytuję – „brzydactwo ma marne szanse na adopcję”. Kobieta była o tym przekonana, chociaż mała trafiła do tej placówki niedawno. Kiedy odchodziłam stamtąd z ciężkim sercem, wiedziałam już, że wrócę po tę dziewczynkę.

– Tak – wtrącił jej mąż. – Sam zaczynałem już myśleć o adopcji. Bałem się przedstawić tę propozycję Heli, bo wiedziałem, że pragnie swojego dziecka.

– Pragnęłam – przyznała, a w jej oczach zalśniły łzy. – Ale Olga stała się moim dzieckiem już po kilku wspólnie spędzonych minutach.

– Nie przypuszczałem jednak, że Hela będzie chciała przygarnąć starsze dziecko – dodał Cezary Bińczyk. – Myślałem raczej o niemowlaku, a Ola miała już iść do pierwszej klasy... Ale pokochałem ją równie szybko.

– To musi być dla państwa bardzo trudne – powiedział ze współczuciem Bruno.

Kobieta pociągnęła nosem i otarła łzę.

– Jest. Zaraz minie rok od jej śmierci. Czasami zdarza mi się uśmiechnąć, zaśmiać w kinie. Ale nie chcę tego. Czuję, że jestem... nie w porządku wobec Oli.

Bińczyk objął żonę ramieniem i pocałował ją w czoło.

– Czy ma pan jakieś konkretne pytania? – zwrócił się rzeczowo do detektywa.

– Mam – odpowiedział. – Czy znają państwo historię Olgi? Jej pochodzenie?

– Wszystko jest tutaj – powiedziała kobieta, przesuwając po szklanym stoliku wyświechtaną teczkę. – Rodzice biologiczni Oli zginęli w pożarze. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś na ten temat, ale słyszeliśmy różne plotki, nie wiemy, w co wierzyć. Ojciec Oli był Jakutem i podobno zajmował się szamanizmem, co burzyło spokój w małej wiosce, gdzie mieszkał z żoną i dziećmi. Niektórzy mówią, że to miejscowa ludność podpaliła ich dom. Ale na policji dowiedzieliśmy się, że prawda była bardziej prozaiczna.

– To znaczy? – spytał Bruno.

– Pożar spowodowali rodzice Oli – odparł Cezary. – Dużo się kłócili. Policja była tam na kilku interwencjach, po zgłoszeniach zaniepokojonych mieszkańców. Mieszkali co prawda na odludziu, ale niektórzy martwili się o dziewczynki, kiedy widzieli, jak ich rodzice kłócą się w miejscach publicznych. Zgłaszali chyba w ciemno, ale ze dwa razy trafili. Strach pomyśleć, ile tych kłótni musiało rzeczywiście tam być.

– Policja wiedziała, co powodowało te kłótnie?

– Nie – powiedziała Helena. – Ale dowiadaliśmy się i plotki pokrywały się na tyle z przypuszczeniami w aktach, że możemy się

domyślać. Chodziło o religię. Mówiło się, że mężczyzna zwykle chodził nabuzowany, że mu te jego czary nie wychodzą. Ludzie się z niego śmiali. Kobieta z kolei chciała chyba go przekonwertować na katolicyzm, mimo wcześniejszej akceptacji dla jego wierzeń.

– A skąd pożar? Policja do tego doszła?

– Tak. W domu były jakieś śmieci tego gościa. Gałęzie, pióra... To chyba one zostały podpalone. Być może w trakcie kolejnej kłótni – powiedział Cezary Bińczyk.

Bruno zamyślił się na chwilę, podobnie jak siedzące naprzeciwko niego małżeństwo.

– Byli państwo świadomi, że Olga nie była jedynaczką? – spytał.

Małżeństwo, jakby miało to przećwiczone, synchronicznie spuściło głowy. Helenę nagle zainteresowały jej własne paznokcie, a mąż zerkał na nią pytająco. Ona po chwili odpowiedziała mu krótkim spojrzeniem w oczy i mocno zaciśniętą szczęką. Cezary wziął głęboki oddech.

– Tak. Wiedzieliśmy o siostrze Oli – powiedział ciężko. –

Wiedzieliśmy, że została adoptowana przez inną rodzinę, podobno znajomych Dmitrijewów. Ola spędziła nawet u nich rok, a potem ot tak ją odesłano. Coś strasznego... – Cezary pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Olga pamiętała siostrę – powiedziała Helena. – Ale nie zachęcaliśmy jej do szukania kontaktu z nią, chociaż zdarzało jej się o tym wspominać.

– I nigdy się nie spotkały? – spytał Bruno.

– Ależ spotkały – odparła szybko Helena. – Ale w jaki sposób... Chyba mi pan nie uwierzy.

Na dworze robiło się ciemno i nieprzyjemnie. Drzewa szumiały złowieszczo, kiedy Leszek Trocki trzasnął drzwiami – czy raczej wrotami – do biura Wilski/Trocki i wyszedł w pośpiechu do samochodu. Dzień nie zaczął się dla niego przyjemnie. W drodze do pracy zaświeciła mu się kontrolka, której znaczenia za cholereę nie znał. Spanikował, ale był przerażony jeszcze bardziej tym, że nie ma gdzie się zatrzymać. Jechał więc dziarsko dalej, może troszkę wolniej, przy czym zerkał z zaniepokojeniem w lusterko na tworzący się za nim sznur samochodów. Po kilku minutach dalszej jazdy poczuł dym, a kiedy już go zobaczył, wiedział, że żarty się skończyły.

W panice z całej siły wcisnął hamulec i natychmiast tego pożałował. Podobnie jak kierowca jadący za nim, który z piskiem opon wjechał mu w cztery litery. Szczęście w nieszczęściu, że Leszek jechał wolno i drugi kierowca nie odniósł dużych szkód. Ale samochód Trockiego już tak. Mężczyzna z przerażeniem patrzył, jak obcy ludzie odholowują jego własność, pozostawiając go samego na wąziutkim kawałku chodnika przy czteropasmowej drodze.

Spóźnił się do pracy, chociaż próbował sobie powtarzać, że przecież to on jest szefem i nie musi przed nikim odpowiadać. Niestety, jego potrzeba uczciwości nie pozwoliła mu wyjść z biura o standardowym czasie i został w nim jeszcze trzy godziny.

A miał to być dzień szczególny. Trocki umówił się na randkę. Taki termin przynajmniej założył, kiedy Ela zgodziła się z nim wyjść do restauracji. Nie przywiązywał znaczenia do tego, że powiedziała z żalem, że „i tak nie ma nic do roboty”. Liczyło się to, że mieli być tylko we dwójkę. Dlatego mimo przeciwności losu, mimo przepłacenia (jak go w pracy poinformował z satysfakcją stażysta) za wymianę wentylatora, mimo rozpoczynającej się burzy – Leszek Trocki był w bardzo dobrym nastroju. Wsiadł do taksówki i z miną

gościa, który „dziś w końcu zaliczy”, kazał się zawieźć do domu. Był tak zadowolony, że nie zauważył nawet, jak taksówkarz obiera najbardziej absurdalną trasę z możliwych.

Kiedy wszedł do mieszkania, mina mu trochę zrzędała. W przedpokoju stały znajome szare balerinki, a z jego sypialni sączyło się przytłumione, ciepłe światło. Z walącym sercem i nie zdjawszy nawet butów, pomaszerował jak na skazanie do pokoju, chociaż niejeden facet w jego wieku z chęcią zamieniłby się z nim miejscami.

Karolina leżała na łóżku w bardzo wyuzdanej bieliźnie i jeszcze bardziej wyuzdanej pozie. Patrzyła zalotnie i zdawała się nie zauważać, że duże okna sypialni są odsłonięte, a swoje wdzięki zaprezentowała już z pewnością zgorszonej sąsiadce.

Trocki zacisnął zęby i uda – nieznacznie. Rzucił wiekowy neseser obok łóżka i chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Ocknął się i pospiesznie ruszył zaciągnąć zasłony.

– Karolina... Co ty... Byliśmy umówieni? – wydukał w końcu.

Zanim się odwrócił, poczuł, jak jej ciepła sylwetka oplata jego ciało i gniecie mu marynarkę, którą chciał założyć na spotkanie z Elżbietą.

– Gdzieś wychodzisz? – szepnęła mu do ucha.

Mężczyzna odwrócił się do niej, przetykając głośno ślinę. Ujął w dłoń jej ładną, młodą twarzyczkę i dostrzegł opuchnięte oczy. Ledwo na niego patrzyła. Miała smutny wzrok. Biedactwo, pewnie wciąż nie może się pogodzić z tym wszystkim... Tyle rzeczy dzieje się nie po jej myśli.

Karolina chyba dostrzegła litość w oczach Trockiego, bo gwałtownie się odsunęła i spojrzała na niego wrogo. Znał ten stan, miał dosłownie chwilę na reakcję i brak w niej było czasu na zastanawianie się. Z rezygnacją objął ją mocniej i odpłynął. Jedynie wibracje telefonu odrywały na chwilę jego łapczywy wzrok od młodego ciała i kierowały go w stronę neseseru, z którego wydobywał się dudniący dźwięk. Dźwięk, który przedzierał mu się do świadomości z informacją, że spieprzył. Spieprzył szansę, na którą czekał tak długo.





**B**runo siedział na wygodnej welurowej kanapie państwa Bińczyków i patrzył z wyrazem głębokiego niezrozumienia na twarzy na swoją rozmówczynię.

– Na studiach – powtórzył po Helenie.

– To dziwny zbieg okoliczności, zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała. – Obie pochodziły z zupełnie innych części Polski, nie miały ze sobą kontaktu, od kiedy je rozłączono w dzieciństwie. A mimo to spotkały się na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Mogło nawet do tego nie dojść, bo nie były na jednym roku. Olga zrobiła stopień inżyniera w Białymstoku, a do tego była rok wyżej. Jej siostra poszła chyba na studia z opóźnieniem.

– I po prostu na siebie trafiły? – spytał z niedowierzaniem Bruno.

– Też mnie to zastanowiło – powiedziała Helena. – Ale Ola tak właśnie to przedstawiła. Któregoś z pierwszych dni października wpadła na Kalinę. Były obie w szoku, rozpoznały się natychmiast. Od tamtej pory były prawie nierozłączne, chociaż siostra Oli nie chciała tu przychodzić. Ola była bardzo skryta, ale kiedyś wyciągnęłam z niej, że podejrzewa, iż jej siostra nie potrafi się do końca w tym odnaleźć – powiedziała, a widząc minę detektywa, dodała: – W tym, że jej bliźniaczka ma inną rodzinę.

– Szczerze mówiąc, było nam to na rękę – burknął jej mąż. –

Zdarzenie było kłopotliwe również dla nas i chociaż nie mogliśmy zabronić Oli zaproszenia siostry do domu, to nie byliśmy temu chętni.

Bruno rozejrzał się w zamyśleniu po pokoju i dopiero wtedy dotarło do niego, jak niestandardowa liczba zdjęć dziewczyny się w nim znajduje. Przecież nigdy nie widział, żeby ktokolwiek trzymał aż tyle fotografii swojego dziecka. Twarz Olgi uśmiechała się do niego z każdej ściany w tym mieszkaniu.

– Rozumiem – powiedział. – Jaką osobą była Olga?

– Ola... Olunia była urocza – odparła jej mama i smarknęła w chusteczkę. – Była niestety zamknięta w sobie i niewiele osób miało okazję dobrze ją poznać. Zanim spotkała Kalinę, wracała z zajęć prosto do domu. Ale odkąd się spotkały... Nie dość, że zrobiła sobie tatuaż, to jeszcze czasem wracała do domu dopiero przed północą. Strasznie się wtedy kłóciłyśmy. Plusem było to, że zaczęła wychodzić do ludzi. Wierzymy, że nawet się zakochała. A przynajmniej ktoś zakochał się w niej.

Helena, opowiadając o tym, miała lekko rozmarzoną minę, za to jej mąż zdecydowanie się nachmurzył, ale nie zabrał głosu.

– Bo widzi pan... – powiedziała kobieta – ona nie zdradziła nigdy nic. Taka już była. Ale... Ale pod koniec... – Przerwała i sięgnęła po kolejną chusteczkę. – Jakiś czas przed jej śmiercią... Ona wpadła w jakiś marazm. Nie chciała nic powiedzieć... I... Przepraszam, jestem strasznie chaotyczna...

Spojrzała z nadzieją na męża, licząc, że jej pomoże, ale nie kwapił się do tego. Bruno widział, jak mężczyźni zaczęły nerwowo drżeć brwi. Bińczyk też to poczuł i podniósł się gwałtownie, a następnie oddalił w stronę kuchni, przecierając mocno twarz dłonią. Zapanowała niezręczna cisza, którą kobieta przerwała, dopiero gdy trochę za głośno się wysmarkała.

– Przepraszam... za nas oboje. Nie jest nam łatwo mówić o Oli za życia, a co dopiero o jej ostatnich dniach...

Bruno pokiwał głową w milczeniu i pozwolił kobiecie zebrać siły na dalszą część opowieści, którą po minucie podjęła.

– Ola stała się apatyczna. Nie spędzała z nami czasu, do czego zdążyliśmy przywyknąć, ale przestała też spędzać czas z Kaliną. Nie wiem, co robiła poza domem, ale jak już wracała, to zamykała się w pokoju. Do tej pory głowię się, dlaczego tak się zachowywała. Przypuszczałam, że może pokłóciła się z siostrą, bo ona któregoś dnia przyszła...

– Kalina tu była? – przerwał jej Bruno.

– Tak, ale Ola nie chciała z nią rozmawiać.

– Tak powiedziała?

– Nie wprost – przyznała kobieta po chwili namysłu. – Ale poprosiła, żeby przekazać Kalinie, że jej nie ma. To był zresztą

pierwszy raz, kiedy widziałam tę dziewczynę. Dla nas obu było to silne przeżycie, święcie w to wierzę. Ona... Ta Kalina bardzo ją przypominała. Miała taki sam słaby uśmiech. Niemalże przepaszający. Były podobnego wzrostu i były podobne z twarzy. Oli została tylko ta nieszczęsna blizna, jej siostra najwyraźniej miała więcej szczęścia...

– Czy podczas tej wizyty Kalina dała w jakikolwiek sposób znać, o co może chodzić?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie. Poza tym uśmiechem nic charakterystycznego sobie nie przypominam. Nie chciała ze mną przebywać. Kiedy Ola do niej nie wyszła, natychmiast pożegnała się i zniknęła.

– A ten chłopak? Nigdy go pani nie widziała? – spytał Bruno.

– Nigdy – odparła Helena. – Ale domyślam się, że był... Chyba że... Już sama nie wiem, może jednak nie... Następnego dnia po wizycie Kaliny na wycieraczkę znalazłam bukiet kwiatków. Nie znam się na roślinach, ale były to takie drobne różowe kwiatuszki, w takich jakby kiściach. Kształtem przypominały winogrona. Coś jak hortensja, tylko podłużne. Do tej pory byłam pewna, że to od jakiegoś wielbiciela, ale teraz myślę, że może to od jej siostry... Może faktycznie się pokłócili.

– Niewykluczone – mruknął Bruno, robiąc notatki. Zastanawiał się chwilę, patrząc na to, co zapisał. Kalina. Martwiło go, że ma w tej sprawie jakąś rolę, która wypłynęła ni stąd, ni zowąd. Martwiło go też, że zniknęła. Martwiło go również, że czuje ukłucie w żołądku, gdy o niej myśli. Zdecydował się jednak skupić na wykonaniu zadania i nie dać się ponieść emocjom. Olga. Teraz o nią tu chodzi.

Cezary wrócił do salonu. Miał zaczerwienione oczy.

– Czy państwa córka zostawiła jakiś list? – spytał niechętnie Bruno i skierował wzrok na matkę dziewczyny.

– Nie. Nie nam w każdym razie – odparła kobieta. – Nigdy nie widzieliśmy żadnego listu. Ale policja wykluczyła działania osób trzecich, więc to musiało być samobójstwo, prawda? A samobójcy zostawiają listy, nie mylę się?

– Nie wszyscy – powiedział Bruno.

– W takim razie jeśli jakiś napisała, to albo nie dotarł do nas jakimś okrutnym zrzędzeniem losu, albo po prostu nie my byliśmy

adresatami.

– Jeśli nie państwo, to...?

– Jej siostra, naturalnie – powiedział Cezary.

Bruno spojrział jeszcze raz na swoje notatki, głęboko się zastanawiając nad imieniem, które ostatnio pojawiała się w nich wyjątkowo często.

– Czy mieli państwo okazję spytać o to Kalinę? Widzieliście się? – spytał Bruno z nadzieją w głosie.

– Raz – powiedział chrypliwie Cezary i odchrząknął. – Na pogrzebie. Skinęła nam głową, trzymała się daleko, stała w tyle kościoła. Na pogrzebie była też grupka znajomych ze studiów Oli, ale Kalina była sama. Helena chciała po wszystkim z nią porozmawiać, nawet spytać o ten list, ale dziewczyna, gdy zobaczyła, że żona do niej zmierza, uciekła. Więcej jej nie widzieliśmy.

Bruno westchnął ciężko. Kobieta wyczuła jego nastrój.

– Czy coś pana trapi w związku z tą dziewczyną? – spytała, patrząc na niego wyraźnie zaniepokojona.

Bruno uśmiechnął się do niej serdecznie, zdając sobie nagle sprawę ze swojego mizernego, umęczonego wyglądu.

– Nie wiem, gdzie jest – przyznał w końcu, rozkładając ręce. – Miałem z nią kontakt, ale zaginęła.

Sam nie wie, dlaczego to powiedział, ale zatroskanie na twarzy Heleny uświadomiło mu, że potrzebował ciepła, kogoś, kto go zrozumie, a przy tej kobiecie i nawet przy jej mężu odczuwało się spokój.

– A kontaktował się pan z jej rodziną? Mam na myśli tę z Dolistowa. – Cezary od razu przystąpił do pomocy.

– Tak. Najwyraźniej tam była, a ja się z nią minąłem.

– To wie pan, że nic jej nie jest – powiedział Cezary. – My o Oli nie wiedzieliśmy nic, dopóki jej nie znaleźli.

Zapadła niezręczna cisza. Wszyscy patrzyli gdzieś w przestrzeń, omijając się nawzajem wzrokiem. Bruno w końcu pokiwał głową i powoli podniósł się z miejsca.

– Dziękuję za rozmowę – powiedział. – Wiem, że wiele państwa kosztowała.

Nikt mu nie odpowiedział, a że małżeństwo wciąż siedziało na swoich miejscach, po chwili zawahania sam skierował się do drzwi. Mijając ich, zauważył, że Cezary mocno zaciska swoją dłoń na dłoni Heleny i trwają tak razem w drżącym uścisku.

Bruno czuł się niezręcznie, że zostawili go samego, więc założył buty i już miał wyjść, kiedy dołączył do niego Cezary Bińczyk.

– Panie Kosowski, po co to wszystko? Co to ma wspólnego z jakimś profesorem? – zapytał cicho, tak żeby nie słyszała go ponownie pogrążona w żałobie żona. Bruno był pewien, że dopiero zaczęli leczyć się z ciszy, a jego wizyta tylko zaprzepaściła ich starania.

Pokornie odpowiedział:

– Sam chciałbym wiedzieć, proszę pana.

Skinął głową i zamknął za sobą drzwi. Ostatnie, co zobaczył, to wzrok przepętniony żalem i bezsilnością. Żalem mężczyzny, który stracił dziecko, i bezsilnością ojca, który nie dostał szansy, by zamienić się z córką na miejsca.

Następnego dnia Bruno uznał, że czas najwyższy popracować w swoim biurze. Dawno go tam nie było, a każdy kolejny mail od Generała był bardziej naglący i żądny odpowiedzi. Piotr miał niedługo wrócić, stan jego ojca już się poprawił, ale dłuższe odwołanie spotkania z przełożonym mogło być przykre w skutkach dla wszystkich. Dlatego dziś Bruno postanowił, że zmierzy się z Generałem sam. Weźmie ze sobą tylko Olafa. Szef bał się psów, chociaż jego pozwolenie na przyprowadzanie do pracy czworonogów miało świadczyć o tym, że jest odwrotnie. Z dotychczasowych obserwacji wynikało jednak, że Bruno będzie miał święty spokój, jeśli potowarzyszy mu pies.

Detektyw próbował przemknąć jak najszybciej do swojego biura. W jednej ręce trzymał napiętą smycz z ciągnącym z całych sił Olafem, który próbował wyrwać się do wołającej go sekretarki. Bruno skrzywił się i machnął kobiecie ręką. Nie lubiła go i był pewien, że robi to w tej chwili specjalnie. Na tamtej randce, po której więcej już nie zadzwonił, wyznała mu, że jest typową kocią mamą, a psy są jej obojętne. Olaf ciągnął tak mocno, że Bruno prawie upuścił wszystko, co niósł w drugiej ręce, a trochę tego było – wszystko, co zgromadził do tej pory w sprawie Wilekiego. Od szklanych drzwi z tabliczką „Kosowski” dzieliło go już tylko kilka kroków, kiedy zobaczył, jak w oddali między biurkami przeciska się Generał. Szedł prosto na niego. Bruno zwolnił nieznacznie, mierząc się z myślą, że będzie musiał porozmawiać z szefem. Ale wtedy Olaf także dostrzegł brzuszysko mężczyzny i zaczął się wyrwać w jego kierunku – facet bowiem często pachniał kiełbasą, którą zwykle jadał na śniadanie. Tamten, gdy tylko spostrzegł merdający ogon, machnął ręką i skręcił w ostatnim możliwym momencie, pozwalającym mu na wyjście

z tego spotkania z twarzą. Bruno mógł już zatrzasnąć się w biurze i opuścić żaluzje, co z radością uczynił.

Jego pokój był wyjątkowo zabałaganiony. Najwyraźniej nawet ekipa sprzątająca nie czuła motywacji, by wykonać w nim swoją pracę. Bruno nie dziwił im się i z niechęcią przystąpił do uprzątnięcia biurka. Olaf natychmiast zajął fotel stojący w rogu pokoju, zrobił na nim kilka obrotów, a kiedy znalazł wygodną pozycję, zamknął oczy. Mężczyzna sięgnął do sterty papierów, których przeznaczenia nawet nie pamiętał. Wieża okazała się niezbyt stabilna i po chwili cała runęła na podłogę, wzbijając w powietrze kłęby kurzu. Bruno kichnął kilka razy i sięgnął po zdjęcie, które wypadło spomiędzy kartek i akt. Z fotografii uśmiechała się do niego Rozalia, ale jej uśmiech nabrał trochę nierealnego, skrzywionego wyrazu niczym u Jokera. Wszystko przez zgięcie biegnące przez środek jej twarzy. Odłożył zdjęcie na biurko, które po zrzuceniu śmieciowej zasłony stanowiło teraz najczystszy element w pokoju.

– Nie mam czasu na to gówno – mruknął i upewniwszy się, że żaluzje są zasłonięte, zgarnął papiery nogą w kąt. Z zadowoleniem uśmiechnął się i skierował do dużej białej szafy z IKEA, zza której wystawała drewniana brązowa rama. Szarpnął za nią, ponownie wzniesając w powietrze chmurę kurzu, i wyciągnął pozostałość po swoim poprzedniku – przedmiot z zamierzchłych czasów, który już dawno został zastąpiony przez komputery – tablicę korkową. Zwykle śmieszyło go używanie takiej w serialach i filmach, ale dziś stwierdził, że dorósł do tego, by dać jej szansę. Na ścianie naprzeciwko wciąż wystawały wbite dawno temu gwoździe. Zawiesił ramę i przystąpił do działań. Podłączył laptopa do drukarki i wydrukował wszystkie artykuły dotyczące śmierci Olgi Bińczyk/Dmitrijew. W osobnej karcie stworzył wyszukiwarkę i wklepał jej nazwisko oraz hasło „pożar”. Na ten temat znalazł tylko jakąś wzmiankę z lokalnej gazety, ale sam artykuł nie zawierał niczego nowego. Tekst stanowił jednak dobre podsumowanie tego, co Bruno już wiedział, więc również go wydrukował. Następnie przesłał sobie mailem zdjęcie z MMS-a od Elżbiety Wilskiej – to przedstawiające Kalinę Dmitrijew. Zamyślił się na chwilę i wysłał dziewczynie jeszcze jednego SMS-a z prośbą o kontakt, po czym wrócił do pracy. W Wordzie wypisał wszystkie imiona i nazwiska osób potencjalnie

istotnych dla sprawy – całą rodzinę Wilskich, siostry Dmitrijew, współnika Wilskiego, jego klienta, a także jego byłą ukochaną – siostrę Elżbiety Wilskiej. Zdjęcia prawie wszystkich osób znalazł na serwisach społecznościowych i stronach branżowych. Brakowało mu tylko fotografii Janiny Wilskiej. Przyczepił do tablicy wszystkie nazwiska, po czym z szuflady wyszperał trochę sznurka. Następnie, tak jak podpatrzył na filmach, pozaznaczał nim powiązania pomiędzy poszczególnymi osobami, a do kilku z nich podpiął motyw.

*Elżbieta Wilska – niekochana, zdradzana, opuszczona*

*Filip Wilski – nieporozumienia z ojcem (studia)*

*Karolina Wilska – ?*

*Leszek Trocki – gorszy współnik, zakochany w żonie Wilskiego*

*Waldemar Śmigala – niedotrzymanie warunków umowy, wspólna ukochana, zemsta na Elżbiecie*

Sięgnął po obraz Karoliny i ustawił go pod ścianą, zrobił mu zdjęcie i wydrukował w mniejszej skali. Skserował zawartość akt Tadeusza Wilskiego, a także list od nieznanym, który teraz dołączył do teczek. Przeszawił biurko i fotel, tak żeby stały na wprost tablicy korkowej. Zgrzytnął przy tym głośno meblem, czym obudził Olafa, ale tylko na chwilę. Mężczyzna usiadł za biurkiem i patrzył. Patrzył na wszystkie twarze osób, które poznał w ostatnim czasie, i jedną, która wyróciła mu życie do góry nogami. Niewykluczone, że to samo zrobiła z jego karierą, a z niego uczyniła skończonego idiotę. No cóż, chyba nie ona pierwsza.

Przyglądał się długo i wnikliwie, analizując wszystkie szczegóły. Jeden element mu nie pasował, bo nie miał związku z całą sprawą – Olga. Gdyby nie niepokojące wrażenie, że Bruno znał drzewo, na którym powiesiła się dziewczyna, odrzuciłby ją jako element mylący. A on potrzebował tę historię odczyścić. Znaleźć jej istotę pod warstwą części zbędnych, wydobyć ją – tak jak rzeźbiarze wydobywają idealne dzieła z kamienia. Bruno podszedł do tablicy i z lekkim wahaniem zdjął zdjęcie i imię Olgi, odpinając przy tym czerwony sznurek łączący ją z Kaliną. To ona, nie jej siostra, stanowiła największą niewiadomą. Wprawdzie budynek na obrazie córki Wilskiego był domem rodzinnym obu dziewczyn, ale to Kalina



znajdowała się w pobliżu architekta w noc jego śmierci i to ona była dziewczyną Filipa, nie było mowy o pomyłce. Zdjęcie od Wilskiej było rozmazane, ale mimo to raczej nie ukryłaby się na nim tak rozległa blizna.

Bruno spojrzął na ekran telefonu, ale nadal nie otrzymał jakiegokolwiek informacji od dziewczyny. Wtedy przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę.

Sięgnął po list od nieznanego przyniesiony do jego skrzynki i przeczytał go raz jeszcze, tym razem pamiętając o wszystkich swoich domysłach.

– Cholera... – szepnął.

Jeśli Kalina była dziewczyną Filipa, a pomysł, że jego ojciec zgwałcił jego dziewczynę, był trafiony... Nic dziwnego, że Kalina zniknęła. A co, jeśli to ona... miała motyw? I Filip również miał – cholernie dobry motyw. Ale teraz nie byli przecież parą... Chyba że...

Rozległo się pukanie do drzwi. Uchyliły się i Bruno zobaczył w szczelinie twarz jednego z techników.

– Włącz sobie TVN24, stary – powiedział mężczyzna, a kiedy dostrzegł zaniepokojone i zdziwione spojrzenie Bruna, wycofał się i zniknął za zamkniętymi drzwiami.

Bruno wyszukał w przeglądarce odpowiednią stronę. Poirytowany czekał, aż film się otworzy. Te kilka sekund z białym obracającym się kółkiem na ekranie wyjątkowo mu się dłużyło. W końcu film się załadował. Relacja była na żywo.

Na ekranie widniała idealna twarz Rozalii, która ze srogą miną informowała widzów o postępach w śledztwie dotyczącym zabójstwa Tadeusza Wilskiego. Czyli już nie samobójstwo, naród będzie szukał sprawcy.

Bruno spojrzął na pasek informacyjny na dole ekranu i zamarł. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. „Podejrzana studentka”. Mężczyzna przeniósł wzrok na twarz dziennikarki, ale nagle zastąpiła ją inna kobieta. Z pokazywanego zdjęcia uśmiechała się do niego nieśmiało Kalina. Delikatnie rozmazali jej twarz, żeby nie mieć na głowie jej adwokata, ale niewątpliwie każdy, kto dziewczynę poznał, bez problemu mógł ją również rozpoznać.

Na ekranie ponownie pojawiła się Rozalia.

– Niepokojący wydaje się fakt, że kobieta ma powiązania z rodziną zamordowanego i w dniu jego śmierci pracowała w jego domu jako hostessa, gdzie obsługiwała gościom zebranych na bankiecie. Jest z nami świadek, gość państwa Wilskich.

Rozalia odwróciła się do mężczyzny, którego dopiero teraz pokazała kamera. Bruno kompletnie go nie kojarzył. Przepisał nazwisko widniejące na ekranie i chwycił akta. Miał wypisane dane wszystkich świadków i pracowników. Tego człowieka na liście nie było.

Krótką rozmową z mężczyzną dobiegała końca. Facet wspomniał, że dziewczyna zapadła mu w pamięć ze względu na swoją orientalną urodę, i przyznał, że budziła jego niepokój. Od początku imprezy zachowywała się podejrzanie, momentami wyzywająco. Kokietowała też co zamożniejszych gości.

Rozalia pożegnała się z mężczyzną i widzami, a na monitorze pojawił się redaktor prowadzący wydanie wiadomości. Bruno wziął telefon i wybrał numer Rozalii. Dzwonił kilka razy, ale nie odbierała. Jeszcze raz podjął próbę skontaktowania się także z Kaliną. Gdy dzwonił, usłyszał, że dostał SMS-a. Kliknął czerwoną słuchawkę i spojrzał na nadawcę. Rozalia.

„Tak się robi newsy, skarbie” – napisała.

Bruno zaklął pod nosem i już miał jej odpisać, gdy do pokoju wtargnął Generał. Był spocony i czerwony na twarzy. Spojrzał z niepokojem na psa, ale widząc, że Olaf nadal leży, wszedł do biura Kosowskiego i powstrzymując swój temperament – cichutko zamknął drzwi.

– Co tu się odpięrdala? – wykrzyczał szeptem. – Gdzie jest Piotr?

– Przecież ma urlop – powiedział Bruno.

– Urlop? Lepiej niech, kurwa, wraca z tego urlopu. Co to za newsy? Ja nic nie wiem, nie dostaję sprawozdań. Pamiętasz, że nie ty tu jesteś szefem, Kosowski?

Bruno nie odpowiedział, ale mocno zaciśnięte szczęki i pulsująca na czole żyła kazały się uspokoić jego szefowi na tyle, by znów podjąć rozmowę – kulturalniej.

– Skąd ta parszywa baba ma te wieści? – spytał.

– Nie wiem. Sprawdziłem, tego człowieka nie mamy na liście, nie był przesłuchiwany. To ktoś podstawiony przez dziennikarkę.

– A ta studentka?

Bruno poczuł, jak na biurku wibruje jego telefon. Rzucił się do niego, żeby szef nie zobaczył, kto dzwoni.

– Zaufaj mi – powiedział. – Muszę odebrać, to ważne.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Olaf przeciągnął się na fotelu i głośno ziewnął, a Generał rzucił mu lękliwe spojrzenie. Przeniósł wzrok z powrotem na Bruna i kiwnął głową.

– Chcę raportu – mruknął i wyszedł, tym razem trzaskając drzwiami.

Bruno wypuścił powietrze i dał sobie dwie sekundy na uspokojenie. Odebrał telefon. W słuchawce rozległ się słodki kobiecy głos.

– Dzień dobry, dzwonię w imieniu firmy Janpol... – zaczęła kobieta jednym ciągiem, nie pozwalając mężczyźnie nawet na wtrącenie „Dzień dobry”. – Chciałabym zaprosić pana na prezentację garnków...

Bruno roześmiał się do telefonu i rozłączył, nie pozwalając kobiecie skończyć. Przez chwilę tylko odczuwał wyrzuty sumienia, bo w końcu pomogła mu się wymigać od odpowiadania na pytania Generała. Bruno podszedł do tablicy i spojrzął na wydruk obok zdjęcia Kaliny.

„Bye, bye, blackbird”.

Usiadł do komputera i wstukał tę frazę. Na ekranie pojawiło się kilka filmów z Youtube’a i strony z tłumaczeniem tekstów piosenek. Bruno odpalił pierwsze wideo, chociaż jak zauważył – wcale nie miał najwięcej wyświetleń. Utwór wykonywała Peggy Lee.

Z głośnika rozległ się kojący kobiecy głos. Piosenka była z rodzaju tych cichych i przenosiła słuchacza wiele lat wstecz. Bruno włączył w drugiej karcie tekst piosenki i go wydrukował. Dźwięki drukarki okropnie zagłuszały delikatną melodię.

Wyszukał też interpretacje tekstu. Okazało się, że wiele osób odczytuje go inaczej. Popularna wydawała się opinia, że pieśń opowiada historię z punktu widzenia prostytutki, która rzuca ciemne ulice i równie ciemne życie, by wrócić do matki. W interpretacjach zawsze był jednak wspólny mianownik – ta piosenka była po prostu o pójściu naprzód.

Bruno wstał i ściągnął z tablicy kilka wydruków, a potem złapał za smycz, którą przypiął do szelek Olafa.

– Ruszamy na przejażdżkę, futrzaku – powiedział do psa. Ten posłusznie zeskoczył z fotela i mocno się przeciągnął. Bruno już miał wyjść, kiedy na biurku zauważył zdjęcie Rozalii. Wziął je, spojrzął na nie ostatni raz, zgniótł i wykonał rzut do kosza. Taki za trzy punkty.

Bruno jechał samotnie do nowoczesnej willi Wilskich. Psa zostawił w domu. Olaf stanowił dobry pretekst, by jeszcze tam zajechać i rozejrzeć się po mieszkaniu. Mężczyzna odwiedził każdy pokój, sprawdził też wieżyczkę, ale po Kalinie nie było śladu. Jej zniknięcie zauważył też kos, który smutno śpiewał w klatce pieśni o tęsknocie.

Detektyw opuścił mieszkanie, czując wielką ochotę na wizytę w monopolowym, ale wiedział, że Kalina byłaby nim zawiedziona. Przełknął głośno ślinę i ruszył w trasę.

Szelest kół na betonowym podjeździe oznajmił jego przybycie pani Janinie, która wyszła mu na spotkanie. Wyglądała zdrowiej niż wtedy, gdy widział ją ostatnio, ale zza jej promiennego uśmiechu nadal prześwitywała żaloba. Bruno odwzajemnił jej uśmiech, tak jak umiał, mimo że sam odczuwał związane z tym trudności.

– Dzisiaj bez partnerki? – spytała kobieta ku zaskoczeniu Bruna, biorąc go pod rękę.

– Partnerki...?

– No, tej panienki, co z panem pracuje. To nie jest pana partnerka? Nie tak się mówi w policji?

– Ach, tak. No cóż, dziś bez niej.

– Mamy taką piękną pogodę, zechciałby mi pan potowarzyszyć? – spytała starsza pani i nie czekając na odpowiedź, skierowała się do ogrodu, pociągając mężczyznę ze sobą.

Kobieta długo nic nie mówiła i puściła ramię mężczyzny dopiero przy altance, którą wcześniej Bruno widział tylko z daleka. Podeszła do drewnianej ławeczki, która wyglądała na bardzo starą. Siadając, ledwo zauważalnie pogłaskała ją z czułością.

– Syn sprowadził ją dla mnie – powiedziała kobieta, by wyjaśnić swój gest. – Z wioski, o której panu opowiadałam. Bardzo ją lubię.

– Wioskę czy ławkę? – spytał uprzejmie Bruno.

– Ławkę. Wioskę lubiłam kiedyś – odparła.

Zapadła cisza, którą trudno było przerwać. Detektyw nie przyjechał tu, by porozmawiać ze starszą panią, i nie bardzo wiedział, czego ona od niego chce. Kobieta rozejrzała się wokół, a upewniwszy się, że nie ma nikogo z domowników, poklepała zachęcająco miejsce obok siebie. Bruno usiadł posłusznie, zachowując mimo wszystko pewien dystans.

– Ja znam pana koleżankę – powiedziała nagle pani Janina, a mężczyzna poczuł ukłucie w żołądku. Zwrócił w jej kierunku twarz. Nie musiał pytać.

– Nie pamiętam jej imienia, ale pamiętam jej twarz. Widziałam ją kiedyś. Już dawno.

– Gdzie pani ją widziała? – spytał Bruno.

– Tam, gdzie postawił pan samochód. Dokładnie w tamtym miejscu. Siedziała na fotelu pasażera. Płakała.

– Płakała?

– Tak.

– Rozmawiała z nią pani? – spytał Bruno.

– Nie rozmawiałam. Widziałam ją z okna. Sprzątałam w gabinecie Tadzia, a stamtąd jest dobry widok na samochody – wyjaśniła.

– Sprzątała pani? Przecież macie pomoc domową – odparł Bruno. Kobieta zaczerwieniła się i spuściła głowę.

– Nie lubiłam, jak sprzątały tam obce kobiety – powiedziała ciszej.

Bruno pokiwał głową, udając pełne zrozumienie, chociaż całkowicie tego nie pojmował. Nie umiał wyobrazić sobie takiego podejścia u własnej mamy.

– Pani Janino, w którym samochodzie siedziała ta dziewczyna? – spytał detektyw, bojąc się używać imienia Kaliny.

– Tadzka – odparła, a Bruno poczuł nagły wzrost ciśnienia.

– Pani syna? – spytał ostro.

– Tak, ale tego wieczoru samochód pożyczył Filip. On nigdy nie pożycza samochodu od mamy. Uważa, że ten „kuper” jest tylko dla kobiet – odparła Janina Wilska, nieświadoma zdenerwowania swojego rozmówcy.

Bruno odetchnął. Wyjął z kieszeni złożoną kartkę i pokazał ją kobiecie.

– To ją pani widziała? Jest pani pewna? – spytał.

Starsza pani wzięła kartkę i przyglądała się jej chwilę z namysłem. Głęboko analizowała zdjęcie, by w końcu przyznać, że to była ta sama dziewczyna. Bruno z niedowierzaniem pokręcił głową i założył ręce na piersi.

– Czemu nic pani nie powiedziała? – spytał. – Widziała ją pani, a jednak postanowiła milczeć. Dlaczego?

– Ja... – odparła kobieta. – Ja naprawdę nie wiem, panie detektywie... Ale czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Bruno nic nie odpowiedział, ale w myślach przeklinał.

– Gdzie znajdę Filipa? – zapytał. To chłopak był powodem jego wizyty.

Kobieta westchnęła i uśmiechnęła się do detektywa.

– Filip jest pewnie tam, gdzie zwykle – powiedziała z wyczuwalną w głosie dumą. – W oranżerii.



Bruno zmierzał do przeszklonej bryły na tyłach domu, która zainteresowała go już przy pierwszej wizycie. Nie miał wtedy okazji dobrze się jej przyjrzeć, wszędzie panował mrok, a jedynym światełkiem była śliczna dziewczyna o azjatyckich korzeniach. Zapamiętał tylko tyle. Teraz mógł tę spektakularną konstrukcję podziwiać w całej okazałości. Za dnia ciemna, przysadzista struktura nabierała lekkości, lśniąc odbitym słonecznym światłem. Bruno musiał zmrużyć oczy, ale udało mu się zauważyć, że oranżeria jest przepełniona zielenią. Była wysoka na dwie kondygnacje i zawierała drogie odmiany roślin, które zarastały przestrzeń w pozornie niekontrolowany sposób. Drzwi do oranżerii były otwarte, ale zaraz za nimi wisiała siatka. Betonowe płyty były jedynym łącznikiem oranżerii z willą – w sensie dosłownym i w przenośni.

Po kilku krokach drogę zagroziły mu duże, ciężkie liście. Bruno odsunął je pewnym ruchem, ale trzask łamanej łodygi szybko pozbawił go tej pewności. Obrócił się, by zobaczyć wyrządzone

przez siebie szkody, kiedy usłyszał ciche chrząknięcie. Puścił łodygi i odwrócił się do źródła dźwięku w chwili, gdy między liśćmi mignęło mu coś kolorowego. Chciał jeszcze raz zerknąć w kierunku zielonej czeluści, ale kolorowy obiekt pochłonęła już oranżeryjna dżungla.

Rośliny na ścieżce odchylił teraz ktoś inny. Dłoń Filipa znajdowała się na tyle blisko twarzy Bruna, że mógł z łatwością dostrzec, że chłopak obgryza paznokcie. Wcześniej tego nie widział. Rany na palcach świadczyły o tym, że musi to robić cały czas. Po chwili Bruno potrząsnął tą pokaleczoną dłonią w geście powitania. Chłopak wykonał gest sugerujący, że mężczyzna ma pójść za nim.

Zatrzymali się na samym środku oranżerii, gdzie znajdował się mały placyk, a na nim zniszczone stare biurko, niepasujące stylem do tutejszego wystroju. Bruno szybko domyślił się, że chociaż stare – najprawdopodobniej stoi tu od niedawna.

Chłopak bez słowa zajął miejsce na ławeczce, w niewielkiej odległości od biurka, ale Bruno, zamiast podążyć za nim, podszedł do wiekowego mebla. Na porysowanym blacie, z którego płatami schodził zielony lakier, leżała równie stara przeszklona gablotka z bardzo oryginalną zawartością. Bruno przyjrzał się jej uważnie, niepewny, co ma przed oczami.

– To kokony – wyjaśnił Filip, obserwując z pozorną obojętnością detektywa. – Puste albo takie, z których nic się nie wykluło.

Bruno rozejrzał się wokół. Teraz rozumiał, czym był kolorowy obiekt w liściach. Wszędzie wokół niego siedziały motyle. Duże, małe, takie mieniące się kolorami tęczy i te brązowe czy zielone, maskujące się w roślinności jak kameleony.

– Są twoje? – spytał Bruno z niedowierzaniem, a chłopak zaróżowił się na twarzy. Kiwnął głową krótko, jakby wstydził się swojej pasji.

– Domyślałem się, że mnie pan odwiedzi – powiedział Filip.

– Tak? – spytał Bruno i przysiadł na biurku, wydobywając z niego niepokojące skrzypnięcie.

– Mama mi powiedziała o swoim znalezisku – odparł chłopak przez ściśnięte gardło, odwracając wzrok.

– No tak, faktycznie – powiedział z przekąsem Bruno, przypominając sobie, jak prosił kobietę, by tego nie robiła. –



Rzeczywiście przychodzę w tej sprawie. Chciałem, żebyś mi to wyjaśnił.

– Tu nie ma co wyjaśniać. Była moją dziewczyną. To nie było nic poważnego – powiedział, nadal patrząc w bok.

– Wybacz, chłopie, ale wydaje mi się, że kłamiesz.

– Nie musi mi pan wierzyć.

– Czyli ty i Kalina to już przeszłość? – spytał Bruno, krzyżując ręce na piersi.

Chłopak spojrzał na niego, nagle tracąc zainteresowanie siedzącym w pobliżu motylem.

– Tak – powiedział.

– Dobra. Ale trzymałeś jej zdjęcia pod łóżkiem. Nie trzyma się zdjęć byleż pod łóżkiem, zwłaszcza jeśli nic nie znaczyła. Przynieś mi je.

– Nie mam ich.

– Jak to nie masz? Przynieś, nie chrzań. Poczekam.

Chłopak zacisnął usta.

– Wyrzuciłem je. Mama znalazła je pod łóżkiem nie dlatego, że lubiłem sobie na nie popatrzeć przed snem, tylko dlatego, że na nic mi one były. Poszły do śmieci. Może pan sobie nawet przyjść z nakazem, ale to raczej nie tu, tylko na najbliższe wysypisko. Miłego szukania.

Bruno zaklął pod nosem zirytowany. Była jeszcze druga sprawa. Trudniejsza.

– Filip, jakim człowiekiem był tak naprawdę twój ojciec? – spytał.

Chłopak milczał chwilę, zanim odpowiedział.

– Co ma pan na myśli? Chyba już o tym rozmawialiśmy? – odparł.

– Tym razem oczekuję szczerości. Po wydziale krążą różne plotki...

Tym razem Filip poczerwieniał na dobre.

– Plotki. Sam pan powiedział. Plotki. Nie głupio panu je powtarzać? – spytał z agresją w głosie.

– Dlatego nie powtarzam, ale po twoich zaciśniętych pięściach wnioskuję, że jakieś ziarno prawdy w nich jest. Ktoś ci doniósł o zachowaniu twojego ojca? O jakimś konkretnym zdarzeniu?

Chłopak nie odpowiadał, czerwony już nie tylko na twarzy, ale i na szyi. Bruno właśnie stracił możliwość porozumienia z Filipem.

Widział to. Ale reakcja chłopaka też była jakąś informacją.

– Chciałem jeszcze porozmawiać z Karoliną. Zawołasz ją? – powiedział detektyw.

– Nie ma jej. Ostatnio ciągle jej nie ma – odparł Filip wyraźnie niezadowolony, ale też z nutą ulgi wywołanej zmianą tematu. – Odprowadzę pana.

Ktoś tu próbuje być mężczyzną, pomyślał Bruno i pozwolił się poprowadzić do wyjścia. Nic tu już więcej nie działo. Szedł za chłopakiem, który chyba z premedytacją nie przytrzymał wielkich liści. Te po jego przejściu wracały na swoje miejsce, uderzając Bruna rykoszetem prosto w twarz. Detektyw burknął coś pod nosem, tak że chłopak nie mógł go usłyszeć. Za to sam detektyw usłyszał coś innego. Kilka kroków przed nim coś z brzękiem upadło na betonowy chodnik i zaświeciło srebrzyście między liśćmi. Chłopak najwyraźniej tego nie zauważył, więc Bruno przyspieszył i schylił się po świecidełko. Był to pęk kluczy o różnych rozmiarach. Wśród nich znajdował się jeden wyjątkowo imponujący, jak od starych sekretarzyków, tyle że ten lśnił nowością. Mimo swoich rozmiarów i oryginalnej formy to nie on jednak przyciągał najwięcej uwagi – tylko przytwierdzony do kółeczka breloczek. Bruno wpatrywał się w niego przez chwilę, trzymając klucze na rozłożonej dłoni. Kroki Filipa już ucichły. Chłopak nawet nie zauważył, że detektyw został w tyle. Bruno podniósł małe świecidełko do oczu, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Światło odbijało się od szlifowanego kamienia, kolorując niebieskim blaskiem skrzydła siedzących na liściach bielinków.

– Idzie pan? – Bruno usłyszał głos dobiegający od strony wejścia do oranżerii. Pospieszył, by dołączyć do chłopaka, i kiedy tylko się z nim zrównał, wyciągnął do niego rękę z kluczami.

– Ka... Jedna z uczestniczek bankietu zgubiła u was klucze. Obiecałem jej, że jak je znajdę, to ją poinformuję. Miały mieć doczepiony brelok z szafirem. To chyba te – powiedział.

Filip spojrział na klucze i zmarszczył brwi.

– Musiały mi wypaść z kieszeni – odparł. – To klucze Karoliny.

– Nie, nie. Kto nosi szafir przytwierdzony do kluczy? Nie sądzę, żeby to była częsta praktyka.

Chłopak z pełnym poirytowania westchnieniem przejął klucze.

– To niech pan patrzy – powiedział i wybrał z pęku nowy klucz z wijącym się ornamentem. Wskazał drzwi i wyszli z cieplarni. Następnie chłopak stanął do detektywa plecami i wsunął klucz do zamka od oranżerii. Głuche kliknięcie sugerowało, że klucz faktycznie pasował. Filip pokazowo pociągnął za klamkę, demonstrując, że drzwi są zamknięte.

– To klucze Karoliny – powiedział stanowczo, patrząc w oczy detektywowi. – Poza tym... – dodał od niechcienia – to żaden szafir. To tylko kawałek szkła.

Rozalia stała przed olbrzymim lustrem w łazience i przyglądała się z uwagą swojej twarzy. Przyćmione światło sączące się ze szczeliny między lustrem a płytkami nie dało rady ukryć pęknięcia dolnej wargi, która, mimo że już nie krwawiła, pozostawała nadal spuchnięta. Rozalia wołała, żeby pojawił się strup. To łatwiejsze do ukrycia. Gdyby chociaż usta spuchły jej równomiernie, prasa mogłaby poszaleć z nagłówkami o nieudanym zabiegu, a tak... będzie musiała zostać w domu, aż to cholerstwo zejdzie. Wzięła do ręki korektor, podkład, puder i zabrała się do pracy, licząc na to, że chociaż trochę ukryje ranę przed gosposią. Kobieta wydawała się zaniepokojona pojawiającymi się u niej coraz częściej zadrapaniami i siniakami i w końcu mogłaby powiadomić służby. A to z kolei poskutkowałoby głośną aferą i pewnie równie głośnym rozwodem.

Rozalia przytknęła do ust pędzelek z kosmetykiem, kilka razy dotknęła spuchniętego miejsca i przypudrowała. Trochę szczypało, ale powtórzyła czynność kilka razy. Nie była specjalistką od makijażu, zwykle korzystała z pomocy wizażystki, ale efekt był prawie zadowalający. Tylko ten miękko rozkładający się cień, uwydatniający wyraźne zgrubienie, psuł cały efekt. Wzięła zatem szminkę o najciemniejszym odcieniu, jaki miała, i starannie pomalowała usta. Nie zrobiła dzióbka i nie uśmiechnęła się do lustra.

Wyszła z łazienki, postukując obcasami o marmurową posadzkę. Zatrzymała się i zrzuciła beżowe szpilki. Czasem nosiła je po domu, gdy przebywał w nim jej mąż. Tak czuła się elegantsza. Teraz jednak go nie było, a ona nie chciała być elegancka. Przez chwilę.

Poszła na dół do kuchni, by nalać sobie wina. Pamiętała przy tym, by wybrać odpowiednią butelkę i nie pomylić się jak ostatnio, gdy wzięła trunek najlepszej klasy, który jej mąż otrzymał w prezencie od jakiegoś biznesmena. Rozalia nie wspominała dobrze tego wieczoru.

Mijając kanapę, zauważyła jakiś ruch w rogu salonu. Wpadało tu tylko światło z klatki schodowej i nie sięgało aż do tego miejsca. Rozalia zamarła. Stała i wpatrywała się w słabo oświetlone miejsce. Stał tam olbrzymi welurowy fotel, a przy nim nowoczesna lampa na złotej nodze. I właśnie tę lampę ktoś nagle włączył.

Na fotelu siedział Bruno. W dłoni trzymał szklaneczkę whisky, którą zwykle popijał jej mąż. Butelkę i ciężkie kryształowe szklanki zostawiał zawsze na złotym wózku pod ścianą. Bruno musiał się sam poczęstować. Rozalia patrzyła na niego z mieszaniną ulgi i niepokoju. Ulga wywołana była tym, że nie czaił się na nią jakiś zbir. Niepokój wynikał z niecodziennego wyglądu Bruna. Kosowski siedział zgarbiony i kręcąc szklanką, wpatrywał się w wirujący płyn. U jego stóp stała kryształowa butelka. Mężczyzna miał poluzowany krawat i rozczochrane włosy. Rozalia ledwo dostrzegała podkrążone oczy, które przesłaniały grube oprawki jego okularów. Sznurek od lampy wciąż się poruszał. Na dworze przeraźliwie zawodził wiatr.

– Twoja pomoc domowa mnie wpuściła – powiedział ochryłym głosem detektyw, uprzedzając jej pytanie.

– Nie powinna była – odparła oschle Rozalia, po czym przeszła przez salon, minęła Bruna i stanęła za barem w otwartej kuchni. Siedział do niej teraz profilem.

Kobieta sięgnęła pod blat i wyciągnęła stamtąd czarną butelkę oraz zdjęta zawieszony nad głową kieliszek.

– Zaproponowałabym ci coś do picia, ale widzę, że sam się poczęstowałaś – powiedziała. Bruno w odpowiedzi prychnął do szklanki.

– Dowcipna – mruknął.

Rozalia wskoczyła na bar i założyła nogę na nogę. Przeczesła dłonią krótkie włosy. Upiła łyk czerwonego płynu, a odstawwszy kieliszek, zabrała głos:

– Po co przyszedłeś?

– Spytać – odparł, patrząc wciąż w szklankę.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała z przekąsem Rozalia. Dopiero teraz mężczyzna podniósł wzrok na kobietę. Z jego oczu bił chłód albo rezygnacja. Rozalia nie była pewna i nie umiała zdecydować, którą wersję by wolała.

– Czemu to zrobiłaś? – spytał grobowym tonem.

Rozalia obserwowała go chwilę, zanim postanowiła odpowiedzieć. Musiała dozować słowa, żeby nie narazić się na agresję mężczyzny. Delikatnie przygryzła zranioną wargę. Tak, ostatnio uczyła się tej sztuki lawirowania wyjątkowo szybko.

– By cię zranić – powiedziała, wybierając atak na niego zamiast na tę dziewczę. Rozalia była na straconej pozycji, umiała to ocenić. Już wiedziała, co robić. Mocniej oblizła zranioną wargę. Bruno podniósł się z fotela, a ona zadrżała delikatnie i poczuła chłód na karku.

– Co takiego...? – spytał Bruno z niedowierzaniem w głosie, kiedy zatrzymał się tuż przed nią.

– Tak jak ty zraniłeś mnie.

Mężczyzna patrzył na nią z dzikim wyrazem twarzy. Znała ten wyraz. Zwykle nie była pewna, czy po nim nastąpi śmiech, czy uderzenie, ale wiedziała, że Bruno nie podniósłby na nią ręki. Nagle mężczyzna wypuścił z płuc powietrze i odsunął się o krok.

– Dlaczego ją wykorzystałaś? Wiesz, co zrobiłaś? Zdajesz sobie sprawę? – pytał, kręcąc głową. Nie odpowiedziała, ale nie patrzyła mu już wyzywająco w oczy. – Jej współlokatorka się jej boi! – wykrzyczał szeptem. – Przecież każdy, kto ją zna, poznał ją bez problemu w tym materiale. Zrobiłaś z niej morderczynię, Rozalia!

Przybliżył się nagle i ujął jej twarz w dłonie. W jego oczach było szaleństwo, ale gdy tylko przesunął wzrok z jej błękitnych oczu w dół, emocje zelżały. Patrzył teraz pytająco, a palce przesunął na jej spuchnięte usta.

– On ci to zrobił? – spytał.

Przymknęła oczy i ze wszystkich sił próbowała się uspokoić, nie wypuścić łez, które zgromadziły się pod jej powiekami.

– Odpowiedz – powiedział, ale ona nadal milczała. – Odpowiedz! – powtórzył głośniej, jakby wcześniej nie usłyszała. Tym razem wyrwała twarz z jego uścisku i odwróciła się, by nie mógł na nią patrzeć. – Zabiję drania – wyszeptał.

– Nie, nie – powiedziała szybko. – To był wypadek.

– Wypadek?

– Tak. Naprawdę. To nie była jego wina.

– Posłuchaj mnie, jeśli wyciągnął na ciebie łapska...

– Przestań! – przerwała mu. – Nic się nie wydarzyło. Odpuść.

Odsunął się ponownie i usiadł na fotelu, przyjrzał się jej bacznie, po czym ukrył twarz w dłoniach. Nie płakał. Nigdy nie widziała, żeby płakał.

– Muszę mieć pewność, Rozalia – powiedział po chwili. – Musisz potwierdzić, że to zmyśliłaś. Że świadek był podstawiony.

Kobieta zacisnęła zęby i nadąsała się, ale po chwili przyznała:

– Świadek był podstawiony.

Zeskoczyła zgrabnie z baru i podeszła do mężczyzny. Uklękła przed nim i położyła dłonie na jego kolanach. Wciąż nie widziała jego twarzy, nie wiedziała, jak zareagował na jej ciepły dotyk, którego kiedyś nie miał dość. Rozalia zebrała się na odwagę i przemówiła:

– Ale nie przyznam, że wszystko w materiale było zmyślane. Miałam w swojej karierze styczność z wieloma funkcjonariuszami, Bruno. Żaden nie był bystrzejszy od ciebie. Przecież wiesz, że coś jest z tą dziewczyną na rzeczy. Musisz wiedzieć. Sprawdziłam jej pochodzenie. Kalina wywodzi się z tej samej wioski, co tamta dziewczyna, o której materiały ci wysyłałam. I to w tej samej wsi znajduje się ten domek, który namalowała córka Wilskiego! I do tego ta twoja Dmitrijew była w pobliżu Wilskiego, kiedy on zginął. Bruno, przejrzyj na oczy! Nie ryzykuj swojej kariery dla jakiejś dziewczyny!

Jej ostatnie słowa podziały. Bruno opuścił dłonie i spojrzał na kobietę. Z zaskoczeniem odkryła, że jego wzrok jest lodowaty i pełen niechęci. Podniósł się z miejsca, strzepując dłonie Rozalii ze swoich kolan jak irytującą muchę.

– Już ryzykowałem karierę dla kobiety – wycedził, idąc do wyjścia. Rozalia truchtała za nim. – Ryzykowałem dla kobiety, którą kochałem. I tak... – powiedział, sięgając po marynarkę – masz rację... Nadal to robię.

Poprawił marynarkę i odwrócił się do Rozalii. Czują, jak po policzkach spływają jej gorące łzy. Nie pozwalała sobie na to do tej pory, ale wszystko działo się tak szybko, że nie była w stanie tego kontrolować. Przerażało ją to, że nie potrafi. Bruno spojrzał jej głęboko w oczy. Była taka głupia, gdy go zostawiła. Na co były jej te bogactwa? Zawsze patrzył na nią z miłością. Tak dawno tego nie doświadczyła. Teraz czuła, że znów pozna to uczucie. Patrzyła na mężczyznę z nadzieją.

– Nadal ryzykuję dla kobiety, którą kocham... – powiedział Bruno, kontynuując swoją wypowiedź. Patrzył na nią smutnymi oczami. Nie wytrzymała i wyrzuciła z siebie:

– Och, Bruno... Ja ciebie...

– Ale tą kobietą nie jesteś ty – przerwał jej i odwrócił się od niej. Pociągnął za klamkę i już go nie było.

Rozalia osunęła się na kolana. Płakała jak nigdy wcześniej, na zewnątrz wiał wiatr i padał deszcz.



Ten dzień zapowiadał się udanie. Co prawda był to ostatni dzień urlopu, ale pogoda sprzyjała rodzinnemu spacerowi, który pomoże zebrać siły przed powrotem do pracy. Mimo zapowiadanej kontynuacji wczorajszej ulewy zza chmur wychodziło słońce.

Do Warszawy rodzina Borowców wróciła już przed kilkoma dniami. Piotr leżał samotnie w łóżku, Asia krzątała się po kuchni, nucąc ulubioną piosenkę. W powietrzu unosił się zapach kawy i głosy ulubionych bajkowych bohaterów ich dzieci. Istna sielanka jak z reklamy. Mężczyzna przeciągnął się w łóżku, uśmiechając się do planów na dziś. Sięgnął po telefon, tak jak robił to każdego dnia, by spojrzeć na godzinę. Była jedenasta, więc wisiął żonie solidne podziękowanie, ale to nie to wywołało u niego zdziwienie na twarzy. Na wyświetlaczu widniały dwa nieodebrane połączenia i jedna wiadomość – wszystko od jednego nieznanego nadawcy. Piotr podrapał się po coraz większych zakolach i pomaszerował do kuchni. Cmoknął żonę w policzek, nalał sobie kawy i z powrotem powędrował do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Pociągnął solidny łyk napoju, odliczył do dziesięciu i zgodnie z prośbą w SMS-ie – oddzwonił.

Po trzech sygnałach usłyszał w słuchawce kobiecy głos i mocno się zdziwił. Głos znał, jego właścicielkę też, ale nie utrzymywał z nią żadnego kontaktu. Słyszał ją jeszcze przedwczoraj w wieczornym programie publicystycznym. Rozalia Ojdana, miłość życia jego najlepszego kumpla i – według ostatniego plebiscytu jakiegoś czasopisma, które znalazł w toalecie – najlepsza dziennikarka i „nowa ikona stylu”. Asia zawsze marszczyła nos, kiedy twarz Ojdany pojawiała się na ekranie. Nie pasowało jej, że jej mąż zna taką kobietę, nawet jeśli on sam tej znajomości żałował.

– Halo? – spytała nieco ochryple Rozalia. Jej głos brzmiał, jakby nie przespała całej nocy, nie aż tak świeżo jak w telewizji.

– Oddzwaniem – powiedział oziębło Piotr.

– A, tak. Piotr. Tu Rozalia. Na pewno mnie pamiętasz. Prawda?

– Tak. Czemu dzwonicz? Coś nie tak z Brunem?

– Można tak powiedzieć. Ty nie pracujesz z nim nad sprawą tego architekta?

– Dlaczego pytasz? Potrzebujesz czegoś do materiału? Nic ode mnie nie wyciągniesz. Wszystko jest poufne.

Piotr w odpowiedzi usłyszał jej perlisty śmiech, który nie brzmiał szczerze.

– Kochany, na pewno wiesz, że musiałam mieć swojego informatora – powiedziała. Mężczyźnie nie podobała się taka poufałość, ale zamarł na moment. Oczywiście się domyślał. Ta kobieta była wszędzie pierwsza. – Halo? Jesteś tam? – spytała, gdy nie odpowiadał.

– Tak.

– Piotrze, dzwonię właśnie w tej sprawie. Tego informatora.

– Dziwne. Czemu nie zadzwonisz do Bruna? Chyba wciąż się kontaktujecie?

– Ech... To zawsze Bruno był mózgiem operacji, nie? – spytała z jakąś taką rezygnacją w głosie, a Piotr poczerwieniał. – No nieważne, wróćmy do tematu. Nie mam już kontaktu z Brunem. W tym rzecz, wszystko skończone. To twój kumpel był moim informatorem.

– Co takiego...? – spytał Piotr, nie dowierzając. Serce zaczęło mu kołatać i świat lekko zawirował. Niemożliwe, ta kobieta najzwyczajniej w świecie kłamie. – Masz jakieś dowody?

– Oczywiście, że mam. Tony wiadomości. Będziecie na komendzie zachwyceni.

– Nikt nie będzie zachwycony, zapewniam, chociaż zakładam, że cię to nie satysfakcjonuje. Co on ci takiego zrobił? Ten facet cię kocha, dlaczego mu to robisz? – spytał. W słuchawce zapanowała głucha cisza. – Jesteś?

– Jestem – odpowiedziała zmienionym tonem. Nie było w nim już tej udawanej wesołości. Do uszu Piotra doleciała gorycz. – W sprawie tej miłości... Jest jeszcze druga rzecz, o której

chciałabym ci opowiedzieć. Myślę, że zainteresuje cię nawet bardziej.



Bruno siedział samotnie w wieżyczce i ze smutkiem obserwował kurczowo trzymającego się klatki kosa, który domagał się już wolności. Mężczyzna wiedział, że powinien był już dawno mu ją podarować, ale wciąż zwlekał, licząc na to, że ktoś inny go w tym wyręczy.

Ale Kalina nie przychodziła. Unikala go celowo. Nie zapadła się przecież pod ziemię, nie była poszukiwana czy uznana za zaginioną. Współlokatorka ją widziała, podobnie jej przybrana matka. Kalina nie chciała widzieć jego. Bruno odczuwał niepokój. Rozalia miała rację, chociaż on wypierał to od jakiegoś czasu. Postać tajemniczej dziewczyny nie była dla śledztwa przypadkowa i każdy policjant, z którym Bruno do tej pory pracował, przyznałby, że dziewczyna zniknęła, bo chce coś ukryć.

Z rozmyślań wyrwało go ujadanie psa. Olaf szalał na dole, biegał po całym mieszkaniu, jakby szukał swojego pana. Po każdym okrążeniu zatrzymywał się przed drzwiami, skakał na nie i czekał. Idąc do przedpokoju, Bruno z przyzwyczajenia spojrzął na zegarek w kuchni, chociaż nie spodziewał się żadnych gości. Wizytę Rozalii wykluczał, a na to, że w drzwiach ujrzy Kalinę, już nawet nie liczył. Kiedy dotarł do przedpokoju, złapał nadal robiącego harmider psa za obrozę i odciągnął do sypialni, żeby odseparować go od gościa. Mężczyzna wrócił i nawet nie zerknął przez wizjer, po prostu pociągnął za klamkę. Na wycieraczkę stał Piotr, którego mina nie zdradzała radości na widok dawno niewidzianego kumpla. Wręcz przeciwnie. Zdawał się nachmurzony i był to widok niezwykle rzadki, bowiem Piotr nigdy nie dawał się wyprowadzić z równowagi.

– Piotrek! – zakrzyknął Bruno przyjaźnie. – Wchodź, zapraszam! Myślałem, że zobaczymy się dopiero jutro.

Gestem zaprosił mężczyznę do środka i pospieszył do kuchni, by wstawić wodę na kawę. Piotr pił ją nałogowo.

– Poczekał – powiedział Piotr oschłym tonem. – Nie tym razem.

Bruno odwrócił się i spojrzał na przyjaciela – coś było nie tak. Partner patrzył na niego bardzo podejrzliwie i zdecydowanie nieprzychylnie.

– Coś ty narobił najlepszego...? – powiedział w końcu. Bruno zrobił skonsternowaną minę, ale po chwili do niego dotarło. Rozalia.

– Wyjaśnię ci to jakoś – odparł. – To skończone. Słowo daję. Wiem, że nawaliłem, ale już z tym skończyłem. Uwierz mi.

Piotr pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Z czym skończyłeś? – spytał, a kiedy Bruno nie odpowiedział, pospiesznie dodał: – Z donosicielstwem? Czy z sypianiem ze świadkiem?

Bruno poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, a ręce drętwieją. Mierzył wzrokiem swojego partnera, szukając w głowie słów, by mu odpowiedzieć.

– Generał już wie? – spytał w końcu.

– Nie wszystko.

– Co mu powiedziałaś?

– To, co było konieczne. Połowę zachowałem dla siebie. Gdyby usłyszał, że byłeś kapusiem... Szkoda słów, Bruno. Nie darowałby ci tego. Jest na tyle miękki, że sprawy sercowe wybaczy ci szybciej, jeśli to zakończysz.

– Ale konsekwencje jakieś są. Dlaczego od razu nie powiesz? – spytał Bruno, patrząc chłodno na Piotra, a ten odetchnął głęboko.

– Nie prowadzisz już sprawy – wyrzucił z siebie.

Mierzyli się wzrokiem, zapadła krępująca cisza, która zdawała się nie mieć końca. Odsunięcie Bruna od sprawy Wilskiego nie było czymś niewytłumaczalnym. Detektyw mógł się tego spodziewać. Odczuwał w tej chwili jedynie złość na siebie samego, ale kara i tak wydawała się niska. Piotr obserwował przez chwilę jego reakcję, chcąc się upewnić, jak Kosowski to przyjął, po czym dodał:

– I musisz mi oddać odznakę.

Mężczyzna spojrzał na niego ostro, z wyrazem sprzeciwu na twarzy.

– To rozwiązanie tymczasowe. Powiedzmy, że idziesz na urlop – powiedział Piotr uspokajająco.

– Jak długi urlop? – spytał Bruno.

– Możliwie najkrótszy, do odwołania. Słuchaj, wiem, jak to wygląda... – powiedział Piotr, podnosząc dłonie w geście obrony. – Ale nie wiń mnie. Zrobiłem, co tylko się dało, żebyś nie odczuł tego tak, jak, szczerze mówiąc, powinienes. Jeśli chcesz znać moje zdanie...

– Nie chcę znać twojego pieprzonego zdania – przerwał mu Bruno. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej odznakę. Spojrzał na nią jak na swoją ulubioną zabawkę, którą mama odbierała mu za karę, gdy był mały. Rzucił ją od niechcienia do przyjaciela. Piotr ledwo zdążył ją złapać, zanim upadła na podłogę, i po wykonaniu kilku niezdarnych ruchów poczerwieniał na twarzy.

– Broń – powiedział oschle. Bruno prychnął pod nosem i skierował się do sypialni, skąd po chwili wrócił z pistoletem. Sprawdził, czy nie jest nabity, i niechętnie przekazał go kumplowi.

– Ty będziesz prowadził śledztwo? – spytał Piotra, a ten przytaknął. – Biorąc pod uwagę, że nie wiesz wiele na temat sprawy, a Generał nie należy do cierpliwych... No, chłopie, wkopałeś się w niezłe bagno.

Bruno podszedł do lodówki i wyciągnął z niej butelkę piwa, która zalegała tam schowana gdzieś w głębi od dawna. Zdążyła nawet przymarznąć do tylnej ściany i Bruno, zanim pozbył się kapsla, starannie oskrobał z niej lód.

– Nie utrudniaj tego, Bruno – powiedział cicho Piotr. Aha! Czyli jednak Bruno trafił w czuły punkt. – Wiesz, że musiałem coś zrobić, żebyś nie położył śledztwa przez jakąś dziewczynę...

Bruno pociągnął duży łyk z butelki, patrzył cały czas gdzieś w bok.

– Robiłem, co mogłem, żeby oszczędzić ci większych kłopotów. Kiedy się uspokoisz i to przemyślisz, zrozumiesz. Mam nadzieję, że przekażesz mi cokolwiek na temat sprawy...

Bruno nie odpowiadał, więc Piotr dodał:

– Nie? No dobra, to chyba ta tablica korkowa w twoim biurze będzie musiała mi wystarczyć.

– Kur... – zaklął pod nosem Bruno.

– Zadzwoń do mnie, gdybyś jednak chciał się czymś podzielić – powiedział Piotr. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze do Bruna i spytał: – Jedna rzecz nie daje mi spokoju. A nie zauważyłem żadnej wzmianki na ten temat na twojej tablicy... Przeglądałeś dokładnie zeznania świadków?

Bruno podniósł głowę i z obojętnością przyznał, że czytał.

– Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale ze dwie osoby wspominały coś o hostessie z blizną. Przejrzałem zdjęcia wszystkich dziewczyn. Ich twarze były nieskazitelne. Może to jakiś trop? Nie? – spytał z nadzieją, że zainteresuje detektywa. Nie widział jednak jego reakcji. Mężczyzna stał odwrócony plecami do gościa. Piotr czekał na jakąkolwiek reakcję, a kiedy nie doczekał się jej, uznał, że zaciśnięte w pięści dłonie Bruna będą mu musiały wystarczyć. Wyszedł.



**M**ało kto interesował się dziewczyną na tyle, by zaprzętać sobie głowę jej imieniem. I tak uchodziła za studentkę architektury, dziewczynę z McDonalda, córkę Basi, siostrę Elwiry, współlokatorkę Kaliny. A miała imię, które bardzo lubiła i żałowała, że inni nie lubią go na tyle, by je zapamiętać. Marlena, Marlenka nawet. Tak nazywał ją kiedyś jeden chłopak, który był nią przez chwilę zainteresowany. Nie wiedziała, że przez długi czas będzie jedynym, i spławiła go wtedy, tracąc okazję na przynajmniej zadowalający związek.

Marlena siedziała przy małym stoliku w kuchni i wyglądała przez okno. Od pięknego zachodu słońca odrywał ją tylko telefon, na którego wyświetlacz zerkąta nerwowo. Zwykle nie interesowały jej programy informacyjne, a wczorajszy reportaż w TVN24 obejrzała przez czysty przypadek. Wyświetlali go na Dworcu Zachodnim, w telewizorze zawieszonym pod sufitem przy barze szybkiej obsługi. Marlena stała, czekając na swoją ciotkę, która przez kilka minionych nocy miała spać w pokoju Kaliny. Taki był plan, bo Kaliny miało nie być. Tak sądziła Marlena. Ale Kalina wróciła – tego samego dnia, kiedy wypytywał o nią ten policjant, minęli się. Jej powrót skazał Marlenę na spanie z ciotką w jednym łóżku.

Współlokatorka nie wychodziła jednak z pokoju, a o jej obecności świadczył tylko głośno wibrujący telefon. Ktoś usilnie próbował się do niej dodzwonić, ale ona nie odbierała. Pewnie ten policjant.

Marlenę trochę to zaczynało stresować, a w całej tej sytuacji nie pomagała narzekająca na wszystko ciotka. Kiedy dziewczyna w końcu odwiozła ją na dworzec, poczuła, że poziom stresu w jej ciele przyjemnie spada. I wtedy, gdy ciotka wstąpiła do baru po kebab, Marlena zobaczyła ten reportaż.

Rozalia Ojdana mówiła o Kalinie. Twarz jej współlokatorki była zamazana, ale Marlena poznałaby ją wszędzie. Dreszcz przebiegł jej



po karku i przełknęła z trudem ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Zrozumiała, że mieszka pod jednym dachem z morderczynią. Wracając do domu, Marlena postanowiła sobie, że się spakuje i wyprowadzi w trybie natychmiastowym. Gdy dotarła na miejsce, znalazła przypięty do drzwi lodówki numer właściciela mieszkania i z całą pewnością siebie, jaką potrafiła wykrzesać, przedstawiła mu, że ich drogi muszą się rozejść. Nie wdawała się w szczegóły. Gdyby właściciel przekazał Kalinie, dlaczego Marlena się wyniosła... Cóż, wystarczy, że Kalina raz kogoś zabiła. Prawda?

Niestety właściciel z równą, jeśli nie większą pewnością siebie przypomniał Marlenie o warunkach umowy. Do końca okresu jej obowiązywania zostało jeszcze pół roku i „jak dla niego, to ona może się wynosić, byleby płaciła czynsz”. Dziewczyna spojrzała z rezygnacją na sypialnię, którą zajmowała, i przypomniała sobie mizerną zawartość swojego portfela. Przymknęła oczy i żeby ukrócić tyradę mężczyzny, zaczęła dukać do telefonu. Dodała na koniec: „coś przerywa”, a następnie się rozłączyła.

Z ciekawością i lekkim dreszczykiem zajrzała do pokoju współlokatorki. Z jej biurka zniknęła część kosmetyków. Tych, które zawsze znikaly, kiedy Kalina wyjeżdżała. Marlena odetchnęła z ulgą, domyśliwszy się, że dziś jest bezpieczna, i opadła na sprężynową kanapę, odbijając się od niej przyjemnie. Przymknęła oczy. Jej ciało się rozluźniło i zaczęła odpywać. Obudziła się po paru godzinach i w konsekwencji dużą część nocy spędziła bezsennie, nasłuchując dźwięków z klatki schodowej, które mogłyby zapowiadać powrót współlokatorki.

Ale to następnego dnia ktoś załomotał w drzwi, tak że serce Marleny zawtórowało i również zaczęło bić z całych sił. Siedziała właśnie przy stole w kuchni i powoli przeniosła wzrok na drzwi, a jej oddech przyspieszył. Czuła, jakby coś naciskało na jej klatkę piersiową. Co, jeśli to Kalina wróciła? Co, jeśli jest uzbrojona? Marlena podniosła się powoli i na palcach skierowała się w stronę drzwi. Gdy pod nie dotarła, nastąpiła cisza i dziewczyna odetchnęła. Wtedy w jej ciele nastąpił drugi wyrzut adrenaliny, bo do drzwi jej mieszkania znowu załomotała czyjaś pięść. Z przerażeniem przesunęła się wzdłuż nich, starając się niczego nie dotknąć, i najdelikatniej, jak umiała, przesunęła klapkę wizjera. Spojrzała.

Wszystko wróciło do normy. A przynajmniej chwilowo jej zszargane nerwy. To ten gość. Na pewno chce aresztować jej współlokatorkę. Dobrze, Marlenka pomoże. Wysunęła z dziurki wiekowy łańcuch, z którego odpadała zielonkawa farba, i przekręciła niepasujący do drzwi chromowany zamek. Założyła włosy za ucho, żeby prezentować się jak przykładna obywatelka, za którą się przecież uważała.

– Tak? – spytała, gdy stanęła z policjantem twarzą w twarz.

– Szukam Kaliny. Jest już może? – spytał. Był wyraźnie zdenerwowany i trochę bledszy, niż kiedy widziała go ostatnio. Przypominał jej byłego chłopaka. Tego z dużym nosem i tego samego, któremu naprawdę na niej zależało. Siłą rzeczy policjant budził w niej pozytywne skojarzenia i wyrzuty sumienia. Tak, tym razem Marlena mu pomoże.

– Kaliny nie ma. Chciałby pan wejść? – spytała, uśmiechając się niby niewinnie, ale jak sądziła, kokieteryjnie. Chyba to zauważył, bo wyglądał na zmieszanego. Zrobił śmieszoną minę i Marlena zamierzała się tym „sukcesem” napawać jeszcze bardzo długo. Dziewczyna odsunęła się i otworzyła szerzej drzwi, a mężczyzna wszedł do środka. Przeczesał włosy i rozejrzał się wokół.

– Wiesz, gdzie ona jest? – spytał.

– Domyślam się, że tam gdzie poprzednio. Mówiłam, że u siebie na wsi – powiedziała, siadając dumnie na kuchennym krześle i rozkoszując się swoimi pięcioma minutami, kiedy to złoży zeznania, które pomogą policji ująć niebezpieczną morderczynię.

– Nie było jej tam. Widziałaś ją od naszej ostatniej rozmowy?

– Tak, była w mieszkaniu. Ale myślę, że znów wyjechała.

– Skąd ten wniosek? – spytał rzeczowo. Był mniej sympatyczny niż ostatnim razem, kiedy go widziała.

– Spakowała kosmetyki. Te, które zawsze ze sobą zabiera, podręczne.

Mężczyzna spojrzał na nią nagle, wyglądał jak rażony piorunem.

– Tylko te? – spytał.

– Tak – odparła zdziwiona jego pytaniem.

Odwrócił się i gdyby tylko dystans był dłuższy, drogę do pokoju Kaliny pokonałby biegiem. Tym razem wystarczyły trzy większe kroki. Marlena z ciekawości ruszyła za nim.

Detektyw zdjął stertę wydruków z leżącego na biurku pudełka po butach, potarł je ręką i na sekundę się zamyślił. Następnie wziął pudełko i usiadł z impetem na sprężynowej kanapie, odbijając się od niej tak jak wcześniej Marlana.

– A to nie trzeba nakazu...? – spytała niepewnie dziewczyna. Detektyw nawet na nią nie spojrzał, ale mruknął, że „przecież szkoda czasu na nakazy w obliczu prawdziwego zagrożenia”. Marlana przełknęła ślinę i nic już nie powiedziała. Obserwowała mężczyznę, zaintrygowana tym, czego może szukać w tych szpargałach. Kiedyś pod nieobecność współlokatorki zajrzała do tego pudełka i wiedziała, co w nim się kryje. Detektyw też musiał to wiedzieć, bo nie był zaskoczony jego zawartością. Sprawnie przerzucał zdjęcia Kalinowych przebieranek, jakby szukał jakiegoś konkretnego. W pewnym momencie jego ruchy zwolniły, położył część zdjęć obok siebie i uniósł w dłoniach jedno, najwyraźniej to, którego potrzebował.

– Masz z nią jakiś kontakt? – spytał, chowając zdjęcie do pogiętej foliowej koszulki, którą wyjął z kieszeni.

– Nie – odparła.

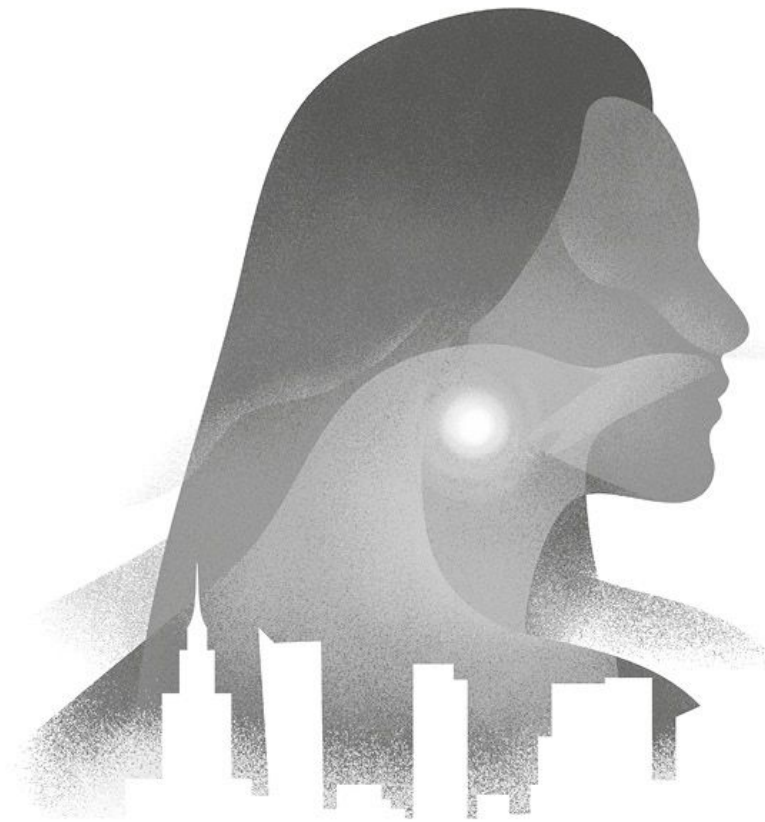
Detektyw podniósł się z miejsca i ruszył do drzwi, mijając dziewczynę bez słowa. Kiedy przestępował próg mieszkania, rzucił tylko przez ramię prośbę, by Kalina skontaktowała się z nim, kiedy tylko się pojawi. Pożegnał się zdawkowo i wyszedł.

Marlena zmarszczyła lekko brwi i udała się do pokoju współlokatorki. Nie była zadowolona z przebiegu wizyty policjanta. Jej sytuacja nie zmieniła się na lepsze. Jeśli w ogóle się zmieniła – to na gorsze. Gdy tylko Kalina się dowie, że Marlana współpracuje z policją... Dziewczyna poczuła ścisk w gardle i złapała się za szyję.

Usiadła na łóżku i wzięła do ręki pudełko oraz pozostawione niedbale obok niego zdjęcia. Przejrzała je pobieżnie, próbując ustalić, którego brakuje. Te najbardziej spektakularne metamorfozy Kaliny nie zainteresowały detektywa. Nie. Marlana ze zdziwieniem zauważyła, że nie ma zdjęcia, które było najmniej interesujące ze wszystkich, tego, na którym Kalina nie różniła się aż tak bardzo od samej siebie w wersji „przed”.

Marlena z rozczarowaniem włożyła zdjęcia do pudełka, zamknęła je i odstawiła na biurko, w to samo miejsce, gdzie stało wcześniej.

Na wierzchu położyła stosik wydruków, tworząc identyczny nieład, jak ten panujący tu przed przybyciem policjanta. Licząc na to, że Kalina nic nie zauważy, opuściła pokój. Podeszła do drzwi, zasunęła stary łańcuszek i przekręciła chromowany zamek. Usiadła na kuchennym krześle i obserwując przez okno piękny warszawski zachód słońca, czekała.



**B**runo siedział na starym materacu na strychu, wśród walających się wszędzie piór, oświetlanych przez słabe żółte światło energooszczędnej żarówki. Przez krótki czas to miejsce wydawało mu się magiczne, ale najwidoczniej to nie była zasługa urokliwego nastroju i romantyzmu czy powiewających pod sufitem kolorowych piór, ale młodej dziewczyny, która marzyła, by wypuścić na wolność kosa zamkniętego w klatce. Ptaszek patrzył na Bruna z wyraźnym wyrzutem, strosząc czarne piórka.

– Przykro mi, mały. Ale to ona musi to zrobić – powiedział do niego Bruno. – Poczekaj. Wróci. – Zamyślił się nad swoimi słowami i powtórzył jeszcze raz, ciszej: – Wróci.

Tym razem, mając zamiar spędzić samotnie czas oczekiwania na telefon, zaopatrzył się w wino. Nie wziął kieliszka – przechylił butelkę i napił się z gwinta. Nie był z siebie dumny, ale wydarzyło się tyle, że chciał na chwilę zapomnieć, i czuł się usprawiedliwiony. Pociągnął drugi łyk, tym razem dłuższy, ale zbyt łapczywy ruch spowodował, że wino rozlało mu się na koszulę. Zaklął pod nosem i zdjął ją, po czym rzucił w ką. Sprawdził, czy nie zachlapał zdjęcia, które leżało obok niego na materacu, tak jak niedawno leżała tu dziewczyna na nim widniejąca. Tylko że na zdjęciu nie wyglądała jak ona. Miała dużą bliznę po oparzeniu i nieco delikatniejsze rysy twarzy. Nadal jednak dało się poznać, że to Kalina – tylko z jakiegoś powodu przebrana za siostrę. Bruno położył się na boku i ze smutkiem patrzył na pustą połowę materaca. Sięgnął po zmiętą koszulę i położył ją obok siebie, żeby stanowiła podparcie dla zdjęcia. Patrzył na błyszczące czarne włosy i ciemne oczy dziewczyny.

Nie wiedział, ile tak leżał, ale z odrętwienia wyrwało go uczucie chłodu na karku. Miał wrażenie, jakby ktoś tuż za nim otworzył drzwi zamrażarki. A przecież nie mogło być mowy o żadnym przeciągu,

wszystkie okna były zamknięte. Nawet gdyby ktoś wszedł po cichu do mieszkania, zmiana temperatury nie byłaby odczuwalna na strychu. Bruno postanowił zignorować to wrażenie zimna, tłumacząc je zmęczeniem, ale wtedy poczuł jeszcze większy chłód i zobaczył swój cień na tle jaskrawego światła monitora. Przecież wyłączył komputer. Wtedy to usłyszał... Za jego plecami ktoś się poruszał. Skrzywienie desek zdradzało czyjąś obecność. Bruno odwrócił się szybko, gotowy do ewentualnego ataku na intruza. Ale gdy spojrzał w kierunku, z którego dolatywał hałas, zobaczył postać, na którą za nic w świecie nie podniósłby ręki.

Długie czarne włosy opadały jej na białe ramiona i równie białą sukienkę, poruszającą się delikatnie w tym samym rytmie, co pióra pod sufitem. Siedziała odwrócona do niego plecami i obserwowała kosa w klatce. Serce Bruna zabiło szybciej. Wykonał nagły ruch, a dziewczyna, usłyszawszy to, odwróciła głowę w jego kierunku. Oczy, które patrzyły prosto na niego, zdawały się wwiercać w jego duszę. Bruno niemalże przestał oddychać. To nie była Kalina.

Olga. W końcu zrozumiał, kim jest nieznajoma, choć zupełnie nie pojmował, skąd się tu wzięła. Przeszył go nagły dreszcz. Wciąż na siebie patrzyli, ale tylko przez chwilę, bo dziewczyna straciła zainteresowanie mężczyzną i przeniosła wzrok na coś, co trzymała w dłoni. Bruno zmarszczył brwi, dostrzegłszy, że Olga trzyma zdjęcie. To samo, które – dałby sobie rękę uciąć – przed chwilą leżało obok niego. Z rozmyślań wyrwał go ruch, który zaistniał gdzieś poza polem jego widzenia. Po ruchu i ciepłych kolorach światła w pokoju poznał, że coś wyskoczyło na monitorze laptopa. Odwrócił się niechętnie od dziewczyny i sięgnął po komputer. Odchylił mocniej jego klapę i popatrzył na obrazek, który świecił odcieniami zieleni i żółci. Zerknął z ukosa na dziewczynę. Wciąż z czułością patrzyła na zdjęcie, ale zauważył, że teraz delikatnie się uśmiechała. Wrócił ponownie do komputera.

Drzewo. Znowu to drzewo. Wiedział, że je zna, nie wiedział tylko skąd. Miał silne wrażenie *déjà vu* i nie potrafił tego wyjaśnić. Co ta dziewczyna chce mu przekazać? Postanowił przecież odrzucić ją jako zbędny element zagadki. Zdjął nawet jej imię z tej cholernej korkowej tablicy. Zerknął jeszcze raz w stronę dziewczyny, ale już jej nie było. Podniósł się i przeszedł całe pomieszczenie, a gdy nigdzie

jej nie znalazł, sprawdził też dół. Tam również jej nie było. Zniknęła. Wspiął się na górę i wtedy zauważył, że w pokoju zaszła jednak jakaś zmiana. O zgniecioną koszulę nie opierało się już zdjęcie. Zastąpiły je trzy piórka kosa.

Bruno położył się na materacu i tak jak wcześniej kontemplował zdjęcie Kaliny, tak teraz zastanawiał się nad pozostawionymi przez zjawę lotkami. Nie wiedział, kiedy zamknął oczy, nie pamiętał tego faktu. Ale kiedy je otworzył, na zewnątrz było już jasno, a Aleje Jerozolimskie wypełniły się samochodami. Na materacu nie było żadnych piór poza tymi, które znalazły się tu w towarzystwie kurzu, kończąc lot nad posadzką. Obok Bruna leżało zdjęcie Kaliny w takiej pozycji, w jakiej je położył, zanim usnął. Przekręcił się ze stęknieniem. Klapa laptopa była pochylona, a sam komputer wyłączony. Podniósł ją, wcisnął klawisz „escape” i na ekranie pojawiła się strona główna Facebooka.

Może to był tylko sen, ale Bruno już wiedział – popełnił błąd.





Witek Litwiński siedział przy kuchennym stole przykrytym ceratą w róże i popijał fusiastą kawę ze szklanki z plastikowym uchwytem. Jedynym, jaki uchował przed żoną, gdy ta zabrała się za porządki. Miał sentyment do tych staroci, podobnie jak do dawnego wiejskiego życia, chociaż nikt we wsi nigdy by tego nie podejrzewał. Śmiali się z niego, że jest letnik. Bo interesował się nowinkami technicznymi, ubierał się schludnie, zamiast disco polo słuchał radiowej Trójki. Był inny.

Wyciągnął z paczki papierosa, starając się przy tym nie patrzeć na niepozostawiające nic wyobraźni zdjęcia narzędzi na opakowaniu. Bożeny nie było w domu, więc zapalił. Ciotka może nie wyczuje, więc wywietrzy później.

Witek wyglądał za okno, obserwując chodzące po trawniku czarne ptaszki, skubiące opadłe z drzew przegniłe jabłka. Pociągnął głośno nosem i odchrząknął. Zaciągnął się mocniej, widząc czubek czyjejś głowy zbliżający się do schodów. Mężczyzna nie miał najmniejszej ochoty na pracę, zamknął dziś już warsztat i planował, że coś przekąsi, a potem wybierze się na ryby. Kimkolwiek był przybysz, będzie musiał zabrać się z tego podwórka, bo nie ma tu czego szukać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Otwarte! – krzyknął Witek, a że nie usłyszał chodzących zawiasów, udał się zaprosić gościa do środka. Lub odprawić – to zależało od celu jego wizyty.

Na wycieracze za firanką, która pełniła funkcję moskitiery, stał jakiś mężczyzna – z pewnością miastowy. Witek widział w telewizji, że miastowi lubią się stylizować na wsiowych, nic o nich nie wiedząc. Ten miał brodę „na drwala” i koszulę w kratę z podwiniętymi

rękawami. Był równie postawny, co Witek, miał tylko może mniej mięśni.

Witek podrapał się po podbródku i pomyślał, że powinien był się dziś ogolić.

– Tak? – spytał.

– Kosowski, prowadzę sprawę Tadeusza Wilskiego. Rozmawiałem niedawno z panią Bożeną. Zastałem ją? – powiedział mężczyzna bez zająknięcia. Witek chciał nawet spytać o odznakę, ale przypomniał sobie, że Bożenka wspominała mu o tym gościu. Nie będzie znowu taki nieufny.

– Żony nie ma. Mogę w czymś pomóc? – spytał. Mężczyzna na progu wyraźnie się zawahał. – Kawy może się pan napije?

– Z chęcią – odparł w końcu przybysz.

Zasiedli przy stole. Witek patrzył uważnie, jak mężczyzna pije, wprawiając go przy tym w zakłopotanie. Policjant przemówił, dopiero jak natrafił na fusy.

– Chciałem... – zaczął, ale Witek mu przerwał.

– To pan aresztował Kalinkę?

– Co takiego...? – spytał. Wyglądał, jakby ta informacja autentycznie go spiorunowała.

– No jak to? Nie wie pan? Przecież prowadzi pan śledztwo, sam pan powiedział.

Mężczyzna chyba się zreflektował, bo odchrząknął i przyznał, że faktycznie. Witkowi nie bardzo podobało się takie roztargnienie u policjanta. Nic dziwnego, że bezpodstawnie zatrzymano jego córkę, skoro ci służbiści są tacy nierozgarnięci.

– Tym razem nie będę pytać o Kalinę. Chciałem spytać o jej siostrę, Olgę – powiedział policjant i podsunął mu pod nos zdjęcie jakiejś dziewczyny. Witek najpierw pomyślał, że to Kalina, ale nie. Poczul nagły ścisk w gardle.

– Ach. Tak. Nie wiem, czy będę mógł jakoś pomóc... – powiedział.

– Pani Bożena mówiła, że oddaliście ją państwo do domu dziecka. Znam temat – przerwał mężczyzna.

– W jakim to nas świetle stawia? Pan... Skąd pan ma to zdjęcie? Nigdy go nie widziałem. Publikowano kilka jej zdjęć w prasie po tym, jak...

– Odebrała sobie życie – dokończył detektyw. – Tak. Zdjęcie mam z prywatnego albumu rodziców Olgi. Mam na myśli jej adopcyjnych rodziców.

Witek odchylił się na krześle i w milczeniu zastanawiał się nad słowami detektywa. W końcu się ocknął.

– Nie do końca podobał mi się ten pomysł z adopcją dziewczynek – powiedział. – To wywróciło nasze życie do góry nogami. Ale Bożenka mówiła, że inaczej się nie godzi. I miała rację, wiedziałem to. Zresztą w końcu pokochałem te dziewczynki jak własne córki. Straciliśmy już nadzieję, że będziemy mieć własne dzieci, i nowina o ciąży Bożenki nieco nami wstrząsnęła. Nie miałem wtedy warsztatu, radziliśmy sobie... bardzo źle finansowo. Żona stwierdziła, że nie damy rady wychować wszystkich dzieci samodzielnie... Padło na Olę.

Obraz detektywa w oczach Witka nieco się rozmazał, więc mężczyzna szybko przetarł oczy.

– Ola bardziej przypominała Renię. Oczywiście bliźniaczki były do siebie bardzo podobne, ale jednak u Oli widziałem więcej cech Reni. A był czas, że znałem tę kobietę lepiej niż swoją obecną żonę – powiedział Witek.

Twarc detektywa zdradzała szczere zainteresowanie. Witek w końcu znalazł odpowiedniego słuchacza do tej opowieści – w Bożenie nigdy go nie miał. Przeprosił na chwilę gościa i udał się do sypialni. W szafie na ubrania, pod wieszakami, trzymali karton z albumami. Wygrzebał jeden z najstarszych, jego czerwona skórzana okładka odpadła i założona była luzem. Przewertował strony i zatrzymał się w odpowiednim miejscu. Wrócił do policjanta i położył przed nim znalezisko.

– Kiedyś chodziliśmy wszyscy do jednej klasy: ja, Bożenka i Renia – powiedział, postukując w każdą z osób na czarno-białym zdjęciu. –

To była jedyna klasa w naszym roczniku, więc wszyscy na wsi znaliśmy się ze swoimi rówieśnikami bardzo dobrze. Również krąg potencjalnych sympatii był zawężony. Ja zawsze szalałem za Renią. Nie byłem zresztą jedyny. Większość chłopaków chciała ją na przyszłą żonę. Była bardzo ładna. Miała długie blond włosy, zawsze chodziła w zwiewnych sukienkach i miała głowę w chmurach. Nie była nigdy chętna do pracy na polu. Jak już miała pracować, to

częściej chowała się w stogach siana i marzyła. Była taka... nie z tego świata. Nie pasowała do wiejskiego przyziemnego życia. I w końcu wyjechała. Ale najpierw skończyła nasz związek – skwitował Witek, rozkładając ręce.

– Byliście parą? – spytał detektyw, uważnie przyglądając się zdjęciu.

– Tak, ale nie trwało to długo. Po kilku pierwszych randkach oznajmiła, że wyjeżdża. Byłem nawet gotów jechać razem z nią, ale nie zaproponowała mi tego. Kiedy ona była we Francji, ja poznałem lepiej jej przyjaciółkę. Renia zostawiła w końcu nas oboje. I tak Bożenka jest dzisiaj moją żoną.

– Kiedy wróciła, nie chciał pan odnowić znajomości? – spytał detektyw, przenosząc wzrok na zdjęcie na sąsiedniej stronie, gdzie z czarno-białego obrazka uśmiechała się nieśmiało ładna dziewczyna z rozmarzonym wzrokiem. Witek spojrzał na to samo zdjęcie i uśmiechnął się. Pamiętał, kiedy je robił, jakby to było wczoraj. Była piękna pogoda, co udało się uwiecznić w świetle odbijającym się od naszyjnika Reni. Dotykała go długimi palcami w miejscu, gdzie brakowało jednego szkiełka.

– Nie chciałem niczego odnawiać w taki sposób, w jaki pan sugeruje... – powiedział Witek. – Byłem już żonaty. Nie chcę, żeby pan pomyślał, że gdyby nie wyjazd Reni, to nie byłbym ze swoją żoną. Tworzymy zgrany duet, Bożenka jest moją najlepszą przyjaciółką. Oczywiście, żona była trochę zazdrosna, gdy Renia wróciła do Dolistowa. Gdy byliśmy sami, stale rzucała jakieś uwagi na temat tego, że Renia przytyła. Przestała dopiero wtedy, gdy zrozumiała, że nie ma powodów do zazdrości. A kiedy z kolejnej podróży Renia przywiozła Antka, to już nie było żadnych przeszkód, by dziewczyny przyjaźniły się jak dawniej. Kalina bardziej przypomina właśnie Antka, w przeciwieństwie do Oli... – Zamyślił się na chwilę, by zaraz dodać głosem zdławionym przez łzy gorzkości: – Jakie było nasze zdumienie, kiedy zobaczyliśmy ją w Dolistowie.

– Ola była tutaj? – spytał Kosowski.

– W tym domu raptem raz. – Witek pokiwał głową. – Nie było nas wtedy, byliśmy w mieście. Przyszła pod naszą nieobecność, Kalinka ją przyprowadziła.

– Przyznała się panu?

– Nie. Ciotka nam powiedziała. – Mężczyzna uśmiechnął się kwaśno. Coś w twarzy detektywa skłoniło go do wyjaśnień. – Antek Dmitrijew był szamanem jakuckim. Nie wiem, czy żona już o tym wspominała... Miał swoje święte drzewo, czy coś w tym rodzaju. W pewnym momencie, już jak Kalina była na studiach, zaczęły chodzić po wiosce pogłoski, że pod tym drzewem widuje się młodą dziewczynę. Najpierw ludzie myśleli, że to Kalina, ale szybko okazało się to nieprawdą.

– To była Ola? – spytał Kosowski.

– Tak. Plotki o jej wizytach mocno wstrząsnęły mną i Bożeną. Wciąż mamy wyrzuty sumienia względem tej dziewczyny... Ale jeszcze bardziej nami wstrząsnęło to, po co ona tu się w ogóle pokazywała. Najpierw sądziliśmy, że po prostu chce poznać swoje korzenie. I mieliśmy rację, tylko nie wiedzieliśmy, za jakie korzenie się weźmie.

– To znaczy?

– Podobno odprawiała jakieś czary. Tak jak Antek. Ludzie widzieli, jak dymiło się w tamtych okolicach. Całe szczęście, że ogień się nie rozprzestrzenił.

– „W tamtych okolicach”?

– Mówię o tym drzewie. Tam chodziła.

– Czy to jest to samo drzewo...?

– Tak. Tam potem ją znaleźli – powiedział Witek martwym głosem. Może gdyby z nimi została, gdyby jej nie oddali, jej życie potoczyłoby się inaczej? Może wciąż by żyła?

– Ale wspomniał pan, że była u państwa w domu. Chciała się z wami spotkać? – spytał detektyw.

– Nie sądzę. Myślę, że wcale nie chciała wchodzić na naszą ziemię. Wydaje mi się, że spotkała się z Kalinką i miały wrócić razem do Warszawy. Być może Kalinka potrzebowała zabrać coś z domu i dlatego zawróciła, a Ola jej towarzyszyła. I nic by się nie wydarzyło, gdyby nie to, że ciotka wróciła z nabożeństwa...

– Nie spodobała jej się ta wizyta? Wiedziała, kim jest Ola?

– Wiedziała, a „nie spodobało” to mało powiedziane. Wyrzuciła ją z domu, Kalina wybiegła zaraz za siostrą. Zadzwoiła potem do mnie i opowiedziała, co się stało. Byłem wściekły na ciotkę. Przyznała, że wygoniła, jak to ujęła, „czarownicę”. No ręce opadają,

ale na starych ludzi czasem nie ma rady. Nie dziwię się, że Ola nigdy już do nas nie zajrzała. Na jej miejscu też bym tego nie zrobił.

Detektyw pokiwał w zamyśleniu głową. Wyglądał przez okno i patrzył na kosy. Witek to zauważył.

– Też je lubię – powiedział. Detektyw przeniósł na niego pytający wzrok. – Kosy. Zwykle osiedlają się w mieście. Ale kiedyś pojawiło się tu kilka sztuk i z roku na rok było ich więcej.

– Trzymam jednego w klatce – odparł z uśmiechem Bruno. – To znaczy tymczasowo. Aż wydobrzeje i będzie gotów na dalsze loty.

– To ma pan szczęście.

– Szczęście?

– Codzienne koncerty kosów to coś godnego pozazdroszczenia.

Detektyw uśmiechnął się i ponownie przeniósł wzrok na małe czarne ptaszki na podwórku. W końcu spytał:

– Kalina też bawiła się w szamanizm?

– Nie – odparł Witek stanowczo. – Interesowali ją jej rodzice, wątek tradycji jej taty też. Ale nigdy nie była tym zafascynowana tak jak Ola. Pytałem o to Kalinę, bo sam się niepokoiłem. Zaprzeczyła. A Kalinka nigdy by mnie nie okłamała.

– Naprawdę jest dla pana jak córka.

– Ona jest moją córką, panie władzo. To, że nie jestem jej biologicznym ojcem, nie zmienia faktu mojego ojcostwa.

Policjant pokiwał głową i spojrzał ponownie na zdjęcie w albumie. Podciągnął go do siebie i nachylił się nad nim.

– Będę już ruszał – powiedział. – Chcę jeszcze zajrzeć w jedno miejsce.

Nagle zmarszczył brwi, tak że pojawiła się między nimi pionowa zmarszczka.

– To zdjęcie... – powiedział. – Na tym wyżej pozujecie już wspólnie, ale pan obejmuje swoją żonę. To już po powrocie z Francji?

– Tak jest.

– Ma pan może jakieś starsze?

– Mhm – mruknął Witek. Przejął album od policjanta i otworzył go na trzeciej stronie. Przekazał go z powrotem Brunowi i stuknął palcem w odpowiednie zdjęcie, też portretowe. Wolał ją na tym. Jej

uśmiech był bardziej promienny i mniej zmęczony. Była też w dużo lepszej formie.

Kosowski pokiwał głową i podniósł się z miejsca.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł – powiedział.

– Naprawdę? To pomoże wyciągnąć Kalinkę z tego aresztu? – ożywił się Witek.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie Litwiński. Myślę, że to, czego się dziś dowiedziałem, ułatwi mi to zadanie. Jednak teraz muszę zajechać w jeszcze jedno miejsce, zanim się ściemni.

– Oczywiście – odparł mężczyzna. – Dziękuję za pana wizytę. Szerokiej drogi.

– Do widzenia – powiedział Kosowski i wyszedł szybkim krokiem, niemalże wybiegł. Poruszał się tak szybko, że czubek jego głowy tylko mignął Witkowi. Ten odetchnął ciężko, patrząc na podwórko z rękami wspartymi na biodrach. W końcu przeniósł swój wzrok na pokryty ceratą w róże stół i sięgnął po kolejnego papierosa.



Bruno znów jechał tą samą drogą, co poprzednio. Tym razem niebo było zachmurzone, ale słońce znajdowało wystarczająco duże szczeliny, by precyzyjnie się i rzucić jaskrawe promienie na poszczególne budynki. Detektyw miał nadzieję, że dziś nikt nie przeszkodzi mu w pokonaniu całej trasy w spokoju. I nie myślał tylko o asfaltówce. Tego popołudnia nie natknął się na stadko krów, mogących zablokować mu przejazd, co wziął za dobry znak. Zatrzymał samochód dopiero pod zgliszczami domu rodzinnego Kaliny i Oli Dmitrijew i wysiadł. Chwilę stał i rozglądał się po otoczeniu. Wysokie trawy szumiały, wtórując drzewom w lesie. Piaszczysta droga pozbawiona była śladów, które zatarły ostatnie ulewne deszcze. Ciemne chmury zwiastowały kolejne opady – Bruno musiał się spieszyć. Mimo to nie oparł się pokusie i po raz ostatni zajrzał do spalonego domu. Nic się tu nie zmieniło, poza tym, że



w ruinach hulał wiatr, unosząc porozrzucane tutaj śmieci. W rogu domu obok rozbitego okna leżał zeszyt z różową okładką. Bruno nie zauważył go wcześniej, ale kilka kroków dalej dojrzał jakąś szmatę – być może to ona ukryła wcześniej notes przed jego wzrokiem. Zeszyt nie wyglądał na stary, jego okładka nadal błyszczała, a wystające kartki nie zdążyły pożółknąć. Był za ciężki, żeby przywiał go wiatr. Ktoś musiał go tutaj przynieść.

Bruno wziął w ręce znalezisko i przetarł dłonią okładkę. Zobaczył na niej wesołego rysunkowego jednorożca, za to nie było żadnego podpisu. Przewertował całość pobieżnie dwa razy, zanim natknął się na jakąkolwiek zawartość. W zeszycie zapisano raptem kilka stron. Tekst zawierał wiele skreśleń, ale jego przekaz wciąż był jasny. Bruno rozejrzał się po pokoju, ale nie musiał szukać daleko. U jego stóp leżał długopis. Schylił się po niego, po czym przeszukał kieszenie. Wyciągnął jakiś zbity w kulkę paragon. Rozprostował go i skreślił na nim kilka kresek. Długopis wciąż działał, a kolor tuszu odpowiadał literom w zeszycie. Strony zapisano właśnie tutaj. Bruno z jeszcze większym zainteresowaniem zagłębił się w lekturze. Gdy skończył, wszystko zaczęło układać się w całość.

Wrócił do samochodu i gdy rozejrzał się wokół, by mieć pewność, że nikt go nie obserwuje, schował zeszyt oraz długopis do skrytki od strony pasażera. Gdy trzasnęły drzwiami, ukryte w pobliskim krzaku stadko kosów zerwało się do lotu. Zanim odszedł, upewnił się, że samochód na pewno jest zamknięty.

Bruno ruszył tą samą trasą, co ostatnio. Podobnie jak ścieżki wokół domu ta również wydawała się nieuczęszczana przynajmniej od czasu niedawnych ulew. Stopy Kosowskiego zanurzały się w piasku, ale dzięki panującej wciąż wilgoci w powietrzu nie unosił się kurz. Tego dnia było gorąco i wkrótce po szyi Bruna zaczęły spływać strużki potu, a blond włosy nieelegancko przykleiły mu się do czoła. Mężczyzna rozpiął górny guzik koszuli i zawinął rękawy jeszcze wyżej. Pluł sobie w brodę, że na taką wycieczkę nie ubrał się rozsądniej.

Szedł wzdłuż granicy lasu, mając go po prawej stronie. Być może udałoby mu się skrócić trasę, gdyby wybrał drogę na przełaj, ale nie miał pewności, czy w ten sposób na pewno trafiłby na miejsce. Sytuacja, która go spotkała na tej drodze poprzednim razem,

utwierdziła go w przekonaniu, że zmierza we właściwym kierunku. Jak na złość wiatr przestał wiać i panowała martwa cisza, w której rozlegało się jedynie skrzywienie piachu pod podeszwami butów. Gdy doszedł na skraj lasu, skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i dalej kierował się na północ. Z czasem drzew wokół niego zaczęło przybywać i zrozumiał, że nie idzie już obrzeżem, tylko znalazł się w lesie. Zieleń stawała się coraz gęstsza i z każdym krokiem robiło się ciemniej. W końcu Bruno przystanął. Ścieżka ginąca w leśnym poszyciu odbijała na zachód, w stronę wsi. Mężczyzna miał dziwne przeczucie, że nie powinien nią iść. Jakby już kiedyś tu był. Rozejrzał się wokół, szukając odpowiedzi.

Nagle rozległ się trzask łamanych gałązek. Gdzieś w niewielkiej odległości od niego coś się poruszyło. Serce detektywa zaczęło bić szybciej. Czy ktoś go śledził? Zamarł i starając się zachować ciszę, uważnie obserwował krzak po swojej prawej stronie. Był raptem kilka kroków od niego. Jeśli przeciwnik jest sprawny, Bruno może nie zdążyć.

Gałązki ponownie trzasnęły i Bruno podjął decyzję. Najszybciej, jak umiał, rzucił się w stronę krzaka, próbując zaskoczyć napastnika. W tym samym momencie coś na niego wyskoczyło. Bruno przewrócił się na plecy. Serce biło mu jak oszalałe.

To była sarna. Stała w bezpiecznej odległości i patrzyła na człowieka.

Bruno się uśmiechnął. Wstał i się otrzepał, a gdy spojrzał jeszcze raz w kierunku sarny, jej już nie było. Ruszył dalej przez krzaki, z których wybiegło zwierzę. Wkrótce las zaczął się rozrzedzać, Bruno zbliżał się do jego skraju. Między drzewami zobaczył zieloną, skąpaną w słońcu polanę.

Bruno wziął głęboki oddech, rozkoszując się czystym powietrzem; w Warszawie się takiego nie uświadczy. Policjant patrzył. Polana wyglądała tak jak na zdjęciu, ale teraz – tak bardzo prawdziwa i jaskrawa – wydawała się bardziej nierzeczywista niż na monitorze. Nikt jej nie użytkował i zapewne dawno nikogo tu nie było. Bruno ruszył z miejsca i idąc, nie natknął się na jakąkolwiek działalność człowieka. Brakowało śladów po ogniskach czy walających się szkieł albo worków śmieci wyrzucanych byle gdzie, w celu uniknięcia zapłaty za wywóz. Nie. Otaczała go wysoka zielona trawa,

poprzeplatana gdzieniegdzie żółtymi, przysychającymi w czerwcowym słońcu żdźbłami. Kwitły czerwone polne maki i polana wyglądała jak skropiona krwawymi plamami. Bruno nie zwracał jednak na nie uwagi, bo skupił się na czym innym. Na środku polany rosło drzewo. Olbrzymi dąb. Kosowski uśmiechnął się do siebie i pokręcił głową z niedowierzaniem. Tak, znał to miejsce. Już tu kiedyś był.



**M**ężczyzna obok chrapał głośno. Jego żona zdawała się tym nie przejmować, pogrążona w równie głębokiej drzemce, na którą dostała przyzwolenie od chwilowo nie płaczącego dziecka. Bruno, jeszcze zanim wszedł na pokład, patrzył z obawą na tę rodzinę. Miał wyjątkowe szczęście do trafiania na miejsca obok dzieci. Tym razem dostał pełen zestaw: płaczące dziecko, poirytowaną mamę oraz tatusia, który zdejmując buty, niemalże wywołał płacz u swojego sąsiada.

Bruno spojrzął na zegarek – niedługo powinni lądować. Schylił się do plecaka i z trudem odnalazł w nim kilka kartek oraz długopis. Rozłożył stoliczek i z niesmakiem spojrzął na plamy, które sam zostawił po niezbyt smacznym podniebnym lunchu. Wobec braku jakiegokolwiek chusteczki z rezygnacją przetarł blat rękawem. Położył kartkę i zaczął szkicować. Nie był w tym najlepszy. Gdyby Kalina zobaczyła jego rysunki, z pewnością poprawiłby się jej nastrój.

Na szczęście rysunek nie należał do najtrudniejszych – było to raptem kilka kresek, parę kółek, jakieś zawijasy. Na cieniowaniu mężczyzna znał się jeszcze mniej, ale naszkicował tyle, ile pamiętał. Na koniec uśmiechnął się z politowaniem do swojego dzieła.

Ponownie zerknął na zegarek. Wieczorem był umówiony i miał wielką nadzieję się nie spóźnić. To spotkanie mogło być przełomowe. Sam nie wierzył w to, jak znalazł się w tym samolocie i dokąd zmierzał. Zamknął oczy i próbując ignorować głośne chrapanie mężczyzny siedzącego obok, odtworzył sobie przebieg ostatnich wydarzeń.



Bruno siedział w samochodzie obok zgliszczy domu Dmitrijewów i stopniowo dochodził do siebie po przeżytym szoku i męczącym spacerze po piasku, podczas którego złapała go ulewa. Całkowicie przemókł, a teraz przemókł także fotel kierowcy. Mężczyzna wciąż ciężko oddychał, gdy wybierał numer do Elżbiety Wilskiej. Nie było sygnału – zapomniał o kłopotach z zasięgiem, więc uruchomił samochód i podjechał do asfaltówki. Czarne chmury zasłoniły słońce i przyspieszyły nadejście nocy, jednak w okolicznych gospodarstwach wciąż toczyło się życie. Jakiś rolnik, również zaskoczony nagłą ulewą, prowadził stadko krów. Wszystkie ciągnęły za sobą grube łańcuchy, które z głośnym brzękiem odbijały się od drogi. Mężczyzna poganiał je wierzbową różgą.

Bruno uchylił okno. Nic nie pachnie tak, jak wieś po deszczu. Młodzi mieszkańcy wioski zdawali się podzielać jego opinię. Kilku chłopaków jechało rowerami z energią niespotykaną u ludzi z miast po całym dniu pracy. Wdychali zapach mokrego asfaltu, błota i świeżą woń zmokłych pól i pobliskich lasów. W końcu się ochłodziło.

Detektyw odgarnął przyklejony do czoła włos i ponownie wybrał numer Wilskiej. Sygnał już był, ale kobieta i tak nie odbierała. Powtórzył czynność jeszcze dwa razy. W końcu kobieta się odezwała.

– Halo? – spytała raczej oschle.

– Pani Elżbieto, tu detektyw Kosowski. Będę miał do pani kilka pytań...

– Był tu pan Borowiec – powiedziała. Bruno zaklął w duchu.

– Tak? – spytał, udając głupiego.

– Proszę już do mnie nie dzwonić – powiedziała i się rozłączyła.

– Niech to szlag! – krzyknął Bruno, gdy usłyszał w telefonie sygnał przerwane połączenia. Uderzył dłońmi o kierownicę i niechcący przeciągle zatrąbił. Skrzypnęła furtka i Bruno dostrzegł

zmierzającego w jego stronę niezadowolonego mężczyznę. Ruszył z piskiem i decydując się nie jechać przez wieś, zakręcił. Zostawił Dolistowo za sobą. Po piętnastu minutach zwolnił i odnalazł numer Filipa Wilskiego. Chłopak nie odbierał jeszcze bardziej uparcie niż jego matka – do skutku. Detektywowi została jeszcze jedna osoba, która być może znała odpowiedzi na jego pytania, i istniało przypuszczenie, że Piotr jeszcze z tą osobą nie rozmawiał. Przeszukał kontakty i w końcu ją znalazł. Wybrał numer i czekał.

Telefonu również nikt nie odebrał, więc Bruno napisał SMS-a z konkretnym pytaniem i jeszcze zanim poszedł spać, dostał odpowiedź, a w odpowiedzi adres. Teraz siedział w samolocie i za pięć minut będzie drugi raz w życiu gościł na francuskiej ziemi.

Mężczyzna obok oraz jego żona już nie spali, podobnie jak wszyscy w samolocie w zasięgu płaczu niemowlaka. Bruno wetknął słuchawki do uszu i odpalił największy jazgot, jaki znalazł na swojej playliście. Przyznał w końcu, że nie ma różnicy, kto wyje – czy artysta, czy dziecko, wyłączył muzykę i z rezygnacją stwierdził, że przeczeka.

Paryż obserwował z dziwną nostalgią. Kojarzył pewne miejsca, które mijał, jadąc taksówką. Spędził tu kiedyś dwa tygodnie z Rozalią i na każdym kroku pilnował się, żeby odwracać się do ukochanej plecami, gdy chciał zawiązać buta. Widział jednego nieszczęśnika, który zrobił to przodem do kobiety, i nie zazdrościł mu, gdy musiał się tłumaczyć, że rozwiązały mu się sznurówki. Widział też innego, który zrobił to specjalnie frontem do wybranki, dla żartu. Kelnerka powiedziała wtedy detektywowi, że to nie pierwszy taki żartowniś i że tacy zawsze źle kończą. Miała rację, bo dziewczyna zostawiła go na ich oczach.

Był to bardzo romantyczny wieczór, ale przywoływanie tęsknoty za Rozalią utrudniał kierowca taksówki. Omar pochodził z Maroka i zbyt głośno jak na standardy taksówek słuchał arabskiego radia. Bruno jednak szybko go polubił, bo Omar okazał się niezwykle sympatyczny i rozmowny. Znał Paryż lepiej niż niejeden Francuz i zabawiał pasażera opowieściami, których Bruno nie usłyszałby raczej z ust wykwalifikowanego przewodnika.

– Czemu tam jedziesz? – spytał Bruna po dłuższej pogawędce, gdy mijali wieżę Eiffla. Była pięknie oświetlona, co dało się zauważyć

mimo wciąż jasnego wieczoru. Bruno był zmęczony i takie pytanie z ust taksówkarza w Warszawie uznałby za pewną bezczelność, ale od dawna nie miał z kim pogadać.

– Dla kobiety – odparł.

– Dla kobiety? Tam? Ha, ha! Człowieku! To źle brzmi. Powinienem cię wydać policji, chyba że ta kobieta tam pracuje – powiedział taksówkarz, nie zważając na swój kiepski angielski.

– Spokojnie – odparł Bruno, szczerząc zęby. – Sam jestem z policji. Jadę dla kobiety, nie do kobiety.

– I jedziesz tam bez niej? To też dziwne.

– To chyba zależy od tego, co chcę dla niej zrobić, nie?

– Racja, racja. Ja też mam kobietę – powiedział Omar. Bruno uśmiechnął się tylko. – Przyjechałem tu dla niej.

– Tak?

– Tak. To Francuzka. Była na wakacjach w Fezie, tam się poznaliśmy. I jesteśmy małżeństwem już dziesięć lat.

– To musieliście się pobrać młodo.

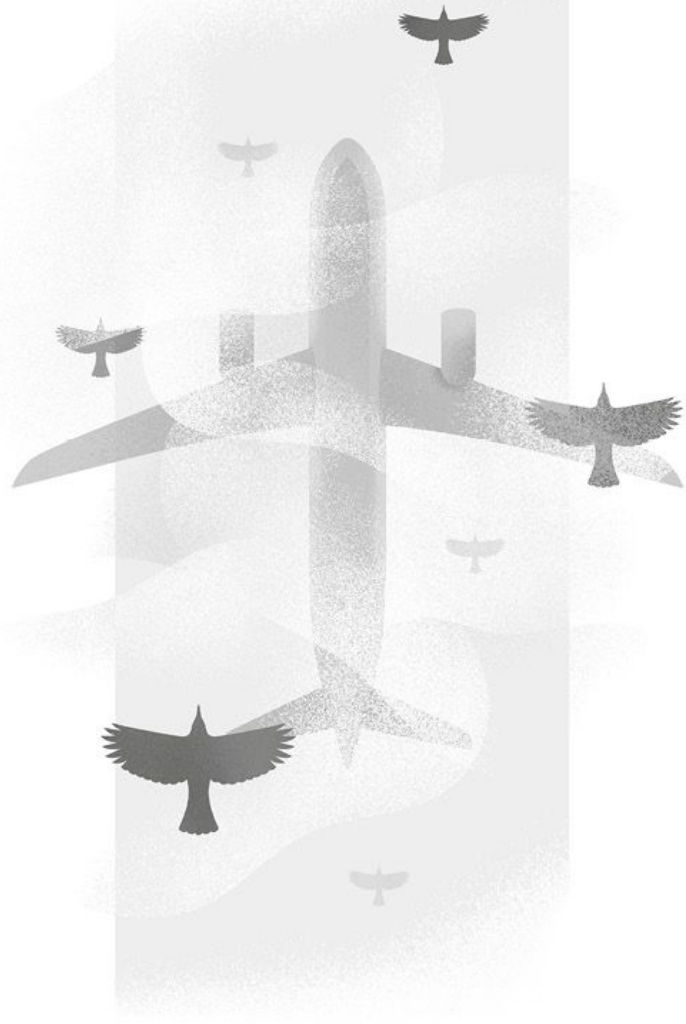
– Ha, ha! Człowieku! Zależy kto! Ja byłem młody, dwadzieścia pięć lat, ale ona... ona miała czterdziestkę! Takie kobiety są najlepsze. Mówię ci!

Reszta drogi upłynęła im w milczeniu. Byli już zresztą prawie na miejscu. Omar zatrzymał się przy wąskiej ulicy pod podniszczoną starą kamienicą, której bogato zdobione secesyjne ornamenty uległy zaniedbaniu, co musiało wytrącać z równowagi niejednego fana architektury. Na schodkach kamienicy stała kobieta. Omar, widząc ją, spojrzał znacząco na swojego pasażera i uśmiechnął się szeroko, kiwając głową. Bruno przytaknął pospiesznie, udając pełne porozumienie z taksówkarzem. Miał nadzieję, że policzy mu mniej za kurs, ale nic takiego się nie wydarzyło. Kosowski wręczył mu napiwek i wysiadł. Trzasnął głośno drzwiami, tak że kobieta spojrzała na niego z przyganą.

Był zmęczony. Wolał najpierw zajść do hotelu i trochę się odświeżyć, ale nie mógł sobie na to teraz pozwolić. Stał przed schodami i spojrzał z dołu na kobietę. Ta patrzyła na niego z góry. W końcu uśmiechnęła się eleganckim, wystudiowanym uśmiechem.

– Bruno Kosowski? Zapraszam – powiedziała i zniknęła za bogato okutymi w roślinne kształty wrotami.





Athena Kanakaredes pochodziła z Grecji, w której od narodzin bywała jedynie okazjonalnie. Większość życia spędziła we Francji, ale czuła się Greczynką z krwi i kości. Dlatego kultywowała tradycje, na jej biurku stała mała biało-niebieska flaga, a jej wychowankowie znali mitologię grecką na pamięć. Słuchała nieustannie Marii Callas i – chociaż nie chciała tego nikomu przyznać – stylizowała się na nią. Były podobne. Athena miała spory nos, który z dumą wysoko zadzierała, i piękne czarne włosy, które mimo wieku nie siwiały. Kobieta malowała sobie czarne kreski na powiekach, ubierała się elegancko, ale skromnie. Jediną droższą ozdobą, na jaką sobie pozwalała, był sznur pereł, który odziedziczyła po matce. Athena nie mogłaby sobie na taki pozwolić ze swojej pensji. Prowadzenie domu dziecka nigdy nie dawało wielkich zarobków.

Nie zaskoczył jej wczorajszy telefon od tego Polaka. Dostawała takie często. Ludzie szukali swoich bliskich, ale zwykle nie znajdowali ich u niej. To, co odróżniało tego mężczyznę od pozostałych, to fakt, że nie był spokrewniony z osobą, której szukał, był policjantem i jako jeden z nielicznych uparł się z nią spotkać na miejscu. To sprawiło, że Athena była pod wrażeniem – małym, ale jednak.

Mężczyzna się spóźnił. Athena wyszła na schodki secesyjnej kamienicy na spotkanie z nim. Ruszał się powoli i nie wzbudził w niej zaufania, ale złe wrażenie zniknęło, kiedy stanął przed nią i w jej oczy rzucił się jego okazały nos. Trochę się rozchmurzyła i poprowadziła mężczyznę do środka. Zdjęła buty i poprosiła go o to samo. Posłusznie wykonał polecenie. Cały czas przeproszał ją za swoje spóźnienie, więc zapewniła go, nie do końca zgodnie z prawdą, że nic się nie stało. Idąc długim korytarzem, minęli wejście do stołówki, gdzie gromadka starszych dzieci kończyła posiłek.

Athena podejrzewała, że mężczyzna obserwuje wszystko z zainteresowaniem. Zwykle tak było, gdy ktoś przychodził tu pierwszy raz.

Na końcu korytarza znajdowały się stare przeszklone drzwi w zielonej ramie. Były równie wiekowe, co ten budynek. Athena nacisnęła klamkę i popchnęła je przed siebie, ponawiając zaproszenie. Zajęła miejsce za drewnianym biurkiem i wskazała fotel Polakowi. Rozsiadł się niezdarnie, rękawem zawadził o flagę na biurku i strącił ją na ziemię. Athena zrobiła poirytowaną minę, ale ponownie powiedziała mężczyźnie, że nic się nie stało, gdy ten zaczął ją wylewnie przeproszać.

– Zrobię panu mięty – oznajmiła pięknym angielskim z wystudiowanym greckim akcentem, którego nie zdążyła nabyć w swoim kraju.

Wstała od biurka naznaczonego przez długopisy, szpilki i cyrkle. Ten mebel musiał mieć tyle lat, co ona, czyli niemało. W tym roku kończyła pięćdziesiąt pięć lat. Athena podeszła do zabudowy zasłaniającej całą ścianę za biurkiem. Otworzyła właściwe drzwiczki i zagotowała wodę w elektrycznym czajniku.

– Gdzie się pan zatrzymał? – spytała mężczyznę.

– W najbliższym hotelu. Po sąsiedzku.

– A... Fleur-de-Lys. Niech pan uważa, mają karaluchy – uprzedziła, ale mężczyzna nie odpowiedział. Czekwała, aż woda się zagotuje, i wyglądała przez okno po swojej lewej stronie. Miała stąd doskonały widok na ulicę. W końcu, gdy czajnik zagwizdał, wrzuciła torebkę z miętą do pękniętego kubka i zalała do pełna. Nie miała niestety nic lepszego w tej chwili. Najładniejsze filiżanki potłukły się w ciągu ostatnich lat.

Podeszła do biurka pewnym krokiem, nie patrząc na falujący wrzątek, i z gracją postawiła kubek przed przybyszem. Zasiadła wyprostowana na trzeszczącym fotelu i złożyła blade dłonie na mahoniowym biurku.

– Słucham pana – powiedziała, patrząc mężczyźnie w oczy. Polak sięgał właśnie po kubek i gdy tylko spróbował mięty, natychmiast się zakrztusił. Athena nie знаła jego języka, ale postawiłaby swoje rodowe perły na to, że mężczyzna siarczyście zaklął.

– Dziękuję, że mnie pani przyjęła – powiedział, gdy doszedł do siebie.

– Musi pan wiedzieć, że pracuję tu przeszło trzydzieści lat. Nie pamiętam wszystkich dzieci, które przewinęły się przez ten dom – powiedziała szczerze Athena, powtarzając to, co mówiła już temu człowiekowi przez telefon.

– Ja wiem. Ale mimo wszystko pokładam w pani nadzieję.

– Byłoby łatwiej, gdyby ta osoba spędziła tu dłuższy czas... Im dłużej tu są, tym lepiej je pamiętam – odparła Athena ze smutnym uśmiechem. – Nazwisko, które mi pan podał, absolutnie nic mi nie mówi.

– A przeglądała pani archiwa? Muszą istnieć przecież jakieś dokumenty – powiedział z nadzieją w głosie. Athenę zwykle ścisnęło za serce, gdy ktoś mówił do niej tym tonem. Zazwyczaj były to dzieci, a ich nadzieja często pozostawała złudna.

– Dwanaście lat temu mieliśmy mały pożar, spłonęła część... mikroskopijna część dokumentów. Byłoby to bardzo pechowe, ale nie można wykluczyć, że dokumenty dotyczące poszukiwanej poszły z dymem.

Mężczyzna westchnął ciężko i opadł z rezygnacją na oparcie. Athena spojrzała z niepokojem; już dwa razy osobiście sklejała to krzesło.

– Być może jednak dam radę panu pomóc – powiedziała, obserwując go z dobrze ukrywanym współczuciem.

– Naprawdę? – ożywił się.

– Tak... – potwierdziła. – Nie pamiętam wszystkich dzieci, ale pamiętam każdą matkę.

Przeniosła wzrok na okno. Poznałaby każdą matkę, która pojawiłaby się teraz pod kamienicą. Ale to się nie wydarzy, bo one tu nie wrócą.

– Pamiętam te kobiety przez ich cierpienie – powiedziała, gdy obudziła się z chwilowej zadumy.

Zgarnęła poluzowany lok, który oswobodził się z mocy lakieru, i wsadziła go za ucho. Sama nie zauważyła, że przyjęła swobodniejszą pozycję. Pochylała się w kierunku mężczyzny, garbiąc się, jak kobiecie nie przystoi. Natychmiast się wyprostowała.

– Te kobiety często cierpiały, tak jak ich dzieci. A jeśli tak nie było, wtedy cierpiałam z dziećmi ja. Mam okropny dar do zapamiętywania cierpienia.

Mężczyzna uniósł brwi, poruszony ciężarem wspomnień Atheny. Ten wyraz twarzy był jej znajomy, widywała go wielokrotnie.

– Kiedy moje dzieci chcą znaleźć swoich rodziców, zwykle mówię, że nie pamiętam – powiedziała.

– Ale przed chwilą powiedziała pani, że pamięta wszystkie matki.

– Kłamię, proszę pana. Gdy wiem, że matka oddała dziecko bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia, bez oporów, wtedy ja kłamię, również bez oporów.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Czasem jednak się zastanawiam, kiedy wiem, że rozstanie matki i dziecka wyglądało zgoła inaczej. Ale i tak uważam, że czasem lepiej dla obu stron, gdy się nie spotkają.

Athena dostrzegła w spojrzeniu gościa dezaprobatę, ale nie zamierzała z nim polemizować. Co on mógł wiedzieć na ten temat?

– Pamięta pani kobiety, które przyszły do pani, by zaopiekować się dzieckiem? – spytał.

– Pamiętam każdą osobę, która pokochała moje dziecko.

Detektyw sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej telefon. Poprosił, żeby poczekała, i zaczął czegoś szybko w nim szukać. Przeklął coś znowu, mówiąc o roamingu. W końcu przestał przewijać ekran i przesunął komórkę po blacie.

Athena spojrzała na uśmiechniętą blondynkę na zdjęciu. Były w podobnym wieku, ale na pierwszy rzut oka tamta kobieta miała sprawnego chirurga. Athena przymknęła oczy i zamyśliła się na chwilę. Gdy je otworzyła, przesunęła telefon z powrotem w stronę mężczyzny. Patrzył na nią pytająco.

– Pamiętam – powiedziała.

Mężczyzna czekał.

– Prawie się nie zmieniła – dodała z przekąsem. – Pamiętam ją i mężczyznę, z którym tu była. Był jej mężem. Czarne włosy, siwe skronie, wąsy... Tak, to mogły być początki mojej pracy tutaj.

– Może tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty? Dziewięćdziesiąty pierwszy? – dopytywał. Athena zbyła go ręką. Aż takiej pamięci nie miała.

– Ta para bardzo chciała adoptować dziecko. Nie pamiętam, o co chodziło, ale mieli chyba jakieś problemy z tym, żeby zrobić to u siebie w kraju. Jak rozumiem, w Polsce?

– Tak.

– No właśnie. Dlatego przedstawiliśmy im dziewczynkę. Była w połowie Polką, więc wydawało się to właściwe.

– Tak, rozumiem – przytakiwał mężczyzna, chcąc się chyba przypodobać.

– To było ładne dziecko – powiedziała.

– Mówiła pani, że nie pamięta dzieci.

– Bo to prawda. Ale to utkwiło mi w pamięci ze względu na inną narodowość. W całej mojej karierze miałam mało dzieci spoza Francji.

– Ale to była pół-Francuzka?

– Tak. Przynajmniej tak nas zapewniała jej mama – powiedziała Athena.

– Mama? – spytał mężczyzna. Kobieta powoli kiwnęła głową. Wracała myślami do wydarzeń rozgrywających się dawno temu.

– Młoda kobieta. Takich trafia tu najwięcej. Była bardzo ładna, miała tę waszą słowiańską urodę. Nosiła długie blond włosy, całkiem proste, moje przeciwieństwo – powiedziała z uśmiechem. Mężczyzna odwzajemnił go z grzeczności. – To już nie była ta dekada, ale ta dziewczyna to była taka hipiska. Chyba się uczyła we Francji, nie jestem pewna. Ale wyglądała na studentkę. Nie wiem, czy pan wie, o co mi chodzi. Miała luźny styl, rozwichrzony włos, ciężką torbę na ramieniu.

Mężczyzna kiwał głową.

– No właśnie. Przyniosła tu dziecko. Wydaje mi się, że dałaby radę się nim zająć, ale była trochę przestraszona wizją samotnego macierzyństwa. Bo chyba mężczyzna zniknął, gdy się dowiedział. Nie wiem, ale tak zakładam. No i dziewczyna była jednak egoistką. Większość z nich jest. Dobrze, że przynajmniej zostawiła coś małej na pamiątkę... – powiedziała Athena nieco chłodniej.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmiętą kartkę. Rozprostował ją pospiesznie i położył przed nią na biurku.

– Czy to mogło być...? – zaczął.

– Tak. Tak sądzę.

– A czy... – zaczął gość. – Czy to był przypadek, w którym rozważyłaby pani przedstawienie matki dziecku?

Athenę zdziwiło to pytanie, ale po chwili namysłu musiała przyznać, że tak. Rozważyłaby to, ale niekoniecznie by się na to zdecydowała.

– To dziecko... dostało nazwisko matki?

– Nie pamiętam – powiedziała Athena i rozpromieniła się na chwilę. – Ale miało śliczne imię, moje ulubione. Tylko matka je spolszczyła, więc nieco je popsowała.

– Doprawdy? Mogę wiedzieć jakie? – pytał mężczyzna ze szczerym zainteresowaniem.

Athena się uśmiechnęła.

– Szarlotta, od francuskiego Charlotte. Ale mówiliśmy na nią Lotka.





Stewardesa siedziała tyłem do kierunku lotu i z zainteresowaniem obserwowała zajmującego miejsce naprzeciwko mężczyznę. Oczy miał przymknięte, ale wiedziała, że nie śpi. W swojej pracy codziennie widywała śpiących ludzi. Podrygiwali przez sen, pod powiekami wirowały im gałki oczne, głowy opadały im do przodu. Gdy dla odmiany opierali głowę o zagłówki, wszyscy bez wyjątku otwierali usta. Nie. Ten mężczyzna zamknął oczy dopiero podczas lądowania, najwyraźniej nad czymś intensywnie się zastanawiał albo bał się ostatniej fazy lotu. Nagle otworzył oczy i spojrzał prosto na nią z wyrzutem, jakby wyczuł, że kobieta mu się przygląda. Uśmiechnęła się do niego, chociaż poczuła się zażenowana. Kiedy mężczyzna zdawkowo odwzajemnił uśmiech, przeniosła wzrok na swoje nienagannie pomalowane paznokcie i próbowała sobie wmówić, że ten typ to jednak żaden myśliciel, a zwykły boidudek.

Bruno nie bał się lądowania. Czekał tak niecierpliwie, że niemal źle się czuł, dlatego przymknął oczy. Chciał tylko włączyć telefon i zajrzeć na Facebooka, jak niejeden nastolatek w tym samolocie. Kiedy koła maszyny dotknęły ziemi, a ludzie wokół zaczęli klaskać, Bruno patrzył na kontrolkę nad głową. Koła przestały się kręcić, rozległ się przyjemny sygnał i nieliczne kłapnięcia pasów. Mężczyzna natychmiast wyciągnął komórkę i wyłączył tryb samolotowy. Stewardesa naprzeciwko zgromiła go wzrokiem, ale nie zważał na to. Liczył się tylko zasięg.

Bruno włączył aplikację. Już miał wpisać w wyszukiwarkę interesujące go nazwisko, ale nagle na ekranie pojawiło się kilka powiadomień. Wszystkie informowały o jednym: dzwonił do niego Piotr.

– Wysiada pan? – spytała kobieta w średnim wieku, która zatrzymała się za jego rzędem, powodując za sobą mały korek. Nie

mając czasu na zastanowienie, Bruno złapał za torbę, którą trzymał pod fotelem, i ruszył do wyjścia. Nie nadawał bagażu, więc na parking dotarł szybko, ale jeszcze zanim odszukał właściwy samochód, poczuł wibracje w kieszeni. Znowu dzwonił Piotr. Bruno chwilę się wahał, walcząc z własną dumą, ale w końcu postanowił odebrać.

– Czego chcesz? – rzucił nieuprzejmie.

– Tak się obraziłeś? Dzwonię od kilku godzin! – krzyknął Borowiec.

– Mam urlop, nie muszę od ciebie odbierać. Czego chcesz, pytam.

Piotr westchnął. Bruno był przekonany, że kolega przymknął oczy i potarł się po nosie. Robił tak zawsze, kiedy próbował się uspokoić.

– Przeoczyłeś coś, kretynie – powiedział w końcu.

– Licz się ze słowami...

– Ciężko mi się liczyć ze słowami, Bruno. Uwierz mi. Ledwo się kontroluję.

– Co niby przeoczyłem? – spytał detektyw.

– Raport. Przeoczyłeś pierdolony raport.

Bruno milczał, analizując słowa partnera. Facet przeklinał tylko wtedy, kiedy miał dobry powód.

– Bzdura – powiedział asekuracyjnie.

– Bruno... te papiery zamiecione pod ścianę. Wśród nich była ekspertyza.

Bruno poczerwieniał na twarzy, ale nie odpowiedział.

– Słuchaj... – kontynuował Piotr, ale na chwilę się zawiesił, jakby nad czymś się zastanawiał. Bruno czekał. – Podeślę ci skan na maila. Zobaczysz sobie.

Detektyw zamrugał nerwowo, ale poczuł, jak kamień spada mu z serca.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie dziękuj – odparł chłodno Piotr. – Byłem ci to winien. Sam zrobiłeś kawał dobrej roboty. No może nie do końca sam... Ale beze mnie.

Bruno chwilę bił się z myślami. Chciał mu zadać jeszcze kilka pytań. Zobaczył jednak swój samochód i już miał się pożegnać, ale Piotr nie dał mu dojść do głosu.

– Nie zamierzasz o nią spytać? – powiedział.

Bruno przełknął ślinę tak głośno, że był pewien, iż kolega go usłyszał.

– A odpowiedziałbyś? – spytał.

– Nie wiem... – odparł Piotr i westchnął. – Wypuścimy ją w każdym razie – dodał, a serce Bruna podskoczyło mu aż do gardła. – Za jakieś dwie godziny będziesz mógł z nią pogadać. Chociaż... jako przyjaciel sugeruję, żebyś tego nie robił.

Bruno pokonał drogę do samochodu w podskokach.

– Dzięki, stary – rzucił i się rozłączył, by pospiesznie wyjąć kluczyki. Chwilowo zapomniał o Facebooku i o przeoczonej ekspertyzie. Zastanawiał się tylko nad tym, gdzie w okolicy komendy znajdzie kwiaciarnię.



Kwiaciarni nie było. Bruno nie mógł w to uwierzyć, wszak czasem kogoś wypuszczali na wolność. Był zatem potencjalny klient, ale żaden handlarz nie pokusił się o wykorzystanie takiej luki. Zamiast tego kolejni inwestorzy w okolicy otwierali kolejne apteki, tak że na jednej ulicy znajdowały się już trzy. Bruno zaklął w duchu. Zaraz sam wejdzie do którejś z nich i weźmie coś na uspokojenie.

Zamyślił się, czy po drodze nie minął jakiejś budki z kwiatami, ale jedyne, co zapadło mu w pamięć, to stojąca pod hipermarketem pani z własnoręcznie robionymi bukietami. Jakieś dziesięć minut jazdy od komendy. Bruno sięgnął po telefon, żeby sprawdzić godzinę. Ma jeszcze chwilę. Zdąży nawet sprawdzić tego Facebooka i pechową ekspertyzę.

Kliknął niebieską ikonkę i wpisał nazwisko. Poszukiwana osoba miała mnóstwo zdjęć i muzyki na swoim profilu, ale nie publikowała żadnych wpisów. Trudno, i tak interesowały go głównie fotografie. Wśród spotkań ze znajomymi, talerzy pełnych wykwinnych potraw i modnych warszawskich miejsc znalazł obrazek, na który liczył – świeżo wydziergany tatuaż z czarnym ptaszkiem. Spojrzał na datę.

Wszystko się zgadzało. Było to jak ostateczne potwierdzenie jego przypuszczeń, ale mógł uzyskać jeszcze jedno. Wybrał numer w telefonie. Spodziewał się, że nikt nie będzie chętny do rozmowy z nim, ale na szczęście po chwili pełnego napięcia oczekiwania usłyszał miły głos starszej pani. Zadał pytanie i uzyskał odpowiedź. Tak. Bruno miał rację.

Kolejna sprawa – ekspertyza. Mężczyzna przyznał w duchu, że faktycznie o niej zapomniał. Nawet jeśli jej nie zauważył – co nie było takie trudne w tym bałaganie – powinien był się o nią dopytywać w laboratorium. Spieprzył to. Ale nie pora na roztrząsanie. Otworzył skrzynkę pocztową, gdzie czekała już na niego wiadomość.

Ekspertyza była krótka, a przynajmniej dałoby się ją do krótkiej streścić, pomijając cały naukowy bełkot. Na oknie nie było odcisków palców, na drzwiach do gabinetu również – poza odciskami pozostawionymi przez policjantów. Wszystko w pokoju było prawie nieskazitelnie czyste, wolne od kurzu i paprochów. Wszystko poza jednym miejscem.

Spod okna, przez które wypadł Wilski, pobrano jedną próbkę – próbkę substancji, która kleiła się do butów funkcjonariuszy. Bruno mógł w końcu poznać jej skład. Chociaż, z racji tego, że o niej zapomniał, szczególnie na nią nie czekał... Nie umniejszyło to jednak jego zdziwienia i konsternacji, kiedy skończył czytać.

Mężczyzna oparł się o zagłówek, założył ręce za głowę i przymknął oczy. Sprawa Wilskiego wydawała się coraz bardziej zawiła, ale detektyw paradoksalnie czuł, że jest już blisko poznania prawdy. Z rozmyślań wyrwało go głośnie burczenie w brzuchu. Nic dziwnego, to ten dokument tak na niego podziałał.

Bruno spojrział na zegarek. Miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, by zajechać po kwiatki do stojącej obok hipermarketu starszej pani. Uśmiechnął się i ruszył po bukiet, wierząc, że Kalina będzie nim oczarowana.



**E**merytura Reginy pozwalała jedynie na bardzo skromne życie, więc kobieta, z racji tego, że była zaradna, często dorabiała na różne sposoby. Czasem upiekła ciasto i sprzedała je na targu, zdarzało jej się opiekować czymś dzieckiem, a kiedy dzień był słoneczny, wyruszała na swoją małą działkę, by uprawiać kwiaty. Kiedy jej ogródek robił się kolorowy, zbierała najładniejsze okazy i układała z nich oraz z kwiatków zebranych pod blokiem oryginalne bukiety. Było to ulubione zajęcie zarobkowe kobiety, które kosztowało ją najwięcej pracy i przynosiło najmniej zysku. Tylko dziś Regina stała pod sklepem od samego rana i sprzedała raptem dwie wiązanki. Z niepokojem patrzyła na pozostałe trzy, które pod wpływem ciepła zaczynały więdnąć. W ciągu dnia podchodziło do niej kilka kobiet, ale obejrzawszy jej małe dzieła sztuki, szybko odchodziły. Nikt nie chciał kupować takich bukietów, nikt nie doceniał ich naturalnego uroku.

Regina z nadzieją patrzyła na młodą matkę z dzieckiem, która podeszła, by przyrzyć się kwiatom, ale kiedy ta podziękowała i ruszyła w swoją stronę, emerytka postanowiła, że czas już wracać do domu. Nic już dziś nie uhandluje. Zarobiła raptem trzydzieści złotych. Z rezygnacją wrzuciła bukiety do płóciennej torby i już miała odejść, gdy zobaczyła pędzącego w jej stronę wysokiego mężczyznę w okularach. Obleciał ją strach i mocniej złapała za torebkę. Rozejrzała się wokół. Na szczęście nie była sama. W razie czego będzie miała świadków.

Blondyn zatrzymał się przed nią i cały zziębnięty oparł dłonie o kolana. Dała mu chwilę, wciąż mocno ściskając torebkę. W końcu mężczyzna się wyprostował, odgarnął włosy z twarzy i uśmiechnął się rozbrawiająco. Pięćdziesiąt lat temu z pewnością by się zarumieniła.

– Dzień dobry – powiedział. – Czy już sprzedała pani wszystko? Liczyłem, że jeszcze zdążę.

Regina zamrugwała nerwowo, ale poczuła, jak znowu wstępuje w nią nadzieja. Obdarzyła mężczyznę trochę spiętym uśmiechem i zajrzała do torby. Kwiaty nie wyglądały najlepiej.

– Mam jeszcze trzy bukietiki... – powiedziała. – Ale głupio by mi było brać za nie pieniądze... Trochę przywiędły.

Mężczyzna ledwo zauważalnie zmarszczył czoło i oparł dłonie o biodra. Pod jego pachami na kraciastej koszuli odznaczyły się duże plamy potu.

– Mogę zobaczyć? Może nie jest tak źle – powiedział z nadzieją w głosie.

Regina sięgnęła do płóciennej torby i wyjęła trzy bukiety. Na pierwszy rzut oka może wyglądały zadowolająco, ale kobieta wiedziała, że już długo nie postoją.

– Eee... – powiedział mężczyzna. – Nie jest tak źle. Mam tylko jedną prośbę. Czy ułożyłaby pani z nich jeden bukiet?

Regina spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Jeden bukiet? – spytała, nie dowierzając.

– Tak. Kwiaty są piękne, ale bukiet będzie wtedy pełniejszy. Dałoby się tak zrobić?

– Oczywiście! – odparła Regina i pospiesznie zdjęła bibułkę z bukietików. Fantazyjnie połączyła je w całość i oplotła nową bibułką, którą trzymała w torbie.

– Cudownie! – zakrzyknął nieznajomy. – Ile się należy?

– Och... Trzydzieści złotych wystarczy... – powiedziała Regina nieśmiało. Mężczyzna zaczął szukać w portfelu pieniędzy i w tym samym czasie rozdzwonił się jego telefon. Jego ruchy stały się bardziej nerwowe, ale po chwili wyciągnął banknot pięćdziesięciozłotowy oraz telefon, na którego ekran patrzył z dziwnym wyrazem twarzy. Wręczył jej pieniądze, a widząc, że kobieta zaczyna szukać reszty, powiedział, żeby się nie kłopotowała.

Regina zarumieniła się i chciała nawet zaprotestować, ale mężczyzna skłonił się i odszedł z telefonem przy uchu. Nie widziała już jego twarzy, więc nie mogła dostrzec, jak bardzo jest wściekły.



Bruno rzucił kwiaty na tablicę rozdzielczą i pospiesznie przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyjeżdżając z parkingu, niemal uderzył w inny samochód, więc zwolnił na moment, żeby się uspokoić. Przystanął i oparł się o kierownicę.

Rozmowa z Piotrem znowu była nerwowa. Tym razem kolega poszedł na rekord, jeśli chodzi o podnoszenie koledze ciśnienia. Bruno trawił informacje: Kalina została wypuszczona zaraz po ich wcześniejszej rozmowie na wniosek Generała, a Piotr nie miał czasu, by go o tym powiadomić. Sam powód tego braku czasu był również interesujący...

– Mieliśmy akcję u Wilskich, Bruno – powiedział mu Piotr przez telefon.

– Jaką akcję?

– Robiliśmy przeszukanie.

– Coś znaleźliście?

– Tak... W schowku w jednym z pudeł znaleźliśmy resztki po charakteryzacji, Bruno. I czarną perukę. Kalina będzie ponownie aresztowana, ale tym razem postawimy jej zarzuty.

– Ale...

– Nie mam czasu gadać, Bruno. Jedziemy po nią. Nie próbuj kontaktować się z dziewczyną – powiedział i się rozłączył.

Bruno czuł, jak krew wrze mu w żyłach. Idioci. Kalina nie potrzebuje czarnej peruki.

Mężczyzna już miał ruszać, gdy ponownie zadzwonił jego telefon. Złapał za niego pospiesznie i nie zastanawiając się nawet, czyj to numer, odebrał.





Leszek Trocki obudził się dziś wyjątkowo zestresowany, ale nie potrafił tego stresu w żaden sposób uzasadnić. Owinął się ciaśniej kołdrą, chociaż poranek był ciepły, i zacisnął powieki, licząc na to, że niepokój sam zniknie. Przysnął przez to na kolejną godzinę i jeszcze bardziej zdenerwowany zerwał się z łóżka – zaspał do pracy. Rzucił się do łazienki, pospiesznie i niedokładnie umył zęby, znalazł wczorajsze ubranie i zarzucił je na siebie. Jeszcze telefon... Gdzie go wczoraj położył? I co on właściwie wczoraj robił?

Trocki opadł na łóżko i złapał się za głowę. Wieczne wydarzenia wracały do niego strzępkami. Karolina była u niego, ale zachowywała się jakoś podejrzanie. Przyniosła wino, była dziwnie pobudzona, ale gdy na chwilę zostawiał ją samą, by zaraz do niej wrócić, zastawał ją przygnębioną i zamyśloną. Błądziła gdzieś we własnym świecie. Kiedy przytapała go na tym, że badawczo jej się przygląda, natychmiast zmieniała swoje zachowanie.

Spędzili kolejną upojną noc, ale Leszkowi nie dawał spokoju fakt, że niewiele z niej pamięta. Upili się chyba mocno. Tak właśnie musiało być. Chociaż... w sumie wypili tylko jedną butelkę wina na ich dwoje. Architekt podniósł się i tknięty złym przeczuciem skierował się do kuchni. Znalazł dwa kieliszki, ale oba były idealnie czyste. Nie pamiętał, żeby je mył, a Karolina nie zrobiła tego ani razu, od kiedy się spotykali.

Przypomniawszy sobie o telefonie. Sprawdził kieszenie spodni i aktówkę, ale nigdzie go nie było. Zwrócił wzrok w stronę łóżka. Rzadko kiedy odkładał tam komórkę, ale nie widział już innej możliwości... Obok łóżka stał stolik nocny z szufladą. Trocki trzymał w nim różne rzeczy, które lubił mieć przy sobie, gdy szedł spać, na przykład zdjęcie żony, córki, Karoliny i Elżbiety. Zdjęcia przechowywał w kopercie przyklejonej do spodu szuflady, tak że ryzyko, że Karolina je znajdzie, było niewielkie.

Leszek wysunął szufladę. Na stosie złożonym z jakichś papierów i brudnych chusteczek leżał jego telefon. Sięgnął po niego z ulgą i już miał wykręcić numer do Karoliny, kiedy coś go tknęło. Na filmach bohaterowie sprawdzali wiadomości i zdjęcia z imprez, z których nic nie pamiętali. Leszek uśmiechnął się na myśl, że i on może znaleźć coś wstydliwego w komórce, i otworzył skrzynkę. Kiedy zobaczył jej zawartość, serce podskoczyło mu do gardła. Sprawdził też galerię zdjęć. Zawartość była taka sama. Pustka. Na telefonie nie miał nic.

Pospiesznie wystukał numer Karoliny, który znał na pamięć, ale zauważył przy tym, że aparat go nie rozpoznaje. Odczekał sygnał, drugi, trzeci. Rozłączył się i zadzwonił jeszcze raz, a potem kolejne kilka razy, ale dziewczyna nie odbierała.

Zadzwonił do pracy i zapowiedział, że się spóźni. Musi jeszcze pojechać do Podkowy. Musi się dowiedzieć, co się wydarzyło. Co się dzieje z Karoliną. Pospiesznie ruszył do drzwi i nagle poczuł, że traci grunt pod nogami. Po chwili leżał na podłodze, cały obolały. Ze złością obejrzał się, żeby zobaczyć, co zagrodiło mu drogę i spowodowało upadek. Na środku korytarza leżała foliowa torba, z której wypadły skórzane buty. Musiały leżeć pod rzuconą na posadzkę pościelą, dlatego ich nie zauważył.

Coś mu świtało... Kojarzył te buty. Ale nie przypominał sobie, by widział je na kimś... Tak! Karolina przyniosła je kiedyś i najwyraźniej o nich zapomniała. Miała oddać buty do pralni w drodze na uczelnię. Musiały nie być dla niej szczególnie ważne, skoro przeleżały tu już ze dwa miesiące. I to co najmniej dwa miesiące – Leszek nie dałby sobie ręki uciąć, czy nie więcej. Ech, powinien zrobić porządku. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył walające się po kątach koty kurzu, które tylko utwierdziły go w tym pomyśle.

Zacznie od butów. Pojedzie z nimi do pralni, jak już spotka się z Karoliną. Dziewczyna na pewno ucieszy się, że chce to dla niej zrobić. Leszek wrzucił mokasyny do torby i chwycił za aktówkę. Po chwili zmierzał już do domu Wilskich, wierząc, że niepokój, który odczuwał od rana, jest kompletnie nieuzasadniony. Próbując odegnać natrętne myśli, gawędził z radiem i nucił pod nosem młodzieżowe hity. Nie wiedział jeszcze, że ten dzień nie zakończy się tak, jak by sobie życzył.

Przestronna kawiarnia wyposażona w stare stoły i kolorowe krzesła była tradycyjnie niezwykle zatłoczona o tej porze dnia, nawet jak na Warszawę. Babcine żyrandole i kwieciste poduszki, a także obowiązkowo podawana woda z ogórkiem sprawiały, że miejsce odwiedzały głównie kobiety, które przy zapachu świeżo wypiekanego pieczywa spotykały się na plotki i biznes lunche.

Bruno był jednym z niewielu mężczyzn w kawiarni i jedynym, który nie przyszedł tu z żoną. Rozglądał się nerwowo na boki, wyglądał przez okno i zerkał na telefon. Czekał. Gdy tylko dzwonek zawieszony przy wejściu oznajmiał przybycie nowego klienta, Kosowski niemal zrywał się z miejsca. Nie miał ochoty na czekające go spotkanie, ale wierzył, że będzie ono istotne. Dlatego gdy próg kawiarni przekroczył mizerny, przełęczony mężczyzna, Bruno prawie odetchnął z ulgą, że nie musiał na niego długo czekać.

Leszek Trocki przybył na spotkanie szybko, tak jak obiecał, co było dość zaskakujące, biorąc pod uwagę jego osobowość. Bruno nie wątpił, że architekt zawsze stara się wywiązywać z obietnic. Nie był tylko pewien, czy mu się to udaje. Trocki wypatrzył detektywa bez trudu i pospieszył do jego stolika pod oknem, niezdarnie przeciskając się między krzesłami. Popchnął przy tym dwulatka, który natychmiast poleciał z płaczem do mamy. Architekt zarumienił się i przeprosił pospiesznie, nie zatrzymując się, by sprawdzić, czy dzieciakowi nic się nie stało. Opadł na krzesło naprzeciwko detektywa i rzucił pod nogi reklamówkę, w której znajdował się jakiś niewielki przedmiot. Westchnął ciężko i gdy tylko kelnerka przyniosła mu szklankę, nalał sobie wody z ogórkiem i opróżnił całość jednym haustem. Bruno przyglądał mu się badawczo, ale zaczął się trochę niecierpliwić.

– Chciał się pan spotkać – powiedział.

– Tak – odparł Trocki, wciąż zasapany.  
– Ale wie pan, że jestem...  
– ...zawieszony? Wiem, że pana odsunięto, jestem tego świadom. Pana kolega przekazał mi tę informację.  
– Więc czemu chciał się pan spotkać ze mną? – zdziwił się Bruno, a architekt znów się zaczerwienił.  
– Pana kolega nie miał dla mnie czasu.  
Bruno pokiwał głową w ciszy i zamienił się w słuch.  
– Sprawa nie cierpi zwłoki, że się tak wyrażę – zaczął Leszek. – Dzieje się coś dziwnego...  
Bruno spojrzął na niego ponaglającym wzrokiem, ale mężczyzna nagle się zmieszał. Bił się chwilę z myślami, zanim przemówił.  
– Ja i Karolina mieliśmy romans – powiedział w końcu. – Mamy romans. Cholera wie, w jakim czasie mam to powiedzieć.  
Bruno uniósł brwi. Tego się nie spodziewał.  
– Jak długo? – spytał.  
– Zaczęło się, jeszcze jak Tadek żył. I nie wiem... być może skończyło się wczoraj. Ciężko mi to potwierdzić, bo... nic nie pamiętam. A Karolina przepadła.  
– Co takiego...?  
– Zniknęła gdzieś, panie Kosowski! – powiedział Trocki, nerwowo gestykulując. – Nigdy dotąd jej się to nie zdarzało. Była u mnie wczoraj, to sobie przypominam. Potem piliśmy, ale nie pamiętam nawet, czy dokończyłem swój kieliszek – drugi kieliszek. Film mi się urwał.  
– Po dwóch kieliszkach? – spytał Bruno.  
– Proszę ze mnie nie kpić. To nie jest dla mnie norma. W tym rzecz. Nie wiem, co się wydarzyło.  
– Już dobrze, proszę się nie denerwować. Co było później?  
– Obudziłem się rano – powiedział Leszek z naburmuszoną miną.  
– Idealnie umyte kieliszki stały w kuchni. Karolina nigdy nie sprząta, panie detektywie. Następnie z trudem odnalazłem telefon, który leżał w innym miejscu niż zwykle.  
– Mianowicie?  
– W szafce nocnej. Ale słowo daję, nigdy go tam nie odkładam. Dziwniejsze jednak było to, że został kompletnie wyczyszczony ze wszystkich zdjęć i wiadomości. Nie ma w nim też numeru Karoliny.

Sama Karolina również zapadła się pod ziemię. Nie odbierała, więc ruszyłem do Podkowy. W drodze zdałem sobie sprawę, że w sumie mogę spróbować podpytać najpierw Elę, czy Karolina jest w domu.

– Nie zdziwiła się, że pyta pan o jej córkę? – spytał Bruno. Leszek znów nabrał kolorów.

– Ela... Ela wie, że od dawna chcę się z nią umówić, więc wypytałem, czy jest sama – powiedział Leszek i zacisnął usta. Bruno również, żeby ukryć uśmiech. – W każdym razie... Ela powiedziała, że Karolina pojechała wczoraj na Mazury z koleżanką. Te „Mazury z koleżanką” to jednak chodziło o mnie, panie detektywie. Dlatego wiem, że Karolina nie wróciła do domu i nie ma z nią kontaktu. Do tego podejrzenie... wykasowała się z mojego życia. Nie wiem, co robić – powiedział i oparł się z rezygnacją o trzeszczące oparcie krzesła.

Bruno analizował wszystko, czego się dowiedział, kiedy przypomniał sobie drobny szczegół, który na początku spotkania wyjątkowo go zainteresował.

– Co jest w tej reklamówce, panie Trocki? – spytał.

– W... W reklamówce? – powtórzył Leszek kompletnie zdezorientowany.

– Przyniósł pan ze sobą reklamówkę i rzucił ją pod stół. Co w niej jest?

Leszek uniósł brwi i natychmiast schował się pod stół. Wynurzył się razem z reklamówką. Położył ją na stole przed detektywem i wyjął jej zawartość. Dwa skórzane mokasyny ustawił obok siebie na foliówce, nie zważając na krzywe spojrzenia przechodzącej obok nich kelnerki. Bruno spojrzał na obuwie z konsternacją i zrobił mocniejszy wdech przez nos. Zdziwił się jeszcze bardziej i podniósł do twarzy jednego buta.

– To Karoliny – wyjaśnił Leszek. – Zostawiła je u mnie już kilka miesięcy temu. Chciała je oddać do pralni, ale widocznie zapomniała. Miałem zamiar zanieść je tam sam, widziałem z samochodu, że po sąsiedzku jest pralnia.

– Powiedział pan „kilka miesięcy”... Proszę sprecyzować.

– Przyznaję, że nie pamiętam dokładnie. Na pewno było to już po śmierci Tacka, nie wcześniej.

Bruno pokiwał w milczeniu głową. Przyglądał się obuwiu, kolorowym haftom i zamszowym frędzłom. Musnął palcami płamę na bucie i uniósł go ponownie na wysokość nosa.

– Nigdzie ich pan nie zaniesie – powiedział stanowczo. – Muszę je zabrać.

– Jak to zabrać? – spytał Leszek, marszcząc brwi.

– Spokojnie, zwrócę je panu w swoim czasie. Mówił pan, że pani Karolina o nich zapomniała, więc raczej sobie nagle o nich nie przypomni.

Leszek przez chwilę wyglądał jak ryba rozpaczliwie łapiąca ostatni oddech, ale szybko się opamiętał, najwyraźniej przypominając sobie, po co właściwie tu przyszedł.

– A co z Karoliną? Będzie pan jej szukał?

– Z pewnością – przytaknął Bruno. – Dziękuję za informacje. Nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo pan pomógł...

Przerwał mu dźwięk przychodzącego SMS-a. Bruno spojrzał na wyświetlacz i zbladł.

– Muszę już iść, spieszę się. Proszę o telefon, gdyby jeszcze sobie pan coś przypomniał.

Detektyw skłonił się i pospiesznie wyszedł, zaciskając dłoń na reklamówce z butami. Zostawił Leszka samego, oniemiałego, z niezapłaconym rachunkiem za kawę.



Bruno niemal wyważył drzwi swojego mieszkania, gdy klucz zaciął się w zamku i nie chciał drgnąć. Szarpał się z nim tak brutalnie, że sąsiadka z dołu wyszła na klatkę schodową, by się upewnić, czy nie ma potrzeby wzywania policji. Kiedy zobaczyła detektywa, machnęła tylko ręką. Najwyraźniej znów wrócił do picia. Bruno nie był pijany, ale wszystko wokół zdawało się wirować. Ostatnia wiadomość od Piotra krążyła mu po głowie jak męcząca piosenka.

„Kalina zniknęła”.

Bruno prawie przywykł do jej nieobecności, ale wiedział, że tym razem dziewczyna nie bawi się z nim w chowanego. Coś się wydarzyło. Zadzwoił natychmiast do przyjaciela, ale tamten nie potrafił udzielić mu żadnych informacji. Chcieli ją aresztować. Nigdzie jej nie ma. Nie odbiera telefonu. Patrole są powiadomione. Bruno ma natychmiast go poinformować, gdyby dziewczyna próbowała się z nim skontaktować. I pod żadnym pozorem Bruno ma nie udzielać jej jakiegokolwiek pomocy w doborze kryjówek.

Detektyw wkroczył do mieszkania, ominął skaczącego radośnie Olafa i od razu ruszył na górę. Wspiął się po trzeszczących stopniach, podniósł ciężką klapę, która skrzypnęła, uciszając śpiewającego na strychu ptaka. Stał na środku pomieszczenia pod baldachimem z piór i się rozejrzył. Zapach jaśminu i herbaty wciąż unosił się w powietrzu. Bruno skierował się do materaca pod oknem i znieruchomiał, gdy zobaczył, co na nim leży. *Zabić drozda*. Kalina tu była.

Bruno schylił się i podniósł książkę. Otworzył ją na pierwszej stronie i coś wypadło mu pod nogi. Spojrzył na czarny, mieniący się przedmiot i podniósł go na wysokość oczu. Patrzył na trzy pióra kosa związane gumką, które w pierwszym momencie wydawały się stanowić jedność. Przeczytał jeszcze raz tytuł książki, tym razem na głos.

– *Zabić drozda...*

Bruno zamarł. Nagle zrozumiał wszystko. Wyjął telefon z kieszeni, by zadzwonić do Piotra, ale w tym samym momencie ktoś zadzwonił do niego.

– Halo? – rzucił nerwowo.

– Panie Kosowski, to znowu ja. Leszek Trocki – odezwał się dziwnie przelękniony głos w słuchawce.

Bruno przewrócił oczami.

– Nie mogę teraz rozmawiać – warknął.

– To ważne. Proszę.

– Dobra, byle szybko. O co chodzi?

– Zrozumiałem, co nie dawało mi spokoju od samego rana...

Panie Kosowski, w tej szafce nocnej, tam gdzie znalazłem swój telefon... Coś mi nie pasowało... Nie wiedziałem co...

– Do rzeczy, panie Trocki – niecierpliwił się Bruno.

– Dobrze. Chodzi o to, że... trzymałem tam broń. Proszę pana, ta broń zniknęła.



Miał trzy godziny. Z włączonym kogutem i odrobiną szczęścia może uda mu się to skrócić do dwóch. Tyle czasu zajmie mu droga z Warszawy do Dolistowa. Nie wiedział, o której Karolina i Kalina opuściły stolicę. Mogło to być godzinę temu, może dwie, a może więcej. Musiał się pospieszyć. Bruno w pośpiechu wybiegł z mieszkania, biorąc ze sobą tylko klucze i telefon. Pobudzonemu Olafowi kazał zostać na miejscu.

Zbiegał po schodach po dwa stopnie, robiąc przy tym tyle hałasu, że na każdym piętrze przynajmniej jeden sąsiad wyjrzał, by zobaczyć, co się dzieje. Bruno zignorował wścibskie spojrzenia i pojedyncze oburzone okrzyki. Nic nie miało znaczenia. Wybiegł na parking i rozgorączkowany rozglądał się w poszukiwaniu samochodu. Gdy w końcu go zobaczył, ruszył do niego tak szybko, że po drodze wpadł na kobietę z wózkiem i mało brakowało, a dostałby w twarz od zbulwersowanego przechodnia. Oswobodził się z silnych rąk, które ścisnęły go od tyłu, i krzyknął coś, że jest z policji. Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy jego słowa zrobiły na atakującym jakiegokolwiek wrażenie, ale skoro nikt go nie gonił, to chyba zadziałały.

Wskoczył do samochodu. Wyjeżdżając, prawie uderzył w inny samochód, zaklął siarczyście i wystawił na dach samochodu koguta, którego na szczęście nie odebrał mu Piotr. Oby tylko żaden radiowóz nie zatrzymał go po drodze. Zwłaszcza że Bruno już po chwili pędził przez centrum Warszawy z zawrotną prędkością i z telefonem przy uchu.

– Halo? – krzyknął. – Słyszysz mnie pan?

– Słucham? – odezwał się spokojny, nieco zaspany głos Witka Litwińskiego.

– Panie Witku, czy była dziś u was Kalina?

– Kalina? Kto mówi?

– Detektyw Kosowski. Czy była u was Kalina? – wciąż krzyczał do telefonu Bruno. Właśnie ktoś go obtrąbił.

– Aaa. Nie wiedziałem nawet, że już ją wypuściliście. Mamy się jej spodziewać?

Bruno poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

– Mam do pana prośbę – powiedział. – To bardzo ważne. Musi pan monitorować, czy nie pojawiła się we wsi. W szczególności w okolicach chaty Dmitrijewów. Rozumie pan?

– Tak... Rozumiem. Ale o co chodzi?

– Prawdopodobnie Kalina nie będzie sama. Pewnie nie przyjedzie autobusem. Obstawiam raczej mini coopera z białym dachem na warszawskich tablicach – powiedział, przypominając sobie rozmowę z panią Janiną i jej słowa o „kuperze” dla kobiet. – Proszę uważać. Dziewczyna, która z nią będzie, może być niebezpieczna i uzbrojona. Proszę w nic się nie mieszać, tylko powiadomić mnie, gdyby zauważył pan samochód albo Kalinę lub blondynkę w jej wieku.

– Czy mam zawiadomić tutejszą policję? – spytał Witek. – Czy pan już to zrobił?

W głowie Bruna zapaliła się lampka. Nie może wezwać posiłków, nikt go nie potraktuje poważnie.

– Muszę kończyć – powiedział. – Proszę natychmiast mnie powiadomić, gdyby pan je zobaczył.

Detektyw się rozłączył. Ruch na drodze zaczął się przersedzać, więc mógł przyspieszyć. Ponownie na szybko wybrał numer telefonu, ale nikt nie odebrał. Bruno zadzwonił jeszcze kilkakrotnie, ale wciąż – bez skutku. Przystanął na moment na poboczu i zdjął koguta z dachu. Nie był już potrzebny. Bruno znajdował się na wyjeździe z Warszawy. Napisał wiadomość: „Oddzwoń. Bardzo pilne” i wysłał. Po chwili znowu mknął na Podlasie. Minął Zalew Zegrzyński, liczne sklepiki i brzydkie szyldy, które straszły przyjeżdżających do stolicy turystów. W końcu wokół niego się przersedziło i zamiast szarych i pastelowych bloków widział tylko drzewa, pola i sporadycznie billboardy. Wtedy zadzwoniła jego komórka.

Bruno natychmiast ją dorwał i przez nieuwagę prawie rozjechał wiewiórkę. Zrobił unik w ostatnim momencie. Ryzyko, by jechać tak szybko i prowadzić emocjonującą rozmowę, wydawało się za duże, więc zatrzymał się na poboczu i włączył awaryjne. Oparł się o zagłówek i przytknął oczy, by uspokoić się, zanim odbierze. W końcu kliknął zieloną słuchawkę.

– Znalazłeś ją? – usłyszał zdenerwowany głos Piotra. Bruno mimowolnie zagryzł wargi, ale nie było czasu na awantury. Potrzebował pomocy.

– Tak – odparł. – Musisz mi pomóc.

– Gdzie jesteś?

– Jadę do Dolistowa. Karolina porwała Kalinę.

– Co takiego?!

– Nie mam teraz czasu wdawać się w szczegóły. Dziewczyna ma broń.

– Skąd?!

– Zabrała Trockiemu. Słuchaj, nie przerywaj mi. Trocki próbował się do was dodzwonić, ale nikt nie miał dla niego czasu.

– Cholera jasna...

– Właśnie. Więc potrzebuję twojej pomocy. Sam nie ściągnę posiłków i nie mam broni. Dzwoniłem do ojca Kaliny, dziewczyn jeszcze nie ma w Dolistowie...

– Skąd wiesz, że tam jadą?

– Ja... – Bruno się zawahał – po prostu wiem. Zaufaj mi.

Odpowiedziało mu milczenie. Bruno nie miał czasu na zastanawianie się.

– Jadę – powiedział. – Dołącz do mnie.

Po tych słowach zakończył rozmowę i wcisnął gaz. Miał niewiele czasu. Kalina miała go równie mało.

Witek Litwiński zaparkował samochód za przystankiem autobusowym i czekał, ukryty w cieniu wiaty. Żuł źdźbło uschłej trawy i wpatrywał się w rozplywający się w oczach asfalt. Po pomarszczonym, opalonym czole ściekał mu pot. Wioska wydawała się dziś opustoszała. Mieszkańcy pochowali się w domach, a stojące w cieniu krowy nie muczały, oszczędzając siły na resztę upalnego dnia. W końcu mężczyzna zauważył kształt na horyzoncie. Nieznany samochód mknął w jego kierunku. Litwiński wskoczył do swojego fiata i upewniwszy się, że minął go mini cooper na warszawskich tablicach, ruszył. Gdy był na tyle blisko, by dostrzec w samochodzie dwie kobiece sylwetki, w tym jedną wyglądającą na jego córkę, zwolnił, próbując zachować bezpieczną, niewzbudzającą podejrzeń odległość. Sięgnął po telefon i napisał zdawkową wiadomość do detektywa. Prawie natychmiast otrzymał odpowiedź.

Nie spuszczał oczu z mini coopera, ale nagle coś mu go przesłoniło. Mężczyzna gwałtownie wcisnął hamulec. Jego serce załomotało. Mało brakowało.

– Witek! Patrz na drogę! – zakrzyknął do niego gruby mężczyzna bez koszulki, prowadzący ciągnik.

– Wybacz, stary. Zamyśliłem się – odparł Litwiński przez otwarte okno. Kierowca ciągnika coś jeszcze do niego mówił, ale mężczyzna nie słuchał. Patrzył za mknącym samochodem z warszawską rejestracją, który zaczął nikać na horyzoncie. – Mam coś do załatwienia! – krzyknął do tamtego i zasunął okno, nie czekając na odpowiedź. Jechał szybko, próbując dogonić kobiety, ale w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że samochód zniknął mu z oczu. Zwolnił odrobinę i zaczął się rozglądać. Musiały gdzieś zjechać. Przystanął na zjeździe na nieużywaną drogę prowadzącą do Dmitrijewów. Ślady na niej były świeże, a w powietrzu unosił się

kurz. Tu skręciły, tak jak przewidywał detektyw. Litwiński ruszył dalej, ale zgodnie z prośbą Kosowskiego zaparkował jeszcze przed zboczem, tak żeby jego samochód pozostał niezauważony przez osoby na dole. Wysiadł i wyciągnął z bagażnika lornetkę, która służyła mu do obserwacji ptaków i dzikich zwierząt na bagnach. Z kieszeni kraciastej koszuli wyjął papierosa, odpalił go i trzymając niedbale w suchych wargach, położył się w wysokiej trawie na skraju zbocza. Pozycja nie sprzyjała paleniu, ale nie przejął się tym. Opierając się na łokciach, przyłożył do twarzy starą rosyjską lornetkę.

Mini cooper stał pod samym domem Dmitrijewów. Litwiński zdał sobie nagle sprawę z tego, że nie był tu od kilku lat. Dom wyglądał jednak wciąż tak samo, nie zmienił się od czasu pożaru. Dawniej był uroczy, urządzone z artystyczną wizją Reni. Pobielony wapnem od zewnątrz, z drewnianymi rzeźbionymi okiennicami. Najładniejszy domek we wsi. Zawsze bardziej mu się podobał niż dom, który kupili z Bożeną. Dziś większości okiennic nie było, a te, które zostały, albo wisiały przekrzywione, ledwo trzymając się na zawiasach, albo stały pod ścianą i próchniały. Biały kolor ustąpił miejsca szarości i czarnej sadzy. Litwiński poczuł, że ściska mu się gardło. Powinien był zadbać o ten dom, tak żeby Kalinka mogła kiedyś go przejąć w takim stanie, w jakim był, gdy się urodziła.

Nagle zauważył jakiś ruch odbity w pękniętej szybie. Po chwili z dziury po drzwiach wyszły dwie postacie. Najpierw przygarbiona młoda kobieta o ciemnych włosach, która oplotła się rękami, tak jakby było jej zimno. To była Kalinka. Zaraz za nią pojawiła się osoba, której nie znał. Miała identyczną sylwetkę jak jego córka. Ale oprócz tego nie była do niej podobna. Jej włosy były jasne, prawie białe, i poruszała się energiczniej, do tego żywo gestykulowała. Kiedyś, z tej odległości, mógłby ją pomylić z Renią. Ta dziewczyna miała jednak zaczerwienioną twarz, jakby płakała. Była jednak daleko i Litwiński nie mógł mieć pewności. Spojrzał na staroświecki zegarek, który dostał od ojca. Ten Kosowski będzie tu może za jakieś pół godziny.

Wrócił do obserwacji przez lornetkę. Kobiety rozmawiały o czymś, stojąc pod domem, ale po chwili ruszyły. Kalina przodem, ta druga podążała za nią. W pewnym momencie Kalina obejrzała się w jego

stronę, więc pośpiesznie zgasił papierosa i przycisnął się jeszcze bliżej do ziemi. Blondynka natychmiast podążyła za jej wzrokiem i teraz również patrzyła w jego kierunku. Powiedziała coś do Kaliny i po chwili dziewczyny przyspieszyły. Nagle zadzwoniła komórka Witka. Zapomniał ją wyciszyć, ale chyba znajdował się w bezpiecznej odległości od dziewczyn, bo chociaż w panice walczył z zacinającym się przyciskiem od głośności, to żadna z nich już się nie odwróciła.

– Halo? – powiedział do telefonu.

– Jak sytuacja? Nawigacja pokazuje mi dwadzieścia minut do celu – powiedział Bruno Kosowski.

– Lepiej niech pan przyspieszy. Poszły do lasu.

– Do lasu?

– Albo... Albo na polanę – zawahał się Litwiński. – Nie wiem. Mam iść za nimi?

– Gdzie pan jest w tej chwili?

– Na zboczu. Obserwuję wszystko z góry, ale one zaraz znikną mi z oczu.

– Niech pan się stamtąd nie rusza – powiedział Bruno i się rozłączył.

Nie było czasu na rozmowy. Detektyw wcisnął gaz z zamiarem nadrobienia tego, co stracił na Carskim Trakcie, gdzie na drogę wyskoczył mu łoś. Gdy przejechał w lesie padalca, zrozumiał, że musi trochę zwolnić.

Cały czas niepokoił się, czy dostanie wsparcie. Piotr nie odpowiedział mu wtedy i od czasu ich ostatniej rozmowy milczał.



Dolistowo było opustoszałe, ale Bruno musiał uważać na drodze na wybiegające sporadycznie na ulicę dzieci i kury. Gdy w końcu dojechał do zjazdu do domu Dmitrijewów, odetchnął z ulgą, chociaż wiedział, że najtrudniejsze wciąż przed nim. Zatrzymał się, dopiero

gdy zauważył samotnie stojącego fiata. Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu z trawy wyłonił się jego właściciel – Witek Litwiński. Bruno nie wysiadł, uchylił tylko okno.

– Coś nowego? – krzyknął do mężczyzny.

– Nic. Zniknęły w lesie.

Bruno kiwnął głową. Ruszył dalej, ale zanim zjechał ze zbocza, szybko się cofnął i wyrztał jeszcze raz przez okno.

– Gdyby pojawiło się wsparcie... – powiedział bez przekonania Bruno – niech ich pan pokieruje na polanę. Jak najkrótszą drogą.

– Tak jest – powiedział po żołniersku Litwiński.

Teraz Bruno mógł jechać dalej. Nie miał ze sobą broni ani nic, co mogłoby mu jakkolwiek pomóc w walce z uzbrojoną, niepoczytalną kobietą, ale teraz liczyła się tylko Kalina i jej bezpieczeństwo. Dojechał na skraj lasu, wzbijając za sobą chmurę kurzu. Wskoczył z samochodu, nie zatrzymując za sobą drzwi, i ruszył w pościg. Nie wiedział, czy czuje w powietrzu zapach jaśminu i herbaty, czy tylko jego wyobraźnia płata mu figle. Zapach ów towarzyszył mu jednak podczas całego biegu, aż do momentu, gdy zatrzymał się przy ukrytej ścieżce wiodącej na polanę. Wahał się chwilę, nie wiedząc, co robić. W końcu z trudem oderwał rękaw od koszuli, przy samym szwie na ramieniu. Siłował się z nim chwilę i musiał pomóc sobie leżącym wśród igliwia odłamkiem szkła. Materiał zawiązał na gałęzi wiszącej nad ścieżką. Następnie rękami rozparł krzaki na boki, tak że powyłamywał gałęzie, ale przynajmniej droga stała się widoczna. Obejrzał z zadowoleniem swoje dzieło i wrócił do pościgu. Oddychał ciężko i czuł, że jego kondycja odbiega daleko od tego, jak powinna wyglądać u przeciętnego policjanta.

Opadał z sił, gdy zobaczył przeświecające przez gałęzie drzew światło i poczuł zapach suchej trawy. Da radę. Przyspieszył po raz ostatni. Zatrzymał się na skraju lasu, w tym samym miejscu, co ostatnio. Polana wyglądała tak samo, ale tym razem nie był na niej sam. W oddali zobaczył dwie sylwetki. Jedna siedziała, druga stała – obie na grubej dębowej gałęzi. Wokół panowała cisza.

Bruno słyszał tylko swój oddech i szum lasu. Nic więcej. Był za daleko. Dziewczyny wciąż go nie zauważyły, więc miał szansę podejść je z zaskoczenia. Przykucnął i zaczął przesuwać się do drzewa na czworakach. Nie wiedział, ile czasu mu to zajęło, ale

w końcu mógł usłyszeć ich rozmowę. Mówiła głównie Karolina, Kalina odpowiadała jej półśłówkami i krótkimi zdaniami. Pierwsza z nich stała bliżej pnia, druga siedziała w pewnej odległości i ścisnęła w ręce linę.

– Kalinko, proszę cię. Zobacz, jak się postarałam – powiedziała Karolina, pokazując na drzewo.

Bruno dopiero teraz oderwał wzrok od dziewczyn i spostrzegł, że drzewo faktycznie wygląda inaczej. Było obwieszane sznurami i tasiemkami na różnych wysokościach. Gdzieś tam powieszano na nim pióra. Mężczyzna przeniósł wzrok na Kalinę. Nic nie mówiła. Zaciśnęła usta i kręciła przecząco głową. Bruno przyjrzał się linie w jej dłoniach. Czy tam była pętla? Czy Kalina chciała się targnąć na własne życie? Co tu się dzieje?

– Kalinko, ciocia mi powiedziała o wszystkim. Że wyzdrowiała dzięki Oli – mówiła dalej Karolina.

– Bzdura – odparła Kalina.

– Wszystko się zbiegło w czasie. Przecież sama wiesz. Wasz tata... On czarował. Ty też byś mogła.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Kalinka... Wszystko będzie jak dawniej. Potrzebuję tego. Potrzebuję twojego poświęcenia – powiedziała Karolina, a Bruno zamarł. – Ja... Wszystko idzie nie po mojej myśli... Zakochałam się, wiesz? Ale on woli moją matkę. Wszystko dla niego robię, ale on mnie oszukuje, myśli, że nic nie wiem... – mówiła, nerwowo gestykulując. – Do tego kiepsko się czuję. Chyba zaczynam odchodzić od zmysłów. Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem zmęczona. Filip próbuje mnie wspierać, ale on też przyczynia się do mojego nieszczęścia... Firma pójdzie w jego ręce, wiedziałaś? Nigdy nie będę tam pracować... A wiesz, byłabym w tym najlepsza. Tata w to nie wierzył, ale przekonałby się, gdyby tu był...

– Karolina zwolniła na moment i dodała ciszej: – Tata... To moja wina. Nie! To nasza wina. Właśnie tak. To nasza wina, Kalinka. Twoja też. Właśnie dlatego powinnaś mi pomóc.

Bruno znajdował się w pewnej odległości, ale widział, że Kalina jest blada jak ściana.

– Potrzebujesz pomocy, Lotko... – powiedziała.



– Lotko! – oburzyła się tamta. – Nie nazywaj mnie tak! Właśnie o to tu chodzi! Chcę, żeby wszystko wróciło na właściwe tory. Do czasów, kiedy nikt tak do mnie nie mówił. Jestem Karolina Wilska. Zapamiętaj to, głupia dziewczyno!

Kalina nie odpowiedziała. Czekwała, aż Karolina się uspokoi.

– Zakładaj – powiedziała zimno blondynka, łypiąc na trzymany przez Kalinę sznur.

– Proszę... – odparła cicho dziewczyna. – Nie rób tego. Odkręcimy sprawę z twoim tatą. Powiemy policji, co zaszło... To nie była twoja wina.

– Nie! – wrzasnęła tamta. – To była nasza wina! I właśnie dlatego nasze drogi muszą się rozejść! Za dużo wiesz, Kalinko. Kocham cię, ale za dużo wiesz. I czarujesz. Z pewnością. Wszystko się naprawi. Zobaczysz.

Kalina się zawahała. Bruno widział, że nie zamierza założyć pętli na szyję. Nagle jej siostra się zniecierpliwiła. Szybkim ruchem wyciągnęła coś zza paska spodni. Bruno dostrzegł skąpany w letnim, zachodzącym słońcu pistolet – zabytkową broń, o której mówił Leszek.

– To musisz zrobić ty – wycedziła, celując do Kaliny z broni. Dziewczyna z przerażeniem nasunęła pętlę na szyję. – Skacz! – krzyknęła i wtedy Bruno wyskoczył z trawy.

– Nie! – wrzasnął, żeby skupić na sobie uwagę Karoliny.

Ta jednak nie przeniosła na niego wycelowanej broni, ale wzrok tak. Ich spojrzenia spotkały się tylko na chwilę, bo nagle dostrzegła coś za jego plecami. Jej oczy się rozszerzyły. Bruno usłyszał wystrzał. W tym samym momencie Karolina zrobiła unik i straciła równowagę. Rozległ się ponowny huk, a dziewczyna poleciała do tyłu. Bruno nie miał czasu do namysłu. Rzucił się na pomoc. Kalina z wrzaskiem osunęła się z gałęzi z pętlą na szyi. Trzymała się kurczowo rękami, żeby nie spaść. Detektyw nie patrzył, co stało się z Karoliną, nie zastanawiał się, skąd pochodził pierwszy huk. Zaczęła się walka z czasem i mężczyzna ruszył po pniu, by jak najszybciej dostać się do Kaliny. Wspinał się kawałek po kawałku. Wtem gdzieś pod nim rozległ się głośny trzask, złamała się gałąź. Bruno się nie obejrzał. Był już blisko. W końcu zrównał się z dziewczyną.

Najostrożniej, jak umiał, zrobił krok po gałęzi, która niebezpiecznie zatrzeszczała pod jego ciężarem. Kalina wciąż krzyczała. Próbowwała się wspiąć, ale już widział, że nie ma na to szans. Przykucnął i na czworakach, powoli przesunął się do dziewczyny. Gdy był blisko, usłyszał jej krzyk i zobaczył, że trzyma się tylko jedną ręką, która zaczęła ześlizgiwać się po korze. Dzieliły ich sekundy.

Nagle krzyknęła ponownie. Jej ręka zsunęła się. Ale zacisnęła się na niej druga. Złapał ją. Użył całej swojej siły i wciągnął ją na górę. Jednak gałąź pod nimi wciąż groźnie trzeszczała. Wtem coś trzasnęło. Bruno, trzymając kurczowo dziewczynę za rękę, pospiesznie ściągnął jej pętlę i pociągnął w stronę pnia. Dopadł go w ostatniej chwili, nim gałąź całkowicie się złamała i runęła w dół. Gdyby nie trzymał jej tak mocno, Kalina niechybnie spadłaby razem z nią. Teraz jednak zawisała w powietrzu, podtrzymywana tylko przez niego, i nerwowymi ruchami szukała podparcia dla stóp. Udało się. Gdy trzymali się już pewnie pnia, mogli odetchnąć. Ostrożnie zaczęli schodzić w dół. Bruno rozglądał się nerwowo. Gdzieś mogła cziąć się Karolina.

Zeskoczył pierwszy. Panowała cisza, ale w cieniu drzewa ktoś się ukrywał. Bruno przykucnął i rozpostarł ręce, jakby chciał obronić swoim ciałem stojącą za nim dziewczynę. Ciemna sylwetka wyprostowała się. Czarny kształt w niczym nie przypominał wysokiej blondynki. Stał do nich tyłem. Powoli odwrócił się i zaczął się do nich zbliżać. Bruno dostrzegł w dłoni nieznajomego broń. Zrobił kilka kroków w tył, wciąż asekurując Kalinę. Wyszedł w pełne słońce i po chwili cień zrobił to samo.

Przed nimi stał Piotr. Miał zapadnięte oczy i lekko otwarte usta. Bruno poczuł, że wypuszcza długo wstrzymywany oddech. Ruszył do przyjaciela i uściskał go.

– Jesteś! – powiedział.

– Wyruszyłem od razu po twoim telefonie – odparł.

– To ty strzelełeś? – spytał Bruno.

– Chybiłem. Ale ona... – powiedział Piotr łamiącym się głosem – zachwiała się. Karolina... jest tam.

Bruno zmarszczył brwi i powoli puścił przyjaciela. Zrobił kilka kroków do przodu w kierunku wskazanym przez Piotra, w cień drzewa. Nie widział dobrze, bo korona mocno blokowała dostęp

światła. Kiedy jednak jego wzrok przyzwyczał się do mroku, zobaczył makabryczną scenę. Karolina Wilska wisiała dwa metry nad ziemią, tam gdzie zatrzymała się gałąź, która pękła, gdy on sam wspinał się po Kalinę. Dziewczyna wyglądała jak szmaciana marionetka rozpostarta między poplątanymi linami. Nogi miała dziwnie wykrzywione, podobnie jak ręce. Jej białe włosy przypominały pajęczyny rozciągnięte na gałęziach. Głowę zadarła pod dziwnym kątem, ukazując jeden z kolorowych, obwiązanych wstążkami sznurów, który oplótł ciasno jej szyję. Jej oczy wciąż były otwarte. Patrzyły ku górze ze smutnym rozczarowaniem.



Rozrywający ból w barku pozbawiał oddechu i dziewczyna leżąca na szpitalnym łóżku wpatrywała się z nadzieją w nachylającą się nad nią pielęgniarkę. Kalina nie miała nawet siły prosić, ale na szczęście ktoś czuwał i robił to za nią. On tu był. Gdy tylko widział, jak dziewczyna zagryza wargi i milknie, natychmiast wołał po pomoc.

Grubsza rudowłosa kobieta wstrzyknęła lekarstwo, uśmiechnęła się pocieszająco do dziewczyny i nieco zbyt kokieteryjnie do mężczyzny. Sięgnęła do karty, wpisała podaną dawkę leku i z nakazem „wołania, w razie czego” opuściła salę.

Kalina czuła, jak płyn przyjemnie rozchodzi się w jej żyłach i ból znika – przynajmniej na jakiś czas. Sięgnęła zdrową ręką do poduszki, żeby lepiej ją ułożyć, ale szybko zrozumiała, że trochę się pospieszyła, i syknęła głośno z bólu. Mężczyzna siedzący w fotelu obok natychmiast się podniósł i z nieco srogim wyrazem twarzy pomógł jej się wygodnie ułożyć. Spojrzała na niego z wdzięcznością i odczekała jeszcze chwilę, zanim się odezwała.

– Byłeś tu całą noc? – spytała słabo.

Mężczyzna nie odpowiedział, zacisnął tylko mocniej szczęki, tak że uwydatniła się jego żuchwa. Krótko skinął głową.

– Nie musiałeś... – powiedziała.

– Dobrze wiesz, że musiałem – odparł.

Zapanowała cisza. Żadne z nich nie wiedziało, od czego powinno zacząć.

– Słuchaj...

– Ja...

Zaczęli jednocześnie i natychmiast oboje przerwali.

– Ty mów – powiedziała Kalina.

Bruno ponownie skinął głową, nim przemówił z wyczuwalnym wyrzutem.

– Szukałem cię. Bardzo długo.

– Wiem. Przepraszam.

– Martwiłem się...

Kalina chciała, by mężczyzna na nią spojrzeć, ale ten uparcie unikał jej wzroku.

– Jestem ci winna wyjaśnienia, Bruno. Nawet nie wiem, od czego zacząć, tyle tego jest...

– Faktycznie, masz o czym opowiadać: Wilsy, Karolina, Olga, śmierć architekta, ja... – powiedział i dopiero teraz na nią spojrzeć. Kalina zarumieniła się i zagryzła wargi. Po chwili wzięła głęboki oddech i zaczęła swoją opowieść.

– Moi rodzice, jak już wiesz, zginęli w pożarze, którego okoliczności wciąż pozostają niewyjaśnione. Osierocili mnie i moją siostrę Olę. – Kalina przerwała na chwilę i przymknęła oczy. –

Ciężko mi o niej mówić, bo była mi szczególnie bliska. Przez długie lata żyłam pod jednym dachem z ludźmi, którzy nas rozdzielili, a jednocześnie dali mi dom. Moje relacje z nimi były przez to... skomplikowane. Chciałam jak najszybciej wyjechać ze wsi, nie spędzać czasu z nimi i z całym otoczeniem, przypominającym mi o tym, co utraciłam. W końcu udało mi się przekonać Witka i Bożenę i tak jak już ci wspominałam, po pewnym czasie dostałam się na studia, na architekturę. Olga wtedy jeszcze nie studiowała na Politechnice Warszawskiej. Nie dostała się i zaczęła studia inżynierskie w Białymstoku. Przeszła do Warszawy dopiero na magisterkę, a ja byłam wtedy jeszcze na ostatnim roku pierwszego stopnia, bo studia zaczęłam z opóźnieniem. Spotkałyśmy się najzwyczajniej w świecie – na korytarzu. Jak widzisz, było to całkiem niedawno... Życie nas obu przewróciło się do góry nogami, ale największy szok dopiero nas czekał.

– Karolina? – przerwał Bruno.

– Karolina – powiedziała smutno Kalina. – Jak się dowiedziałeś?

– Zacząłem coś podejrzewać, gdy okazało się, że macie breloki z szafirami, identycznie oprawione – przyznał Bruno. – Byłem w Dolistowie, rozmawiałem z Witkiem. Pokazał mi album ze zdjęciami twojej mamy. Opowiedział o jej wyjeździe do Paryża, pokazał fotografie wykonane przed jej podróżą i po powrocie. „Po” była w zdecydowanie gorszej formie. I zauważyłem jeszcze jeden

szczegół. Nosiła na szyi wisiorek z szafirami. Ale na zdjęciu po powrocie brakowało jednego kamienia. Skontaktowałem się z Anną Schmidt. Nie utrzymywała kontaktu z Elżbietą, ale póki żyła ich matka, otrzymywała od niej jakieś wiadomości. Wiedziała, że Karolina była adoptowana w Paryżu. Nie znała adresu, ale na moją prośbę zrobiła małe przeszukanie i znalazła stary album jej matki – w końcu mieszkała w jej domu. Było w nim zdjęcie Elżbiety i Tadeusza stojących przed domem dziecka. Na szczęście na fotografii widoczny był szyld. Tak Anna Schmidt znalazła dla mnie adres.

– Pomagała ci? Ona?

– Dlaczego cię to dziwi?

– Cóż... Chyba nie powinno, ale jeszcze do tego dojdę. Byłeś w tym domu dziecka?

– Byłem – odparł Bruno. – Dowiedziałem się o adopcji dziewczynki o imieniu Szarlotta. Oraz czegoś o jej matce.

Kalina patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Czuła, jak obraz zaczynają przesłaniać jej łzy. Bruno dostrzegł to i przełknął głośno ślinę.

– No, może o matce nie dowiedziałem się aż tak dużo – przyznał zakłopotany. – Ale nabrałem pewności, kim była... Po powrocie wpadłem na jeszcze jeden pomysł, ale był on raczej potwierdzeniem moich przypuszczeń.

– Jaki?

– Skorzystałem z Facebooka – odparł Bruno, rozkładając ręce. –

Na swoim profilu Karolina miała zdjęcie ze świeżo wykonanym tatuażem. Takim jak twój. W tej zagadce wszystko było dla mnie jasne. Siostry były trzy, a nie dwie: Kalina, Olga i Karolina.

– Szarlotta – poprawiła go Kalina, a on natychmiast zrozumiał.

– Kalina, Olga, Szarlotta – powtórzył. – Kos.

Kalina pokiwała głową ze smutnym uśmiechem.

– Poznałyśmy prawdę o Lotce również dzięki kluczom – podjęła Kalina. – Kiedyś zostawiłam je w sali na wydziale. Zajęcia po mnie miał tam Wilski, który kojarzył brelok Lotki i wiedział, skąd jego córka go ma. Oddał jej znalezisko, ale oboje nabrali pewności, że ktoś musiał ukraść brelok, kiedy Lotka odwiedzała go na wydziale. Z tego, co mi później opowiadała, wpadła w furję i uspokoiła się,

dopiero kiedy zobaczyła, że jej własny breloczek jest na miejscu. Wtedy dała ogłoszenie o znalezionych kluczach i pojawiłam się ja. Wszystko sobie wyjaśniłyśmy, a Lotka zaczęła szukać informacji o swoim pochodzeniu. W końcu wszystko stało się jasne...

Kalina przerwała na chwilę, by sięgnąć po szklankę wody. Robiła się zmęczona, a nie doszła jeszcze do połowy historii. Spojrzała na Bruna, który patrzył na nią wyczekująco, ale nic nie mówił.

– Teraz ta gorsza część – powiedziała smutno i wzięła głęboki wdech. – Oli nie szło na zajęciach z projektowania, które prowadził Wilski. Można było założyć, że się na nią wziął. Nieustannie wyśmiewał jej pomysły przy innych studentach i wstawiał kiepskie oceny z tak zwanych przeglądów. Ola bardzo mocno to przeżywała, była niezwykle wrażliwą i ambitną dziewczyną. Pech chciał, że facet prowadził też wykłady, z których na koniec semestru odbywał się egzamin. Ola spędziła długie godziny, przygotowując się do testu, ale za nic nie mogła pojąć niektórych rzeczy i ciągle się myliła. Wierzę, że było to spowodowane jej lękiem przed tym facetem. Był jednak ktoś, kto bardzo chciał się wykazać. Ktoś, kto Wilskiego się nie bał, a kto chciał mu udowodnić, że sam myli się w swoich osądach. Lotka. Lotka od dziecka podziwiała swojego ojca i marzyła, by być taka jak on. Pięknie rysowała i miała głowę pełną pomysłów. Tak naprawdę była oczkiem w głowie swojego taty. Ale istniał jeden problem... Tadeusz Wilski nie tolerował kobiet w swoim fachu. Za nic nie chciał dopuścić, żeby Lotka została architektem. A ona zawsze dwoiła się i troiła, by dostrzegł jej potencjał. Nie wiem tego na pewno, ale być może Wilski miał problem z tym, że biuro mogłoby przejść w ręce jego niebiologicznego dziecka. Karolina wpadła więc na pomysł. Chciała zastąpić Olę na egzaminie. Zdać go za nią i triumfalnie wyjawić to ojcu. Żeby dostać się na test, potrzebowała tylko charakteryzacji. Nie byłam przekonana do tego wszystkiego, ale obie z Olą nalegały. Wszystkie mamy sylwetkę naszej mamy, więc przebranie nie było trudne. Wykonałam sztuczną bliznę i mylący makijaż, Lotka zarzuciła włosy z peruki na drugą połowę twarzy. Z pewnej odległości siostry były nie do rozróżnienia.

– To wciąż nie trzyma się kupy, Kalina. Brakuje mi czegoś w tej historii – powiedział Bruno.



– Masz rację – przyznała dziewczyna. – Wiem, że zmierzam do sedna okrężną drogą, ale ważne jest, żebyś wszystko zrozumiał. Rzeczywiście, jest jeszcze jedna rzecz. Na początku zastanowiła mnie rola Anny Schmidt i tego, że tak gorliwie chciała ci pomóc. Gdy opowiem ci dalszy ciąg, na pewno wszystko stanie się jasne. Kiedy odnalazłyśmy się z Olą, siostra bardzo zainteresowała się swoimi korzeniami... Zwłaszcza tatą... Nasz tata był...

– ...szamanem.

– Tak – powiedziała Kalina i zamrugła nerwowo. – Przyjechał z Jakucka i nie zamierzał porzucić swojej religii. Ola... Ola wierzyła, że dar szamanizmu przechodzi z pokolenia na pokolenie. Szybko nabrała przekonania, że i ona go ma. Zaczęła pasjonować się tym tematem, przyjechała nawet do Dolistowa, żeby zobaczyć święte drzewo taty. Potem wracała już regularnie i... głupio mi o tym mówić, Bruno, ale... odprawiała czary. A przynajmniej tak mówiła. Staralam się trzymać od tego z daleka. Dla mnie ta szamańska część naszej wspólnej historii pozostała w sferze bajek. Pech chciał, że któregoś razu powiedziała o swojej pasji nieodpowiedniej osobie, samemu Wilekiemu. Miała z nim konsultacje, byli sami... Próbowwała wkupić się jakoś w jego łaski. Mężczyzna, o dziwo, bardzo zainteresował się tym tematem. Widzisz, to był czas, kiedy spotykał się z Anną Schmidt. Wtedy nie dawano jej szans na przeżycie. Człowiek zakochany, postawiony przed najgorszym, bez możliwości wyjścia... łapie się wszystkiego. Po rozmowie z Olą poczytał o szamanizmie i uwierzył, że moja siostra pomoże uratować Annę. Ola też w to uwierzyła. Częściej wyjeżdżała do Dolistowa, siedziała pod tym drzewem, ale wyniki badań tamtej kobiety się nie zmieniały.

Kalina się zamyśliła. Oczy znowu zaszyły jej łzami i tym razem nie potrafiła ich już powstrzymać. Pociągnęła cicho nosem i zdrową ręką odrzuciła do tyłu czarne włosy, które opadły jej na twarz.

– W końcu nadszedł ten dzień – podjęła opowieść. – Wtedy wszystko się zmieniło. Plan z egzaminem się powiódł i Lotka wzorcowo zdała go za Olę. Wieczorem, po teście, Lotka miała zajrzeć do ojca i powiedzieć mu o wszystkim. O tym, że jest zdolna, że dała radę, i o tym, że... odnalazła siostry. Przebrała się jeszcze raz za Olę i poszła do jego gabinetu. Wileki już na nią czekał. Bruno, Lotka nie wiedziała, że Ola umówiła się tego wieczoru na rozmowę

z jej ojcem. Żadna z nas nie wiedziała. Nie przypuszczaliśmy, że poza studiami coś ich łączy. Lotka weszła do jego gabinetu z triumfalnym uśmiechem. Wilski siedział za biurkiem, był wyjątkowo pochmurny. „Czego się cieszysz?”, rzucił. Zdenerwowała go jej mina i wyraz satysfakcji na twarzy... Bruno, wszystkie plotki, które słyszałeś o Wilskim, były prawdziwe. Ten facet był świnią i molestował młode dziewczyny. Nigdy jednak nie przekroczył pewnej granicy... Tamtego wieczoru Lotka jeszcze nic nie wiedziała o drugim obliczu swojego ojca i kiedy podszedł do niej, a potem najpewniej wykonał jakiś niedwuznaczny ruch... Nie wiem, nigdy nie chciała powiedzieć, co zaszło... No, w każdym razie ona zamarła. Zadał jej pytanie: „Czy odprawiłaś te swoje czary?”. Lotka pokręciła przecząco głową, nie wiedząc, o co mu chodzi. Wtedy zadzwonił jego telefon. Wyszedł pospiesznie, nakazując jej nie ruszać się z miejsca. Oczywiście nie posłuchała. Kiedy tylko zniknął, wybiegła z pokoju... W tym samym czasie do gabinetu Wilskiego zmierzała Ola. Nie wiedziała, że Lotka była u niego, nie wiedziała, w jakim nastroju jest ten człowiek. Zapukała, a kiedy nikt się nie odezwał, sama weszła do środka. Nawet nie zdążyła usiąść, bo zaraz za nią wszedł Wilski. Był w amoku. Rzucił nią o ścianę i cisnął w twarz jakimś papierami. Ola była przerażona, ale ten zabronił jej krzyczeć. Przystawił jej pod nos wyniki badań Anny Schmidt. Jej stan zdrowia się pogorszył. Wilski złapał Olę za szyję i...

– Nie kończ. Nie musisz – przerwał jej Bruno. Kalina bez słowa pokiwała energicznie głową i ukryła twarz w dłoniach. Mężczyzna podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. – Musisz odpocząć, Kalina.

– Jest jeszcze coś... – powiedziała, próbując dojść do siebie.

W końcu przetłknęła ślinę i wytarła łzy. Spojrzała na Kosowskiego. Dawno nie przyglądała mu się tak jak teraz. W końcu mogła patrzeć w te smutne oczy ukryte za okularami w grubych oprawkach, duży nos i rozczochrane blond włosy, które powracały do niej we wspomnieniach. On również uważnie się jej przyglądał. Patrzył jej w oczy z takim uporem, jakby bał się, że znowu mu ucieknie. Wciąż nie docierało do nich, że już po wszystkim.

– Bruno... – zaczęła dziewczyna i spuściła wzrok – jestem ci winna więcej wyjaśnień... Ja... – powiedziała i załamał jej się głos.

W końcu ponownie spojrzała na mężczyznę oczami pełnymi łez. –  
Przez cały czas bałam się, że mi nie uwierzysz.

Bruno dotknął dłonią jej policzka.

– Wierzę – powiedział. – I uwierzę we wszystko, co powiesz.

Piotr przestąpił próg domu Wilskich jako pierwszy. Zaraz za nim do holu wszedł Bruno. Willa była elegancko przystrojona, na każdym stoliku rozstawiono okazałe bukiety różowych kwiatów ogrodowych poprzeplatanych szerokimi wstęgami w dopasowanych kolorach. Na niektórych z nich widniały napisy, ale detektywi starali się im nie przyglądać. Domyślali się, co mogliby przeczytać. Pogoda była piękna i zupełnie nie korespondowała z nastrojami domowników. Ptaki na zewnątrz dawały niebywały koncert, co zdawało się tylko irytować niektórych spośród zebranych w salonie. Mężczyźni stanęli przed obecnymi. Cztery osoby. O jedną mniej, niż kiedy byli tu z Piotrem ostatnio. Tym razem wszyscy siedzieli blisko siebie, pogrążeni w żałobie. Gdy detektywi weszli, podnieśli głowy. Elżbieta Wilkska spojrzała wprost na Kosowskiego.

– A pan co tu robi? – spytała, patrząc groźnie. – Został pan odwołany...

– Pan Kosowski jest tu na moją prośbę – uciął szybko Piotr. – Proszę...

Kobieta zrobiła obrażoną minę, ale nic już nie powiedziała.

– Chcieli panowie się spotkać... – powiedział Leszek Trocki. – Wczoraj odbył się pogrzeb. Czy to nie może poczekać?

Bruno zauważył, że mężczyzna ma zaczerwienione oczy i nos, ale zaciska palce na dłoni siedzącej obok niego Elżbiety. Tym razem nie wydawała się poirytowana jego opiekuńczością i pozwalała mu na miłe gesty.

– Jest nam niezmiernie przykro z powodu pani Karoliny... – powiedział Piotr. – Przyszliśmy dziś jednak, by... porozmawiać o panu Tadeuszu Wilskim.

Wszystkim natychmiast wyostrzył się wzrok. Wpatrywali się w detektywa z przerażeniem, nadzieją, ulgą, oczekiwaniem – każdy

inaczej.

– Wiadomo, co stało się z Tadkiem? – spytała Elżbieta łamiącym się głosem i jednocześnie wyswobodziła się z uścisku Trockiego.

– Tak. Całą prawdę przedstawi państwu mój partner, bo to on doszedł do wszystkiego... – powiedział Piotr.

Oczy zebranych przeniosły się na Bruna, który miał już zabrać głos, gdy do pokoju wszedł ktoś nowy. Był czerwony na twarzy i jego idealnie zaczesane loki wydawały się wymykać spod kontroli zbyt dużej ilości żelu.

– Przepraszam! Przepraszam za spóźnienie! – krzyknął przybysz.

– A ten tu czego? – oburzyła się Elżbieta.

– Poprosiliśmy pana Śmigalę, żeby do nas dołączył – ponownie wyjaśnił Piotr. – Byłbym wdzięczny, gdyby zaproponowała pani gościowi jakieś krzesło...

Kobieta wyglądała przez chwilę, jakby coś utkwilo jej w gardle, i poczerwieniała po sam dekollet. Bez słowa wskazała wolny fotel, który Śmigala zajął z bezczelnym uśmiechem.

– Skoro jesteśmy już wszyscy, chciałbym przejść do feralnego wieczoru... – zaczął niechętnie Bruno. – Bankiet z pozoru wyglądał tak jak zwykle. Niczym nie różnił się od pozostałych imprez organizowanych w tym domu. W zamyśle każdego z domowników miał taki być. Pani Elżbieta tradycyjnie sprawdzała się w roli pani domu i managera całego przedsięwzięcia. Co prawda od jakiegoś czasu pani nastrój się pogarszał, ponieważ podejrzewała pani męża o zdradę, zresztą coraz gorzej pani przez to spała. Dlatego co wieczór korzystała pani z coraz silniejszych środków nasennych oraz, przy okazji, podawała mężowi trutkę – mówił Bruno, starając się nie przerywać, mimo nagłego poruszenia na kanapie. –

Oczywiście, jak już ustaliliśmy, nie mogła pani wiedzieć, że przezorny pan Trocki, bojąc się o życie pani męża, postanowił podmienić mu fiolkę z trutką na aspirynę, pakując go przy tym w większe kłopoty, niż pani przewidywała: zgotował mu kwasinę metaboliczną.

Trocki poruszył się nerwowo, tak jak wcześniej Elżbieta, i cały się zarumienił, ale nic nie powiedział. Bruno kontynuował:

– Pod koniec imprezy rozpuściła pani w dwóch szklankach różne tabletki: swój silny środek nasenny oraz aspirynę dla męża.

Nieopatrznie zostawiła pani szklanki na blacie, gdy została wywołana z kuchni. I tu pojawił się przebiegły pan Śmigąła, który opowiedział nam już, jak podmienił obie szklanki. Pani wypita przez to aspirynę, a pani mąż, już u siebie w gabinecie, środek nasenny. Zaznaczyć tu trzeba, że bankiet był zakrapiany, co zgadza się z ilością wykrytego alkoholu w krwi pani męża. Już na tym etapie mamy interesującą mieszankę, która może dawać niepożądane efekty, takie jak halucynacje.

Bruno zrobił przerwę. Najłatwiejsze miał za sobą. Teraz ta trudniejsza część.

– Do tego wszystkiego mogli państwo dojść samodzielnie, ale halucynacje jeszcze nie są czymś, co spowodowało śmierć na Tadeusza Wilskiego. Jest jeszcze chęć zemsty ze strony... jego córki.

Elżbieta Wilska podniosła się natychmiast z miejsca.

– Pan się zagalopowuje! Karolina nic Tadekowi nie zrobiła!

– Proszę dać mi skończyć – powiedział Bruno, a kobieta opadła na kanapę z założonymi rękami. – Nie powiedziałem, że Karolina cokolwiek mu zrobiła. Pani Elżbieto, przykro mi, ale dziś dowie się pani gorszych rzeczy o swoim mężu, niż mogła pani przypuszczać – dodał i zauważył, że tym razem Filip nerwowo rozejrzał się po pokoju. – Tadeusz Wilski zgwałcił studentkę.

Nikt się nie odezwał. Filip nadal patrzył w kierunku oranżerii, pani Janina miała łzy w oczach, Leszek Trocki wyglądał, jakby chciał przemówić, ale nie mógł. Waldemar Śmigąła zrobił wielkie oczy, zaś Elżbieta sprawiała wrażenie, jakby nie dosłyszała słów detektywa.

– Przykro mi, ale takie są fakty... – powiedział Bruno. – Dziewczyna, którą zgwałcił, była przyrodnią siostrą Karoliny.

– Co takiego...? – powiedziała szeptem Elżbieta.

– Rozumiem, że nie wiedziała pani o tym, że córka odnalazła swoje korzenie, ale tak właśnie się stało. Siostra Karoliny studiowała na Politechnice Warszawskiej i miała zajęcia z pani mężem.

Elżbieta wstała z miejsca i zaczęła spacerować po pokoju z kąta w kąt. Ciągle postukiwała przy tym obcasami. Bruno dał jej chwilę i kiedy się zatrzymała, podjął swoją opowieść.

– Karolina przebrała się tego wieczora za siostrę. Nie było trudno, miały jednakową sylwetkę. Wystarczyło narzucić na siebie

odpowiednią białą sukienkę, założyć czarną perukę i użyć odrobiny charakteryzacji.

– Białą sukienkę? – zdziwiła się Elżbieta.

Bruno westchnął.

– Tak... – powiedział niechętnie. – W takiej znaleziono Olgę, gdy się powiesiła.

Elżbieta zachwiała się i zrobiła dwa kroki do tyłu, łapiąc się za szyję.

– Karolina chciała tylko nastraszyć ojca. Przyszła do jego gabinetu, przebrana za Olgę. Prawdopodobnie pan Wilski spożył już wtedy przygotowany lek. Kręciło mu się w głowie. Miał problemy z równowagą. Być może duszności. Otworzył okno.

– Skąd pewność, że Karolina to zrobiła? Nie może się bronić! Nie ma dowodów, że była w gabinecie ojca! – krzyknęła Elżbieta.

– Gdy Tadeusz Wilski zobaczył wchodzącą do jego pokoju zjawę, zrobił krok do tyłu – kontynuował Bruno, nie zważając na protesty. –

Złapał się biurka, żeby się nie przewrócić, i stracił znajdujący się na nim flakonik perfum. Roztrzaskały się. Zawartość ochlapała buty stojącej przed Wilskim dziewczyny. Buty należały do Karoliny. Niczego nieświadomy pan Trocki przyniósł mi je niedawno.

– No dobra, roztrzaskał i co potem? – wyrwał się Trocki, a Bruno spojrzał na niego surowo.

– Jak już wspomniałem, okno było otwarte. To okno jednocześnie znajduje się najbliżej krzewu budlei – powiedział Bruno, przenosząc wzrok na Filipa. – Zdaje się, że to było dobre miejsce na wabienie nowych okazów do kolekcji, prawda?

– Zostawiałem tam może zgniłe owoce, gdy ojciec wyjeżdżał – odparł chłopak. – Ale minęło już trochę czasu. Nawet jeśli nie wytarłem dokładnie, to...

– ...to nie mogłoby spowodować upadku? Masz rację. Samo z siebie nie. Ale w połączeniu z perfumami pojawiła się już mała ślizgawka. I tak, proszę państwa, doszliśmy do sedna.

– Czyli... Czyli to nie było morderstwo? – spytała z wyraźną ulgą Elżbieta.

– Nie. To był nieszczęśliwy splot wydarzeń – powiedział Bruno i dodał w myślach: „Do którego wszyscy się przyczyniliście”.

– Pozostaje jeszcze jedna niewyjaśniona kwestia... – powiedział Piotr. – Skoro Karolina była w pokoju, gdy przez okno wypadł jej tata, jak wyjaśnić zamknięte od środka drzwi?

– Głowiłem się nad tym, aż w końcu naprowadziła mnie jedna z hostess. Co prawda ona nie wie, jak do tego doszło, ale widziała, kto był w gabinecie, kiedy opuściła go Karolina... – Bruno zrobił pauzę. Spojrzał po zebranych, licząc, że odpowiednia osoba sama zajmie stanowisko. Już miał się poddać i kontynuować, kiedy przerwał mu słaby głos starszej kobiety.

– Proszę poczekać. Powiem, co wiem.



Wszystkie oczy przeniosły się na panią Janinę. Kobieta wydawała się odrobinę zażenowana faktem, że znalazła się w centrum uwagi, ale szybko pozbyła się spłoszonej miny i powiedziała:

– Zamknęłam okno na chwilę przed tym, gdy znaleziono Tadka. Widziałam go z góry, jeszcze zanim przy jego ciele pojawiła się Ela i zanim dołączyła do niej ta hostessa, zdaje się, że pana koleżanka.

Bruno odrobinę poczerwieniał, ale nic nie odpowiedział na tę zaczepną uwagę. Janina kontynuowała:

– Ja... nie byłam zaskoczona, kiedy powiedział pan dziś o tym, jaki był mój syn. Wiedziałam o tym. Znałam prawdę. Chyba nie ja jedyna... – dodała, zerkając z ukosa na Filipa. Chłopak dostrzegł to i niespodziewanie wstał z miejsca.

– Przepraszam – powiedział i pospiesznie wyszedł z pokoju. Zapanowało niezręczne milczenie. Janina Wilska patrzyła nieśmiało na detektywów. Bruno zrozumiał, co chciała mu przekazać.

– Panie Waldemarze, myślę, że panu już podziękujemy. Panie Trocki, pana proszę o zaprowadzenie pani Elżbiety do pokoju i podanie jej czegoś uspokajającego – powiedział.

– Nie ma takiej opcji! – zakrzyknęła kobieta. – Nigdzie nie pójdę! Nie teraz!

– Nalegam – dodał Bruno i spojrzał na Trockiego wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

– Chodź, Elu... Nie róbmy problemów, skoro pan detektyw prosi – powiedział architekt.

Kobieta patrzyła jeszcze przez chwilę na Kosowskiego, ale widząc, że nikt nie zamierza odpuścić, z rezygnacją wstała z miejsca. Trocki odprowadził ją w towarzystwie Waldemara kręcącego z niedowierzaniem głową. Ten drugi skłonił się kobiecie przy schodach i energicznym krokiem opuścił willę. Bruno czekał, aż

drzwi do sypialni Elżbiety się zamkną, i kiedy to się wydarzyło, przeniósł wzrok na starszą panią.

– Mój syn stał się potworem – powiedziała kobieta ze łzami w oczach. – Stał się taki sam jak mężczyźni, o których panu opowiadałam. Jednak to było moje dziecko... Mój synek...

Kobieta przerwała na moment, próbując powstrzymać łzy. Gdy jej się to udało, przemówiła:

– Weszłam do gabinetu, kiedy nikogo już w nim nie było, więc nie mogę potwierdzić, że u Tadeusza była Karolinka. Chciałabym to od razu zaznaczyć. Gdy weszłam, okno było otwarte, perfumy rozlane, tak jak pan powiedział. Był straszny przeciąg, więc zamknęłam za sobą drzwi i natychmiast podeszłam do okna, by zrobić to samo. Gdy się do niego zbliżałam, miałam już złe przeczucie. I gdy już chwyciłam za klamkę, wtedy go zobaczyłam. Tadeusz leżał na podjeździe, nie ruszał się. Wokół niego wciąż powiększała się plama krwi. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że natychmiast muszę pomóc swojemu dziecku. Druga... że moje dziecko na tę pomoc nie zasługuje... Nie drgnęłam. Być może dałoby się go wtedy uratować. Ale stałam w bezruchu przez jakieś dziesięć, może piętnaście minut, nim nadbiegła Ela i podniosła alarm. Nie widziała mnie, jednak zanim zdążyłam zamknąć okno, zjawiała się tamta dziewczyna. Spojrzała w górę, gdy przecierałam klamkę. Nie zdziwiło mnie jej późniejsze milczenie... Myślałam, że śmierć Tadeusza jest jej na rękę, że jestem jej to winna... Ale pomyliłam ją z kimś innym. Teraz to wiem.

Bruno w zamyśleniu pokiwał głową.

– A co z drzwiami? – spytał. – Jak opuściła pani pokój, skoro drzwi były zatrzaśnięte od środka?

– Och, będą się panowie śmiali – powiedziała. – Rozwiązanie jest nedorzecznie proste. Tadeusz był architektem i od dziecka miał zamiłowanie do bajek. Któregoś dnia, sprzątając jego pokój, odkryłam, że zaprojektował sobie sekretne przejście do sejfu przez biblioteczkę. Wyjście z sejfu znajduje się w garażu. To wszystko. Wyszłam, bo nie chciałam, by ktokolwiek wziął mojego syna za samobójcę. O nie. On nie był słaby, nigdy by się nie zabił. Ale nie chciałam też, żebyście podejrzewali kogokolwiek z rodziny o morderstwo.

– Czyli naprawdę chodzi po prostu o dodatkowe wyjście z pokoju?  
– A czemu nie? Nie sądzi pan, że ta historia i tak już jest wystarczająco zawiła? – spytała pani Janina, uśmiechając się przez łzy. Bruno kiwnął głową i odwzajemnił uśmiech. Tak. Tak właśnie sądził.



Wyjątkowy żar tego dnia dawał się podwójnie we znaki w przydomowej oranżerii. Najwyraźniej do środka wpuszczono ptaki, bo wokół było głośno od ich śpiewu i treli. Bruno ponownie przedzierał się przez bujną roślinność, która od jego ostatniej wizyty jeszcze bardziej zarosła ścieżkę. Kolorowe kształty na liściach próbowały odwrócić uwagę mężczyzny od celu, ale Bruno nie chciał spędzić tu więcej czasu, niż to było konieczne. Miał plany na dzisiejszy dzień.

Filipa znalazł na wybetonowanym placyku, tak jak się spodziewał. Chłopak siedział na starym stoliku i przeglądał zawartość pudełka po butach.

– Podejrzywałem, że pan tu przyjdzie – powiedział, nie podnosząc głowy, gdy usłyszał zbliżające się kroki i szelest liści.

– Powinienem ci podziękować – odparł Bruno. – To ty dostarczyłeś mi list.

Chłopak w milczeniu pokiwał głową. Bruno podszedł do niego i zajął miejsce obok.

– Jesteśmy kwita. Dobrze, że nie wplątał pan w to wszystko Kaliny. W końcu tego wieczora pomagała Karolinie... – powiedział Filip i po chwili dodał zmienionym tonem: – Ola była inna. Była dobra. Miała czyste serce. I była taka wrażliwa. Czuję, że mogę powiedzieć jej wszystko. Nie wiem, czy wierzy pan w istnienie bratnich dusz, ale ja, gdy poznałem tę dziewczynę, uwierzyłem. W tym pudełku... mam wszystko, co mi po niej pozostało... Zdjęcie zrobione, gdy Kalina pomogła jej zamaskować bliznę, ślicznie wtedy

wyglądała; jej list, ostatni, który wysłała tuż przed tym, jak odebrała sobie życie, i który, jak pan się pewnie domyślił, znalazła babcia; do tego kilka zasuszonych kwiatków budlei, jej ulubionych; i ta piosenka...

– Dotarłem do niej. I do tłumaczenia – powiedział Bruno.

– Tak. Pewnie tego najpopularniejszego... Ola pokochała tę piosenkę niedługo po tym, jak to wszystko się wydarzyło. To pokazuje, jak źle o sobie myślała. Nie potrafiła tego udźwignąć. A ja nie umiałem jej pomóc.

– Nie powinieneś się obwiniać – powiedział Bruno i powoli podniósł się z miejsca. Na odchodne dodał: – Zawsze masz jeszcze swoje motyle.

Chłopak uśmiechnął się smutno.

– Niech pan się rozejrzy – powiedział, a Bruno posłusznie wykonał polecenie. Wszystkie motyle siedziały nieruchomo. Widząc zdziwione spojrzenie detektywa, chłopak dodał: – One już wszystkie od dawna nie żyją.

**B**runo pędził do szpitala. Chciał tylko ją zobaczyć. Powiedzieć, że już po wszystkim. Korytarz szpitalny przemierzał biegiem i w drzwiach sali zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie się przewrócił. Łóżko Kaliny było puste. Salowa kładła właśnie na nim świeżą pościel.

– Przepraszam. Co się stało z dziewczyną, która tu leżała? – spytał Bruno. – Rana postrzałowa barku, wschodnia uroda...

– Wypisała się – odparła obojętnie kobieta.

– Dawno?

– Będzie już kilka godzin.

Bruno, nie podziękowawszy, wybiegł z sali. To nie mogło znowu się dziać. Nie tym razem. Teraz wszystko miało się zmienić. Dobiegł do samochodu i znowu, nadużywając przywilejów, które tymczasowo stracił, włączył syrenę. Drogę do kamienicy pokonał w tempie ekspresowym. Zanim wyciągnął klucze, zajrzał pod wycieraczkę i poluzowany kafelek. Odetchnął z ulgą. Kalina wciąż miała klucze, nie zostawiła ich w skrytce. Otworzył drzwi do mieszkania i z roztargnieniem poklepał po głowie ucieszonego jego widokiem psa. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Bruno czuł jednak na karku delikatny powiew, więc sprawdził wszystkie okna. Zamknięte. Zostało tylko jedno. Kolejny raz z nadzieją spojrzął w stronę schodów prowadzących na stryszek. Serce mu przyspieszyło i zrobił pierwszy krok. Zaraz za nim kolejny. Wchodzenie po tych stopniach jeszcze nigdy nie sprawiało mu tyle trudności. W końcu znalazł się na strychu.

Miał rację – okno było otwarte. Pióra pod sufitem kołysały się sennie, skąpane w ciepłym słońcu. Coś jednak go zaniepokoiło. W pomieszczeniu było dziwnie cicho. Bruno odwrócił się gwałtownie i podszedł do klatki kosa. Była przykryta narzutą, tak jak ją zostawił.

Ukląkł przy niej i ściągnął tkaninę. Klatka była pusta. W środku leżała złożona kartka.

*Bruno,*

*pozostało kilka słów, których nie wypowiedziałam. Pozwól, że przejdę od razu do rzeczy.*

*Pewnego dnia Ola prawie złożyła oskarżenie przeciwko Wilekiemu. Użyłam słowa „prawie”, bo w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Gdy już miała odejść spod drzwi komisariatu, zobaczyła mężczyznę pogrążonego w rozpacz za utraconą miłością, mężczyznę popadającego w alkoholizm i depresję. Postanowiła go wyleczyć. Dać sobie jeszcze jedną szansę. Udowodnić sobie, że potrafi.*

*Chociaż nie podobało mi się to i uważałam, że powinna odpuścić, ona nie poddawała się i coraz częściej przyjeżdżała do Dolistowa, pod drzewo naszego taty. Któregoś gorącego dnia poszła jednak o krok dalej. Znalazła tego mężczyznę w stanie kompletnego upojenia i siłą sprowadziła go do Dolistowa. Nie wiem, jak tego dokonała, ale świadczyło to o jej niebywalej determinacji i niezdrowym uporze.*

*Najwidoczniej coś poszło nie tak, bo spuściła go z oczu i sama popadła w histerię. Mężczyzna resztkami sił – był wycieńczony i odwodniony – dotarł na ulicę Dolistowa. Zatrzymał się przed furką moich przybranych rodziców. Oparł się na niej, a że nie była zamknięta, po chwili runął na ścieżkę przed domem. Byłam wtedy sama.*

*Wybiegłam do mężczyzny i dałam mu wody. Ola pokazywała mi wcześniej jego zdjęcia, więc nabrałam pewności, że to ten sam człowiek i że to moja siostra stoi za sprowadzeniem go na wieś. Z mężczyzną nie było kontaktu. Kiedy nadeszła moja siostra, wpakowałyśmy się z nim do autobusu i odwiozłyśmy go pod komisariat w Warszawie, gdzie po raz pierwszy spotkała go Ola. Po wszystkim moja siostra obiecała mi, że skończyła z szamanizmem. Poczułam niemożliwie wielką ulgę. Zwłaszcza że to był ciężki dzień i przetransportowanie tego mężczyzny stanowiło równie ciężkie zadanie. Jednym z najtrudniejszych, z jakimi przyszło mi się zmierzyć. Aż do czasu.*

*Po bankiecie, kiedy zginął Wilski, podszedł do mnie w oranżerii detektyw. Ten detektyw to był ten sam mężczyzna, którego próbowała wyleczyć moja siostra. Mężczyzna, który z biegiem czasu przywrócił do żywych mnie. Tym mężczyzną byłeś Ty.*

*Kos był gotowy, by ruszyć dalej. Ja również. Wierzę, że któregoś dnia nas odnajdziesz.*

*Kalina*

Bruno odetchnął ciężko. Zatrzasnął okno i powoli zszedł na dół, zamykając za sobą klapę na strych. List schował do kieszeni. Zatrzymał się w przedpokoju i obejrzał na miejsce, z którego przyszedł. Uśmiechnął się smutno.

– Jeśli tylko spróbuję... Czuję, że to będzie trudne zadanie – powiedział cicho. Odwrócił się do drzwi. Olaf siedział na wycieraczce i machał radośnie ogonem.

Bruno zaśmiał się pod nosem i chwycił smycz. Należał im się długi spacer.

KONIEC

[1] H. Lee, *Zabić drozda*, przeł. Z. Kierszys, Książka i Wiedza 1965  
(przyp. red.).



Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
ul. Sienna 73  
00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](http://MAGRAF.sp.j.), Bydgoszcz

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)